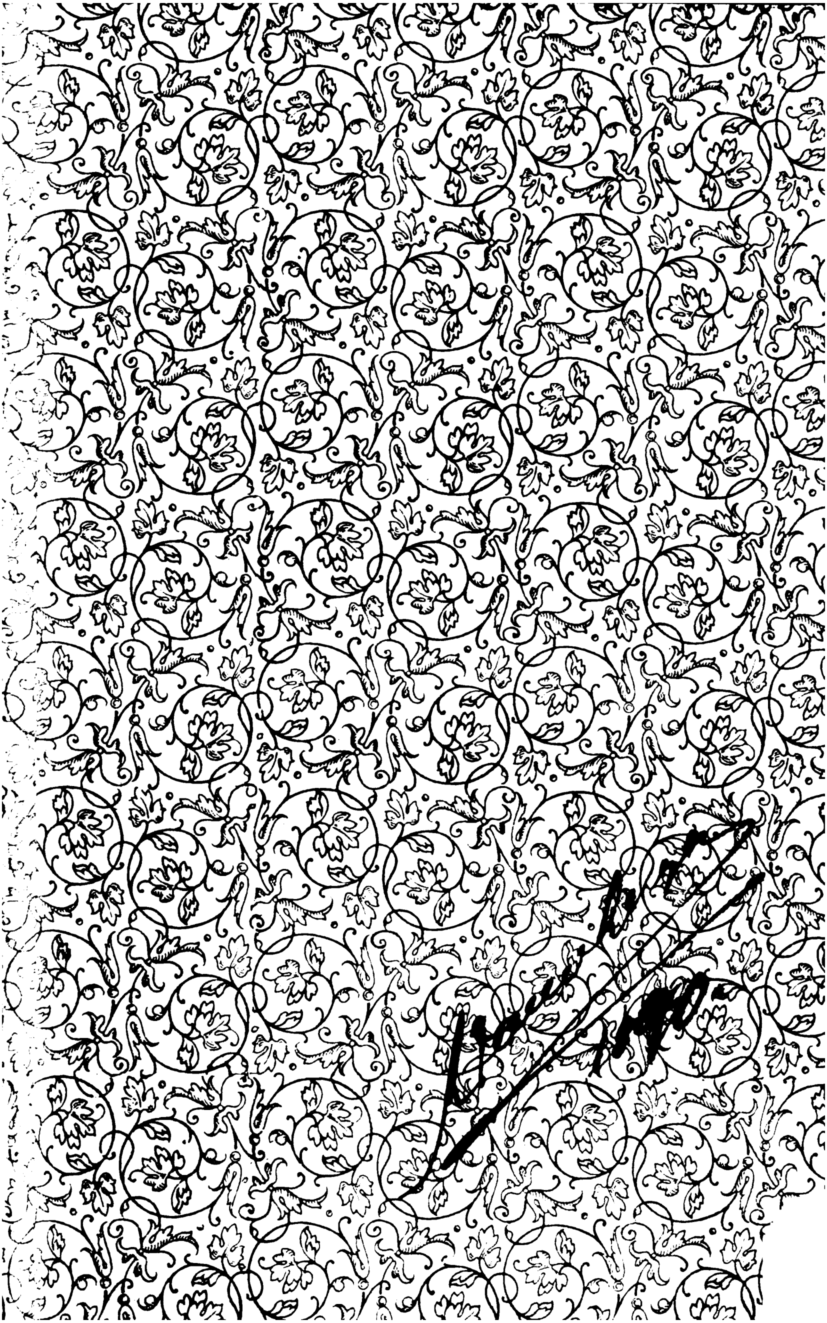


BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LXIX.

Gaszyński, Konstanty.

PISMA PROZAICZNE

PRZEZ

KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO.

F. A. BROCKHAUS.

—

1874.

W MIEJSCE PRZEDMOWY.

Wydawca «Bibljoteki pisarzy polskich» będąc przed kilku laty autoryzowany do zebrania wszystkich prac poetycznych Konstantego Gaszyńskiego w tom jeden i ogłoszenia ich w swoim zbiorze, uczynił zadosyć wezwaniu temu, puszczając je w świat jako tomik pięćdziesiąty i drugi. Minęło lat kilka. Prace Konstantego, jakie nie weszły w zbiór poezji, stawały się coraz mniej przystępnemi i ginęły z óçz czytającej publiki, oraze pamięci rodaków, walając się w pyle blibljotek, lub u antykwarzy. Niektóre z nich z trudnością odszukać było można; wiele z nich stały się niedostępną rzadkością. Wydawca «Bibljoteki pisarzy polskich» postanowił skorzystać z danej mu sposobności i puścić w świat niniejszy tomik, jako zbiór prac prozaicznych ukochanego wieszcza, które tenże podczas swej przymusowej za granicą wędrówki na papier przelewał.

W tomiku tym znajdzie czytający wianek prac poety na zupełnie innem polu, wszelako łączący się szczelnie z poezji jego duchem, duchem narodowym, zebrany na rodzinnej niwie, osnuty na tle miłości ojczyzny i osadzony w ramy nieskalanej prostoty szlachetnie myślącego serca.

Wydawca zgromadził te jedynie utwory prozaiczne, które się w postać jednolitą ująć dały; wszelkie zaś prace młodzieńcze, jakie nasz Konstanty jeszcze w kraju, przed wybuchem 1831 roku, na świat puścił, nie mogły tu być umieszczone, bo do tego zakresu nie należą, czy to formą, czy

poglądem, czy treścią przedmiotu. Może być że i owe młodzieńcze prace prozaiczne w odświeżonej sukience na świat się pokażą — dziś dostatecznem jest dla potrzeb ogółu to, co się podaje, bo jest pokarmem wzmacniającym i orzeźwiającym, którego naszemu ogółowi dziś nad wszystko najwięcej potrzeba.

Wydawca miał sposobność poprzedzić Poezje Konstantego Gaszyńskiego w «Bibljotece pisarzy polskich» krótką przedmową, w której zarysował ogólne kontury życia poety, o ile mu zakres miejsca i znajomość zmarłego dozwoliły. Znajdzie tam czytelnik pogląd pobieżny na wszystkie prace, a więc i prozaiczne, w niniejszym tomiku zawarte. Uprasza się więc łaskawych czytelników, aby, jeżeli przypadkiem tom poezji tegoż autora nie jest im znany, zajrzeli do niego, a uzupełnią oni w sobie obraz pisarza-poety i zrozumią dążność tak poetycznej jak prozaicznej jego spuścizny.

Porucza się i ten tomik szczególnym względom rodzimej publiczności, która umiała uszanować dążność całego wydawnictwa; niechże ona i tę podporę całości wdzięcznie przyjąć zechce, jako podporę zwątlonych zasad, dla zachowania na lepszą przyszłość ich nieskalanej czystości.

Pisano w Maju 1874 roku, w Lipsku.

Wydawca.

SPIS ROZDZIAŁOW.

RESZTY PAMIĘTNIKÓW

MACIEJA ROGOWSKIEGO

ROTMISTRZA KONFEDERACJI BARSKIEJ.

PRZEDMOWA.

Trzydzieści blisko lat temu — od czasu jak mogę zasięgnąć pamięcią — mieszkał w sąsiedztwie rodziców moich obywatel zacny, Maciej Rogowski, znany w całym powiecie pod imieniem Pana Rotmistrza, ponieważ w czasie Konfederacji Barskiej odbył w tym stopniu całą ową pięcioletnią wojnę uważaną za rokosz przez dwór Stanisława Augusta i partyzantów Petersburgskiej Carycy — a za wolę świętą i prawdziwie narodową przez każdego prawego Polaka. — Nazywano także Rogowskiego amerykaninem z przyczyny, iż zwiedził tę odległą część świata i tam z Puławskim, Kościuszką i kilku innymi Polakami, bił się za wolność amerykańską pod Washingtonem. —

Wszyscy szanowali i kochali Pana Macieja, bo był przyjacielski i uprzejmy — wesoły i dowcipny. — Obiegł świata nie mało, przetarł się między ludźmi, dużo rzeczy widział i doświadczył — rozmowa więc jego była niesłychanie zajmującą, a opowiadań jego, przeplatanych żartobliwemi anegdotami, zawsze z ciekawością słuchano. — To też na piętnaście mil w około, na każdych imieninach, chrzcinach lub weselu szlacheckiem nie obeszło się bez Pana Rotmistrza — i gdy gotowano się na jakąś fetę w sąsiedztwie, wszyscy pytali: « A amerykanin czy będzie? »

Wspomnienia młodości nie zacierają się nigdy, dla tego też dzisiaj, po latach tylu, widzę przed sobą tę postać szanownego starca tak świeżą i jasną, jak gdybym ją dopiero wczoraj stracił z oczu. — Rogowski nosił dawny strój polski: kontusz, żupan i pas słucki. — Był szczupły i wysokiego wzrostu, a trzymał się prosto jak młodzieniec, mimo podeszłego wieku i skołatanego zdrowia. — Wąs długi, jak mleko biały, zwieszający się na wychudłej twarzy, dodawał powagi jego ruchomej fizjonomji ożywionej dużemi błękitnemi oczyma. —

Na szerokiej łysinie znać było szramy i karby ran dawnych, — to też powtarzał nieraz, żartując przy kieliszku, że jeśli ma głowę mocną, to dla tego iż była nieraz nitowaną ołowiem i stalą. — Rogowski nie był nigdy żonatym i przechwalał się zawsze ze swego tytułu Kawalera marcowego; stara siostra, wdowa bezdzietna, gospodarowała mu w domu. —

Pan Rotmistrz po długiej nieobecności w kraju, znalazł wioskę swoją dziedziczną, opuszczoną i prawie zrujnowaną — a że było nieco długów, musiał ją więc sprzedać i zrealizowawszy jakiś kapitał, chodził zastawami i dzierżawą. — Ale przy porządnem prowadzeniu się i dobrem gospodarswie miał się nie źle; nie opływał w zbytkach ale też nie znał i niedostatku — i mógł bez szkody przyjmować u siebie gości, szczególniej zaś w dzień Świętego Macieja, która to uroczystość bywała zwykle trzydniową hulanką — i z której rozjeżdżali się sąsiedzi nakarmieni do sytu i jak to u nas jest zwyczajem, opojeni może nad miarę. — Ale w tym ostatnim przypadku uradowany gospodarz pocieszał ich staropolskim, szlacheckim argumentem: że tylko człowiek nieuczciwy lęka się podochocenia, aby w upojeniu nie wygadał niehonorowych sprawek i zdradliwych zamiarów swoich. —

Ojciec mój choć młodszy wiekiem, żył w wielkiej przyjaźni z Panem Rotmistrzem — odwiedzali się często, a wtenczas ja mały chłopczyna, przysłuchiwałem się ich długim rozmowom z ciekowością i zajęciem. — Pan Rogowski gadał o Konfederacji Barskiej, a ojciec mój o wojnie Kościuszkowskiej — tak to naukę historji mego narodu, zacząłem nie od Lecha, ale od panowania Stanisława Augusta. — Kazimierz Puławski i Tadeusz Kościuszko byli dla mnie największymi bohatyrami Polski — bom się obznajmił z nimi od dzieciństwa i nauczył ich biografji od naocznych świadków i towarzyszów tych wodzów. —

Pan Rogowski miał wielką księgę w safian czerwony oprawną, na której kartach opisał całe swoje życie — wojny i podróże — i gdy proszono go o to, pomnę że nieraz dobywał z kantorka ów rękopis i czytał gościom rozmaite ustępy, których słuchano w milczeniu, a które przy końcu obsypywano pochwałami. — Gdym później będąc starszym, przejeżdżał z Warszawy na wakacje do domu i już zaczynałem gryzmolić wierszem i prozą — wymykałem się często do Raducza, do Pana Rogowskiego który kochał mnie bardzo, pożyczał dzieł polskich i francuskich i pozwalał mi czasami czytywać u siebie w swojej wielkiej księdze czerwonej. — Tytuł tego manuskryptu był, ile sobie przypominam: «Relacja wypadków, których w młodości mojej byłem aktorem «lub świadkiem.» —

W 1828 roku Pan Rogowski umarł, a siostra jego

odstąpiwszy komu innemu dzierżawy i sprzedawszy inwentarz i ruchomości, wyniosła się do krewnych na Kujawy. — Przez jakiś czas wszyscy wspominali z żalem poczciwego Rotmistrza — a potem, jak to zwyczajnie bywa między ludźmi, przestano o nim gadać. — I ja, przyznać się muszę, zapomniałem wówczas mego starego przyjaciela i jego księgę, której stronnice taką niegdyś dla mnie były rozrywką. —

Niedługo nadeszły ważniejsze wypadki; noc 29° Listopada, kampanja 1831 roku, a po niej nieszczęśliwa nasza emigracja; — widząc kraj umierający, nie było czasu myśleć o umarłych sąsiadach. — Aż nareszcie, gdy lat temu sześć czy siedm wpadły mi po raz pierwszy w ręce Pamiętniki Paska i inne dokumenta historji narodowej, wydane w Poznaniu z rękopismów przez Hr. Raczyńskiego, przypomniałem sobie czerwoną księgę Pana Rotmistrza Rogowskiego — i zaraz postanowiłem wszelkich dołożyć starań, aby ją wyszukać i oryginał albo przynajmniej kopiję dostawszy, drukiem za granicą ogłosić. — Trudności przewidywane dodawały mi bodźca i utwierdzały w zamiarze, tem więcej że o pobycie Kazimierza Puławskiego w Niemczech, w Turcji, we Francji i Ameryce, nie znalazłem ani słowa w Pamiętnikach Kitowicza, a w Ferrandzie zaledwie małą i nic nieznaczącą wzmiankę — pamiętałem zaś dobrze iż Rogowski o tych wypadkach pisał szeroko. —

Zgłosiłem się natychmiast w tym interesie do jednego z dobrych moich przyjaciół osiadłego w Księstwie Poznańskiem i dawszy mu należyte objaśnienia co do miejsca i osób, do których miał się udać, obligowałem mocno aby sam lub przez swoich znajomych, zajął się wykryciem rzeczonego manuskryptu. —

Kilka lat czekałem napróżno; przyjaciel mój nie miał żadnych z Kujawami stosunków. — Ale gdy zniecierpliwiony zacząłem mu się gęstemi listami uprzykrzać — pojechał naumyślnie do Królestwa i jak się wyraził w odpisie: puścił się nowy argonauta na zdobycie nowego runa złotego! —

Dopytał się do Pani D. siosty Pana Rogowskiego, mieszkającej w okolicach Kowala u krewnych — i gdy jej wytłumaczył interes i powiedział że w mojem imieniu prosi jej o to, zaczęto szukać po całym domu owego rękopisu, który szczęściem poznany po swojej czerwonej okładce, odkrytym został na półce w śpiżarni. —

«Rzuciłem się (pisał mi mój korrespondent) na ową księgę «zakurzoną i zabłąkaną śród gomółek i serów, z równym «zapałem z jakim niegdyś młody Achilles porwał za broń «przywiezioną śród strojów kobiecych przez zdradliwego «Ulissa. — Okładka była w całości, ale niestety! horrible, «most horrible! wewnątrz blisko połowy kart brakowało. —

«Że papier był gruby a format wielki, używano więc owych «Relacji na zalepianie szyb stłuczonych, a każde wielkanocne «święta, najsroższą przynosiły im klęskę. — Przyznano mi «się bowiem że przez niewiadomość (co dowodzi że nie-«wiadomość może być grzechem), karty historji Konfederacji «Barskiej szły do pieca na podlepianie mazurków i placków. «— Brakowało najwięcej stronnic z początku i kilkunastu «na końcu; gospodyni nienależąca jak widać do konfraterni «des bas bleus, zaatakowała manuskrypt od stóp od głowy. — «Myślałem z razu, iż ten ocalony środek będzie bez żadnego «interesu i że niewarto go zabierać; ale gdym rzucił nań «okiem, nie mogłem się od czytania oderwać, i po godzinnem «przeszło zajęciu, doszedłszy do ostatniej stronnicy, żałowałem «iż nie było więcej. — W tem co zostało, po barbarzyńskich «napadach nieliterackiej ręki, wiele jest jeszcze ciekawych i «mało znanych szczegółów, mogących służyć jako materjał «historyczny, a razem jako obraz obyczajowy owego czasu. — «Za przyzwoleniem przeto Pani D. zabrałem skarb twój i «wywiozłem do siebie. — Trzymam go w sekrecie, zajmując «się przepisaniem go na cieńszym papierze i w formacie «plus portatif — a za zdarzoną okazją do Paryża ci «prześlę.» —

Ten list zasmucił mnie niepomału. — Ileż to skarbów historycznych (pomyślałem sobie) nagromadzonych przez praojców, podobnemuż uległo losowi. — Ogień podłożony przez Szweda lub Moskala, pożarł nie jeden ciekawy manuskrypt, ale niedbałość domowa i brak literackiego wykształcenia, pewno ich większą jeszcze liczbę zagubiły! — Pocieszałem się jednak myślą iż starania moje ocaliły (choć z uszczerbkiem szlacheckiej śpiżarni) przynajmniej połowę pamiętników Rogowskiego. — Długo jednak musiałem wyglądać na oczekiwaną przesyłkę — aż nareszcie na początku tego roku odebrałem ją i dziś podaję do druku. —

Czytelnik znajdzie tu ostatnie działania Puławskiego w Częstochowie i wyjazd jego nocny z tej fortecy. — Dzieje pierwszej emigracji polskiej po Niemczech, podobnej nieco do naszej (przynajmniej ze złej strony), bo były i niezgody — i potwarze — i pojedynki — a nawet pojawił się Prorok. — Dalej bardzo ciekawe szczegóły o Puławskim na czele hufca konfederatów w czasie wojny Turków przeciw Moskalom, w 1774 r. — przejazd jego przez Francję i przybycie do Ameryki, w 1777. — Wzmiankę o wielu utarczkach z Anglikami, gdzie Puławski i inni ziomkowie nasi bili się dzielnie i sławę oręża polskiego po nowym świecie roznieśli — nareszcie opis śmierci Barskiego Ajaxa, przy szturmie miasta Savannah, w końcu 1779 roku — i odjazd autora pamiętników, do Europy.

To ostatnia część manuskryptu najciekawsza, jest bowiem zupełnie nowym a może jedynym dokumentem historycznym w tym przedmiocie. — W żadnem dziele polskiem ani francuskiem tych szczegółów nie spotkałem *). — Wiedzieliśmy tylko o miejscu i dacie śmierci Kazimierza Puławskiego — ale o trudach które zniósł, o walkach które przebył, o przeciwieństwach które spotkał, o zniechęceniu którego doświadczył od czasu wylądowania na ziemię Stanów Zjednoczonych — ani słowa. — Pod tym więc względem, pamiętniki niniejsze, ważnym staną się materjałem.

W kilkunastu kartkach, których brak na końcu, nie musiało być nic ciekawego, bo wiem iż Rotmistrz Rogowski, w czasie powstania Kościuszki w 1794 roku leżał przez dziesięć blisko miesięcy, ciężką złożony chorobą — i w tej nowej walce, krótszej ale ogólniejszej i więcej jeszcze narodowej niż Konfederacja Barska, udziału mieć nie mógł. — Ale żałować należy niepomału straty czterech ksiąg pierwszych, w których, jak sobie przypominam, był szczegółowy opis wyprawy Puławskiego na Litwę — przybycia do Konfederacji oficerów francuskich — zdobycia zamku Krakowskiego — i najobszerniejsze wiadomości o długiem i heroicznem bronieniu Częstochowy, przeciw atakom Drewicza, który przed tym, jak nazywał kurnikiem, 2,000 ludzi stracił i od którego odstąpić musiał ze wstydem.

Styl tych pamiętników jest nieco naiwny, czasami rubaszny, ale czysty, jasny i pełen życia. — Obrazy przedstawione bez artystycznej pretensji, a jednak ugrupowane dramatycznie; wesołe gdzie niegdzie anegdoty — epigramatyczne docinki — trafne kreślenie portretów niektórych osób znanych w historji; wreszcie, w toku pisma coś bardzo ujmującago i przypominającego niekiedy Pamiętniki Paska!

My w naszym języku nie posiadamy tego co Francuzi zowią stylem żołnierskim, w jakim Balzac napisał swoją: Histoire de Napoléon racontée par un vieux soldat. — Ale mamy coś w wielkiej będącego analogji: mamy styl, któryby nazwać można stylem szlacheckim albo kontuszowym. — Są u nas w takim stylu dzieła świeżo wydane, ułożone w różnych epokach, przez ludzi, którzy pisząc dla siebie a nie dla publiczności, nie sadzili się na efekt sztuki — redagowali rzecz swoją naiwnie, po prostu, tak jak gdyby siedząc przed kominkiem z fajką lub kieliszkiem węgrzyna w ręku, opowiadali to przyjaciołom.

---

*) W dwóch tylko dziełach wydanych w Ameryce: The history of the American Revolution, by David Ramsay — i w dwunasto tomowej korrespondencji Washingtona, zebranej i ogłoszonej drukiem w Bostonie w 1837 roku przez James Sparks — znaleźć można kilka drobnych ale bardzo pochlebnych wzmianek o męstwie Puławskiego i o jego heroicznej śmierci.

Między pomnikami tego rodzaju, pierwsze trzymają miejsce: z dawniejszych, Pamiętniki Paska — a z późniejszych, Dziennik Podróży Generała Kopcia, Pamiętniki Kilińskiego i niniejsze oto pismo Rogowskiego. — W wielu ustępach Pana Tadeusza, Mickiewicz uchwycił po mistrzowsku typ tej mowy kontuszowej, i zachował ją dla potomnych, odlaną w niespożytym brązie swego rymu!

Styl ten szachecki tak jest potocznym i, że użyję tego wyrażenia, tak niekziążkowym, iż gdy w roku 1828 czy 29, kommunikowano manuskrypt Paska redaktorowi jednego z literackich pism Warszawskich — Pan redaktor, człowiek rozmiłowany w rasynowskich końcówkach Osińskiego i w dźwięcznych perjodach Stanisława Potockiego, zaokrąglonych Cycerońskim pilnikiem — odpowiedział: że jeśliby umieścił jakie wyjątki, musiałby stracić wiele czasu. — Bo rzecz dobra i ciekawa, ale redakcję i styl trzeba było zmienić od deski do deski. — Takiem to świętokradztwem zagrożone było arcydzieło Paskowe; tak to owe ciekawe freski siedemnastego wieku, o włos co nie zostały zapędzlowane klassycznem wapnem, przez mularczyka szkoły warszawskiej!

Buffon, choć członek akademji Paryskiej, napisał: «le style c'est l'homme» — ale nasi arystarchowie nie mogli cierpieć indywidualności, byli niwellatorami i mówili: «styl, «to echo naszego głosu — modulacja gammy przez nas «wydanej i naszą ostęplowanej pieczęcią!» Żołnierskie księcia Konstantego rządy mając przed okiem, chcieli oni także oblekać pisarzy w jeden i ten sam mundur, szykować w linję i kazać im odbywać na komendę też same ruchy; — a biada temo kto się pomylił w manewrze: odsądzano go od czci i dawano wyrok: «non dignus est intrare.....»

Ludzie dawnej szkoły, doszło do tego, iż chcieli nawet upiększać i symetryzować naturę. — Obcinali nożycami bujne gałęzie drzew samorodnych, ubierali w atłas pastuchów, a baranom na szyi zawieszali wstęgi jedwabne. — I pewny jestem, że gdyby Wenus Medycejska nie była wyciosana z kararyjskiego marmuru, ale odlana z wosku — i gdyby się była dostała przypadkiem w ręce Coysevox, Coustou, lub innego jakiego rzeźbiarza, z czasów Ludwika XVgo, byłby jej zaokrąglił ramiona, dolepił pulchniejsze lica, na głowę wsadził, jeśli nie perukę to przynajmniej wieniec z kwiatów — a w rękę, świeżo rozwiniętą różę!

Przepraszam uniżenie czytelnika za to romantyczne kazanie — doprowadzony byłem do tego wspomnieniem niebespieczeństwa w jakiem znajdowało się dzieło Jana Chryzostoma Paska — i wylałem żółć moją intra parenthesis, jak mawiał mój Rogowski. — A teraz wracam do przedmiotu.

Niniejsze przeto Reszty Pamiętników, które wydaję, mają

tę główną zaletę i przez to stają się ciekawemi, na stanowisku historycznem i literackiem, iż pisane w stylu szlacheckim, dają nam daguerrotyp człowieka żyjącego w środku zeszłego stólecia i patrzącego na świat przez okulary, przyćmione może nieco kurzem jezuickiej edukacji i przesądami swego wieku — ale z miejsca na którem stoi, widzącego rzeczy bardzo prosto, jasno i dokładnie. — Nie jest on aktorem występującym na scenę i wiedzącym iż liczna publiczność na niego zwrócone ma oczy — a zatem nie kładzie tynku na lica — nie podwyższa się koturnem — ani drapuje swojej tuniki w regularne i artystyczne fałdy. — Opowiada porządkiem wszystkie godniejsze pamięci wypadki, których był świadkiem — a jeżeli je opowiada czasem dowcipnie i dramatycznie — to mimowiednie — bez chęci dowcipkowania lub szukania efektu. — Pióro jego nie jest sztucznym rylcem, ale jeno stenografem potocznej mowy — trąbą, która dźwięk przesyła ale nie upiększa.

Dziś kiedy ta kontuszowa pogadanka ma się przystroić w Guttenbergowską sukienkę, której może nigdy nie spodziewała się oblec — nie żałuję zabiegów których użyłem, ani kłopotów i niecierpliwości które mną miotały przez lat kilka przy wyszukiwaniu i sprowadzeniu tego rękopisu. — Ludzie, których rzeczy ojczyste zajmują, dla których pomniki literackie i historyczne większą mają wagę niż akcje na drogi żelazne — będą mi wdzięczni za odkrycie i publikowanie tej niespodziewanki. — A ja sam cieszę się i w niejakąś dumę urastam, myśląc że do tego wspaniałego gmachu przeszłości ojczystej, który ś. p. Hr. Raczyński swojem staraniem i nakładem, wystawił dla dzisiejszej Polski — i ja przyniosłem choć drobną cegiełkę!

Paryż, d. 30 maja 1847 r.

KONSTANTY GASZYŃSKI.

RESZTY PAMIĘTNIKÓW.

KONIEC KSIĘGI PIĄTEJ.

.... Dezercja Zaremby — wtargnięcie wojsk trzech dworów w kraje Rzeczypospolitej — odjazd Kazimierza Puławskiego z Częstochowy.

. . . .

..... czem się bardzo zaalarmował i zasmucił Pan Puławski. — Bo Zaremba, acz od potyczki pod Kościanem (gdzie pobił na głowę Rotmistrza Olszowa jak namieniłem powyżej) i od sprawy Widawskiej (gdzie Branickiego ludzi mocno poturbował) unikał wszelkich odtąd okazji i wielkiej krzywdy nieprzyjaciołom nie czynił — jednak przejście jego na stronę królewską osłabiało konfederację i zły przykład innym dawało. — A list jego podły do Salderna rzucał plamę na charakter narodowy i prawdziwym patrjotom serca rozdzierał.

18. Dodać tutaj muszę intra parenthesis że komenda Zaremby tem się odznaczała nad inne iż był w niej rygor i porządek militarny — tałałajstwa tam było nie wiele — ale wszystko ludzie w przyzwoitym rynsztunku i w egzercycje wprawni. — To też rozmiłowany w swojem wojsku Zaremba, oszczędzał go za nadto, w ogień rzadko prowadząc: «aby «(jak powiedział raz Dzierżanowski, sławny facetus) nie «zakopcić prochem błyszczących karabinków, i krwią nie po«bryzgać białych flintpasów i mosiężnych ładownic.» — Nieraz zdarzało się, iż mógł łatwo rozbić drobny oddział rossyjski lub komputowy, a nie ruszył się z posterunku i pozwolił im bez szwanku przejść pod nosem; — woląc pilnować swoich wiosek od napaści kozaczej i od łupiestwa takich włóczęgów i rabusiów iak Żbikowski, Bachowski i inni (którzy pod płaszczykiem konfederatów, rzemiosłem rzezimieszków trudnili się) — aniżeli bić się jak należało za

zagrożoną wiarę i wolność Rzeczypospolitej. — W człowieku tym wiele było dobrych zalet, ale prywata psuła wszystko, boć o sobie tylko myślał, a o sprawie publicznej nic. — I dla tegoć to i teraz submissjonował Poniatowskiemu, Saldernowi kadził i kłaniał się Imperatorowej rossyjskiej, aby fortunę swoją ocalić i rangę przy dworze dostać.

19. Otóż Pan Puławski chcąc ukarać niewiarę Zaremby i dotknąć go właśnie w tem co on cenił i kochał najwięcej, to jest w jego posiadłościach ziemskich, postanowił spalić i zniszczyć do szczętu dobra jego znaczne Kisiele i Rozprzą, o parę mil od Piotrkowa leżące. — Na ten więc koniec, wziąwszy z sobą około pięćset ludzi, wymaszerował z Częstochowy 24° Junii w sam dzień świętego Jana Chrzciciela udając się traktem wiodącym w Sieradzkie. — Uszliśmy już blisko milę, kiedy Pan Kazimierz przejeżdżając około mojej roty skinął na mnie (bo jak mówiło się wyżej kochał mnie bardzo i był ze mną podufały). — Zbodłem konia ostrogą i poskoczyłem ku niemu, a jadąc na ustroni dyskurowaliśmy o tem i o owem, a najwięcej o zdradzie Zaremby. — Puławski był człowiek żywy i prędki a zapalający się łatwo, to też mówiono o nim nie bez racji, że krew mu w żyłach kipiała. — Bardzo się więc zaciął na Zarembę, przypominając dawne jego sprawki już rokujące nie dobre rzeczy. — Jak zamiast przyjść w sukurs Częstochowie oblężonej przez Drewicza, wolał bezużytecznie uganiać się za Malczewskim; — jak później aktu detronizacji nie chciał publikować w swoich komendach — jak nareszcie w ciągłych był konszaktach z zausznikami warszawskimi, z Generałami Pruskimi — a z Pułkownikową rossyjską Renową w wielkich afektach i komitywie. — Nie zapomnę nigdy jak szparko słowa z ust mu biegały, gdy o tych wszystkich rzeczach gadał i nie mógł się odżałować że, gdy parę miesięcy temu Zaremba przyjechał do Częstochowy w odwiedziny, nie kazał go aresztować i sądzić militarnie, jako knującego zdradę (o czem już wówczas były poszlaki).

20. Po śpiesznym marszu przybyliśmy wieczorem do Radomska miasteczka o jakie sześć mil od Częstochowy i rozłożyliśmy się na nocną leżę. — Pan Puławski z Rotmistrzem Wielichowskim (który świeżo Zarembę opuścił i z ludźmi swemi do nas przyciągnął) i ze mną, stanął kwaterą w murowanej kamienicy ławnika Stacherskiego; — aleśmy ledwie że pokładli się ku spoczynkowi, Pan Puławski w jednej paradniejszej, a ja z Wielichowskim w drugiej izbie — aż tu się ktoś do drzwi dobija i z wartą w sieni stojącą się kłuci. — Zerwałem się na równe nogi, wziąłem w garść pistolet a w drugą szablę i pytam przezedrzwi co to za harmider. — Aż słyszeć głos mówiącego, iż przynosi

list bardzo pilny do Marszałka, od Radzimińskiego z Częstochowy i że ma ordynans oddać go natychmiast. — Skrzesawszy więc ognia i zapaliwszy świecę, odsunąłem rygiel i odemknąwszy drzwi poznałem towarzysza Osipowskiego, trzymającego duży list w ręku. — Gdy się naradzamy z Wielichowskim, czy budzić zaraz Puławskiego czy też czekać jutra rana — aż on sam, hałasem wybity ze snu, wszedł do naszej izby i wziąwszy świecę z lichtarzem i one przyniesione pisanie, jął go czytać. — Poznaliśmy zaraz że nowiny nie były dobre, bo u Pana Kazimierza kolor twarzy się zmienił i czytając zniecierpliwiony tupał nogą, a wąsa pokręcał, co było znakiem alternaty. — «Rogowski (rzekł do «mnie) za dwie godzin niechaj trębacze zwołują na koń — «nie ma czasu wypoczywać — a tylko nie zaśpij sprawy, «panie bracie.» Poczem poszedł do swojey izby, drzwi z impetem zatrzasnąwszy i nas zostawił trzech niewiedzących co nowego się święci — aleśmy przewąchali że nic pomyślnego.

21. Otóż, dobrze przed wschodem słońca gdy się uformowały szwadrony na rynku, bardzo zdziwieni zostaliśmy, gdy zamiast maszerować do Piotrkowa, zawrócić się nam kazał Pan Puławski nazad do Częstochowy. — Tak więc upiekło się na ten raz Zarembie, ale nie na długo — bo go Pan Bóg ukarał ciężej, niżliby były nasze grzeszne ręce go ukarały, paląc jego majątki. — Choć to nie zaraz nastąpiło ale w kilka lat później, jednak ponieważ już nie będę miał okazji mówić o nim, powiem tutaj jaki był jego koniec nieszczęśliwy. — Poniatowski przyjął z radością jego submissję, ale oprócz grzecznych słówek i obietnic, żadnej szarży mu nie dał, ani spodziewanych faworów; a wjeżdżającego do stolicy lud warszawski wygwizdał, obwołując go zdrajcą i rzucając na dezertera kamykami i błotem. — Umizgał się Zaremba przy dworze do łask królewskich, ale nadaremnie — odjechał więc skwaszony do majątków swoich w Sieradzkie, gdzie biorąc suchą wannę spalił się żywcem. — A to tak się stało: siedział on w wannie drewnianej zamknięty po szyję, a przez otwór boczny wpuszczano parę ze spirytusu lanego z garncowego gąsiorka, który gdy chłopiec przez nieostrożność czy przez brak siły wypuścił, wylał się ów spirytus częścią do wanny, częścią na podłogę i tłukąc się, przewrócił obok stojący lichtarz z zapaloną świecą. — Z tego wszystkiego zajął się ogień raptowny, a wieko drewnianej wanny tak napęczniało od gorąca, iż go nie było sposób oderwać by uwolnić palącego się i krzyczącego w niebogłosy Zarembę. — Nim obecnemu bratu i sługom przyszło na myśl szukać siekiery i rąbać wannę (co później zrobili) popalił się on okropnie i w parę godzin skonał

w mękach. — Mówiono także (ale o tem wątpię) że to nie zewnątrz niego ale wewnątrz spirytus się zapalił w kiszkach i o śmierć go przyprawił — bo Zaremba bardzo lubił trunki a szczególniej gorzałkę, którą się raczył bez miary. — Bądź co bądź, pokazał się w tem wszystkiem palec boży, na ukaranie niewiary człowieka, który swoją partję opuścił i na stronę nieprzyjacielską haniebnie przeszedł.

22. Maszerowaliśmy spiesznie dzień cały tąż samą drogą co wczoraj, rozmaite czyniąc konjektury i przypuszczenia o tym nagłym powrocie. — Marszałek jechał zamyślony, smutny, i z nikim ani nawet ze mną nie gadał.— Nie śmieliśmy go się wypytywać, ale później dowiedziałem się o niepomyślnych nowinach, które przywiózł Osipowski w onym liście. — Nowiny te były takie. — Radzimiński (obywatel zacny i śmiały kawaler, któremu Marszałek zawsze w czasie wycieczek które czynił, komendę w Częstochowie zostawiał) donosił Panu Puławskiemu, iż zaraz po naszem wymaszerowaniu odebrał niezawodne wieści, że Austryjak zdjął nareszcie chytrą maskę — że Generalność z Preszowa wypędził — Tyniec, Lanckoronę i Bobrek wojskiem swojem przez zdradę zajął — i w głąb województw Krakowskiego, Sandomirskiego i Wołynia się posuwa. — Wiedząc zaś dawniej że Prusak wtargnął także do Wielkopolski i na konfederatów godzi — sądzi iż niepodobna przeciw trzem potencjom się bronić, i należy myśleć o własnem bespieczeństwie — zwłaszcza że on (Puławski) oskarżony głośno o królobójstwo, mógłby przypłacić głową. — Radził więc Radzimiński aby marszałek zemsty na Zarembie zaniechał, a jak najspieszniej o sobie myślał. — Wszystkie te szczegóły, w kilka dni później, gdyśmy przekradali się przez Sląsk, sam Puławski mi opowiedział — a czas pokazał że były prawdziwe. —

23. Już dobrze po zachodzie słońca stanęliśmy w Częstochowie i zaraz Puławski z Radzimińskim zamknęli się sam na sam w dawnym refektarzu i z godzinę tajemnie dyskurowali. — Ja zacząłem się już rozbierać w mojej celi, bo byłem bardzo sfatygowany dwudniowym marszem, aż tu nagle wchodzi do mnie Puławski. — Zdziwiłem się bardzo tem jego pokazaniem się, tem więcej że miał twarz zaalterowaną, a na sobie nie swój piękny i bogaty mundur huzarski lamowany srebrem (który ciągle nosił), ale szarą jakąś tarałatkę i prostą granatową czapkę z siwym barankiem. — «Panie Macieju (rzekł on do mnie) bardzo źle z naszą «sprawą. — Wiesz panie bracie że nie desperowałem nigdy, «ale tą razą gdy trzy potencje przeciw nam się zdeklarowa- «ły, a aljanci nic nie robią, widzę iż niepodobna się bronić. «— Można by wprawdzie mur głową przebić, ale by się i «głowa strzaskała; a ta głowa może się zdać jeszcze na coś

«gdy złe czasy przeminą. — A co więcej, iż desperowanym «oporem, święty ten dom Bożej Rodzicielki, doznałby jakiej «krzywdy i ciężkiej zniewagi od Schizmatyków i Lutrów. — «Muszę więc salwować się za granicę na czas jakiś — a «wiedząc ile mnie kochasz i że można na ciebie liczyć «zawsze, przyszedłem się zapytać, czy chcesz mi być to-«warzyszem w tej ekspedycji.» — «Panie Marszałku (rze-«kłem wzruszony i całując go w ramię) pójdę za tobą choćby «na kraj świata, aż do antypodów — póki stanie mi siły i «życia, nie odstąpię cię nigdy.» — Uściskał mnie Puławski i rzekł: «nie dziękuję ci, bo byłem serca twego pewny» a potem dodał kładąc palec na ustach: «Nie mów Panie bracie «o tem nikomu by się to nie rozniosło po garnizonie że go «opuszczam. — Ubierz się nie po wojskowemu i jak najskro-«mniej — a nim się rozwidni wyniesiem się cichaczem «z Częstochowy.» — Na taką nowinę odleciał mnie sen, który już zaczynał mnie morzyć, i jąłem się wybierać w drogę. — Opasałem na gołe ciało trzosik mój skurzany, w którym było przeszło sto dukacinów, częścią wyniesionych z domu, częścią zabranych w matelzakach kozackich, które nigdy próżne nie były. — Wdziałem szarawary i kurtę granatową bez żadnych obszlegów — a z broni przyrządziłem tylko pistolety do olstrów. — Pan Puławski nie spał także, ale zajęty był pisaniem pożegnania do załogi, którą to rzecz ułożył w bardzo serdecznym i pięknym stylu, tak że (jakeśmy się dowiedzieli później) wszyscy, a nawet naytwardsi wąsacze, słuchając onego pożegnania, płakali. — Chowałem ja kopję tego pisma które radbym tu przytoczyć, ale mi zaginęło wraz z innemi bagażami w nieszczęśliwej wyprawie naszej na Tureczczyznie (o czem będzie niżej). —

24. Miałem wielką ochotę pożegnać się z moim dobrym przyjacielem i krewniakiem Kalasantym Bzowskim, ale że trzeba by było wydać sekret, więc z bólem serca zaniechałem zamiaru. — Ukląkłem więc tylko przed obrazkiem Najświętszej Panny (który wisiał nad mojem łóżkiem) i pomodliłem się gorąco do tej Królowej polskiej, błagając Ją za naród nasz nieszczęśliwy i polecając w Jej opiekę Pana Puławskiego i siebie, aby czuwała nad nami i orędowała, śród niewiadomych azardów, na które puszczaliśmy się dzisiaj. — Ledwie że skończyłem modlitwę, przyszedł Bohdanek, kozak Puławskiego (którego tenże miał przy sobie od dzieciństwa i bardzo lubił) raportując mi z cicha że w fortecy wszyscy śpią, że konie posiodłane i wszystko do drogi gotowe. — Wziąłem więc pistolety pod pachę i zeszedłem na drugi dziedziniec, macając po murach, bo noc jako w ostatniej kwadrze, była chmurna i ciemna. — W kilka minut nadszedł i Pan Kazimierz — dosiedliśmy koni i każdy

zrobiwszy znak krzyża świętego wyjechaliśmy samotrzeć i w największem milczeniu boczną bramą z fortecy. — A gdyśmy już byli w polu o jakie staje, Puławski dotychczas milczący zatrzymał konia i rzekł do mnie wyciągając rękę ku stronie Częstochowy: «Gdyby to nie było tak święte miejsce i tyle «drogich pamiątek dla Polski obejmujące — nie opuszczałbym «go panie bracie — tubym się bronił do upadłego i w gru«zach bym się zagrzebał. Wiem że załoga byłaby mi do«trwała — ale Radzimiński ma rację: nie trzeba świętego «tego grodu, Palladium Rzeczypospolitej, na ostateczną «zgubę i zemstę kacerzy narażać.» —

KSIĘGA SZÓSTA.

Podróż po Szląsku, Saksonji, Bawarji etc. — Księżna Kurlandzka w Dreznie —Generalność w Braunau—Mazowiecki w Turczech.

1. Pierwszym zamiarem Puławskiego było przedrzeć się do Turcji jako do jedynego kraju w Europie, który się deklarował szczerze za konfederacją, i więcej dla niej robił niż dwór Wersalski, wojnę przeciw Rossji podejmując. — Ale trudności były wielkie przebijania się przez taką przestrzeń kraju rozmaitemi wojskami obsadzonego — a co ważniejsza iż Dywan chwiać się zaczynał i z Rossją wchodził w traktaty, w Bukareszcie z plenipotentami tejże potencji deliberując. — Nie było więc roztropnie oddawać się Turkom w szpony i azardować się bez żadnego użytku dla sprawy publicznej, na tak daleką a niebespieczną drogę. — Granica Pruska była tuż pod bokiem — a po miastach Szląskich wielu obywateli naszych, tchurzów szukających śród zamieszek krajowych bespieczeństwa za granicą — a wojska pruskiego bardzo mało z tej strony, bo wszystko pociągnęło ku Toruniowi. — A dalej, w Dreznie, także dosyć Polaków malkontentów czepiających się przy księciu kurlandzkim. — Z tych tedy powodów i tym podobnych, zwróciliśmy się ku Prusom. —

2. W Opolu (po niemiecku Oppeln) nadybaliśmy szlachcica jednego Kaliszanina, którego imienia dziś sobie nie przypominam. — Był to niepospolity junak i paliwoda. —

Rozprawiał nam o swoich sukcesach i dziełach wojennych pod komendą Malczewskiego dokonanych — liczył do pięćdziesięciu Rossjan których ręką swoią zabił i tym podobne przechwałki, w których ani słowa prawdy nie było; bo szlachcic frant i jak widać nielubiący prochowego odoru, krył się w Szląsku nie bez kozery, to jest z tchórzostwa. — Ale się załapał najbardziej mówiąc, że zna doskonale i jest dobrze znany od Kazimierza Puławskiego, pod którego rozkazami służył w wyprawie na Litwę. — Uśmiechał się pan Kazimierz, słuchając relacji onego samochwała i nie chciał mu kontrować, bo na cóż byłoby się to zdało; tem bardziej że ów Kaliszanin był człowiek zabawny i uczynny. — I gdyśmy mu powiedzieli że uchodzim z rozproszonej konfederacji Krakowskiej i jedziem do Drezna do księcia Karola, ułatwił nam przejazd, dając wskazunek drogi i list do przyjaciela swego niemca w Świdnicy. — On to pierwszy zakomunikował nam smutną wiadomość o mających nastąpić zaborach uprojektowanych przez Rossję, Austrję i Prusy. — Nie wierzyliśmy z razu oney nowinie, myśląc że to łgarstwo jak inne rzeczy o których paplał — ale na nieszczęście (jak się okazało później) w tem jednem miał prawdę! —

3. Jechaliśmy — ja pod mojem własnem a Pan Marszałek pod Jana Karczewskiego imieniem — stąd kaliszanin przymówił się do kuzynostwa, mówiąc że przez matkę jest z Karczewskiemi skoligacony. — Puławski miał z sobą znaczny zapas pieniędzy, za wszystkie wydatki płacił i nie pozwalał mi nic ekspensować — a gdym się przechwalał z moim trzosikiem, rzekł uśmiechaiąc się: «Schowaj to Panie bracie «na gorsze czasy — teraz mam nieco grosza i póki mi stanie, «nie pozwolę abyś jeden szeląg wydał za mnie.» — Bohdanek służył nam wiernie i ochoczo, zawsze trzeźwy, zawsze pilny, doglądając koni i matelzaków jak oka w głowie, a niekiedy dla rozerwania, nucił nam dźwięcznym głosem piękne a smutne dumki ukraińskie tak, że nieraz od nuty samej na płacz się nam zbierało. — Rozmowy też nasze nie zawsze były wesołe, jak zwyczaynie u egzulów rzucających kochaną ojczyznę Bóg wie na jak długo — a dla ojczyzny tej złe następowały czasy — a na taki nawał nieszczęść trocha tylko nadziei w świętości naszej sprawy i w opatrzności Boskiej! —

4. Po pięciu dniach podróży przybyliśmy do Świdnicy, którą niemcy po swojemu Szwajdnic zowią. — List kaliszanina przydał się nam bardzo — bo wszędy po wioskach lud prosty z polska gada, ale w miastach już wszystko niemieckie, a my po szwabsku ani weź. — Pan Puławski umiał po francusku a ja po łacinie jako tako, jak mnie

Ojcowie Jezuici nauczyli — ale w Szląsku te dwa języki nie popłacają. — Szczęściem nasz niemiec, poczciwe człeczysko, gadał nieźle po polsku, bo był niegdyś felczerem przy Lubomirskim staroście Kazimierskim, a po śmierci tego pana, wrócił na starość do rodzinnego miasta i trudnił się medycyną. — Wspomnę tutaj intra parenthesis, że w onych czasach nie było innych medyków w Polsce tylko niemcy albo żydzi — a rodowici Polacy mieli do tego rzemiosła odrazę, szczególniej szlachta herbowa, za nieprzyzwoitą rzecz uważając, bawić się sergą lub lancetem. — Puszczalić oni krew innym, to z kadłuba to ze łba, ale tylko używając do onej operacji szabli — na sejmikach ze swojemi lub na pobojowisku z nieprzyjaciołmi Rzeczypospolitej. — Otóż ów niemiec podejmował nas w swoim domu przez dwa dni uczciwie i serdecznie, bo się gościnności w Polsce nauczył — i z kraju naszego niemałe wywiózł pieniądze za swoie rhumbarbarum i inne łacińskie przysmaki. — Dał on nam instrukcję na drogę, aby do Drezna brać się przez Zittawę i Gorzelice, które to ostatnie miasto niemcy zowią Görlitz.

5. Dążyliśmy do Drezna, bo tam był książe kurlandzki i żona jego z domu Krasińska, córka Stanisława Krasińskiego starosty Nowomiejskiego, którą ów książe kurlandzki syn nieboszczyka króla, jeszcze za życia ojca tajemnie w Warszawie poślubił, a teraz po jego śmierci, do siebie do Drezna powołał. — Pan Puławski, będąc młodym bo szesnastoletnim chłopcem, bywał w domu Starosty Krasińskiego i bardzo się w Pannie Franciszce, późniejszej księżnie kurlandzkiej rozamorował. — Mówią że i panna odpłacała mu afektem, ale później gdy Lubomirscy wzięli ją do Warszawy i gdy królewic Karól z uczciwemi sentymentami się jej oświadczył — Panna Franciszka omamiona rangą pretendenta, zapomniała o Kazimierzu starościcu Wareckim. — Ale Pan Puławski o niej nie zapomniał — jednak jako dobry katolik a uczciwy kawaler, widząc że sakrament małżeństwa rozdzielił go na zawsze z kochanką — chciał przynajmniej utrzymać wierne dla niej serce i bezinteresowną przyjaźń. — Nie był on autorem projektu, ale popierał zdanie tych, którzy w czasie konfederacji, księcia Karola na króla polskiego forytowali, pocieszając się myślą że jego Franusieńka włoży koronę na czoło i że on jej drogę do tronu utoruje. — Wiedzieliśmy także, że był w Dreznie Rostworowski starosta Żytomierski, interesami konfederacji przy dworze Saskim trudniący się — i Pani Moszyńska przyjaciółka księżnej kurlandzkiej, pani zacna i dobra, Puławskiemu i mnie osobiście znana. — Od tych to osób spodziewaliśmy się powziąść języka co się stało z Generalnością rozpędzoną z Preszowa i w którą stronę mamy się udać aby skutecznie służyć ojczyznie.

6. Ósmego Julii wjechaliśmy do Drezna stolicy Saskiej, miasta porządnie i wspaniale zabudowanego, o dziwnie pięknych pałacach i kościołach misternej struktury. — Rostworowskiego już nie było, ale Pani Moszyńska przyjęła nas serdecznie jako prawdziwa przyjaciołka. — Ona to nam doniosła że Krasiński, Pac, Ogiński i Bohusz, nie wiedząc gdzie się salwować, ukrywali się przez czas jakiś w Wiedniu, w mieszkaniu ambasadora francuskiego kardynała de Rohan, który to prałat wolny im przejazd przez austryjackie kraje do Bawarji wyrobił — dokąd już wyjechali, nie mając się zatrzymać aż w mieście München (po naszemu Mnichów). — Radziła więc przeto, aby w Dreznie zabawić, czekając z której strony wiatr pomyślny powieje, przynosząc może jaką interwencję w naszej sprawie, ze strony Francji lub Turcji. — Rada była dobra, łatwo więc przystaliśmy na nią — zwłaszcza że nam znużonym szybką podróżą potrzeba było wypoczynku — a skołatanym sercom naszym jakiejśkolwiek pociechy.

7. Parę dni później, poczciwa Pani Moszyńska zawiezła swoją kolaską Pana Kazimierza do Księżnej kurlandzkiej, która nie mieszkała w zamku Elektorskim jakby się to jej z prawa należało, ale w osobnym pałacyku na przedmieściu Drezna — bo choć jej małżeństwo z księciem Karolem było ogłoszonem publicznie, jednak dwór Saski nie chciał jej dotąd przyznać tytułu i rangi księżnej. — Jakie było spotkanie dwojga kochanków po trzynastu leciech niewidzenia się, trudno powiedzieć, świadkiem naocznym nie bywszy. — Przez dyskrecję nie śmiałem wypytywać się o szczegóły — ale po kilku godzinach, Puławski wrócił bardzo pomięszany i smutny. — I mówiąc mi że widział księżnę kurlandzką, że z nim długo i z afektem o konfederacji gadała, dodał z westchnieniem: «Panie Macieju! purpura i «honory nie dają ukontentowania i satysfakcji — ta biedna «Franusia nie jest szczęśliwą.» — Jakoż dowiedziałem się później, że w księciu Karolu dawna miłość dla żony ostygła i że jej zaniedbywał, za innemi kobietami biegając — choć księżna podówczas była jeszcze młodą, bo zaledwie trzydzieści lat liczącą i niepospolicie urodziwą.

8. W Dreznie było wielu Polaków, częścią należących do partji Saskiej, częścią wojażerów szukających w Saksonji spokojnego przytułku w czasie zamieszek krajowych. — Widywali się wszyscy u Pani Moszyńskiej i u Państwa Mniewskich, wdzięcząc się sobie w oczy, a za oczami jedni na drugich psy wieszając. — Każdy tam miał za swoje, i przyszło do tego, że niejaki Lisicki zaczął gadać przed innymi że Kazimierz Puławski dał się przekupić Saldernowi i za dwa tysiące czerwonych złotych konfederację opuścił. — Już

to niestety w narodzie naszym ta jest niecnota, iż przez zazdrość czy płochość, lubią Polacy szkalować ludzi dobrze zasłużonych krajowi. — Nie pierwszyć to przykład. — Gdy za Jana Kazimierza Stefan Czarniecki oczyścił kraj od Szweda i sam zbawił Rzeczpospolitę, patrzali na niego zyzem magnaci, iż taki (jak mówili) szlachciura dochrapał się krzesła w Senacie, różne kalomnje o nim siejąc. — A ów wiekopomnej pamięci Śmigielski, mąż wielkiego animuszu i silnej ręki, co za Augusta wtórego tak wojskom Saskim dał się we znaki, czyż nie był przez swoich za zdrajcę ogłoszony? — A niedawno temu, Puławski Starosta warecki, starzec siwogłowy, który jak drugi Pryam Trojański, siebie i synów swoich na usługę ojczyzny poświęcił — czyż nie popadł w suspicję u swoich i intrygami Panów Potockich czyż nie został zamknięty w areszcie, gdzie ze zmartwienia i żalu dokonał cnotliwego żywota? — Brakowało tylko aby i syn jego Kazimierz, serca wielkiego kawaler i tyle Polsce zasłużony wojownik — nie uszedł złośliwości ludzkich języków! — Po tylu latach, dziś kiedy to piszę, serce mi się kraje na przypomnienie niesprawiedliwości onej. — Chrystus Pan nasz wyrzucał Jerozolimie iż mordowała swoje proroki — a otoż i nad naszą Rzecząpospolitą zapłakać by trzeba za to, że pozwala kamienować najcnotliwszych synów swoich. — Przebacz im Panie, bo nie wiedzą co czynią!

9. Ja z razu nic o onych kalomnjach nie wiedziałem, ale Lisicki tak głośno szermierzył językiem iż się to do Puławskiego doniosło, który natychmiast wyzwał go na pojedynek, i tak skarcił panicza, iż musiał psie oskarżenia swoje odszczekać i wynieść się cichaczem z Drezna, gdzie mu wszyscy, po onej nieszczęśliwey okazji, dopiekali żarcikami do żywa. — Rzecz bowiem tak się stała. — Pojedynkowali się na pałasze: Pan Kazimierz jak wiadomo był gracz nie lada w oną sztukę, i gdyby był chciał rozpłatałby był łeb Lisickiemu, ale się kontentował tylko obcięciem mu prawego ucha. — Otóż Lisicki straciwszy ucho wyszedł (jak to mówią), na szelmę i śmiech powszechny ściągnął na siebie, bo mówiono zaraz że kto ma za długi język, temu ukrócają ucha. — Otóż te i tym podobne dyskursa, wypłoszyły złośliwego głupca — i uspokoiło się na czas jakiś między nami. — Bo choć wszyscy poważali Puławskiego i nikt onym suspicjom wiary nie dawał, jednak powtarzano je między sobą przez lekkomyślność, i gdyby Pan Kazimierz nie był skarcił onego Lisickiego, znalazłby się może nie jeden prostaczek, któryby to był wziął za dobrą monetę. — Ale ucho odcięte położyło koniec wszystkiemu. — Puławskiego jednak bardzo to ubodło, bo był człowiek ognisty — czuł wszystko żywo, a szczególniej niesprawiedliwość. — Nieraz wspominając o tem, łzy miał

w oczach, i ledwie go moje perswazje, dobroć Pani Moszyńskiej i rady samego Księcia Kurlandzkiego i jego żony, uspokoiły.

10. Był także w Dreznie drugi pojedynek o żarcik w słowach, a to z następującej okazji. — Siedziało kilku naszych u węgrzyna, wypróżniając jedną i drugą butelkę, ale nie dla żadnego opilstwa tylko zwyczajnie dla humoru. — Dyskurując o tem i o owem, przyszła mowa o imionach litewskich że są krótkie; jak naprzykład Pac, Łoś, Karp, etc., a zaś koronne długie i zawsze zakończone na ski. — Dawali rozmaite racje jakie kto wiedział, a Kuliński, facetus zawołany, rzekł: «A więc gdyby jaki koroniasz nazywał się «np: Kiepski, więc odjąwszy mu ski zostałby się Litwin!!» — Zaśmiali się wszyscy, wyjąwszy jednego, bo w całej kompanji jeden tylko był Litwin, i miał właśnie nazwisko krótkie bo zwał się Szczyt. — Otóż tedy Pan Szczyt obraził się za takową kwalifikację Litwinów i wyzwał Kulińskiego na pojedynek. — Bili się na pistolety dwa razy, a zawsze bez skutku, choć za drugą razą postawiono ich o sześć kroków. — A zatem sekundanci i inni Polacy zagodzili sprawę, dowodząc słusznie, iż to był żart przy butelce, a więc niewarto aby dwaj dostojni kawalerowie zabijali się do upadłego, dowód męstwa i determinacji sobie dawszy. — Podali więc sobie rękę i odtąd żyli w dobrej komitywie.

11. Ważniejsze także wypadki polityczne, podówczas wydarzone, oderwały od tych drobnostek całą naszą uwagę. — Zabór krajów Rzeczypospolitej przez trzy ościenne mocarstwa nie był już żadnym sekretem. — Pan von Effen, rezydent Saski w Warszawie, przysłał już do dworu swojego najpewniejszą o tem wiadomość, i w całych Niemczech głośno o tem mówiono. — Utyskiwaliśmy na widok onej wielkiej grożącej chmury, pocieszając się jeszcze że z niej tylko mały deszcz spadnie — a oto niedługim czasem wyleciały z niej gromy zdradliwe, z wielkim szwankiem dla biednego kraju naszego. — Tak to ludzkie rachuby zawsze są mylne, a Bóg Wszechmogący często i niewinnych karze za grzechy ich ojców. — Niechaj będzie wola Jego święta błogosławiona! — W owym także czasie, panowie nasi składający Generalność, już usadowili się w Bawarji, i spisawszy protestację, ułożoną wymownem piórem Bohusza, posłali ją Sułtanowi do Stambułu i w gazetach holenderskich ogłosili.

12. Byłem raz na obiedzie z Puławskim u Księżnej Kurlandzkiej. — Żyła w swoim pałacyku niebardzo dworno — dosyć przyzwoicie na córkę polskiego magnata, ale nie dosyć huczno na żonę królewica. — Była to Pani rzadkiego rozumu i zacnych sentymentów, a urody niepospolitej. — Kibić

miała wysmukłą, twarz gładką ale bladą, snać od świeżych smutków — oczy bardzo żywe i ujmujące, a głos dziwnie miły i chwytający za duszę. — Puławski, człowiek taki ruchawy i mocnego postanowienia, drżał w jej obecności jakoby żak przed księdzem rektorem, tak że mi aż żal go było, bo wiedziałem że tajony sentyment takim nieśmiałym go czynił. — Gadaliśmy długo o tem i o owem, a szczególniej o sprawach Rzeczypospolitej. Księżna wiadoma dobrze dzieł walecznych Puławskiego, obsypywała go zasłużonemi pochwałami i do wytrwania zachęcała — napomykając często o księciu Karolu jako szczerze przywiązanym do Polski, która była dla niego nie drugą, ale jedyną ojczyzną. — Były i inne dyskursa o dawniejszych czasach, gdy księżna Kurlandzka była prostą starościanką i widywała Pana Kazimierza. — Wiadomy sekretu, patrzyłem na nią pilnie i dostrzegłem że mówiąc o tem spaliła raka, a Pan Puławski bardzo się także zarumienił. — Ale oboje zachowali się w granicach przyzwoitości, jak należało na roztropną białogłowę i uczciwego kawalera, rozdzielonych sakramentem małżeństwa!

13. Kilka już miesięcy siedzieliśmy w Dreznie gdy nam przybył z Polski nowy towarzysz, rotmistrz Wielichowski, który się był bardzo do Puławskiego przywiązał. — On to, naoczny świadek, opowiedział nam jak w kilka dni po naszym wyjeździe, Suwarów z licznem wojskiem podstąpił pod Częstochowę domagając się wydania fortecy. — Radzimiński odpowiedział że podda się, ale tylko królowi polskiemu, a straży Jasnej Góry nie powierzy chyba wojskom komputowym koronnym. — Przypuszczali więc kilkorakie szturmy Rossjanie ale zawsze ze stratą odparci, aż nareszcie 15° Augusta przyszedł ordynans z Warszawy aby im fortecę wydać; więc Radzimiński choć z bólem serca, wykonał rozkaz królewski. Rossjanie nie dopuścili się żadnych gwałtów nad załogą (jak to zrobili przy odebraniu zamku krakowskiego, o czem było wyżej) każdemu wolno gdzie chciał iść pozwalając. — Suwarów choć Schizmatyk, przed ołtarzem Najświętszej Panny przykładnie się modlił i żadnej krzywdy zakonnikom czynić nie dopuścił. — W czem pokazał się lepiej od Lutra Drewicza, który na Rodzicielkę Bożą bluźnierstwa miotał, za co też nieraz przez grzeszne nasze ręce bity będąc, karę jak przystało otrzymał. —

14. Niedługo potem, Pan Puławski odebrał listy od Generalności, wzywające go do Braunau bawarskiego miasta, gdzie Krasiński, Pac i inni panowie, opuściwszy Mnichów, siedzieli. — Wołano go aby przyszedł wspólnie radzić o losie zagrożonej Rzeczypospolitej; nie mógł więc na takowe wezwanie zatkać uszu, ale posłuchać jak najprędzej. — Choć przeto było nam w Dreznie jak w raju, wybraliśmy się

w drogę, pożegnawszy się uczciwie z księciem Karolem a serdecznie z księżną i z poczciwą Panią Moszyńską, która dla nas była jakoby matką — takoż i z innemi Polakami, którzy nas obsypali błogosławieństwy, szczęśliwej życząc podróży i prędkiego powrotu. Podróż była szczęśliwa, ale powrót razem nigdy nie nastąpił, bo inaczej chciały Boskie wyroki! Przybyliśmy do Drezna niezbyt weseli, a oto teraz wyjeżdżaliśmy z sercami jeszcze bardziej rozżalonemi, bośmy zostawiali za sobą miłych przyiaciół drużynę i ciągnęli głębiej w świat, a dalej od ukochanej oyczyzny. —

15. Szczegółów tej naszej podróży nie ma co opisywać, bo cóżbym tu zamieścił? Chyba to, żeśmy się raz przewrócili z bryką ale chwała Bogu bez szwanku; lub to że niedaleko Pilzna na noclegu, Bohdanek pobił czterech Czechów — i tym podobne nic nie znaczące wypadki. — Wolę więc od razu przystąpić do rzeczy i skreślić obraz naszej Generalności, którąśmy zastali w Braunau. — Głównemi personatami byli tam: Pan Michał Krasiński brat rodzony Biskupa kamienieckiego, Marszałek Generalny Koronny — Pan Michał Pac Marszałek Generalny Litewski i Pan Ignacy Bohusz sekretarz konfederacji. — Wszyscy trzej brzuchacze, miernego wzrostu, ale czupurnej miny, szczególniej Krasiński i Bohusz; pierwszy, człowiek przyiacielski, hulaka i facetus — drugi pełen wiadomości i nadzwyczaj wymowny. — Ale obadwa ludzie z impetem, gorączki jakich mało; ci dwaj nosili się po polsku. — Pan Michał Pac niepozornej fizjonomji, ale znakomicie uczony — a tak w obejściu się uprzejmy i słodki, iżby go było można do rany przyłożyć. — Pac nosił się z francuska, kuso, w peruce — i charakterem swoim łagodnym mitygował porywczość ognistą dwóch swoich kompanów. — Ogiński już był wyjechał do Londynu, ale zastaliśmy tam jeszcze, oprócz wyżej wymienionych, dwóch zacnych obywateli, Wiesiołowskiego i Lnińskiego. —

16. Każdy z tych Panów, miał jaki taki zapas pieniędzy, a oprócz tego Bankier Brea z Wiednia przysłał im resztę subsydjów francuskich u niego złożonych — żyła więc Generalność huczno, po szlachecku, odprawiając traktamenta i festyny. — A jako szerszenie ciągną do otwartego ula, tak do onych stołów w Braunau, nazbiegało się z całej Rzeszy niemieckiej gdzie jaki był Polak. — Znalazło się tam przeto wielu ludzi, nikomu nieznanych i kilku młokosów, wiercipiętów na nic niezdatnych i gorszącego postępowania. — Przytoczę tutaj jeden tylko przykład, ale smutny. — Wkrótce po moim z Puławskim przyjeździe, umarł w Braunau Pan Lniński poczciwy i zasłużony Polak i leżał w swojej gospodzie na katafalku przyzwoicie przystrojonym. — W dzień pogrzebu przychodzim do onej gospody i widzim co? — Oto wyjęto

trupowi krucyfiks który po katolicku trzymał w złożonych rękach — a na to miejsce wsadzono mu niżnika żołędnego. — Któryś z tych młodych trefnisiów zrobił on żart nieprzyzwoity dla tego, że nieboszczyk za życia lubił karty i był zaciętym graczem. — Zgorszeni byliśmy mocno onem świętokradztwem. — Nie wiem kto owego figla wypłatał, ale pewny jestem że za to Pan Bóg go skarał — bo trup jest rzeczą świętą, nawet u Lutrów i Bissurmanów. —

17. Siedzieliśmy w Braunau miesięcy kilka. — Pan Puławski chodził na rady ale się nie mogli zgodzić. — Do dwóch ludzi impetowych Krasińskiego i Bohusza, dołączył się Puławski, także człowiek nie w zimnej wodzie kąpany a przytem werydyk nad miarę. — Napróżno Pac słodyczą ich swoją łagodził; Generalność kipiała jak ukrop przy ogniu. — Z resztą Bohusz szanował Puławskiego i kochał jako tenże tego był godzien — ale Panowie magnaci Pac i Krasiński nie mogli zapomnieć że ojciec Pana Kazimierza stawał niegdyś przed Trybunalskiemi kratkami, sprawy Czartoryskich forytując — i w nie jednej okoliczności dawali mu to do poznania; nie prosto i otwarcie, bo byłby nie dał sobie grać po nosie — ale ubocznie i grzecznie — po pańsku. — Znudzony tem wszystkiem Puławski i widząc że na nic jego obecność zdać się nie może (tem bardziej iż nie był członkiem Generalności, ale tylko jako głos konsultacyjny wezwany został) postanowił Braunau opuścić. —

18. Wyjechaliśmy więc w połowie Januarii roku Pańskiego 1772 do Frankfurtu gdzie był Karp i Wielichowski i gdzie po dwóch tygodniach drogi, przejechawszy kraju niemieckiego niemało, stanęliśmy. — Tam dowiedzieliśmy się że Manifest trzech dworów o rozbiorze, już publikowanym został — że Rossja Senatorów naszych więzionych w Kałudze wypuściła — i że Sejm extraordynaryjny na 19ty Aprila do Warszawy konwokowany został. — Codzień gorsze jedne od drugich przychodziły wieści. — Sejm ów zawiązał się w Konfederację pod laską Ponińskiego bardzo miernych sentymentów człowieka, królewskiego a tem samem rossyjskiego partyzanta i dla tego przez Sztakelberga popieranego. — Posłowie nowogrodzcy, wiekopomnej pamięci Tadeusz Rejtan i Samuel Korsak, podobni do starożytnych Katonów, opierali się gwałtowi, śmiało i żarliwie protestując. — Ale gdy wojska trzech dworów wkroczyły do Warszawy i otoczyły izbę poselską — Poniatowski się uląkł i zaczął płakać (jedyny talent jaki miał, była w nim łatwość płakania, cnota dobra u bobra, ale u króla nie), zaklinając Sejm aby próżnym oporem nie pogorszał sprawy. — Wyznaczono więc delegację która później haniebnie zabory trzech dworów konfirmowała. —

19. Takiemi to smutnemi nowinami alarmowani byliśmy codzień. — Każda gazęta, każdy list, nowe klęski i nieszczęścia zwiastowały. — Jeden tylko list pocieszył nas nieco. — Był on od Mazowieckiego, Regimentarza Konfederacji ziemi Dobrzyńskiej, bardzo zacnego męża i determinowanego kawalera. — Po rozproszeniu Barskiego związku, Mazowiecki z kilkoma oficerami dostał się do Turczech i siedząc w Sylistrji ze swojemi, dowiedział się od jednego przejeżdżającego tamtędy Francuza, że Generalność i Puławski byli w Braunau w Bawarji, więc natychmiast przez zdarzoną okazję do Pana Kazimierza list wyekspedjował, który mu Bohusz do Frankfurtu odesłał. — W tym liście donosił Mazowiecki że Turek gotuje się nie żartem na wojnę przeciwko Rossji — że Polaków uczciwie traktuje, obiecując sukurs i opiekę przeciw gwałtom trzech dworów. — Że kilkunastu już naszych konfederatów (i kilku w Turcji osiadłych jeszcze od 1768 roku) około niego zebrało się, czekając chwili walczenia wraz z Ottomańską armją przeciw wspólnym nieprzyjaciołom. — Inwitując nareszcie Puławskiego, aby między niemcami czasu nie tracił, ale dążył do Sylistrji brać nad Polakami komendę, którzy jego obecności jak kanie ddżu oczekują. — Pan Puławski i my wszyscy bardzośmy się oną nowiną ucieszyli, chwytając się z nadzieją za oną nić pajęczą, która miała się zerwać i nas bezużytecznie na cięższe próby poprowadzić i w większe mizerje wtrącić (ale o tem później). —

20. Tegoż samego dnia, w którym odebraliśmy list Mazowieckiego, przyszedł na naszą gospodę człowiek dziwnego ułożenia i opowiadający rzeczy niesłychane i cudowne. — Był on Polakiem, ale imienia swojej familji powiedzieć nie chciał — ubrany zaś był niby jaki zakonnik w szerokim kapeluszu, w długiej sukni czarnej jak szarafan żydowski i przepasanej na biodrach białym sznurem jak noszą mnichy. — Opowiadał nam iż mu się pokazał Śty Stanisław Biskup, opiekun Rzeczypospolitej i kazał iść głosić Polakom iż trzy dwory zaborcze, w krótkim czasie ciężko ukarane zostaną. — Że Petersburg zginie od wody, Wiedeń od powietrza, a Berlin od ognia. — Że nad Polską panować będzie król urodzony na wyspie i da jej wielką potencję i szerokie granice etc. — Mówił łatwo i z impetem, ale w oczach miał coś tak przerażającego, iż zdawało się że mu piątej klepki w głowie brakuje. — A gdy Puławki słuszną zrobił uwagę, że gdy odebrał taką missję od Śgo Stanisława, powinien proroctwa swoje głosić po Polsce a nie po krajach rzeszy niemieckiej, odpowiedział (pokazując palcem w górę) że taka jest wola Pana Boga — że tam idzie gdzie go gwiazda prowadzi. — Ten człowiek dziwaczny bawił dzień cały w Frankfurcie

a potem poszedł dalej nie wiadomo gdzie. — Pieniędzy które mu ofiarowaliśmy na drogę, wziąść nie chciał, przyjął tylko traktament i nocleg i już nigdy nic o nim nie słyszałem. — Zapewne gdzieś go pochwycono i zamknięto nieboraka u Czubków, bo prawdę powiedziawszy i z mowy i z postawy na to się kwalifikował.

21. Około onego czasu także dowiedzieliśmy się z gazet że ukończono śledztwo procesu o porwanie króla. — Że Łukaski i Cybulski zostali ścięci w Warszawie, a Puławski chociaż nie obecny (i na którego z tego powodu oskarżeni całą winę składali) także na karę miecza wskazany. — Zasmucił się Pan Kazimierz oną niesprawiedliwą kondemnatą i zaraz napisał swoją przeciw temuż wyrokowi protestację, która w pierwszej kopji była bardzo przyzwoitą i szczerą. — Ale na nieszczęście, Pan Karp przez zbytnią gorliwość i złe wyrachowanie, zaczął perswadować Puławkiemu, aby wszelkiej partycypacji swojej do tej nieszczęśliwej afery się zaparł. — I mimo rad moich i Wielichowskiego, dał się Marszałek omamić — i zrobiwszy drugą kopję w Karpiowym sensie, do gazety holenderskiej podał, gdzie ją wydrukowaną czytałem (bom już wówczas nie mając nic do roboty, nieźle się po francuzku poduczył). — Nieraz potem Pan Kazimierz żałował tego, ale już było za późno gdy czarne na białem zostało się, a opinji publicznej wcale to nie zmieniło.

22. Puławski jak wiadomo nie był autorem onego projektu porwania Króla, ale gdy mu Strawiński plan swój zakomunikował, nie sprzeciwił się onemu, owszem pomoc przyrzekł i w dzień naznaczony, z mocnym oddziałem na spotkanie sprzysiężonych, ku Warszawie posunął się. — Ale że zamiaru zabójstwa nie było, najlepszym dowodem jest to, że zaraz po nieudaniu się rzeczy onej, powiedział Puławski w mojej obecności do Radzimińskiego: «Lepiej że tak się «stało Mospanie, bo cóżbym ja tu z tym Ciołkiem (taki herb «Poniatowskich) robił.» — A gdy Radzimiński rzekł: — «Jużcić gdyby go byli zabili niewielka byłaby szkoda; jaki «bądź sukcessor byłby lepszy. — I gdyby Rossja Repnina «nawet na tron Rzeczypospolitej wsadziła, toby może «uczciwiej postępował niż ten chytry niedołęga.» — Co słysząc Puławski ofuknął go mówiąc: «na detronizację zgoda, «ale na zabójstwo nigdy! — Mogą Anglicy królów swoich «mordować — ale polskie i katolickie ręce jeszcze się dotąd «taką krwią nie pokalały i nie pokalają.» — A potem dodał że Poniatowskiego byłby przyjął w Częstochowie z należytym respektem i perswazją na lepszą drogę naprowadzić się starał, wiolencji żadnej nie używając. — Ci którzy Pu-

ławskiego o krolobójstwo oskarżają, niechaj te słowa rozważą czyli to są sentencje królobójcy.

23. Tymczasem zaczęła się bójka w Turczech. — Gdy kongres w Bukareszcie rozchwiał się, Rumiańcow na czele armji rossyjskiej przeszedł Dunaj w początkach Junii i spotkał tureckie wojsko liczne i silne, ale prowadzone przez niedołężnego Wezyra Muzüm-Ogłu. — Z początku więc Rossjanie wzięli górę, pobili Turka po dwakroć, ale gdy przyciągnęli pod Sylistrję i oblegać zaczęli ono miasto, znaleźli sęk nie do przegryzienia. — Dowódzca garnizonu był człowiek wielkiego serca i militarnych talentów pełen; a Mazowiecki ze swojemi konfederatami nie siedzieli jak malowane lale, ale zagrzewali Turków, przykłady męstwa im dając. — Czyniono z miasta gęste wycieczki, i z tak pomyślnym sukcesem że armja rossyjska, o zdobycie miasta kusząca się, osłabiona, zniechęcona i ciągle bita, odstąpiła od oblężenia, rejterując się w nieładzie za Dunaj. — W onej nieszczęsnej ucieczce, korpus Generała Weimorna został całkiem rozbity, a dowódzca na placu zginął. — I gdyby Turcy umieli byli korzystać ze zwycięstwa, pewnoby i jedna noga rossyjska nie uszła. — Takie to wiadomości doszły nas do Frankfurtu i w skołatane serca nasze nie małą wlały nadzieję. — Zaczęliśmy więc wybierać się nie żartem na Tureczczyznę.

24. Generalność nasza przeniosła się z Braunau do Augszburka, a stamtąd do wolnego miasta Lindau, i w onym czasie dwie nowe protestacje, bardzo wymownym stylem ułożone i dobitnemi argumentami przez Pana Bohusza poparte, do Stambułu na ręce Sułtana posłała i w gazetach ogłosiła. — Puławski będąc w korrespondencji z Bohuszem i z Księżną Kurlandzką, zwierzył się im ze swego projektu jechania do Turcji, który to zamiar i w Lindau i w Dreznie został pochwalony. — A poczciwa Księżna Kurlandzka, choć sama nie bogata i bynajmniej o to nie obligowana, przysłała nam, na ręce Bankiera Kuntza, tysiąc czerwonych złotych na opędzenie kosztów podróży. — Który to fundusz spadły jak z nieba, bardzo się przydał; bo już koło Pana Kazimierza (który wszystkie ekspensa za nas płacił), zaczynało być krucho. — Pan Karp, że był słabowitego zdrowia a miał dobrze naładowaną szkatułę litewskiemi talarami (z czem się taił, ale o czem wiedzieliśmy), pozostał w Niemczech. — A Puławski, Wielichowski i ja, i nasz wierny i nieodstępny Bohdanek, poleciwszy się opiece Pana Boga Wszechmocnego, wyjechaliśmy z Frankfurtu, na nowe i nieszczęśliwe puszczając się azardy (o czem będzie w następnej księdze).

KSIĘGA SIÓDMA.

Przybycie do Turczech — Sylistrja — Obóz wielkiego Wezyra pod Szumlą — Rozproszenie armji tureckiej — Pobyt nasz w Adrjanopolu i w Rodosto. —

---

1. Wyjechawszy z Frankfurtu w końcu Decembra, nie stanęliśmy w Sylistrji aż 10gō Martii roku pańskiego 1774, w sam dzień czterdziestu świętych męczenników, co było zaraz jak gdyby przepowiednią smutnego naszego losu, garstki biednych chrześcian na męczeństwo wydanych śród bissurmańskiego narodu. — Gdybym chciał opisać wszystkie szczegóły tej długiej podróży naszej, częścią morzem na statku, a najwięcej lądem na wozach i konno odbytej, niestarczyłoby i wołowej skóry. — Bo widziało się rzeczy ciekawych dosyć, krajów i miast zagranicznych nie mało — i ludzi rozmaitych nacji jakoto: Niemców, Szwajcarów, Włochów, Wenecjanów, Dalmatów, Bośniaków, Serbów, Bulgarów etc. — Ale że ja tu w tych księgach postanowiłem mówić tylko o wypadkach politycznych, związek z krajem naszym mających, więc o tem wszystkiem zamilczę — relacje onych rzeczy, przyzwoitsze geografom i uczonym niż mnie człowiekowi rycerskiemu, zostawiając. — Wspomnę tylko intra parenthesis że miasto, które mi się najlepiej podobało była Wenecja, gdzieśmy około tygodnia wypoczywali. —

2. Wenecja słusznie przez mieszkańców swoich piękną nazwana, wybudowaną jest w wodzie, zapewne na palach dębowych — a mieści w sobie pałace i kościoły tak bogate i tak misternej struktury, jakich ani w Warszawie, ani w Krakowie, ani w żadnem mieście Rzeszy niemieckiej nie widziałem. — Oprócz rynku kształtnemi gmachami otoczonego, nie ma innego miejsca do przechadzki, wyjąwszy mostów. — To też jak zapamiętają najstarsi ludzie, nigdy nie widziano w Wenecji ani kolaski ani konia — i mieszkańcy do odwiedzin i interesów używają długich czółen, pokrytych dachem i czarno malowanych, które gondulami zowią. — Lud tam bardzo ruchawy i wesoły, a kobiety dziwnej urody i dla cudzoziemców z wielkim afektem. — Zwiedziliśmy kościoły, z których najcelniejszy jest Świętego Marka Patrona weneckiego, i bogaty arsenał Rzeczypospolitej, do którego wejście wyrobił nam Rezydent francuski — bo rząd tameczny

bardzo podejrzliwy i nierad cudzoziemcom pokazywać sekreta i zasoby swojej potęgi. —

3. Mazowiecki i inni konfederaci obecni w Sylistrji przyjęli nas z otwartemi rękoma, łzami radości oblewając nas. — Zaraz nazajutrz Puławski miał posłuchanie u Baszy dowodzącego garnizonem (bo Sylistrja jest mocną fortecą) — Za tłumacza służył niejaki Suski, mazur w Turczech od ustąpienia z Baru 1768 roku tułający się i jak mówiono zbissurmaniony (czego się jednak zapierał przed nami, znak krzyża świętego czyniąc i kardynalne akta wiary powtarzając). — Basza wiedział o randze i zasługach Puławskiego i o mojej i Wielichowskiego kondycji (że każdy z nas był szlachcicem to jest Effendym jak Turcy zowią) przyjął więc nas bardzo uczciwie, dyskurując o tem i o owem; o niesprawiedliwym zaborze krajów Rzeczypospolitej, o Generalności, o Poniatowskim, o armji rossyjskiej, o Rumiańcowie etc, a wszystko z wielkim rozumem i przyzwoitością. — Kazał nam przynieść na traktament, fajki złocone, przedziwnym tytuniem nałożone i w małych kubkach porcelenowych kawę, którym to specjałem bardzo się Turcy delektują, ale nad który my Polacy wolim węgrzyna, a nawet stary miodek. — A po odprawie przysłał nam w prezencie na naszą gospodę, cztery przepyszne konie i kompletny rynsztunek wojenny — w czem nam nie mało wygodził, bo oprócz pistoletów nie mieliśmy żadnej broni. —

4. Puławski objął komendę nad oddziałem konfederatów czterdzieści ledwie głów liczącym, ale złożonym z ludzi determinowaoych i walecznych. — (Mieliśmy jednak nadzieję że się ów oddział powiększy, bo już o tem w Polsce zaczynało być głośno i wielu woluntarjuszów ku nam się przemykało). — Wszystko szło trybem militarnym i codzień czyniliśmy egzercycje na nową manierę niemiecką, która Puławskiemu bardzo się podobała i w którą nas wprawiał. — A gdy Sulmirski, tęgi rębacz i stary wyjadacz, zaczął mruczyć pod nosem, że na co nam te niemieckie figle i korowody, kiedy mamy naszą krzyżową sztukę i ono staropolskie nabij i zabij; Puławski dosłyszawszy one mruczenie ofuknął go mówiąc: «Krzyżowa sztuka, Panie bracie, dobrą «była na dawne czasy, ale teraz gdy nieprzyjaciele nasi coś «więcej od nas umieją, musim ich sekretu się uczyć aby im «w bitwach podołać. — A z resztą dobre czy złe, taka moja «wola. — Szefem malowanym być nie myślę i kto mi się «oddał w komendę musi mnie słuchać.» — Co usłyszawszy Sulmirski zreflektował się i zamilkł, prosząc o przebaczenie Pana Marszałka i egzercytował się wraz z nami w sztrychy niemieckie, w zachodzenie trójkami i inne nowe praktyki. —

5. Tak więc przy Bożej łasce i dobrem zdrowiu pę-

dziliśmy czas użytecznie a uczciwie. — Bywała kiedy nie kiedy jaka taka przekąska i przepitka, ale to tylko dla pociechy i dla nabrania fantazji nie zaś dla rozpusty i obrazy Pana Boga. — Najwięcej nam było smutno, że w tem mieście tureckiem nie było ani kościoła ani księdza katolickiego, a więc w uroczystości niedzielne mszy świętej słuchać nie mogąc, używaliśmy takowego fortelu. — Zbieraliśmy się razem w wielkiej izbie i tam Sulmirski jako najstarszy wiekiem i donośnego głosu, czytał ze Złotego Ołtarzyka modlitwy przy mszy świętej używane, a potem Litanje i Antyfony, na które odpowiadaliśmy wszyscy pobożnie co było potrzeba. — A tak postępując służyliśmy i Panu Bogu i ojczyznie naszej — do pierwszego się modląc, dla drugiej wprawiając się do wojennej sprawy, gotowi krew naszą grzeszną dla niej przelać — do czego wkrótce przyszła też okazja, ale nie bardzo pomyślna, jak to zaraz opowiem. —

6. Wojska rossyjskie odebrawszy znaczny sukurs w ludziach (których dla większego pośpiechu na wozach od granic Imperium aż na Wołoszczyznę transportowano) posunęły się naprzód. — Marszałek Rumiańców i Generałowie Ungern, Potemkin i Dołhoruki, uorganizowawszy swoją armję, przeprawili się przez Dunaj powyżej Sylistrji, około wielkiego jeziora. — Radził Puławski Baszy aby im przewozu bronić, co byłoby rzeczą łatwą a z szwankiem i szkodą Rossjan — ale on zadufany w swoim Allah to jest w Panu Bogu tureckim, powiedział: «Że co się ma stać to się stanie. «— Że jeżeli Pan Bóg będzie chciał, to się Rossjanie po«topią, a jeżeli nie, to przydą.» — Jakże tu było zbijać argumentami taką bissurmańską Teologję. — Allah nie potopił nieprzyjaciół, więc przeszli po wodzie suchą nogą i bez żadnego alarmu. — I zaraz korpus Ungerna przyszedł atakować Sylistrję, co mu się jednak nie udało — bo go Turcy poturbowali armatą z murów i wycieczkami: w których to, oddział nasz popisał się wyśmienicie, po szlachecku się bijąc. — Aleśmy stracili jednego z naszych zuchów, Jana Ruszkowskiego, trafionego kulą pod samo serce i Wielichowski został cięty po ręku ale nieszkodliwie. — Odstąpił więc Ungern od oblężenia — a Puławski korzystając z tego, (wziąwszy na to przyzwolenie Baszy) wyprowadził nas z fortecy w pole, ciągnąc ku głównej armji wielkiego Wezyra, rozłożonej taborem w okolicach Szumli, gdzie mogliśmy użyteczniej działać i gdzie po kilku dniach marszu szczęśliwie przyciągnęliśmy. —

7. Puławski miał pisanie od Baszy z Sylistrji do Wezyra, które ułatwiło mu przystęp do onego tureckiego Hetmana. — Muzum-Ogłu przyjął go uczciwie i z honorami, kazawszy nam wydać namioty i naznaczając oddziałowi naszemu

posterunek w obozie. — Ale zaraz z tej pierwszej konferencji pomiarkował Puławski iż rzeczy zły wezmą obrót, bo Wezyr wydał mu się człowiekiem miękkim, zniewieściałym, bez żadnego hartu i determinacji — i wróciwszy z onego posłuchania rzekł do mnie: «Nie będzie Panie bracie chleba «z tej mąki — ci Turcy do niczego nie zdatni — krew za«stygła im w żyłach, zatyli i zasnęli; Rossjanie ich prze«budzą, ale już będzie zapóźno.» — Przyglądaliśmy się z podziwieniem wspaniałości obozu, przepychowi koni, armat i innych rynsztunków wojennych. — Namioty Baszów i Pułkowników (których oni Czobardisami zowią) łyszczały się od jedwabiu i złota; a wojska było jak mrowiu, a wszystko chłop w chłopa, dobrani żołnierze — szkoda tylko iż tak lichego mieli komendanta. — Spotkał także Puławski u Wezyra niejakiego Osmana, Agę janczarów, którego był znał dobrze w Chocimiu, w czasie pierwszego swego pobytu w Turczech po ustąpieniu z Baru. — Ten Osman był człowiekiem przyjacielskim, dobrego ułożenia i prawdziwie szlacheckiej fantazji. — Niemałe on nam oddał usługi w dostawieniu żywności dla ludzi i koni naszego oddziału. — Szczególniej zaś przysłużył się nam w jednej smutnej okazji (o czem będzie niżej). —

8. Tak tedy Turcy siedzieli w zupełnej bezczynności jakby u swego Allah za piecem — a temczasem Rumiańców rozporządziwszy rozumnie różne swoje korpusa, zbliżał się szybko, okrążając ich cichaczem. — I przyszło do tego, że armja wielkiego Wezyra nie pilnując się, została odciętą od swoich magazynów. — Sołtykof na czele kilkunastu tysięcy, rzuciwszy się w bok, napadł na silny konwój turecki prowadzący żywność do obozu. — Było tam do trzydziestu tysięcy ottomańskiego wojska, które zupełnie rozproszył, część trupem położywszy — a kilka tysięcy wozów z mąką, sucharami i innemi prowiantami częścią uprowadził, częścią spalił. — Trudno sobie imaginować jaki postrach powstał w obozie pogańskim, gdy ta smutna nowina ich doszła, a szczególniej gdy obaczyli Rumiańcowa tuż przed sobą. — Był jeszcze sposób ocalić się od głodu i zguby ostatecznej, wydając walną bitwę i zwyciężając (co mogło było nastąpić). — Ale Turcy gdy im się w pierwszym kroku noga pośliznie już tracą głowę, desperując łatwo i w rozsypkę idąc bez oporu. —

9. Tak się też i stało — a jak, to trudno słowami opisać lub pojąć, świadkiem naocznym nie bywszy. — Chyba w straszny dzień zmartwychwstania i Sądu, coś podobnego grzeszne oczy moje obaczą. — Bo powstało takie zamięszanie i ozwały się takie krzyki i lamenta, jakich jeszcze ludzkie ucho nie słyszało, chyba może w dzień potopu lub ognia

padającego na Sodomę. — My z Puławskim dopadłszy koni poskoczyliśmy naprzód, harcując z przednią strażą kawalerji rossyjskiej. — Oficer jeden poznał nas po ubiorze i krzyknął: «Sobaki Lachy» ale Mazowiecki dopadłszy go, tak go płatnął przez łeb pałaszem, iż z onem psiem słowem upadł na ziemię z konia, nieczystego ducha wyzionąwszy. — Jedyny to był sukces polskiego oręża, bo nie widząc za sobą żadnego sukursu, gdy wojska nieprzyjacielskiego nadciągało coraz więcej, musieliśmy się rejterować ku obozowi, skąd kiedy niekiedy dawano ognia z armaty. — Ale i to ucichło i gdyśmy przeszli rogatkę, znaleźliśmy cały obóz w wielkim nieporządku. — Wszystko uciekało bez ładu, odstępując armat i namiotów — i broń na ziemię rzucając. — Puławski przedarł się aż do namiotu wielkiego Wezyra żadając ordynansu co miał czynić, a niedołężny Muzum-Ogłu, którego już wsadzono na konia, odpowiedział mu: «iż żadnego party-«kularnego rozkazu mu nie daje, ale niech to robi co będą «inni robić.» — A że inni robili fugas chrustas, więc i my z bólem serca, poszliśmy (jak to mówią) drapaka. — Wdawszy się w komitywę z wronami trzeba krakać, a z Turkami uciekać: choć to dawniej u nich nie tak bywało! —

10. Ogromna armja turecka bez bicia się i prawie bez wystrzału opuściła plac i poszła w rozsypkę. — Rumiańców miał łatwy tryumf, obłowił się bogatym łupem, bissurmańskiej krwi bez żadnego szwanku dla siebie, niemało wytoczywszy. — O parę mil od obozu, już nikt nie gonił, a Turcy zmykali jeszcze srodze potrwożeni. — A nie w żadnym bojowym ordynku ale kupkami, jako kto mógł, konni i piesi, krzycząc Allah i lamentując się bardzo. — Nasz oddział postępował w porządku i bez wielkiego pośpiechu — a uciekający mijając nas, odgrażali nam giestami, coś po turecku na nas wygadując. — Ci z naszych co on język rozumieli, wytłumaczyli: «iż to my ściągnęli na nich oną «porażkę i że Pan Bóg ich i jego prorok karzą za to pra-«wowiernych, iż się złączyli z chrześcianami.» — Napróżno wołaliśmy do nich Dost, Kardasz, co znaczy: Przyjaciele bracia! oni nic na to nie aprendowali, oskarżenia na nas miotając. — Taki to bowiem nieoświecony jest naród, bez żadnego rozpoznania — prawdziwe bydło, chociaż noszące ludzkie fizjonomje. —

11. Już dobrze pod wieczór, gdyśmy dojeżdżali brzegów małej rzeczki, mając zamiar rozłożyć się tam na nocną leżę — nadciągnął ku nam oddział z jakich pięćdziesiąt ludzi tureckiej kawalerji. — Ci, docierając zaczęli krzyczeć na nas z odgróżkami, a jeden najbliższy mnie wrzeszczał całem gardłem Issewa hazyr. — Ja pytam Suskiego co on mówi. —

A on mi: «mówi: «świnie chrześcianie.» — Takiś to poganinie (myślę sobie) poczekaj! A gdy on kontynuje swoje obelgi, niecierpliwość mnie wzięła, zaswędziło mnie w prawej łapie, więc dobyłem korda i obces na niego. — Wziął się Turek do szabli, złożyliśmy się parę razy, ale jakem lunął z impetem po gołym karku, pochyliła mu się głowa na piersi i zwalił się ż siodła. — Na nieszczęście, ta moja porywczość ściągnęła wielkie nieszczęście. — Turcy widząc zabitego kompana, rzucili się na Polaków i zaczęła się zacięta bójka. — Ja myślę sobie: «Nawarzyłem niedobrego «piwa, niechże się go przynajmniej napiję» i dalej na bissurmanów. — Biliśmy się jakie pół godziny; już sześciu naszych leżało zabitych a między niemi poczciwy staruch Sulmirski — ale Turków padło ze dwudziestu, nie licząc w to pokaleczonych, więc już zaczęli rejterować; aż nowy oddział nadciągający dodał im serca i wszyscy rzucili się na nas. — Byłoby nam ciepło, bo ich nadciągnęła chmara, przeszło dwustu, a Polaków ledwie trzydziestu. — Szczęściem opatrzność Boża czuwała nad nami, bo dowódzcą nowego oddziału był ów Osman Aga, Puławskiego przyjaciel, który nas poznawszy wstrzymał swoich — a gdy tłumacz nasz rzecz opowiedział, jako byliśmy napastowani, obelgami lżeni bez żadnego rezonu i przymuszeni się bronić — zagodzono sprawę! — Ale naszym biednym nieboszczykom już to życia nie wróciło. — Pogrzebaliśmy ich więc uczciwie, choć bez kościelnej ceremonji, i w niepoświęconej ziemi. —

12. Tak to ja nie chcący stałem się pierwszą przyczyną śmierci onych ludzi; Puławski mi to żywo wymawiał i ja sam nieraz gorąco Pana Boga o przebaczenie za to błagałem i pewno mi to będzie odpuszczone. — Boć każdy herbowy szlachcic i honorowy kawaler, na mojem miejscu będąc, byłby zrobił to samo — za chrześciańskiem imieniem upominając się jak należało i psie szczekania bissurmańskie karcąc. — Zresztą bąć co bąć, jak mówił Wielichowski «co się stało to się odstać nie może.» — A Pan Bóg, który mnie z onej siepaczki (gdziem się dobrze uwijał nadstawiając kadłuba) bez żadnego szwanku i szkody wyprowadził, znał snać moją niewinność, kiedy mnie salwował nietylko od zguby ale i od najmniejszego zadraśnięcia! — Niechaj będzie imię Jego święte błogosławione! —

13. Ta nagła rejterada tureckiego wojska obaliwszy nadzieje nasze pobicia Rossjan z korzyścią dla naszej ojczyzny — przyniosła nam jeszcze osobisty uszczerbek i pognębienie. — Bo na odgłos alarmu każdy jak stał siadł na konia, a potem śród zamięszania i pośpiechu nie było czasu do namiotów się wracać i wozy ładować; wszystkie więc nasze bagaże przepadły, każdy jaką miał chudobę stracił — i by-

liśmy prawdziwie (jak to u nas jest przysłowiem) goli jak święci tureccy. — Pan Puławski wszystkie swoje pieniądze zostawił w namiocie i zapewne je kozactwo Rumiańcowa zabrało wraz z poczciwym Bohdankiem który ich pilnował. — Okazało się że ze wszystkich naszych skarbów mój tylko trzosik ocalał, bom go od Częstochowy nosił zawsze na ciele okręconego jak węża. — Ciągnęliśmy dni kilka, prawda że nie o chłodzie, ale za to o wielkim głodzie, po przepaścistych górach i pustych wąwozach, znużeni, trapieni nędzą, pogrążeni w najsmutniejszych myślach. — Wierny Puławskiemu Osman Aga (który nas ze świeżego kłopotu wybawił) towarzyszył nam ze swemi ludźmi i jako mógł pocieszał bissurmańskiej teologji argumentami, że taka była wola Pana Boga. —

14. Piątego dnia przybyliśmy nareszcie sfatygowani srodze i na poły umarli z głodu, do Adrjanopolu wielkiego tureckiego miasta, bielącego się powabnie śród zielonych ogrodów, co było dla nas pocieszającym widokiem po Bałkańskich pustyniach. — W mieście tem wielu jest chrześcian osiadłych, a szczególniej kupców francuskich i weneckich, którzy dowiedziawszy się iż przyciągnął oddział Polaków wynędzonych i nieszczęśliwych, zbiegli się około nas, nie jako na jakie ciekawe widowisko, ale dla podania miłosiernej ręki braciom w Chrystusie Panu, który zalecił w swojej Świętej Ewangelji łaknącego nakarmić, pragnącego napoić. — Rozebrali więc nas pomiędzy siebie, jako kto mógł, prowadząc do domów swoich i wielki afekt i pożałowanie doli naszej okazując. — Turcy są miłosierni nawet dla zwierząt (trzeba im oddać tę sprawiedliwość) — ale takiego serdecznego przyjęcia nie mogliśmy doświadczyć tylko od chrześcian. —

15. Mnie i panu Puławskiemu dostała się kwatera u bogatego Francuza niejakiego Arnoux, który wielki handel pszenicą prowadził i miał swoje magazyny i officjalistów w Stambule. — Gospodarz nasz rad był bardzo że Puławski wyśmienicie, a ja cokolwiek umieliśmy jego język, więc trzeba mu było opowiadać wszystkie szczegóły naszych mizerji i niefortunnych kolei. — Bo wspomnieć tu muszę intra parenthesis że Francuzi kardzo są ciekawi i do gadatliwości skłonni — ale za to wielki afekt dla narodu naszego mają, szczególniej od czasu jak ich Walezjusz przez wolne stany Rzeczypospolitej na tron polski zaproszony został, choć na nim jak wiadomo niedługo popasał; aleć nie nasza w tem wina! — Podejmował nas u siebie Pan Arnoux uczciwie, po szlachecku, choć jak się zdawało (kupiectwem się trudniąc) klejnotu szlacheckiego nie posiadał. — Ale w Francji ludzie wszelkich kondycji są wielkiego poloru i niepospolitych

sentymentów. — Żona jego, poważna matrona, była dla nas uprzejmą, a dwie córki piękne gdyby łanie, przymilały się nam jak obłaskawione kotki, chichocząc się z nami i różne arje francuskie przy gitarze śpiewając. — Słowem, od Drezna, takiego miłego życia nie zaznaliśmy. —

16. Innym naszym konfederatom po kwaterach było także nieźle — wszyscy pływali w wygodach jak pączki w maśle. — Szczególniej zaś ci, którzy umieli po łacinie (a było takich większa połowa), bo już tym sposobem jako tako z Francuzem i z Wenecjaninem rozmówisz się, łatwiej niż polską mową. — Pocieszało to nas w naszem smutnem położeniu; ale największą przyjemnością było nam przybycie Bohdanka, któregośmy już za straconego mieli. — Ten wierny sługa, widząc co sę święci w obozie i że wszystko ucieka, upakował pańskie rzeczy, przytroczył na konia i pojechał szukać nas w tłumie — ale szukał napróżno. — Więc puścił się w pogoń naprzód, i tak błąkając się dni dziesięć za rozpierzchnionym wojkiem, bez języka, prawie bez kawałka chleba, żyjąc po drodze tylko niedojrzałemi fruktami, dostał się na pół żywy do Adrjanopolu. — Marudery tureckie napadli go w drodze i konia mu zabrali, szczęściem że dwie sakwy z pieniędzmi miał za pazuchą i te Panu jak najwierniej dochował i oddał.

17. Puławski zaraz po przybyciu miał posłuchanie u Baszy komendanta garnizonu, ale ten nie bardzo mile go przyjął — snać zawiadomiony będąc o naszej bójce z Turkami; nie można, więc było na protekcją jego rachować. — I dlatego Pan Marszałek, odzyskawszy swoje pieniądze, postanowił jechać natychmiast, o swoim koszcie, do Stambułu, i tam przez interwencję posła francuskiego, wyrobić u Dywanu jakąś dla nas wszystkich opiekę i opatrzenie w potrzebach, bo nie wypadało być dłuższym ciężarem dla naszych poczciwych Chrześcian. — W tej podróży (na którą po niejakich trudnościach Basza dał przyzwolenie i list otwarty), miałem i ja mu towarzyszyć, ale inaczej chciał Pan Bóg wszechmogący nawiedziwszy mnie chorobą, którą była febra trzęsionka i która co drugi dzień trzymała mnie w łóżku z wielkim bólem głowy i dreszczem. — Musiałem więc rad nie rad zostać, a Pan Puławski pojechał do Stambułu z Bohdankiem i z Suskim swoim drogmanem, to jest tłumaczem.

18. Doktor Wenecjanin dał mi jakiegoś proszku, gorzkiego jak piołun, i kazał wstrzymywać się od jadła, a szczególniej od ryb i nabiału. — Po kilku dniach kuracji, choroba nieco ustała — akcesa były krótsze i mniej mordujące. — A że czas był prześliczny, chodziliśmy więc z Mazowieckim i z Wielichowskim po mieście, admirując różne budynki, a szczególniej wielki meczet czyli kościół turecki, misternej

struktury, fundowany z wielkim nakładem przez Sułtana Selima. — Wieżyczek na nim siła, a wszystkie proste i cienkie jak świece i otoczone galerjami, tak delikatnie wyrobionemi z kamienia iż są przeźroczyste i wydają się, patrzącym z dołu, jakby falbanki z brabanckich koronek. — Chodziliśmy także w pola, docierając aż do pobliskich wiosek. — Ziemia dobra i urodzajna, ale gospodarstwo zaniedbane; Turcy bowiem delektują się w ogrodach owocowych i warzywnych, o zasiewy polne mniej dbając. — To też gdzie niegdzie obaczysz tylko jakie stajko pszenicy, jęczmienia lub kukurudzy, a reszta leży odłogiem. — Ale za to ogrody piękne, drzew pomarańczowych i figowych pełne — a na zagonach mnóstwo włoszczyzny, szczególniej cebuli, ogórków i słodkich dyni.

19. Dowiedzieliśmy się od jednego Francuza bardzo ciekawej dla nas rzeczy: to jest że wszyscy chłopi w okolicy Adrjanopolu byli praprawnukami naszego ludu ruskiego z Podola i Ukrainy, który w czasie napadów tureckich, gnany w jassyr z żonami i dziećmi, aż tu był zapędzony i do osiedlenia zmuszony. — Ci ludzie zbissurmanieli i już o swojem pochodzeniu nic nie wiedzą. — Gdy im o tem Mazowiecki (nieźle po turecku mówiący), gadał, potrząsali głową z niedowierzaniem. — Jednak czysto po mahometańsku nie mówią i zachowali mnóstwo wyrazow ojczystego djalektu. — I tak na dom nie mówią jak Turcy hane, ale chata — batko na ojca a żenka na żonę, i tym podobne potoczne wyrazy, które im zostały jako jedyna puścizna po nieszczęśliwych ich ojcach. — Serce nam się rozdzierało patrząc na to dziwne igrzysko napadów barbarzyńskich i tych pobratymców sturczonych, gwałtem od chrześciańskiej wiary oderwanych i dziś niewiedzących nic o sobie, mimo ostatnich okruchów rodowitej mowy, które bez ich wiedzy pozostały na nich, jak ostatnie litery zatartego napisu na jakim kamieniu wywiezionym daleko ze starożytnego rzymskiego monumentu!

20. Po miesiącu blisko nieobecności, Puławski z wielkiem mojem ukontentowaniem, wrócił ze Stambułu. — Przywiózł nowiny złe i dobre, a złych najwięcej, jak to zwykle na tym świecie. — Poseł francuski, Pan de Saint-Priest, przyjął go grzecznie i chętnie zajął się naszą sprawą. — Za jego wpływem Dywan przyznał nam fundusz na utrzymanie, i przeznaczył na garnizon Rodosto, miasto leżące nad morzem Marmara, o dwadzieścia kilka mil od Stambułu i o tyleż prawie od Adrjanopolu odległe; trzeba więc było tam się wynosić. — Polityczne wiadomości były takie: Turcy potrwożeni żądali od Rumiańcowa armistycji; ten przystał na to, ale pod warunkiem aby zaraz traktować, i posłał Repnina

do Sylistrji aby z pełnomocnikami tureckiemi zawierać pokój, ale jak się zdaje pod ciężkiemi dla Porty kondycjami. O sprawach Rzeczypospolitej było głucho w Europie — żadna potencja przeciw zaborowi nie protestowała. Gabinet Wersalski ręce od tego umywał, nie chcąc wcale w to się mięszać — Poseł francuski bardzo był ambarasowany, mówiąc o tem z Puławskim. Cała nadzieja nasza leżała w Turcji, która niestety, pod rządami nowego Sułtana (bo zapomniałem wspomnieć na swojem miejscu, że Mustafa, monarcha wielkomyślny i narodowi naszemu wielce przychylny, umarł od roku, a po nim nastąpił Abdul-Hamet), osłabła w potędze; a po ostatniej kampanji z Rossją, do smutnej przyprowadzoną była alternaty.

21. Nie na rękę mi było opuszczać Adrjanopol i dom naszego poczciwego Pana Arnoux, bo prawdę powiedziawszy rozamorowałem się trochę w młodszej jego córce, Pannie Marji. — Ale cóż robić, kiedy człowiek wówczas jeszcze był dosyć młody a dziewczyna urodziwa bardzo — a potem kiedy się jest w smutku to w nas i serce kochliwsze. — Więc jakoś ni z tego ni z owego, przy nauce francuskiego języka, przypytała się do mnie miłość, i tak mnie zawojowała, iż z rezolutnego stałem się nieśmiały, tak że mi wstyd było za siebie, szczególniej w obecności innych, którzy znali zwykłą moją fantazję. — Ile mogłem sądzić z pozoru, panna odpłacała mi afektem, i gdyby nie on odjazd, kto wie na czemby się skończyło — może byłoby przyszło i do sakramentu; ale snać Pan Bóg chciał inaczej! — Było przy pożegnaniu, dobrych słów i smutku niemało; kochana Marysieńka łzy miała w oczach, i mnie, Bóg świadkiem, już na płacz się zbierało, alem się obronił mężnie — bo cóżby pomyśleli ludzie, widząc że Rotmistrz konfederacki, człowiek rycerski, płacze jak białogłowa lub żaczek.

22. Rodosto jest miasteczko nie bardzo okazałe, a brudne, z małym zameczkiem warownym nad brzegiem morza — ale w porcie dosyć jest ruchu. — Kupcy, handlarze i majtkowie rozmaitych nacji, snują się tu i owdzie, każdy po swojemu frymarcząc. — Komendantem był tam nie żaden Basza buńczuczny (jak w wielkich miastach), ale inny z niższych oficjalistów Sułtana, zowiący się Beglir-Bej. — Ten odebrał już był dyspozycje ze Stambułu, co do naszej konsystencji. — Dał nam więc na mieszkanie wielki i pusty budynek rządowy, i wypłacił pensję, którą mu Kisnadar-Aga, to jest skarbnik generalny, ze stolicy przysłał. — W onych koszarach przeto ulokowali się tylko chudeusze, a my, cośmy mieli nieco pieniędzy w kabzie, najęliśmy kwatery na mieście, w domach chrześcian. — Nudy były wielkie w Rodosto — jedyną naszą zabawą było chodzić nad brzegiem morza

i przyglądać się onemu żywiołowi tak dla Polaków obcemu (szczególniej tym, co jak ja, sami do Gdańska pszenicy nie spławiali), zbierać muszle ozdobne i inne dziwotwory wodne. — Patrzyliśmy także czasem, dla rozrywki, na egzercycje tureckiego wojska, i raz uśmieliśmy się dowoli. — Rzecz była taka. — Był tam oddział artylerji, wyprowadzili więc armatkę za miasto i zaczęli, dla wprawy, kulami strzelać do celu odmalowanego na desce i opartego na skale, o jakie staje odległej. — Patrzym, za każdym strzałem, kule jedna za drugą, zamiast w cel trafiają w skałę, o jakie trzy sążnie na lewo. — Zniecierpliwieni Turcy, cóż robią? — Oto stawiają deskę z celem na onem miejscu gdzie kule godziły, i z tryumfem rozpoczynają ogień. — Ale cóż! kule znów szły jeszcze dalej na lewo, tak iż jedna aż skąpała się w morzu. — Zaprzestali więc strzelania i wrócili do swego zamku, nos na kwintę spuściwszy — a myśmy się śmieli, ale niebardzo głośno, bo bissurmanie gotowi byli ku nam wycelować armatkę, i może lepiej trafić niż do onej deski nietkniętej.

23. Temczasem traktat między Rossją i Turcją został podpisany w Kajnardżi, w namiocie Rumiańcowa, z wielką szkodą dla Sułtana, bo musiał uznać niepodległość Krymu, wolną żeglugę Rossjanom na Morzu czarnem otworzyć i do czterdziestu miljonów ze swojej szkatuły, za koszta wojny nieprzyjaciołom zapłacić. — W spisaniu aktu onego przymierza, już ani wzmianki o Polsce nie było i Repnin żądał aby dawniejsze konwencje, gwarantujące nietykalność Rzeczypospolitej, zniszczyć, co też było akordowane. — Tak ostatnia nadzieja nasza rozchwiała się; już i Turcja, jedyna protektorka, i z dawnej nieprzyjaciołki świeża orędowniczka nasza, odstąpiła naszej sprawy. — Sam tylko Pan Bóg wszechmogący mógł nas wydźwignąć i salwować z tej toni nieszczęść! — Siedzieliśmy długo w Rodosto zdesperowani, różne plany układając, ale na nic się nie przydały — i początek roku pańskiego 1775 zastał nas na tem samem miejscu, nie wiedzących co począć. — Z każdej strony tylko smutne nowiny i obojętność świata, cięższa dla cierpiących nad prześladowania i nieprzyjaźń. — Co się działo w naszych duszach wonczas, ten tylko mógłby pojąć, kto w podobnych alternatach bywał, i zdaleka od swoich, śród obcego narodu, nad dolą nieszczęśliwej ojczyzny płakał, nie mogąc skutecznego dać jej poratowania i sukursu.

24. Otóż różne plany, rady i dyskussje, a najwięcej bieda (bo subsydja tureckie nie były hojne), przyprowadziły do tego, iż zaczęto myśleć o powrocie do kraju, bo widzieli niektórzy że tutaj zmarnieją, a może się i zbissurmanią. — Przeto Mazowiecki, w imieniu innych, submissję do Ponia-

towskiego na piśmie ułożył, i przez okazję do Warszawy posłał — które to pisanie zostało Królowi doręczone. — Wszystko to zrobiło się za wiedzą i przyzwoleniem Puławskiego, który onego kroku nie naganiał, ale imienia swego na onej submissji nie położył, łask żadnych osobistych, ani przebaczenia nie domagając się. — Wielichowski przez przyjaźń dla Pana Marszałka, a ja przez obowiązek, naśladowaliśmy tę jego rezolucję, przyrzekając mu dzielić jego losy, cokolwiek bąć nastąpi — za co serdecznie nam dziękował. — W kilka miesięcy przyszła z Warszawy odpowiedź pomyślna; więc biedacy nasi, znudzeni już codziennym widokiem morza i wychudzeni na ogórkach i kukurudzy tureckiej, odjechali z ukontentowaniem podwodami do Polski, a my z Puławskim, opuściwszy Rodosto, udaliśmy się do Stambułu. — Działo się to w końcu Novembris 1775.

KSIĘGA ÓSMA.

Pobyt w Stambule — Odpłynięcie do Francji — Tulon — Paryż — Widzenie się z Benjaminem Franklinem — Podróż okrętem i przybycie do Ameryki.

---

1. Stambuł jest miasto ogromne, i zdaleka (a szczególniej od strony wody), niewymownie piękne; ale gdy wejdziesz we środek to co innego się święci. — Wyjąwszy pałaców należących do Sułtana, koszar wojskowych i Bazarów gdzie kupcy z towarami siedzą — inne domostwa drewniane, małe, bez okien i ganków — a na ciasnych ulicach chmara psów, osłów, koni i tureckiego tałałajstwa, brudnego i obdartego, jak nasi polscy żydowie. — Wszędy korupcja w powietrzu i zabijające fetory, co musi niepomału pomagać dżumie do propagowania się. — Na przedmieściu chrześciańskiem trochę niby schludniej i porządniej, ale nie bardzo. — Słowem, trzeba Stambuł admirować nos zatkawszy i patrząc zdaleka, bo wtenczas widać tylko białe wieże i kopuły meczetów bardzo kształtnej struktury, a nad niemi niebo pogodne, granatowego koloru — co wszystko czyni ten widok dziwnie powabnym. — Zajęliśmy na mieszkanie mały domek z ogrodem, który Pan Arnoux na przedmieściu Pera posiadał dla

rekreacji swoich oficjalistów, a który nam na czas jakiś ustąpił. — Było trochę ciasno, ale spokojnie i przynajmniej od fetorów i zgnilizny miejskiej daleko.

2. Siedzieliśmy w Stambule jakie trzynaście miesięcy — był więc czas wszystkiemu się napatrzeć dowoli; to też wszystko widziałem, wyjąwszy dwóch rzeczy: środka meczetów (gdzie giaurów, to jest chrześcian, nie wpuszczają) i oblicza żadnej turkini — ponieważ wychodzą na ulicę tak zakapturzone iż mają tylko otwór na oczy. Który to zwyczaj egzystuje nie z przyczyny skromności i wstydliwości białychgłów onych, ale z przyczyny zazdrości wielkiej brodatych Turków. — Śród nudów naszych, największą a może jedyną przyjemność robiło nam towarzystwo wyżej wymienionego Posła, Pana de Saint-Priest, zacnego męża i bardzo grzecznego, jako są wszyscy Francuzi. — Był on wielkim admiratorem naszego narodu, a o Puławskim że słyszał dużo dobrego i wiedział z gazet, więc miał dla niego szczerą przyjaźń i wysoką konsyderację. — U niego to bywając często, wprawiłem się wyśmienicie w konwersację francuskiego języka — jeden tylko Wielichowski, choć niebardzo twardej głowy, ani weź nie mógł się przyuczyć onej mowy, tak że już lepiej gadał po turecku niż po francusku.

3. Czas leciał galopem, trzeba było żyć i ekspensować, — a zatem fundusze, jakie miał Puławski, wyszeplały się znacznie — już i mój trzosik więcej niż do połowy się wypróżnił — zaczynało być kuso, i widzieliśmy przed sobą przyszłość niewesołą, chłodną i głodną. — Wielichowski przeto postanowił wracać do kraju, gdzie w onym czasie już dla konfederatów ogłoszono ogólne przebaczenie (wyjąwszy pryncypalnych szefów). — Korzystając więc z okazji odjeżdżających kupców do Brodów, zabrał się z nimi — z Panem Puławskim i ze mną serdecznie pożegnawszy się i opieki Pana Boga wszechmogącego nad nami dwiema wzywając. — Żal nam było onego towarzysza zacnego i poczciwego — tembardziej że jeżeli nas opuszczał to nie przez brak determinacji, ale, jak mi wyznał pod sekretem, aby nie być Puławskiemu próżnym ciężarem. — Działo się to w miesiącu Oktobrze, roku pańskiego 1776.

4. Pan de Saint-Priest odbierał gazety francuskie, mieliśmy więc zawsze świeże nowiny, co się działo na świecie. — Ale najwięcej wówczas hałasu w Europie, robił rokosz amerykańskich kolonji przeciw Anglikom, podniesiony od roku przeszło z przyczyny ciężkich podatków, i różnych innych niesprawiedliwości, wiolencji i gwałtów. — Amerykański kongres czyli sejm, mianował wodzem naczelnym Jerzego Washingtona, męża wielkiego animuszu i militarnych talentów pełnego. — Ten rozpoczął kroki nieprzyjacielskie,

i otrzymał już nie jeden sukces. — Francuzi że od niepamiętnych czasów są ząb za ząb z Anglikami i zawsze na oną potencję patrzają zyzem, cieszyli się z tej dywersji niepomału — ale tylko prywatnie, bo rząd francuski jeszcze wówczas nie chciał otwarcie mięszać się w tę sprawę, co jednak później uczynił (o czem będzie niżej). — Pan de Saint-Priest gadał więc z wielkim afektem i pochwałami o Amerykanach bijących się za wolność przeciw tyranji angielskiej, co tak zagrzało głowę Panu Kazimierzowi, iż postanowił do onego dalekiego i zamorskiego kraju popłynąć — i usługi swoje kolonistom ofiarować.

5. Ja także nie byłem od tego, owszem zdeterminowany byłem zupełnie, bo już nudziło mi się siedzieć tak w bezczynności, na wieże meczetowe patrząc i o niebieskich migdałach myśląc — ale na tak długą drogę brakowało najważniejszej rzeczy, to jest pieniędzy. — Otóż tutaj jest miejsce powiedzieć jak Opatrzność boska czuwała nad nami grzesznemi ludźmi — i jak prawdziwie cudownie z wielkiego ambarasu wybawiła nas nad spodziewanie. — Gdy raz po obiedzie, leżym sobie na sofie z Puławskim, paląc fajki i deliberując nad podróżą naszą, różne czyniąc projekta, czy się udać do Dywanu, czy do Francji o subsydja — słyszym że Bohdanek z kimsiś gada w pierwszej izdebce. — Wychodzę zaraz i zastaję człowieka ubranego nie po muzułmańsku ale po grecku, który swoim djalektem, używanym przez chrześcian w Stambule, to jest z kiepska po francusku (czyli językiem Franków), pyta się; czy tu mieszka Pan polski Pulaki. — Ja mówię że tu. — A on mówi że bankier Zizinia prosi Pana Pulakiego aby przyszedł do niego odebrać denari, to jest pieniądze. — Pan Kazimierz zdziwił się mocno gdym mu tę nowinę zakomunikował, i robiąc rozmaite konjektury skądby ona flota nadpłynęła, poszliśmy zaraz oba do bankiera na zwiady.

6. Zizinia powiedział, że mu Tepper, bankier warszawski, dwa tysiące czerwonych złotych przysłał, z rozkazem aby je we własne ręce Puławskiemu oddał, pokwitowanie po formie odebrawszy. — Gdyśmy go się zapytali od kogoby pieniądze wychodziły, odrzekł iż nie wie. — Puławski miał niejakiś skrupuł brać one dukaty nieznajomą ręką wysypane — alem go przekonał dowodząc, że pewno nie Imperatorowa rossyjska ani Poniatowski przysyłają mu ten prezent, a zatem rąk sobie nie zabrudzi, ani sumienia nie obciąży. — Ten argument przekonał go i przyjął summę która wygodziła nam bardzo. — Ani wtenczas, ani potem nie mogłem się wywiedzieć kto był onym bezimiennym donatorem i dobrodziejem naszym — ale zawsze miałem suspicję na Radziwiłła Panie Kochanku (który choć nie był sawantem i ledwie

imie swoje podpisać umiał, ale kochał szczerze ojczyznę i braciom szlachcie, a szczególniej patrjotom, lubił dopomagać — lub na innego jakiego magnata polskiego nie będącego z Petersburgiem w kunszaktach (choć prawdę powiedziawszy było takich nie wielu i można ich było policzyć na palcach u jednej ręki).

7. Kiedyśmy mieli pieniądze, wszystko poszło jak z płatka. — Pan de Saint-Priest projekt naszej podróży pochwalił, i uwiadomił nas, że niedawno przybył do Paryża plenipotent amerykański, niejaki Franklin, człowiek uczony i zacny — który interesami swego kraju czynnie się trudnił i woluntarjuszów za morze wyprawiał. — Radził nam przeto Francuz, aby statkiem płynąć ze Stambułu do Tulonu, a stamtąd udać się do Paryża dla wzięcia języka i informacji względem kontynuowania chwalebnej nászej antrepryzy. — Dał także Poseł Puławskiemu list do swego najstarszego brata (który nosił tytuł Grafa i przy dworze Wersalskim jakąś szarżę piastował), rekomendując nas po przyjacielsku. — Wypłynęliśmy przeto ze Stambułu 4go februarii roku pańskiego 1777, na łaskę Pana Boga i protekcję świętych naszych patronów z chrześciańską ufnością spuszczając się. Przed wyjazdem napisał Pan Kazimierz, w imieniu nas obudwóch, bardzo grzeczne pożegnanie do Adrjanopola, do Pana Arnoux i jego familji — na końcu którego ja dołączyłem parę słówek słodkich ale uczciwych, do mojej Marysieńki, której niestety! już nigdy nie miałem oglądać.

8. Podróż trwała blisko miesięcy dwa, z przyczyny niepomyślnych wiatrów. — Tam to oczy moje napatrzyły się różnych dziwów natury i ciekawych widoków. — Naprzód one sławne tureckie Dardanelle, bardzo mocna pozycja militarna — i Archipel wysp Grekami osiadłych, pływających na niebieskiej przestrzeni morza jako stado białych kaczek lub łabędzi. — Dalej brzegi kraju włoskiego i Wezuwjusz, góra ognista, z której wierzchołka wychodzi ciągle dym gęsty jak z komina huty (mówią że czasami góra miota ogniem i zarzewiem, aleśmy tego dziwowiska nie dostrzegli). — Płynął także statek nasz między Scyllą i Charybdą, które to potwory od czasu Owidjusza uspokoiły się, szkody podróżnym nie czyniąc — więc minęliśmy je bez szwanku. Nareszcie pokazały się brzegi Francji i weszliśmy do Tulońskiego portu, gdzie nas zamkniętych wietrzono, kąpiąc w occie dla ochrony od morowego powietrza tureckiego — ale widząc żeśmy nie defektowi, wypuszczono. — Dowódzca garnizonu, do którego miał także Puławski pisanie, przyjął nas grzecznie, i dyskurując o tem i o owem, powiedział że w końcu roku zeszłego wypłynął z Tulonu do Ameryki, młody Polak, niejaki Koszuko.

9. Długo łamaliśmy sobie głowę coby to mógł być za Polak z tak dziwnem mianem — i dopiero po przybyciu do Ameryki dowiedzieliśmy się że to był Tadeusz Kościuszko, ten sam który później taką wielką sławą się okrył na dwóch półkulach ziemi. Ale że może nie każdemu wiadomo jaka była pierwsza przyczyna wyjazdu Kościuszki z Europy, więc tu zamieszczę to, co od wiarogodnych osób nieraz opowiadane słyszałem. — Rzecz tak się stała. — Kościuszko konsystując przy półku swoim na Litwie, rozamorował się w córce Wielkiego Marszałka Józefa Sosnowskiego — a że panienka przyjmowała rada jego atencje, oświadczył się więc rodzicom, prosząc o honor zostania ich zięciem. — Sosnowski, Pan bogaty i dumny, odpowiedział z przekąsem: «Synogarlice «nie dla wróbli, a córki magnackie nie dla drobnych szla- «chetków.» Kochankowie przeto widząc się tak nieludzko traktowani, postanowili uciec razem z rodzicielskiego domu; co też uskutecznili. — Ale o jakie dwie mile, na trakcie grodzieńskim dognali ich wysłani przez Sosnowskiego ludzie — odbili pannę — a kawalera, ponieważ się bronił, poranili i omdlałego zostawili na drodze. — Po tej awanturze, która dużo narobiła hałasu w Wielkiem Księstwie i w Koronie, Kościuszko zdesperowany wziął dymissję i nie oparł się aż w Ameryce.

10. Między Tulonem a Paryżem najpryncypalniejsze miasta są: Marsylja, znakomita handlem swoim i pięknemi na portowym placu budynkami — Avignon, własność Ojca Świętego, gdzieśmy oglądali z nabożeństwem, w jednym kościele na wzgórzu, groby dwóch Papieżów misternie wykowane w marmurze — Lyon, czyli Lwów francuski nad dwoma rzekami, gdzie wyrabiają one, tak wysoko cenione przez białogłowy nasze, jedwabne materje i wstążki. — Ale zapomnieliśmy łatwo o tych wszystkich miejscach wjechawszy do Paryża. — Oto mi dopiero miasto nad miastami! co za okazałe budowle — co za przepych w ubiorach, w karetach i cugach — co za ruch! co za wesołość! — Niech się schowa Stambuł i wszystkie jakie widziałem niemieckie sztaty, niech się schowają. — Tutaj dopiero życie! — coś człowieka porywa i do ruchawości zmusza — i gdybyś postawił na jakiej ulicy żonę Lota, zamienioną w posąg solny, zdaje mi się żeby się nieboraczka ocknęła i pobiegła śmiać się i weselić z innemi. — Stanęliśmy w jednej porządnej gospodzie, pod znakiem łabędzia, nad rzeką, naprzeciw wielkiego murowanego mostu, zwanego nowym choć dosyć staro wygląda.

11. Byli wówczas w Paryżu, z naszych konfederatów, podczaszy Wielhorski i starosta Miączyński. — Pac znajdował się także we Francji, ale siedział w Sztrasburku, nad samą

granicą niemiecką. — Miączyński żył huczno i mieszkał w porządnej kamienicy, niedaleko kościoła gdzie jest grób i serce króla naszego Jana Kazimierza — znając wielu dygnitarzy francuskich, czepiał się przy dworze w Wersalu i miał nadzieję dostać szarżę przy armji. — Skomunikował on Puławskiego z Panem de Saint Priest — a ten, list brata odczytawszy, bardzo mile go przyjął i usługi swoje we wszystkiem ofiarował. — Dowiedziawszy się zaś że mamy zamiar płynąć do Ameryki, poznał nas z młodym i przystojnym paniczem znakomitego domu, Panem de Noailles, który miesiąc temu miał także ruszać w tęż samą drogę co my — ale dla przeszkód rozmaitych zaniechał. — Znając się jednak z agentami amerykańskimi, obiecał nas do nich zawieść — czego też wkrótce dotrzymał.

12. Gadano wtenczas głośno po całej Francji o świeżej eskapadzie młodego oficera, należącego do pierwszej noblesy, Markiza de Lafayette, krewnego Pana de Noailles. — Porzucił on familję, młodą żonę, majątek znaczny i fawory dworskie — i uzbroiwszy swoim kosztem okręt, popłynął tajemnie do Ameryki bić się przeciw Anglikom. — Król nibyto gniewał się bardzo, familja się lamentowała, a u dworu różni różnie mówili — ale opinja publiczna pochwalała tę szlachetną determinację młodzieńca. — W ogólności, że tu powiem intra parenthesis, wszyscy Francuzi byli za Amerykanami. — Wyrywano sobie z rąk gazety i listy prywatne, gdzie była jakakolwiek wiadomość o sukcesach Washingtona, a porażce Anglików. — Nas przeto jako jadących na oną wojnę, wszędzie przyjmowano z niemałą konsyderacją.

13. Jakoś w parę dni po przyjeździe dopytał się do nas i przyszedł na naszą gospodę niejaki Łazowski, który dowodził nam że był w konfederacji — ale podług tego co opowiadał, zdawało się że nie znajdował się w żadnej komendzie i prochu nie wąchał. — Puścił się tylko panicz na awantury i aż do Paryża się zabłąkał, gdzie mu się nie najlepiej powodziło, bo był chudeusz i trochę pijaczyna. — Dawszy mu więc nieco pieniędzy, odczepiliśmy się od onego ptaszka, który mi się nie podobał zgoła, bo miał minę człowieka impetowego i jakoś nie dobrze z oczów mu patrzało. — Tegoż dnia Miączyński wydał nam suty obiad, na który zaprosił Pana de Noailles i kilku innych Francuzów z pierwszej noblesy. — Znajdował się tam i Dumourier, dawna znajomość nasza — ale że z Puławskim byli jeszcze w Polsce trochę na bakier, a ja nigdy do niego nie miałem nabożeństwa, więc nie przyszło między nami do wielkich oświadczeń, ani żadnych tandresów. — Traktament był prawdziwie polski, a przy końcu pito gęste wiwaty: między innemi za zdrowie Washingtona, Lafayetta i za powodzenie

Amerykanów. — Rząd francuski admonestowany będąc ciągle przez angielskiego posła, Lorda Stormont, zabraniał wszelkich manifestacji publicznych w tej materji, ale prywatnym przeszkodzić nie mógł — to też wszędzie je czyniono.

14. Pan de Noailles zawiózł nas 5go czy 6go Maii swoją karetą do jednej wioski za Paryżem zwanej Passy, gdzie mieszkali agenci amerykańscy Benjamin Franklin i Silas Deane. — Zatrzymaliśmy się przed małym domkiem w ogrodzie, na wzgórzu po nad rzeką. — Deane znajdował się dnia tego w Paryżu a Franklin wyszedł na przechadzkę, zastaliśmy więc tylko w mieszkaniu ich sekretarza Pana Carmichael. — Ten nam oświadczył że Franklin za chwilę nadejdzie, bo dwie godziny już blisko jak był na spacerze. — Jakoż w parę minut drzwi się otwarły i wszedł zwolna, podpierając się laską starzec poważny, siwogłowy i bardzo miłej i otwartej fizjonomji. — Był to Franklin sawant zawołany, który za pomocą głębokiej nauki wynalazł sposób przeciw piorunom — a teraz oto pracował nad wynalezieniem sposobu przeciw Anglikom tyranizującym jego ojczyznę. — Dla tego też później widziałem portret onego sławnego amerykanina z takowym podpisem: Eripuit cœlo fulmen, sceptrumque tyrannis. — Słowa troche grzeszne, ale koncept dobry. —

15. Franklin mówił wcale nieźle po francusku, lepiej jak jego sekretarz — dowiedziawszy się przeto co za jedni byliśmy i jakie nasze zamiary — zwyczajem swego narodu ścisnął nam ręce i bardzo nam rad był poczciwy starowina. — Wypytywał się u Pana de Noailles o Lafayetta, a ten odpowiedział że oprócz listu pisanego z hiszpańskiego portu skąd odpłynął, żadnej o nim nie było dotąd nowiny. — «Takich ludzi nam trzeba (mówił Franklin) ludzi z gorącą «duszą i kawalerskiem postanowieniem. — Spodziewam się «że Panowie Polacy, którzy mają w świecie renomę dzielnych «wojowników, będą wielką pomocą dla biednej ojczyzny «mojej.» — Na co Puławski: «W narodzie naszym obrzy«dzenie jest do wszelakiej tyranji a pryncypalnie do cudzo«ziemskiej — więc gdzie tylko na kuli ziemskiej biją się «o wolność, to jest jak gdyby nasza własna sprawa.» — Ten respons podobał się bardzo starcowi; powiedział nam przeto, iż w pierwszych dniach Junii wypłynie z Hawru okręt do Ameryki, wiozący nieco broni i amunicji i kilku woluntarjuszów, i że będzie mógł nas także zabrać. — Zalecił jednak sekret o tem wszystkiem, dodając, że Poseł Angielski ma licznych szpiegów, którzy po Paryżu, a szczególniej po wiosce Passy snują się jako psy gończe, wietrząc i tropiąc zamiary przyjaciół niepodległości amerykańskiej.

16. Doszły nas także wieści o ojczyźnie naszej. — Od

Wielhorskiego i Miączyńskiego dowiedzieliśmy się, że po nieszczęśliwym rozbiorze zaczęto się w uszczuplonym kraju lepiej urządzać i myśleć o porządku; boć jak to mówi przysłowie: «Mądry Polak po szkodzie.» — Otóż mądrość ona przyszła nareszcie. — Zasilono skarb publiczny z nowych podatków i dobrowolnych ofiar — zajęto się pisaniem praw i urządzeniem edukacji narodowej. — Płaksa Poniatowski poprawił się, protegując oświatę; to też pojawili się znakomici uczeni, rymotwórcy wyśmienici i kraj cały zajaśniał polorem. — Ale Polska za granicą była już bez żadnej konsyderacji politycznej. — Smuciło to nas bardzo, że w Paryżu, gdzie wszystkie potencje Europejskie, ba nawet najlichsze książątka niemieckie i włoskie, miały swoich reprezentantów — polskiego posła nie było. — Król francuski nie miał także żadnego ambasadora w Warszawie, tylko podobno w Gdańsku jakiegoś małego agenta, dla dogodności handlarzy swego narodu. —

17. Bawiliśmy się dobrze i wesoło, zwiedzając wszelakie osobliwości w Paryżu i okolicach — przepyszne kościoły i bogate pałace z ogrodami, w których są dziwnej piękności wodotryski i postacie marmurowe i miedziane, tak misternie wyrobione, iż zdają się żywe — szczególniej te, które są w Wersalu, gdzie przemieszkiwał nieszczęśliwy Ludwik XVI. z młodą żoną swoją Austrjaczką i z całym dworem. — Byliśmy także za miastem w sławnej fabryce, gdzie na porceneli bielszej jak saska, robią malatury dziwnej piękności — i w fabryce makat, na których tkacze wyszywają swoim przemysłem, nietylko pręgi i kwiaty (jako u nas lub w Turczech), ale całkowite postacie ludzkie z dawnej i nowożytnej historji. — Ciągle nas proszono na obiady, to do Pana de Noailles, to do Pana de Saint Priest, to do innych personatów, gdzie Puławskiego ugaszczano z przyjaźnią i respektem. — Na takowe recepcje, sprawiliśmy sobie karabele i sute ubiory polskie, które Francuzi (przyzwyczajeni do swoich kusych strojów i szpadek cienkich jak rożenki) nie bez racji admirowali. —

18. Pan Puławski ze mną a najczęściej sam, jeździwał do Passy deliberować z Amerykanami, którzy go bardzo polubili, widząc gęstą jego minę i kawalerską determinację. — Deane, człowiek przebiegły i niemałego sprytu, powiedział nam raz pod sekretem, iż rzeczy dobrze idą — że dwór Wersalski przygotowuje się cichaczem do wojny przeciw Anglikom i Hiszpanję do aliansu wciągnąć usiłuje. — Byliśmy u nich raz ostatni 29. Maii, w który to dzień Franklin i Deane pożegnawszy się z nami, dali nam listy do Washingtona i zlecenie na piśmie do kapitana swego okrętu, aby nas przyjął. — Pan de Noailles napisał za nami do

krewnego swego Markiza de Lafayette, któremu także wieźliśmy wiadomości od żony, Pani młodej i urodziwej. — Opakowani onemi rekomendacjami jak braciszkowie kwestarze prowiantem, pożegnawszy przyjaciół i piękny Paryż, wyjechaliśmy nazajutrz do portowego miasta Hawru. —

19. Wypłynąwszy na morze okrętem, który zwał się La belle Louise, to jest, piękna Ludwika, zaczęliśmy przyglądać się naszym towarzyszom. — Oprócz kapitana i majtków było woluntarjuszów francuskich pięciu — ale wszystko jakieś hetki, niepozornej miny. — Jeden tylko z nich, niejaki Girod, wyglądał zuchowato, szkoda tylko, iż był paliwodą. — Ten człowiek o szpakowatych włosach i opalonej twarzy, błąkał się już po całym świecie. — Służył w końcu siedmioletniej wojny Fryderykowi, królowi pruskiemu, a potem w austrjackich dragonach. — Nie mogąc dosiedzieć na miejscu, chciał jechać do Petersburga szukać stopnia i rubli. — Później porzucił plan ten — przybył więc do Francji, gdzie nie mając sposobu wkręcenia się do żadnego półku, puścił się aż do Ameryki, złote góry sobie obiecując. — Gdyby było prawdą to wszystko o czem gadał, to ów Girod byłby niepospolitym bohatyrem — ale za nadto sam się chwalił, a jak wiadomo, krowa która dużo ryczy mało mleka daje. — Był zaś rodem z Gaskonji, a ludzie z onej prowincji (jak to jest między Francuzami gadka) bardzo językczni lecz tchurzowaci są.

20. Puławski i ja kupiliśmy sobie w Paryżu gramatyki i Leksykony z wokabułami angielskiemi (bo amerykanie tego języka do konwersacji używają), aby w czasie podróży poduczyć się trochę onej mowy. — Najpierwsze słowo jakie Pan Kazimierz wyszukał było forward, co znaczy naprzód, w komendzie militarnej najpotrzebniejsze. — I tak po trochu, każdego dnia, wbijaliśmy sobie w głowę zapas najużywańszych wyrazów. — Choć to pora była bardzo pomyślna do żeglugi, jednak mieliśmy wiatry przeciwne i srogie burze, w czasie których zdawało się iż sądny dzień się zbliża, bo zewsząd góry wodne otaczały okręt i zdawało się że lada chwila go połkną. — Nasz Girod tak rezolutny rycerz bladł bardzo w onych momentach, i widać było że mu strach siadał blisko kołnierza. — Ja także, przyznam się, że mi się one tańce wodne zgoła nie podobały. — Jeden tylko Puławski z pogodnem obliczem i spokojnem okiem, przyglądał się furjom rozhukanego żywiołu.

21. Strefy przez które przepływaliśmy bardzo są gorące — doskwierał nam upał i żywy ogień lał się z wysokiego nieba. — Woda w beczkach zaczęła się korumpować, a na pożywienie mieliśmy tylko chleb zasuszony i solone mięso; — traktament więc nie był suty. — Dla podratowania

żołądków naszych, kapitan okrętu postanowił zatrzymać się przy jednej wyspie należącej do Króla francuskiego, zwanej Saint-Domingue, gdzie przybiliśmy do lądu niesłychanie radzi. — Tutaj dopiero człowiek widzi iż się nie jest w Europie, bo inaksze drzewa, zwierzęta i ptastwo, a największa część populacji składa się z ludzi czarnych jak węgel, czyli murzynów. — Mają ci murzynowie fizjonomję ludzi upośledzonych od natury, to też europejczycy tam zamieszkali, używają ich do najcięższych robót, gorzej jak u nas wołów lub koni. — To czarne tałałajstwo, tak mężczyzni jako i białogłowy chodzą prawie zupełnie nago, wyjąwszy środka ciała które okręcają fartuchem. — Wstyd w onym kraju wcale nieznany; to też wielka panuje rozpusta i obraza Pana Boga.

22. Na tej ciekawej wyspie, gdzieśmy siedzieli około tygodnia, wydarzył się smutny przypadek który mnie a szczególniej Puławskiego mocno zmartwił. — Rzecz tak się stała. — Nasz poczciwy i wierny Bohdanek, który był doskonałym pływakiem i delektował się w wodnych egzercycjach, kąpiąc się raz nad brzegiem, gdy się puścił na głębiznę, pożarty został żywcem od morskiego potworu, zwanego w onym kraju requin, to jest wilkiem morskim. — Puławski zaraz powiedział: «Zły to znak panie bracie! widać że i nad nami «wisi jakieś nieszczęście!» co się później niestety, na nim samym sprawdziło (o czem będzie niżej). — Jednak Pan Kazimierz nie poddawał się ciężkiej desperacji i ja także, nie przewidując przyszłości, uspokoiłem się. — Dla nabrania fantazji, a raczej dla rozrywki, chodziłem codzień na polowanie z flintą, strzelać do krzykliwych małpiąt i do ptastwa o tak pięknem pierzu iż doprawdy żal było zabijać te prześliczne stworzenia.

23. Wziąwszy żywności i świeżej wody, ile było potrzeba, odpłynęlismy z Saint-Domingue. — Podróż była już niedaleka ale niebespieczna, bo wzdłuż brzegów amerykańskich kolinji, snuły się ciągle wojenne okręta angielskie dla łapania statków wiozących pomoc rokoszanom. — I dla tego kapitan nasz, wiedząc dobrze o onych przeszkodach, manewrował z przezornością aby nie wpaść w ręce nieprzyjaciołom. — Mieliśmy przybić do lądu jak będzie można najbliżej od Filadelfji, gdzie się odbywał Sejm amerykański, i gdzie stał Washington z wojskiem. — Tam więc zmierzaliśmy, ale ostrożnie i kapitan ciągle patrzał przez długą perspektywę ażali nie odkryje niebespieczeństwa. — Szczęściem gdyśmy już byli niedaleko brzegów zerwała się burza, która nas w stecz poniosła ale także zapewne rozpędziła angielskie czaty. — Dla tego zaraz po uśmierzeniu onego wichru, skierowano ku lądowi, i o zachodzie słońca stanęliśmy na

ziemi amerykańskiej, dzięki składając Panu Bogu że nas bez szwanku do celu podróży naszej doprowadził. — Działo się to 20 Augusta tegoż samego roku pańskiego 1777. — Tak sprawdziło się co do joty przyrzeczenie moje dane Puławskiemu przed pięciu laty w Częstochowie, gdy mówiłem że pójdę za nim choćby do Antypodów. — Nie myślałem wówczas zawędrować tak daleko — a jednak to się stało, i byliśmy w Antypodach bo na drugiej półkuli ziemskiej.

24. Wysiedliśmy na ląd w lichej jakiejś wioseczce, blisko ujścia Delawary, gdzie kapitan nasz, umiejący dobrze po angielsku, dowiedział się od mieszkańców, że Generał Washington, z główną armją swoją, stał obozem w Wilmingtown, w okolicach Filadelfji, o jakie dwadzieścia mil od miejsca gdzie byliśmy — tam więc po wypoczynku trzeba było dążyć. — Zaraz przy wysiadaniu chciałem zaprobować mojej umiejętności i popisać się z wokubułami których się nauczyłem — ale na nieszczęście nikt mnie nie mógł zrozumieć, ani ja nikogo. — Czego była następująca przyczyna: angielski język inaczej się pisze a inaczej wymawia, jeszcze trudniej niż francuski — stąd pomyłka i napróżne trudy nasze. — A że Amerykanie nawet po łacinie nie umieją, więc było nam w pierwszych czasach bardzo trudno z mieszkańcami konwersować.

KSIĘGA DZIEWIĄTA.

Obóz amerykański — Washington — Pierwsze spotkanie z Anglikami — Puławski mianowany Generałem brygady — Zimowe leże w Trenton — Tadeusz Kościuszko — Intrygi i niesnaski obozowe — Puławski porzuca komendę kawalerji i formuje oddzielny korpus — Małe utarczki — Charlestown.

---

1. Było w Wilmingtown może jakie dziesięć tysięcy wojska, obozującego w szałasach wyplatanych z chrustu i ustawionych w kilka linji, tak iż z daleka zdawało się że to wieś jakaś ogromna, tylko że otoczona wałami i rowem. — Armja amerykańska nie podobała mi się na pierwszy rzut oka, nie nosząc bowiem jednakich mundurów, nie miała miny militarnej i zakrawała na ruchawkę. — Większa część żołnierzy ubrana była w szare kurty, a niektórzy tylko

w płócienne opończe. — Jedni w butach, drudzy w trzewikach — a inni zupełnie boso; słowem lichota i hałastra wielka, i gdyby nie muszkiety i ładownice, myślałbyś że to spędzona chmara prostego chłopstwa. — Takie było moje pierwsze wrażenie — ale później gdym widział tych obdartusów w ogniu bijących się odważnie, zmieniłem zdanie i nabrałem dla nich respektu. — Pan Puławski też zaraz powiedział: «Nie mają butów ale mają serca — a z tem «panie bracie, można iść daleko choć i na bosaka!...»

2. Dopytaliśmy się naprzód do Markiza de Lafayette, który niesłychanie rad był z listu od żony — a pisanie swego krewnego, Pana de Noailles odczytawszy, przyjął nas po francusku to jest grzecznie — i po szlachecku to jest serdecznie, nie wiedząc gdzie nas posadzić, i wielkie atencje nam okazując. — Zaprowadził nas zaraz do kwatery amerykańskiego wodza, Jerzego Washingtona, będącej w szałasie, prawda większym jak inne, ale bardzo skromnym i bez żadnych makatów lub innych zbytkowych ozdób. — Przyglądałem się z ciekawością i uwielbieniem onemu człowiekowi, o którym cała Europa od trzech lat głośno gadała, a którego podkomendni i cały naród amerykański tak kochali i czcili. — Mógł mieć wówczas Washington około czterdzieści pięć lat, wysoki, barczysty, wspaniałej postawy i przyjemnej fizjonomji. — Ubranie miał schludne ale nie bogate, bez żadnych świecideł i haftów. — Widać że agenci amerykańscy w Paryżu nie szczędzili nam pochwał, bo przerzuciwszy okiem ich pisania, powitał nas z konsyderacją — zapytując: czy chcemy służyć w piechocie czy w kawalerji? Puławski odpowiedział że wzrósł na koniu, że Polacy do konnych egzercycji mają wrodzony pociąg i upodobanie — że wolałby przeto być przeznaczonym do jazdy. — Właśnie kawalerja kolonistów była bez dowódzcy, gdyż Generał Reed nie chciał przyjąć onego obowiąsku. — A zatem Washington powiedział, że natychmiast napisze do Kongresu z propozycją dania tej szarży Puławskiemu.

3. Codzień przyjeżdżało z Europy mnóstwo awanturników, i wszyscy chcieli mieć wysokie stopnie, dla tego też nie przyjmowano już lada kogo — a że Washington traktował nas z taką dystynkcją, narobiło to zazdrości niemało między Francuzami, których odesłano z kwitkiem. Najbardziej zaś zły był ów Girod, któremu dano odprawę — lecz że krzyczał bardzo i lamentował się, więc dostał i troche pieniędzy na drogę. — Franklin i Deane widząc nas w Paryżu brat za brat z Dukami, Markizami i inną noblesą, przyczepili do imion naszych tytuły Countów, to jest Grafów, przeto nie nazywano nas inaczej jeno Count Puławski i Count Rogowski. — Prawdać że każdy szlachcic polski rodzi się

kandydatem do korony, a więc znaczy więcej niż najpryncypalniejszy familjant cudzoziemski — pozwoliliśmy przeto się tytułować kiedy się poznano na naszej kondycji. — Imię Puławskiego wymawiali Amerykanie dosyć dobrze, ale mojego ani weź, przekręcali zawsze — nominując mnie raz Kokoski, drugi raz Kolkoski, a nigdy Rogowski.

4. Dano nam mały szałas blisko Lafayetta, i tam siedzieliśmy jakie dni dziesięć, czekając rezolucji Kongresu. — Wtem nadeszły wieści przez szpiegów, że generałowie angielscy Cornwallis i Howe, z mocnemi siłami wypłynąwszy w New-York, wyładowali w okolicach Filadelfji i zagrażają miastu. — Wyszli więc Amerykanie przywitać gości, nieproszonych wprawdzie ale spodziewanych. — Markiz Lafayette, Puławski i ja, choć wszyscy trzej nie mający jeszcze komendy, ruszyliśmy z wojskiem jako woluntarjusze. — Dziesiątego septembra spotkano nieprzyjaciela nad błotnemi brzegami strugi zwanej Brandywine, i przyszło do bójki. — Koloniści pozatykali na kapeluszach zielone gałąski, co dziwnie piękny robiło widok; szli ochoczo, zwyczajem swego narodu wesołemi okrzykami zachęcając się dla kurażu. — Zaczęło się od rozmowy armatniej, a potem przyszło na pałasze i bagnety. — Angielskie pułki, dobrze wyćwiczone, trzymały się jak mur, a nasze, zwyczajnie ruchawka, nie mogły im podołać, choć biły się odważnie i po kawalersku. — W tej potyczce Lafayette skaleczony w nogę, a ja oberwałem po łbie od czerwonego dragona, którego jednak na tamtem świat gracko wyprawiłem. — Rana moja nie była szkodliwa, bo rąbiąc przez kapelusz zdarł mi tylko kawałek skóry z włosami. — Ale biedna głowa moja, że tu powiem intra parenthesis, od czasu jak ją w onej bitwie pod Łomżą (o czem było wyżej), Kozak napoczął piką, w każdej prawie okazji dostała jakiegoś guza — w całem bowiem życiu mojem w żadną inną część ciała skaleczony nie byłem.

5. Rejterując się ze stratą i ciągnąc ku Filadelfji odebrał Washington depesze od Kongresu, a w nich była nominacja Puławskiego na Brygadjera i moja na Majora kawalerji; objęliśmy więc komendy każdy swoją, niecierpliwi popisać się i pokazać zamorczykom co Polacy umieją. — W parę dni, po przeprawieniu się przez rzekę Shuylkill, dwa wojska znów się spotkały, ale deszcz ulewny obydwie partje rozpędził. — Przez czterdzieści ośm godzin lało jak z cebra, zmokliśmy jak flisy — wszystkie amunicje tak zamokły że proch zmienił się w czarną pomadę. — Ale że i Anglikom przytrafiło się toż samo, więc nas nie napastowali, ani my ich. — Jeno manewrowali ciągle, chcąc nam zajść z tyłu; lecz im się nie udało, bo Washington był człowiek oględny i oczów nie nosił od parady. — Trudów jednak mieliśmy

nie mało maszerując przez lasy i błota, i ciągle przewożąc się przez rzeki, których niesłychana ilość jest w tym kraju, a wszystkie szersze niż nasza Wisła lub Niemen.

6. Ciągnąc zawsze ku Filadelfji, nadybał Washington, czwartego Oktobra, kilka tysięcy Anglików okopanych w obozie pod Germantown, i postanowił ich atakować. — Z rana deszczyk kropił, a potem mgła była wielka — przeto Generał nasz, Conwaj (Irlandczyk rodem) dowodzący prawem skrzydłem, wysławszy naprzód swoich riflemen, to jest strzelców celnych — uderzył na okopy nie zbyt wysokie, i z początku rzecz się doskonale udała. — Puławski ze swojemi dragonami cały obóz przeleciał, rąbiąc co się napatoczyło, tak że widziałem całą klingę jego pałasza od krwi czerwoną — i ja także nie folgowałem i jakoś tą razą łepetyna wyszła cało. — Ale niedługo potem Anglicy powetowali straty i przepędzili nas daleko. — Bo w czasie bitwy, Cornwallis przyszedł im w sukurs z wielką forsą, i lewe nasze skrzydło przełamawszy, na nas się obrócił z impetem. — Tak dwie pierwsze potyczki na ziemi amerykańskiej nie udały się — ale jak to mówią: pierwsze koty za płoty; pierwsze przepustne, drugi kapustne, a trzecie łapane — a z resztą robił człowiek swoją powinność, więc nic na sumieniu nie cięży. — Kongres, po onej porażce, wyniósł się jak niepyszny z Filadelfji. — Anglicy zajęli miasto — a wojsko amerykańskie, po różnych obrotach, stanęło obozem o dwadzieścia mil dalej, w miejscu zwanem Vallej-Forge, między lasami, nad rzeką Shuylkill.

7. Szczęściem że śród onych niesukcesów, przyszła jedna dobra nowina; Generał amerykański Gates pobił na głowę Anglika Burgoyne, i 17 Oktobra pod Saratogą do kapitulacji przymusił. — Cały korpus ośmiotysięczny złożył broń, na łaskę zwycięscy oddając się. — Wiadomość ta podniosła ducha w narodzie, i dobrze się stało, bo już serca zaczynały mięknąć i ku piętom opadać — że aż wstyd był nawet nam cudzoziemcom. — W onym czasie także, Puławski ze swoją komendą wysłany na drugą stronę rzeki Delawary, do miasteczka Trenton, gdzie staliśmy kwaterami aż do następnej wiosny. — Otóż teraz jest pora powiedzieć czem była ona kawalerja amerykańska. — Składała się jeno z dwóch pułków, dragońskiego i rajtarskiego — w ogóle niespełna czterysta głów. — Jeszcze pierwszy pułk był jaki taki, ale drugi wielkie tałałajstwo, nakształt Żbikowskiego bandy — w obudwóch zaś pułkach żadnej wprawy do manewrów, a rygor militarny i subordynacja tak znane jak Ojcze-nasz u Turków.

8. Otóż Pan Kazimierz, roztasowawszy się na zimową leżę, postanowił zaprowadzić w swojej komendzie porządek

i przyuczyć żołnierza do egzercycji jakich było potrzeba — ale nie tak to łatwo przyszło dokonać tej chwalebnej antrepryzy. — Pułkownikiem dragonów (przy których ja zostałem Majorem) był niejaki Molens człowiek gburowaty i pełen zawiści przeciw Polakom. — Dobrał on sobie w pomoc kapitana Riganti Włocha i we dwóch dopiero przez skryte swoje praktyki podmawiali przeciw Puławskiemu oficerów i żołnierzy. — Gniewali się zaś o to najbardziej, że Pan Kazimierz kazał im regularnie zaciągać na warty i ciągle się egzercytować w manewrach, o których (jak się rzekło) najmniejszego nie mieli wyobrażenia — co się nie podobało paniczom, do próżniactwa, opilstwa i rozpusty przywykłym. — Już oba jako tako mogliśmy się rozmówić po angielsku i zrozumieć ich konszakty i mruczenia; a że ów włoch Riganti najwięcej intrygował, więc ja go przezwałem Kapitanem Intriganti. — Puławski zaś, że jak wiadomo werydyk był, prawdy w bawełnę obwijać nie umiejący i gdy mu się ktoś nie spodobał to mu zaraz powiedział historję o kpie — więc Panu Pułkownikowi Molens wyciął prawdę na gorąco i do submissji przymusił.

9. Markociły i niecierpliwiły jednakże Pana Kazimierza one niesnaki i nieporozumienia, śród których żyliśmy miesięcy parę — a do nich dołączyły się jeszcze inne przeciwieństwa i smutki, to jest wielki niedostatek i mizerja. — Bo często zatrzymywano wojsku płacę i nie dowożono żywności — a zima była tęga, ogromne mrozy dokuczały — i czasem żołnierz nieborak nie miał czem się zagrzać ani posilić. — Musieliśmy dokładać z własnych funduszów aby głodu nie cierpieć — drożyzna bowiem była niesłychana, mieszkańcy zaś nie chcieli przyjmować papierowej monety, którą kongres nam płacił. — Jakoś w końcu Decembra, na święta Bożego-Narodzenia zdarzyła nam się pociecha. — Tadeusz Kościuszko, będący w obowiąskach inżyniera przy północnej armji, na granicach Kanady, dowiedziawszy się że Puławski konsystuje w Trenton, przyjechał do nas za urlopem w gościnę. — Kościuszko nie miał miny zawiesistej jak Pan Kazimierz, ale widać było na jego twarzy poczciwość i otwartość szlachecką, a przytem był człowiek niezmiernie słodki i pełen wiadomości, kompanja więc jego i dyskursa wielką nam przyjemność sprawiły. — Choć równego wieku z Puławskim, nie znali się z sobą w kraju (bo pierwszy jeszcze ślęczył nad książką, kiedy już drugi Rossjanom pensa zadawał), ale tu oto na cudzoziemskiej ziemi spotkawszy się, pokochali się mocno, przyjaźń dozgonną sobie obiecując. — Po dziesięciu dniach zabawy, podczas których, mimo biedy, wysadziliśmy się na traktament staropolski, odjechał Kościuszko do swego korpusu i odtąd go już oczy moje nie spotkały, dopiero

w bitwie pod Dubienką w 1792. roku (o czem będzie niżej). — Tak mogę się pochwalić, że na ziemi amerykańskiej widziałem prawie razem, trzech największych bohatyrów mojego czasu: Washingtona, Puławskiego i Kościuszkę i nie wiem doprawdy, któremu prym się należy. —

10. Staliśmy w Trenton w bezczynności aż do pierwszych miesięcy roku pańskiego 1778. — Wtenczas, tak jakoś w końcu Februaris odebrał Puławski ordynans od Generała Wayne czynić podjazdy w okolicach Filadelfji, zabierać furaże i bydło, aby Anglików siedzących i bankietujących w mieście, ogładzać. — Wychodziliśmy przeto w kilkadziesiąt koni, robić co nam nakazano — i kiedy niekiedy napotkawszy nieprzyjaciół przychodziło do tuzów, o zawsze z korzyścią naszą. — Jedną razą będąc z Generałem Wayne, wpadliśmy w środek trzytysięcznego korpusu — już nam tył zabrano, aleśmy się, wezwawszy Pana Boga na pomoc, przerżnęli walecznie przez otaczające kolumny angielskie. — Tutaj Puławski pokazał co umiał — jako niegdyś w Polsce tak i teraz, w pierwszej linji przy ataku a w ostatniej przy odwodzie, uwijał się gracko a rąbał nie żartując, tak, że aż serce rosło patrząc na niego. — Jego to odwaga i przytomność salwowała mały nasz korpusik — on zaś sam wyszedł z tej siepaczki bez szwanku, tylko konia pod nim skaleczono. — To też Wayne nie mógł go się wychwalić, a Washington z onej okacji napisał do niego list z wielkiemi aplauzami i afektem. —

11. Przybywszy do Trenton zastaliśmy oficera dragonów, niejakiego Scudder, który wziąwszy urlop na piętnaście dni, bawił się u swojej familji w Pensylwanji, przez dwa miesiące, pozwolenia na to nie zyskawszy. — Puławski zatem, dla przykładu, osadził panicza w areszcie. — Czem się oburzyli Amerykanie podszczuwani przez Włocha Riganti, mówiąc: że się biją za wolność, a tu ich tyranizują; i Pułkownik Molens, na swoją odpowiedzialność, kazał wypuścić oficera. — Dowiedział się o tem Puławski — a że nigdy nie pozwolił dmuchać sobie w kaszę, więc i teraz przywołał Pułkownika i verba veritatis powiedziawszy mu ostro, posłał go do aresztu. — Ten zaś gbur nietylko że rozkazu nie wypełnił, ale jeszcze, bez zameldowania się wyjechał z miasta. — Puławski obrażony słuszenie, posłał o tem wszystkiem raport do Wayna, sądu wojennego nad Molensem domagając się. — Sąd się zebrał, ale cóż: Amerykanie zwąchawszy się jedni z drugiemi, uniewinnili Pułkownika. — Puławski widząc w tym kroku jawne ubliżenie swemu honorowi i randze, podał się natychmiast do dymissji, prosząc o pozwolenie odjazdu do Europy — i mnie z onem pisaniem do Vallej-Forge, gdzie była główna kwatera posłał. —

12. Washington odczytawszy list i wypytawszy się u mnie o szczegóły, uznał Puławskiego krzywdę, ale powiedział, że podług praw krajowych drugiego sądu zwoływać nie może. — Dodał tylko, iż bardzo mu smutno, że tak dostojny wojownik, który dał już niepoślednie dowody swojego męstwa, chce armję w tak krytycznej chwili opuszczać i że jeżeli zrzeka się dowództwa kawalerji, możeby przyjął jaką inną komendę? — Ja, że nie miałem na żadne umowy plenipotencji, odpowiedziałem że nie wiem, wziąłem tylko respons od niego i odjechałem do Trenton. — Puławski szanował wielce Washingtona i rad byłby go ukontentować — byle tylko jak to u nas mówią «i wilk był syty i koza cała,» to jest, by nie porzucać służby i jakoś honor salwować. Otóż deliberując ze mną, utworzył Pan Kazimierz projekt formowania oddzielnego korpusiku, złożonego ze stu ułanów i dwóchsęt piechoty, tak, aby nie być zależnym od nikogo i kozacką wojnę prowadzić. — Zameldowawszy się Generałowi Wayne i zdawszy nasze komendy, odjechaliśmy do Vallej-Forge. — Plan Puławskiego Washingtonowi podobał się i pod datą 28. Martii został akceptowany przez kongres obradujący wówczas w Yorktown. — Były niektóre objekcje co do zaciągania dezerterów (niemców rodem, którzy do nas kupami przechodzili) ale i na to przystano. —

13. Ulokowawszy się w miejscu zwanem Fishkill zaczęliśmy formację legji. — Puławski nie chciał mieć żadnego oficera Amerykanina; przysłano mu więc Francuzów, a między innymi, na dowódzcę pieszych, Pułkownika Armand (którego prawdziwe miano było Markiz de la Royerie, ale nie wiem z jakiej racji nazywał się tylko swojem chrzestnem imieniem). — Ten Pan Armand, zwyczajnie Francuz, był człowiekiem ugrzecznionym i determinowanym kawalerem, byliśmy więc z nim bardzo dobrze, równie jak i z innymi oficerami. — Ułani nasi, których Amerykanie nazwali l a n c e m e n, mieli długie piki z chorągiewkami, a piechota lekki rynsztunek. — Największa część żołnierzy składała się z Hessów, tęgich chłopów, nie bardzo ruchawych, ale do subordynacji w regularnem wojsku przyuczonych i w manewra wprawnych — wszystko więc szło jak po maśle. —

14. Nadeszła w onym czasie ważna wiadomość. — Król francuski uznał niepodległość Stanów Zjednoczonych — traktat z ich plenipotentami pod datą 6 Februarii w Paryżu podpisał i flotę opatrzoną amunicją i żołnierzem, pod przywództwem Grafa d'Estaing, na sukurs im posłał. — Obchodzono w całym kraju ten szczęśliwy wypadek z oznakami niepośledniej radości. — Washington chciał aby armja także manifestowała swoje sentymenta i w tym celu posłał instrukcją szefom wszystkich korpusów i oddziałów. — W dzień

naznaczony odprawiono modlitwy — wojsko wystąpiło pod bronią, strzelano z armat i kapela grzmiała. — Wieczorem był suty traktament i podług programu żołnierze mieli ordynans wołać «niech żyje Król francuski.» — Nawet nasze Hessy nieboraki musieli krzyczeć, choć niedawno królowi Jerzemu trąbili wiwaty; ale tak to na świecie: na czyim wózku jedziesz tego piosenkę musisz nucić. — Anglicy przewidując co się święci, wysłali byli komisarzy swoich do traktowania z Washingtonem i robili wielkie koncessje kolonistom. — Ale kongres onych propozycji nie przyjął i na dobre mu wyszło, bo we dwa dni po tej śmiałej decyzji, przyszła ona dobra nowina z Francji. —

15. Korpus angielski konsystujący w Filadelfji widząc że niebespieczeństwo mu grozi gdy Francuzi nadpłyną, wymaszerował z miasta ku brzegom morskim, aby na swoje okręta się zabrać i do New-Yorku jak mysz do dziury się schronić. Washington zrozumiał doskonale w jakiej pozycji znajdować się będzie nieprzyjaciel prowadzący za sobą liczne bagaże i magazyny przez kraj błotnisty i leśny. — Dał więc polecenie Generałowi Lee, aby nie tracąc czasu (nim on sam z główną armją nadciągnie) napastował Anglików w marszu i pokoju nie dawał skubiąc ich z boku i z tyłu. — Wyszliśmy i my z oną komendą na ściganie nieprzyjacielskiego wojska (tak jakoś pod koniec Junii) ale nie udała się ekspedycja przez opieszałość, głupotę, czy zdradę Generała. — Różni różnie mówili, a że Lee był rodem Angielczyk, więc suspicja ciężyła na nim tem większa. — Złożono na niego sąd militarny za to że wypuścił nieprzyjaciela na sucho, mogąc go zniszczyć do szczętu, a przynajmniej znacznie nadwerężyć. — Wskazany na zawieszenie od stopnia i dowództwa przez cały rok.

16. Po tej aferze, legja nasza komenderowaną została na ściganie licznych band, prowadzonych przez oficerów angielskich i złożonych z dzikich Indjanów i z torysów (nazywano torysami kolonistów, którzy byli partyzantami króla angielskiego). — Bandy te jak one niegdyś nasze hajdamackie na Ukrainie, dopuszczały się wielkich zbrodni, wiolencji i tym podobnych szkarad, paląc, rabując, mordując bezbronnych ludzi i nie przepuszczając ani dziecięciu ani szczenięciu. — Dzicy Indjanie (o których jest gadka że ludzkie mięso pożerają) umalowani i przystrojeni jak maski mięsopustne, a przytem okrutni nad miarę w pastwieniu się nad biednemi populacjami — złączeni z onem tałałajstwem amerykańskiem, tworzyli razem godną kompanję. — Bili się ci hultaje zacięcie i bronili do upadłego, bo wiedzieli że gdy popadną nam w ręce, przyjdzie im na cienki koniec. — Tak też bywało: bijącym się bowiem nie dawano pardonu, a pod-

dających się wieszano na najpierwszej gałęzi; gałęzi zaś nie brak w Ameryce, bo kraj lesisty. —

17. W ogólności wojnę tę całą prowadzono zacięcie ze strony obojej — klemencji jedni drugim nie pokazując; ale że ci i tamci byli lutrowie — więc nie dziwota! — W legji naszej znajdowało się niewielu Amerykanów a wszyscy oficerowie Polacy i Francuzi (ci ostatni prawda niezbyt nabożni ale przecież katolicy) to też okrutnego traktowania z poddającemi się nie było — wyjąwszy hersztów torysów, którzy musieli dyndać (bo taki był ordynans), innym niewolnikom krzywdy nie czyniono. — W onym czasie, przykomenderował Washington do naszych ułanów, nowo przybyłego Polaka z Europy, niejakiego Jerzmanowskiego młodego i odważnego wyrostka, który nam przywiózł świeże nowiny z Polski i pilnie odprawował swoje obowiąski na posterunkach i podjazdach — to też Pan Puławski go polubił i przepowiedział że wyjdzie na dobrego wojownika.

18. W czasie zimowych leży, nic nowego nie zaszło, wyjąwszy to, że raz w Egg Harbourg napadli nas nocą Anglicy i o włos co nie wydusili do nogi. W onej okazji, czujność Pułkownika Armand ocaliła legję i napastnicy narobiwszy alarmu, uchodzić musieli ze szwankiem. — Ostrzyli sobie na nas zęby, ale przy pomocy Pana Boga, odsadziliśmy ich jak kotów od mleka. — Nieprzyjaciel który dotąd w New-Yorku siedział i tylko między rzekami Delawarą i Shuylkill za nami się uganiał, w końcu tego roku przeniósł wojnę w południowe prowincje Stanów Zjednoczonych, nachodząc Karolinę i Georgję; zabierając miasta, paląc wsie i organizując nowe bandy torysów pod wodzą pułkownika Bojd, które niemało gwałtów i okrucieństw na nieborzętach spokojnych mieszkańcach, dopuszczały się. — Washington wysłał natychmiast w te strony Generała Lincoln z mocnemi siłami i na początku Februarii roku pańskiego 1779 Puławski odebrał także rozkaz udania się pod jego komendę — zatem pociągnęliśmy ku południowi. —

19. Był w Georgii przy amerykańskiej milicji niejaki Mojse Allen ksiądz luterski, ale człowiek bardzo determinowany, wymowny i wielki patrjota. — Opowiadano wszędy chwalebne jego czyny, jak w czasie potyczek zawsze znajdował się w pierwszym szeregu, zachęcając do boju, opatrując i unosząc rannych, grzebiąc zabitych etc. — Słyszałem nieraz Puławskiego mówiącego: «To drugi ojciec Marek! «radbym, panie bracie, poznać tego zucha i choć kacerza, «uszanować jak zasłużył.» — Ale nie przyszło do tego; bo w czasie napadu Generała Prevost ów ksiądz Allen dostał się biedak do niewoli i Anglicy osadzili go na okręcie skąd ratował się ucieczką — ale gdy płynął ku brzegowi,

straciwszy siły, utonął — żałowany bardzo przez cały naród. —

20. Maszerując szybko dla złączenia się z korpusem Generała Lincoln, który się nad brzegami rzeki Savannah uwijał, dowiedział się Puławski że silna partja Anglików zagraża miastu Charlestown stolicy Karoliny, a że to było po drodze, poszliśmy w odsiecz, choć nieproszeni. — Miasto Charlestown porządnie zabudowane, leży na cyplu ziemi, wchodzącym w morze tak, iż ze trzech stron oblane jest wodą. — Od czwartej strony, to jest od lądu, Generał Rutledge (komenderujący miejscową milicją) popaliwszy domy na przedmieściu, kazał usypać na prędce okopy otoczone palisadą, by służyły ku obronie. — Jedenastego Maii, jakie tysiąc Anglików przeprawiło się przez rzekę Ashlej i stanęło obozem o kilka staj naprzeciw fortyfikacji. — Tegoż samego dnia, my przeszedłszy rzekę Cooper na promie (bo w onym kraju, jak się rzekło, więcej rzek jak wiosek) przybyliśmy do miasta, gdzie nas Generał Multrie, dzielny wojownik i Puławskiego wielki admirator, serdecznie przywitał — a mieszkańcy widząc zawiesiste miny naszych legjonistów, wyprawili nam tęgi traktament.

21. Ale Pan Kazimierz nie chcąc aby Charlestown zamieniło się dla nas w Kapuę, godzin tylko dwie pozwolił wypoczywać — poczem zaraz zrobił wycieczkę bardzo rozumnie wykoncypowaną. — Bo choć zwyczajnie w życiu lubił otwartość, w wojnie nie gardził fortelem i rad nieprzyjaciołom płatał figle, czego Drewicz pod Częstochową nieraz zakosztował (jak o tem było wyżej). — Otóż wycieczka ona tak była ułożoną: postawił Kapitana Fleury ze sto pieszego żołnierza za wałem, dając im ordynans pokłaść się na brzuchach i nie pokazować się aż przyjdzie pora. — Sam zaś z oddziałem kawalerji, gdzie byłem ja i Jerzmanowski, miał podjechać pod obóz Anglików, harcować z nimi przez chwilę — a potem udawszy trwogę uciekać ku miastu i paniczów wciągnąć w zasadzkę jak młodego wilka do zakrytego dołu.

22. Poszły rzeczy jak Pan Kazimierz przewidział. — Postrzegłszy zbliżający się mały nasz oddział, wysłał generał Prevost jakie sto koni na rozmowę; uganialiśmy się z niemi to w prawo to w lewo lecz bez skutku z obojej strony. — Nareszcie Puławski widząc że ryba bierze na wędę, hajże drapaka, a Anglicy za nami. — Było jeszcze jakie półtora staja do okopu gdzie nasi ludzie leżeli. Puławski mówi mi: «Udała się sztuka, panie bracie — wpadną w nastawioną «łapkę.» — Aż tu Fleury, nie czekając sygnału wyłazi na wierzch i szykuje swoich na wzgórzu. «A niech kaczki «zdepczą Francuza (krzyknął Pan Kazimierz z gniewem) po-

«mięszał mi szyki, niezdara» — obejrzem się — Anglicy nie w ciemię bici zrozumieli praktykę i zatrzymawszy pogoń, zwrócili nazad tak szybko że nie czas było i gonić. — Puławski zbeształ Fleurego, mówiąc mu bez ogródki że pokpił sprawę. — Wymówił się Francuz, jakoby usłyszał sygnał. — I tak ona rzecz się nie udała, ale nie z polskiej winy.

23. Angielski Generał nie mając z sobą ciężkich armat, zaniechał napaści na miasto i w parę dni odszedł nazad, lokując swoje wojsko na małych wysepkach rozrzuconych na wybrzeżu, gdzie dopuścił się niemałych gwałtów nad biednemi mieszkańcami, paląc domostwa z inwentarzami i całą chudobą — zabijając bezbronnych starców, białogłowy i dzieci. — Mówiono nawet że w odwrocie, rabusie owi rozkopywali smętarze, szukając po trumnach czy nie było ukrytych klejnotów, i świętokradztwa nad nieboszczykami dopuszczając się. — Myśmy też wkrótce pociągnęli dalej ku południowi, kierując się ku Generałowi Lincoln, pod którego komendę (jak rzekło się wyżej) kongres nas posłał — i nadybaliśmy go w parę dni. — Flota francuska w początkach septembra powróciła ze swojej wyprawy na posessje angielskie w Indjach — i na brzegach Georgji stała. — Ułożono przeto plan, atakować razem od lądu i od wody miasto Savannah, gdzie się w obronnym zamku trzymali Anglicy.

24. Był w tej porze upał do niewytrzymania, fatyga wielka śród ciągłych marszów; pocieszaliśmy się tylko nadzieją odebrania dużego miasta, o czem nikt w armji nie wątpił — bo połączone wojska dwóch narodów miały działać przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi. — Francuzi wszędy, a nawet w Ameryce, posiadają renomę ludzi walecznych, a Graf d'Estaing zostawiwszy na okrętach tylko majtków, puszkarzy i kanonierów — całą piechotę swoją, trzy tysiące przeszło głów wynoszącą, na ląd wysadził i sam się ofiarował prowadzić ją do szturmu — jakże tu było wątpić o sukcesie! — Puławski był wesół, układał plany na przyszłość, nie przewidując że grób miał znaleźć pod Savannah, w niepoświęconej ziemi, zdaleka od kochanej ojczyzny — i skończyć śmiercią gwałtowną, bez sakramentów..... zwyczajnie po żołniersku. — (O czem będzie w następnej księdze.). —

KSIĘGA DZIESIĄTA.

Szturm do miasta Savannah — Śmierć Puławskiego — Moje podanie się do dymissji i odjazd do Europy — Spotkanie się w Saint-Domingue z Bieniewskim płynącym do Ameryki — w Paryżu z Miączyńskim — w Dreźnie z księżną Kurlandzką — Przybycie do kraju. —

---

1. Miasto Savannah leży nad rzeką tegoż samego imienia, która w tem miejscu (już blisko ujścia swego do morza) tak jest szeroką i głęboką, iż może nosić okręta. — Miasto samo otwarte — miało tylko z boku mocną fortecę opatrzoną przekopami i dostatkiem armat — z drugiej zaś strony usypali Anglicy kilka baterji i osadzili żołnierzem. — Pod koniec Septembra (jak rzekło się wyżej) przyszli Amerykanie z aliantami swemi Francuzami pod Savannah i posłali parlamentarza do Generała Prevost, radząc aby prosił o pardon bo nie podoła przeciw ich forsie. — Angielczyk frant, zażądał dwadzieścia cztery godzin namysłu, a odwlóczył dla tego (jak dowiedziano się później) aby dać czas Generałowi Maitland przybyć z sukursem — co się też stało. — A wtenczas nieprzyjaciele czując się na siłach, roześmiali się z propozycji i poprosili w taniec. — Zaczęliśmy więc oblężenie po formie — inżynierowie nasi sypali okopy, a okręta francuskie zbliżyły się ku miastu. — Temczasem czynili Anglicy gęste wycieczki — dwakroć odpędzeni ze stratą, ale trzeci raz poprawili się i wysiekli nam ludzi nie mało.

2. Muszę tu wspomnieć jedną dziwną okoliczność. — Pamiętam jakby dzisiaj, pierwszego oktobra, widząc że Puławski jakiś nie swój, zapytałem co mu takiego: — «Ot «panie bracie (rzekł mi), wczoraj gdzieś zgubiłem szkaplerze «— nie dobry to sygnał.» Puławski jak my wszyscy rycerze Barscy będąc sodalisem, nosił szkaplerze pocierane o cudowny obraz Najświętszej Panny i pobłogosławione przez samego nuncjusza papieskiego, gdy nas nawiedził w Częstochowie (o czem było wyżej); zasmuciła go więc strata onych świętości, które jako prawowierny katolik z wielkiem nabożeństwem pielęgnował. — Pocieszałem go jak mogłem i chciałem mu dać jeden z moich — ale jak się wyraził nie chciał mnie pozbawiać onej tarczy niebieskiej i dodał: «Jeślić taka wola «Pana Boga że tu przyjdzie nadłożyć głową, jakże ja grze-«szny człowiek wyrokowi takiego Pana mam się opierać: «fiat voluntas tua Domine.» — Mnie było markotno, ale prawdę powiedziawszy, żadnego prognostyku stąd nie wy-

ciągnąłem wówczas — dopiero potem. — Zresztą Pan Kazimierz dłużej o tem nie gadał ani się lamentował; co ja widząc, przestałem myśleć o przypadku onym.

3. Zaczęło się cztery dni później bombardowanie fortecy, od wody i od lądu, ale bez korzyści i straty wielkiej, tak z jednej jak z drugiej strony. — Major jeden francuski nazwiskiem Lenfant popisał się po kawalersku — wziąwszy tylko z sobą żołnierzy pięciu, mimo gęstych strzałów przedarł się pod same nieprzyjacielskie fortyfikacje i palisady im podpalił, ale że drzewo było zbutwiałe więc ogień ten zagasł — inaczej bylibyśmy ich wykurzyli jak lisow z jamy. — Dziewiąty oktobra przeznaczono na szturm generalny. — Milicja zrobiła atak fałszywy lecz główne siły Amerykanów i francuzów skierowały się na baterje leżące na wzgórzu zwanem Spring hill. — Tutaj dopiero było gorąco nieżartem — przez pół godziny i więcej, huczały armaty i krew się lała. — Puławski widząc że między okopami jest duża luka, postanowił z nami i z małym oddziałem georgijskiej kawalerji puścić się obces tą drogą, wpaść w środek miasta i tym sposobem zrobić nieprzyjaciołom dywersję, a mieszkańcom uciechę. — Generał Lincoln śmiały plan ten pochwalił — a więc wezwawszy Pana Boga na pomoc, Puławski krzyknął forward, a my za nim, dwieście koni, kopnęliśmy się galopem że aż ziemia się trzęsła.

4. Pierwsze dwie minut szło wyśmienicie — lecieliśmy jak na stracenie, ale gracko, po szlachecku — dopiero gdyśmy mijali one dwie baterje między któremi była luka, wstrzymał nas ogień krzyżowy i zmięszał się hufiec jak puszczona woda z wysoka gdy na zamkniętą śluzę natrafi. — Ja patrzę: o chwilo bolesna i niezapomniana nigdy! Puławski leży na ziemi. — Poskoczę co żywo i zsiadam z konia, myśląc że nieszkodliwie ranny — aż tu wielkie nieszczęście! Kula armatnia urwała mu nogę, a z piersi krew bucha także, snać od innego strzału. — Gdym przyklęknął i zaczął go podnosić, wymawiał umierającym głosem: «Jezus, Marja, Józef» więcej nic nie słyszałem, ni widziałem — bo w tym samym momencie, karabinowa kulka śliznęła mi się po czaszce, krew mi oczy zalała i omdlałem zupełnie. — Poczciwi żołnierze nasi zachęceni przez Jerzmanowskiego, rejterując się ku swoim, unieśli (mimo rzęsistego ognia) Puławskiego, mnie i innych rannych. — Pod wieczór, gdy opatrzony przez felczera przyszedłem do przytomności, Jerzmanowski powiedział mi że Pan Kazimierz żył jeszcze blisko godziny, ale gadał słowa tylko przerywane, jako chorzy w malignie — to o Polsce, to o przyszłości, to o jakiejś Franciszce!... Dał także znak aby mu podano krucyfix z ukrzyżowanym Chrystusem, który do ust z nabożeństwem przycisnąwszy, ducha wyzionął.

5. Tak zginął w on dzień feralny dziewiątego Oktobra 1779 roku, lat mając trzydzieści sześć niespełna, po Stefanie Czarnieckim największy bohatyr polski. — Aby godnie pamięć jego uczcić i wysławić, trzebaby na to Wirgiljuszowskiego pióra lub wymowy onego greckiego Plutarcha — a ja oto człowiek rycerski, sercem tylko duży a nie rozumem, zdatniejszy do korda niż do elokwencji, czyż podołam takiemu dziełu? Nie zamilczę jednak i powiem jako umiem. — Puławski kochał gorąco Pana Boga, ojczyznę swoją i rodaków swoich — odważny był do zuchwałości i choć miernego wzrostu, w ręce siłę miał niesłychaną — a na szable bił się jako nikt. — Sam nigdy sprawy nie zaspał ani prześlepił, to też był rygorystą w służbie i bratu by rodzonemu nie przepuścił militarnego feleru. — Prywaty nie było w nim zgoła — zapominający o sobie a wylany dla innych — tak że z każdym ostatnią koszulą byłby podzielił się chętnie. — Słowem, sentymenta miał kawalerskie i nieocenione; był to prawdziwy szlachcic polski, co jak to mówią u nas; «prędki «do zwady, ale użyteczny do rady; dobry do zabawy i do «sprawy — do modlitwy i do bitwy.» — I jeśli miał jaką wadę, toć chyba tę, że był nadto gorączka i że nie znając dyssymulacji, na złość i ansę ludzką czasem się narażał niechcący! *)

6. Po onej nieszczęśliwej antrepryzie na Savannah, w której połączona armja nasza do tysiąca ludzi straciła — Graf d'Estaing ranny dwa razy, zabrał swoich Francuzów na okręta i odpłynął sobie z Bogiem — a my z Generałem Lincoln przeszedłszy rzekę, pociągnęliśmy do prowincji Karoliny. — Dowództwo Legji naszej dane było Pułkownikowi Armand jako najstarszemu oficerowi; ale mnie choć wyleczonemu niedługo ze skaleczenia, wszystko już od śmierci Puławskiego tak w Ameryce obrzydło i tak zacząłem tęsknić za krajem że rady sobie dać nie mogłem, wlokąc się za innemi, jako człowiek nie na ciele wprawdzie, ale na myśli bolejący i chory. — Strata pana Kazimierza tyloletniego kompana, którego jako ojca czciłem, a więcej niż brata kochałem — wbiła mi klin pod serce i doskwierała niewymowną

---

*) Obaczmy w jaki sposób Lafayette, który znał także osobiście Puławskiego, mówi o naszym barskim rycerzu. — W pierwszym Tomie pamiętników wydanych po jego śmierci w Paryżu w 1837 roku czytamy na stronnicy 29: «..... Pulawski confédéré polonais, qui seul avait refusé sa «grâce; intrepide et vertueux chevalier..... meilleur capitaine que général, «il voulait être polonais partout, et Monsieur de Lafayette après avoir con«tribué à sa réception, travaillait souvent à ses raccommodements» ... — To wyrażenie: il voulait être polonais partout — odpowiada wybornie tym słowom Rogowskiego: był to prawdziwy szlachcic polski. — A owe częste raccommodements, dowodzi że Puławski, jako mówi Rogowski, był nadto gorączka. (Przypisek Wydawcy.)

żałością. — Zostawszy sierotą, przypomniałem sobie że jestem i egzulem i uczułem jakiś wstręt do obcych, którzy mnie otaczali, a chęć do swoich którzy byli daleko! —

7. Doprawdy że nie żadna obawa śmierci tak mnie wypędzała z Ameryki, boć człowiek grzeszny raz się rodzi i raz umiera — a przystojniej rycerzowi zamknąć powieki na siodle pod gołem niebem, niż na piernacie pod kotarą. — Przynajmiej nie widzisz co dzień większego smutku i przestrachu na twarzach krewnych i przyjaciół — doktór cię łacińskiemi specjałami nie pasie i cielsko w tobie nie gnije stopniami. — Na wojnie jedna chwilka i wszystko skończone! A jeśli nie masz czasu obrachować się całkiem z sumieniem, dostać absolucji kapłana i ostatecznego namaszczenia świętym olejem — to przecież Pan Bóg miłosierny. . . . . . .

. . . .

. . . .

KONIEC.

POST-SCRIPTUM WYDAWCY.

Blisko siedmdziesiąt lat już ubiegło od epoki na której kończą się niniejsze Pamiętniki. — Zmieniła się postać starego i nowego świata — nowi bohatyrowie wystąpili i zeszli z widowni, zostawując każdy odbłysk swojej sławy na kartach historji — a pamięć Kazimierza Puławskiego tak silnie żyjąca śród nas Polaków, przechowała się także nietykalna w sercach ludu amerykańskiego.

Niewdzięczność gnieździ się często w indywiduach — ale w człowieku zbiorowym, w narodzie — nigdy! — Narody pamiętają zawsze o tych, którzy dla ich dobra poświęcali się — którzy w obronie ich praw i swobód, położyli to, co po honorze mieli najdroższego — życie!

Dla tego też w Stanach-Zjednoczonych nie zapomniano o Puławskim — a imię jego w tradycji ludowej tak dotąd jest popularnem, jak dziś w Francji imię Księcia Józefa Poniatowskiego.

Ziomek nasz P. Rudolf Gutowski, który przez lat kilka bawił w północnej Ameryce, uradował mnie opowiadaniem,

z jaką czcią Amerykanie wspominają o naszym Barskim rycerzu.

W Georgji, między Savannah i Augusta znajduje się małe miasteczko zwane Pulaski — a większa część statków parowych, w południowych prowincjach, nosi także imię tegoż bohatyra.

W mieście Savannah, w głównej sali ratuszowej, oglądał P. Gutowski, przechowywany portret Kazimierza Puławskiego, robiony olejno przez sławnego malarza spółczesnego wojnie o niepodległość, Pana Stuart — a na placu przeznaczonym na przechadzkę publiczną, wysoki obelisk z granitu, który choć nie nosi żadnego napisu, nazywany jest przecież przez mieszkańców: Pulaski's monument.

Drobne to są i mało znaczące szczegóły — zamieszczam je przecież tutaj i do powszechniejszej wiadomości podaję — bo zapewniony jestem iż przyjemnemi będą dla każdego Polaka.

Krew przelana w świętej sprawie wolności nigdy nie jest straconą — prędzej czy później każda jej kropla wydaje plon bujny, jako ziarno zapłodnione i powierzone matce ziemi!

Po latach tylu, znaczna liczba rodaków naszych zabłąkana w tułactwie aż do nowego świata — jeżeli śród zimnego (jak utrzymuje opinja europejska) narodu amerykańskiego znajduje dzisiaj szczerą gościnność i nieudane współczucie — winna to jest bez zaprzeczenia, nie czemu innemu, jeno znakomitym zasługom Tadeusza Kościuszki i śmierci Kazimierza Puławskiego!

KOMTUSZOWE

POGADANKI

I

OBRASKI Z SZLACHECKIEGO ŻYCIA.

PRZEDMOWA.

Podobnie jak geolog, rozpatrując się w wnętrzach globu, napotyka w nich nagromadzone pracą wieków różnolite pokłady ziemne — spojone silnie z sobą a jednak odmienne składem i barwą — tak samo historyk-filozof, badając fizjonomję jakiego bądź narodu, spostrzega iż następujące po sobie pokolenia, choć połączone nieprzerwanym węzłem pobratymstwa — stanowią przecież jakoby różnolite warstwy ludności, zachowujące każda typ sobie właściwy i prawie odrębny koloryt.

W dziejach narodu naszego uderza nas podobne zjawisko.

Od olbrzymich postaci zakutych w żelazo praojców, którzy z Bolesławami zakopywali po rzekach słupy graniczne, nucąc pobożnie pieśń Boga-rodzicy — aż do dzisiejszej frakowej młodzieży, rozprawiającej o filizofji Hegla i o socjalizmie Prudhona — ileż to odmiennych przesuwa się odcieni w długowiekowem pasmie narodowego żywota!

Całkowity wizerunek starożytnych pokoleń zatarł się na odległych kartach historji. Kronikarze zajęci jedynie wielkim ciągiem wypadków politycznych, rozwijając łańcuch dziejowy, za błahą rzecz uważali narysować nam kształt szczegółowy każdego ogniwa — i zaledwo kiedy niekiedy to lub owo drobne wyrażenie współczesnego pisarza, odsłoni nam czasem mały kącik obrazu. A wtenczas musim, jak ów nieśmiertelny Cuvier, z jednego odkopanego żebra odbudowywać w wyobraźni cały skład ciała przedpotopowego mastodonta.

Dopiero im bliższe nas pokolenia, tem wyrazistsze zaczynają być ich rysy — mamy bowiem pod ręką coraz więcej piśmiennych dowodów, w których ojcowie zostawili nam odbłysk swego życia, krój swojej myśli i niejako dźwięk swego głosu. Tego rodzaju świadectw nie na kartach historji,

ale w prywatnych pamiętnikach czasowych szukać należy. To też Krzysztof Radziwiłł, Pasek, Otwinowski i Kitowicz, w potocznem opowiadaniu swojem, rozświecili nam daleko lepiej tajniki i fizjonomję siedmnastego i ośmnastego stulecia — niż najpoważniejsi historycy owocześni, silący się pisać ze zwięzłością Tacyta lub z kwiecistością Liwiusza!

Badacz, wpatrując się z uwagą w te źwierciadła, które jak nowożytne daguerrotypy, zatrzymały na swojej powierzchni przesuwające się niegdyś przed niemi obrazy — spostrzega malowniczą różnobarwność następujących po sobie epok. — Zwyczaje, obrzędy, strój i sposób widzenia rzeczy, coraz nowy kształt przybierają; bo wszystko co żyje musi się przeradzać — iść naprzód — czasem w tył się cofać — ale nigdy stać na miejscu nie może.

Nigdzie jednak nie uderza nas tak wielki odskok, tak ogromna różnica — jak między pokoleniem które żyło przed rozbiorem Polski — a naszem.

Silniejszy wpływ idei zachodnich, wstrząśnienia polityczne, a najwięcej może owa dążność teraźniejsza, zgubna czy prowidencjonalna, zespolenia i starcia wszystkich narodów, w jedną bratnią społeczność europejską — sprawiły niezaprzeczenie ten kataklistyczny przedział.

Trybem życia i ubiorem — sposobem mówienia i wyobrażeniami — całą nawet materjalną postacią, różnim się daleko więcej od ojców naszych, niż oni od swoich dziadów się różnili. Nie jedno pokolenie, ale wiek zdaje się cały, przepłynął szeroką falą między nimi a nami. I jeśli ludzkość podobnym krokiem postępować ma odtąd — znajomość dokładna niedawnej epoki Stanisława Augusta, szczególniej pod względem domowego pożycia — stanie się dla wnuków naszych jakąś średniowieczną archeologją.

Historykami Polski owych czasów, byli po największej części cudzoziemcy — bo w kraju rozszarpanym na ćwierci, niewolno było tykać piórem tak drażliwej i tak kołatającej w sumienie zaborcom naszym materji. W pismach ich są mniej więcej prawdziwe fakta, ale charakterystyki obyczajowej napróżno byś tam szukał! Naoczni zaś świadkowie wczorajszych zdaje się zdarzeń, już prawie całkiem wymarli.

Jestże dziś na całej szerokiej ziemicy naszej, choć aby jeden z konfederatów Barskich? A starcy którzy zasiadali na ławach czteroletniego sejmu lub walczyli pod Kościuszką, jakże zaczynają być rzadcy. Lat jeszcze kilkanaście a już żadnego żyjącego pomniku tej epoki nie będzie!

Polska kontuszowa zasuwa się w przeszłość — owa serdeczna fantazja szlachecka, o której Pasek tak często wspomina, zamienia się na jakąś etykietalną grzeczność salonową; — wiadomostki czerpane z gazet zastępują wśród przy-

jacielskich pohulanek, dawne dykteryjki wojenne, sejmikowe i trybunalskie — a czytanie romansów zabiło owe niewyczerpane a wesołe gawędy, skracające niegdyś długie wieczory zimowe, pośród rodzinnego koła.

Póki więc czas jeszcze, obowiąskiem jest naszym, jak kto może, ocalać od zapomnienia to wszystko co stanowiło typ pokolenia, którego jeszcze ostatnie szczątki przesunęły się nam przed okiem.

Mickiewicz w Panu Tadeuszu, Wincenty Pol w niektórych ze swoich poezji, K. W. Wojcicki w Gawędach, Ignacy Chodźko w Obrazach Litewskich, i autor Pamiętników Soplicy — zachowali dla potomności nie jeden rys ciekawy fizjonomji przedrozbiorowej Polski — nie jeden wizerunek charakteru, lekkomyślnej ale poczciwej szlachty naszej.

Podobną myślą wiedziony, zająłem się i ja odrysowaniem znanych mi niegdyś postaci z epoki Stanisławowskiej — i spisaniem tułających się po pamięci mojej opowiadań słyszanych w młodości od ojca i od tych, którzy już wówczas nazywali sami siebie ludźmi dawnej daty — i dziś oto puszczam na świat tę dorywczą pracę, pod tytułem Kontuszowych pogadanek i obrasków z szlacheckiego życia.

Jeśli czytelnik, przerzucając karty tego dziełka, napadnie gdzie na znaną mu anegdotę — na zdarzenie o którem może już słyszał, niechaj nie oskarża mnie o zawód — bo oświadczam zawczasu, że po części nie z wyobraźni, ale z pamięci wysnułem wątek tych powiastek i szkiców. Kreśląc niejako wspomnienia mojej młodości i wprowadzając na scenę osoby nie wymyślone ale rzeczywiste — odświeżyłem przytem kilka starych obrasków, nowe tylko ramki im dając.

Słowem, zrobiłem toż samo co ów staranny amator, który nazbierawszy tu i owdzie, parę zardzewiałych kolczug, buzdyganów i karabeli — nieco zapleśniałych monet, pierścieni i puharów — jeden i drugi misternie wyciosany ale uszkodzony wiekiem mebel — oczyścił je, ponaprawiał i uporządkowawszy w osobnym pokoiku, gdzie także zawiesił kilka własnych malowideł — zaprasza ciekawych do oglądania tego małego zbioru antyków i portretów zdjętych z natury.

Paryż, 20 Listopada 1850 roku.

I.

MEMORABILJA SZKOLNE.

Długo swarzył się Pan ojciec z Panem wujem do których szkół miałem chodzić. Pan wuj consultabat żeby do Pijarskich, a Pan ojciec upierał się żeby do Jezuickich. Wystawiali argumenta i przesadzali się racjami jeden nad drugiego; finabiliter Pan ojciec skonkludował talibus verbis: «Ja i ś. p. rodzic mój, edukację bralimy u przewielebnych Ojców Societatis Jesu, a oto my wyszli nie na żadne hetki pętelki ale na ludzi bez poszlaki i na obywateli estymowanych w powiecie. Pijarowie, za któremi Waść intercedujesz są to mędrki i nowatory — sub prætexto jakichciś tam reform, przygotowujący vincula na złotą wolność szlachecką — boć jeden z nich jak wiadomo, śmiał napisać książkę contra liberum veto! — Nie chcę ja żeby mój Antoś w złych pryncypjach się chował, lub miał być mędrszy albo głupszy od rodzica swego; tandem tedy będzie pił pietatem et sapientiam z tegoż samego dzbanka co ja, to jest z Jezuickiego: dixi.» Tak ukończył się certamen i stanęła rozolucja.

Chociaż miałem ogarnięcie jakie takie, posłano po krawca żyda do miasteczka, który mi citissime ze starego ojcowskiego kontusza zrobił nowy — a z gredytorowej sukni Pani matki, uszył żupanik od święta. Szaty one z koszulami i inną bielizną ułożono w dużą skrzynkę — w której skrzynce była na boku kryjówka in similitudinem kojca, gdzie Pani matka dla konsolacji smutku mego, włożyła mędel jabłek, słoik suszonych śliwek i dwa pierniki. Tak ukończywszy przybory do drogi, po płaczach i lamentach przy opuszczaniu domu, powiózł mnie Pan ojciec, na kilka dni przed Ś. Idzim, do Warszawy.

Było tam już dwóch synów sąsiada naszego ulokowanych na stancji, wraz z dyrektorem u Pani Aniołkowskiej — z niemi tedy razem Pan ojciec mnie zostawił, postanowiwszy się z gospodynią o zapłatę za wyżywienie, a z dyrektorem za dozór i repetycje. Mnie zaś dał długie consilia — benedictionem paternam i talara szóstakami. Pierwszy raz w życiu posiadałem pieniądze, to też uradowałem się niepomału, quia credebo, że za tyle monety będę mógł całą Warszawę kupić. Ale kiedy przed gospodę zajechała bryka do wyjazdu, gaudium moje zamieniło się w lacrimas. — Nie chciałem wypuścić Pana ojca włócząc mu się do nóg — a kiedy wsiadł już na brykę kół się czepiałem — tak że dyrektor musiał mnie wziąść na barana i odnieść na stancją flentem et dolentem. — Miałem wówczas dwanaście lat, a że odebrałem w domu pierwsze rudimenta łaciny, umiejąc zgadzać adjectivum cum substantivo i casus nominum cum temporibus et modis verborum — tandem tedy nie do infimy ale do Grammatyki mnie przyjęto.

Jedna strona szkoły nazywała się pars romana, gdzie siedzieli lepiej uczący się — a druga pars græca przeznaczona dla pośledniejszych. Mnie jako nowo przybyłego, posadzono między ostatniemi, gdyż trzeba się było własnym dowcipem i nauką dosługiwać locum honorificum. Pod piecem stała ławeczka dla nieuków, zwana scamum asinorum, a nad nią wisiała na kołku ośla korona, niby caput Medusæ dla postrachu młodzieniaszków!

Chcący nie chcący trzeba było się aplikować. — Nasamprzód w domu Pan dyrektor zaganiał do nauki, trzepiąc po rękach placentą, a czasami i gdzie indziej rózgą. — W szkole musielimy recytować zadane pensa przed audytorem. Postea, interrogobat Dominus Professor i nie folgował Dobrodziej. Notowały się bowiem errores, a kiedy przyszła Sobota, kalefaktor odliczał każdemu, zarobione przez tydzień plagi. — Oprócz obawy kary, egzystowała jeszcze emulacja między dyscypułami — jeden przesadzał się nad drugiego żeby pozyskać laudes i dostać się ad meliorem locum. Tandem tedy nieraz ten, który wczoraj gnił na ostatniej ławce, jeśli dziś bene responsit i skonfundował swego emulusa, brał jego miejsce, choćby ono było na pierwszej ławicy; sic itur ad astra! We szkołach Ojców Jezuitów działo się albowiem jako w Rzeczypospolitej naszej, gdzie każdy szlachcic mógł ambire sceptrum i zasiąść na majestacie królewskim. Otóż i w szkole można było sine transitione za bystrą odpowiedź z pod pieca dostać się nawet na miejsce dyktatora, to jest

najpilniejszego dyscypuła, który w osobnej katederce obok Pana Professora siedział.

Najmilsze jednak dnie były Wtorki i Czwartki jako dies recreationis. — Wychodzilimy z dyrèktorami i z Patrami nad Wisłę wedle Ujazdowa, gdzie na polu rozpoczynały się zabawki i harce. — Młodsi grali w palanta a starsi bili się w palcaty (alias w kije), na manier militarny. Eo modo syn szlachecki jeszcze w szkołach wprawiał się wcześnie w krzyżową sztukę. Nie dziwota, że naród nasz taki był sławny do szabli i zawsze gotów do bójki, kiedy a juventute, do egzercycji rycerskich zaprawiał się. — Na rekreacjach pozwolono było każdemu pośmiać się i pofiglować — byle nie popełnił akcji nieskromnej, dopuściwszy się czegoś contra bonos mores. — Mnie z początku jako przybysza przedrzeźniano, molestując żarcikami, szczególniej za to żem miał wykrzywione buty. — Tandem tedy, jaki taki przymawiał: «że nie służę Panu Bogu ale świętej Ewie, bo nie chodzę na podeszwie ale na cholewie...» Szczęściem przyszło mi in memoriam, præceptum Pana ojca, że nie trzeba zagabać nikogo, ale też nie pozwolić nigdy grać sobie po nosie. Ergo przydybawszy jednego z trefnisiów na stronie, wytuzowałem porządnie i po bokach i po czuprynie — co obaczywszy inni, żem nie mazgaj i że umiem się bronić jak na szlacheckie dziecko przystało, dali mi pokój. — Od owego momentu żyłem ze wszystkimi w najlepszej komitywie.

Tak między nauką i zabawą — odbierając nutrimentum spiritus et exercitionem corporis, przeszedł rok cały. — Miałem dobrą pamięć i nie tępą głowę; emulując tedy z drugimi, dostałem się naprzód na pars romana a niedługo na audytora auditorum, to jest na wysokiego dygnitarza szkolnego, gdyż wszyscy audytorowie musieli codzień przedemną recytować pensa. — Ma się rozumieć, że exercitium de promotione udało mi się wyśmienicie, a tak finis coronavit opus. Na dzień Ś. Ignacego, w którym zaczynały się wakacje, przyjechał Pan ojciec do Warszawy, a dowiedziawszy się od Dyrektora i od Prefekta, żem się aplikował dobrze, pogłaskał po głowie i kupił mi na prœmium nowy scyzoryk. Pojechalimy do domu — tam dopiero była uciecha! Ucałowała mnie Pani matka mówiąc żem wyrosł i wyładniał — służebnicy kłaniali mi się z większym jak dawniej respektem. — Pan ojciec pozwalał mi siadać na krześle w swojej

obecności, co było faworem nie lada — a gdy przyjechali goście, musiałem się popisywać z nauką i na zapytania Jegomościów latinis verbis respondere. — Pan wuj nawet, choć nie partyzant jezuickiej edukacji, cieszył się z moich progressów na co Pan ojciec rzekł: — A widzisz Waść że chłopak darmo kaszy nie zjadał i że w kramie Societatis Jesu nie szych, ale szczere złoto przedają!

Rok następny studjowałem w Syntaktyce — było daleko więcej mozołu, pryncypalnie dla tego quia debemus w szkole czy za szkołą gadać zawsze latine, a kiedy się komu wymknęło choć jedno słówko polskie, odbierał notam linguæ to jest małą tabliczkę, którą trzeba było nosić dopóty, dopóki nie przydybało się innego dyscypuła gadającego po polsku. Ten schwytany na uczynku musiał ją przyjąć i czatował na trzeciego, trzeci na czwartego etc. — Przez cały boży dzień biegała tabliczka z rąk do rąk, ale biada temu przy kim zanocowała — nazajutrz rano, po modlitwie zwyczajnej do Ducha Ś. zapytywał professor: Quis habet notam linguæ? I ten co ją miał pokutował za wszystkich odbierając karę. Rozmaitych tedy używano fortelów do pozbycia się onego signum periculosum — najpospolitszem było zapytać kogoś ex abrubto pokazując palcem na książkę, albo na ławkę, albo na co innego: quomodo hoc explicatur polonice? Jeżeli był fryc, albo niepilnujący się, to pokazowaną rzecz nazwał po polsku i złapał notę. Ale przebieglejsi którzy się znali na farbowanych lisach, odpowiadali śmiejąc się: explicatur: nescio!

Tak tedy infortunatus possesor cedułki na jutrzejsze rózgi, musiał chodzić gdzie indziej ze swoim podejrzanym towarem, póki go się, si poterat, nie pozbył. — Raz tylko jeden, tabliczka u mnie przenocowała, ale uniknąłem biedy, dając przed przyjściem profesora jednemu dyscypułowi chudeuszowi, tynfa — który za tę zapłatę przyjął notam linguæ i za mnie odebrał cięgi. Upiekło mi się na ten raz — nie długo jednak przyszła kryska na Matyska.

Przypadło to z następującej okazji. Znajdował się we szkole zauszniczek pewien, wielkie nic dobrego, o którym wiedzielimy, że był Censor secretus i denuncjował nas co tydzień profesorowi. Tandem tedy, jednego dnia wracając z rekreacji, wymawiali mu niektórzy niepoczciwe rzemiosło dawania przeciw bliźniemu fałszywego świadectwa — sed

negavit latro, odgrażając się jeszcze zuchwale. Co ja widząc przypadłem z boku i palnąłem go pięścią tak, że mu czapka zleciała z głowy. — Inni adspicientes successum mego kułaka przypadli hurmem, a chociaż był chłop pod wąsem, jednak nec Hercules contra plures — wytrzepalimy go porządnie co się jeno zmieściło. A kiedy się bronił niegodziwiec, wypadł mu z za pazuchy kartelusz, na którym zapisywał petulantes, co było najlepszym corpus delicti i konfirmowało suspicionem nostram. — Ergo wytoczyła się nazajutrz sprawa przed Księdza Prefekta, i ja jako instigator et conductor rebellionis, dekretowany zostałem na karę raczka.

Ta kara odbywała się sequente modo: przewracano stołek deszczułką na dół a nogami do góry; — delikwent stawać musiał manibus et pedibus na czterech nogach stołka i gdy był w takowej posturze, Kalefaktor przylepiał mu pięć dyscyplin. Ale jeżeli po drugiej lub trzeciej a często i czwartej, dyscypuł z bólu lub innej przyczyny stracił equilibrium i spadał — znów liczyło się a capite, dopóki pięciu plag successive stojąc raczkiem nie wytrzymał.

Ja mając buciki i świeżo podkute ślizgałem się ciągle i spadałem kilka razy; ergo, dekretowany na pięć, dwadzieścia cztery dyscyplin dostałem. A do tego Kalefaktor żyjąc w przyjaźni z cenzorem, per amicitiam dla niego, dokładał ręki i ćwiczył z takim zamachem — żem przez tydzień cały nie mógł usiąść na prost, jeno bokiem.

To wydarzyło się pod koniec roku — jednak mimo oną petulantiam, żem był pilny w naukach, promotionem do Poetyki dostałem. Przybywszy na wakacje do domu jeszcze dolens po cięgach po których mi sińce zostały, poskarżyłem się Pani matce. — Rozpłakała się nieboga i Panu ojcu zaraz powiedziała, że to wielka niesprawiedliwość iż księża, dzieci szlacheckie jakby jakich Chamów katują. Na co Pan Ojciec się zaśmiał et responsit: «Niech Imość sobie o to głowy nie łamie — rózga nie morowa choroba, a dyscyplina nie trucizna: rola bez nawozu nie wielkie wydaje żniwo — edukacja bez bicia nie wielki niesie profit! Byłem i ja karany nie raz i gorzej — bo za moich czasów, rozbierano, za pozwoleniem, do naga, wieszano pod pachy na ręcznikach u belki i sieczono rózgami tak, że krew często pociekła. Tandem tedy widzi Imość żem nie okaleczał i przy pomocy Pana Boga, wyrosłem na dużego, zdrowego chłopa i z głową nie ostatnią. — Ojcowie Jezuici biją dobrze, ale uczą jeszcze lepiej: Castigant bene, sed docent melius.» — Poczem, pogłaskał mnie i dał dwa szóstaki dodając cum risu, żebym sobie kupił maści na smarowanie locum devastatum.

Kiedym się przed Panem Ojcem pochwalił, że już teraz umiem robić palcatem, uradowało go to wielce i codzień mnie wprawiał do onej sztuki. Że był słusznego wzrostu, a ja choć krępy lecz mały — tedy mnie stawiał na stołku przed sobą, i po godzinie albo więcej musiałem się składać na prawo i na lewo. — Jednak bojąc się uderzyć Pana ojca zasłaniałem się jeno od razów: co on zmiarkowawszy wołał: «Nie folguj Antosiu! bo na tem fundament żeby bić adwersarza.» Przecież mimo consilium nie odważyłem się na podobną licentiam i nigdy ręka moja nie popełniła grzechu dotknięcia się rodzicielskiego ciała!

Wakacje trwały jeno cztery niedziele — tandem tedy niedługo odwiózł mnie Pan ojciec nazad do szkoły. — W Poetyce odbieralimy jeszcze więcej nauki, a pryncypalnie wprawiano do pisania wierszów łacińskich a nawet i polskich. Wertowałem Gradus ad Parnassum i czytałem poezje Kochanowskiego, Grochowskiego, Twardowskiego, polonicarum Musarum principes et sidera — alem się pocił na próżno; animuszu rymotwórskiego nie dał mi Pan Bóg. Raz tylko udało mi się wykoncypować (i to jeszcze sub præsidio dyrektora), komplement do Rodziców Dobrodziejów po łacinie, — w którym felicissime inspiratus, comparavi dom nasz do Olympu, Pana ojca do Jowisza a Panią matkę do Junony.

W tym roku także zdarzyło się głośne eventum — szkoła nasza exit na Majówkę i na Pradze spotkawszy się ze szkołą Pijarską, jak zwyczajnie łupu cupu jedni po drugich. — Adwersarze wołali na nas «Jezuity psie jelity,» a my na nich: «Pijary psie wiary.» Od słów przyszło do czubów i do tuzów — tak że nawet profesorowie wmieszali się in pugnam, a panowie dyrektory dobyli szerpetyny i któryś z Pijarskich Magistrów oberwał kresę nad uchem. Otrzymaliśmy wiktorję kompletną — na dobitkę, jeden z naszych patrów laureatus poeta ułożył in gratiam tego zabawny djalog, w którym sub allegoria były przytyki do onego pobicia i do pijarskiego zakonu. — Ten djalog reprezentowali dyscypuły z Rhetoryki w dzień Ś. Ignacego coram multitudine dostojnych gości (gdyż na pierwszej ławie siedziało aż trzech Senatorów). — Nie brakło uciechy i aplauzów szczególniej, gdy apparuit persona w krótkim płaszczyku (taki był dawny strój pijarski). — Temu człowiekowi w płaszczyku, dwie inne persony w jezuickich biretach zadawały kwestje ex Philosophia juxta mentem divi Thomæ — na co nieborak się męszał, nie umiejąc ni be ni me odpowiedzieć. — Dostał więc, jako najstosowniejszy argument correctionem na grzbiet,

za to iż będąc nieukiem śmiał zachodzić drogę ludziom znanym powszechnie jako clypea fidei, podia scientiæ et lumina patriæ!

Usque ad nunc w każdej szkole popasałem po roku — ale w Rhetoryce chciał Pan ojciec żebym siedział trzy lata, mówiąc: że dla szlachcica possesionata ars oratoria najpotrzebniejsza nauka w Polsce — ergo w największem powinna być zamiłowaniu i estymie. Tandem tedy aplikowałem się wielce, tak dla uciechy ojcowej jako i dla własnego profitu, — albowiem nie będąc już małym chłopięciem, zacząłem cognoscere quæ bona et utilia.

W Rhetoryce uczono pisać listy, dyskurować w ważniejszych materjach, a pryncypalnie zaprawiano do mówienia gładko de quæstionibus politicis w sprawach Rzeczypospolitej. — Ad hanc finem urządzali patrowie w szkole similitudinem sejmiku — nominując Marszałka i Delegatów, i każdemu dyscypułowi naznaczając ad recitandum przygotowane przez Profesora oracje. — Tu baczono ante omnia na posturę, giesta et intonationem vocis czyli deklamację — aby nie były contrariæ ad materiam. — Jeżeli tedy orator w niepotrzebnem miejscu machnął ręką, albo opuścił głowę tam właśnie gdzie trzeba było ją podnieść — albo cienkim głosikiem gadał de bello, a grubym de misericordia ac pace — liczono mu to jako errores — quia non erat hic locus. A jak przyszła sobota, to nieraz ten co marszałkował na sejmiku, kłaść się musiał na pieńku i kalefaktor swoim sposobem, palił mówcy replikę w pięciu albo więcej punktach. — Albowiem rhetoryk, ba nawet Filozof, kiedy przeskrobał, był równie karany jak discipulus ex infima minorum. — We szkołach Ojców Jezuitów egzystowała szlachecka równość.... przed batogiem! — Jednakże w domu, Pan Ojciec traktował mnie z mniejszym jak dawniej rygorem — w czasie wakacji woził z sobą na kompanje do sąsiadów — i po raz pierwszy kazał mi zrobić kontusz z nowego sukna i żupan z pięknego paljowego atłasu!

W onym czasie Pijarowie zaczęli porastać w pierze — z maluczkich niedawno, piąć się na wyższą grzędę i aspirare nie tylko do zrównania, ale i do prześcignięcia ordinem Societatis Jesu. — Między innemi sposobami kaptowania publicum favorem był i ten, iż wydawali w swojej Typografji nowo wymyślone przez siebie kalendarze — gdzie oprócz

dni roku, świąt stałych i ruchomych, kwadrów księżyca — deszczu i pogody et indicatio dium feralium — dodawali w suplemencie traktaty w materjach naukowych, politycznych i światowych. — Podobał się ten koncept nowatorski wielu ludziom, pryncypalnie zaś tym z Panów dygnitarzy, którzy za modą zagraniczną idąc, przebrali się po francusku, szydzili z łaciny i projektowali reformować institutiones et leges Reipublicæ. — Jezuici patrząc na one praktyki, które odbierały im kredyt, cierpieli długo cum pacientia — aż dopiero gdy Pijarowie wydrukowali w swoim kalendarzu opis systematu Kopernika, (id est, naukę dowodzącą, że nie słońce koło ziemi, ale ziemia koło słońca obraca się) — Jezuici podnieśli głosu, oskarżając publicznie adwersarzy swoich, iż śmieją rozsiewać zdania dawnej nauce przeciwne i wznawiać hypothezę, którą już jeden z Ojców Świętych, jako herezję potępił. — Nie mała to była sprawa: surrexit rumor et clamor. — Szkoły i zakony, cała Warszawa i kraj nawet cały wmięszał się do dysputy. — W naszych szkołach, professores et discipuli rozjurzeni byli i zacięci, jak gdyby wiara święta znajdowała się in periculo. — Ja sam (choć dzisiaj przekonany o nieomylności nauki Kopernika, wstydzę się dawnego uporu) tak byłem furiis agitatus, że pomimo nabożeństwa i moderacji przyrodzonej, gdybym był dostał jakiego Pijara w pazury, byłbym mu pewnie nie pofolgował. Dysputa trwała długo i zacięcie, językowa i piśmienna — koniec konców przezwyciężyli Pijarowie, nie tyle uczonemi traktatami, ile owym prostym argumentem, który łatwiej każdemu prostaczkowi wlazł do głowy — id est, że pieczeń obraca się koło ognia, a nie ogień koło pieczeni. — Ta przegrana publiczna, zrządziła magnum præjudicium zakonowi Societatis Jesu — był to szwank niepowetowany. — Słońce pijarskie wschodziło a jezuickie zaczynało się schylać.

Po trzech latach studiendi rhethoricam wróciłem do domu, mając za miesiąc rozpocząć naukę Filozofji — lecz rachuby ludzkie w niwecz idą, kiedy Pan Bóg Wszechmogący sanctam voluntatem suam obwieści — czekał mnie wielki smutek i niepowetowana strata.

Od niejakiego czasu Pan ojciec nie domagał na zdrowiu tak, że już ostatnią razą nie mógł po mnie do Warszawy przyjechać. Powiększała się choroba widocznie, opadały na siłach corpus et animus. — Pani matka posłała po najsławniejszego medyka żeby ratował od nieszczęścia — ale Pan ojciec nakazanych mikstur pić nie chciał, mówiąc, że to wymysły niemieckie, preparowane in officina diabolica. —

Codzień było gorzej; fax vitæ paullatim gasła. Pan ojciec czując, że ultima hora nadchodzi, wydysponował się na śmierć i przyjąwszy pobożnie panem vitæ æternæ, kazał nam wszystkim (płaczącym i lamentującym) stanąć obok swego łoża. — Panią matkę całował i przepraszał jeśli w pożyciu jakiego ją smutku nabawił. Mnie dał benedictionem nakazując posłuszeństwo i miłość dla matki — służebników żegnał także prosząc o przebaczenie uraz — poczem powtarzając cum pietate et fervore: Sub tuum præsidium..... Panu Bogu ducha oddał anno domini 1756 die 24 mensæ Julii, o godzinie drugiej z południa, lat miawszy siedmdziesiąt siedm i kilka miesięcy. — Pani matka osierocona i potrzebująca pomocy w domu, nie chciała mnie już wypuścić do szkół — zostałem więc na wsi i zająłem się gospodarką paterna rura oprawiając. — Prawdać, że nie jestem symplakiem; potrafię i z sąsiadami podysputować o materjach poważnych i na Sejmiku bez zawstydzenia się de rebus publicis przemówić, a jednak żal mnie bierze nieraz, żem się Filozofji nie uczył. Snać Pan Bóg nie chciał abym wyszedł na zbyt wielkiego sawanta — niech będzie święta wola Jego błogosławiona. Amen!

II.

WIECZORNA GAWĘDA.

W głębi szlacheckiego dworu, w wieczór jesienny — przed kominem, na którym buzował się z suchych brzozowych drewek ogromny ogień, siedziało trzech ludzi podeszłych wiekiem: Major G***, gospodarz domu, i dwaj jego sąsiedzi, Rotmistrz R*** i Chorąży S***. — A tuż przy nich, obok kaflanego pieca, na niskim stołeczku, usadowił się dziesięcioletni chłopiec i tak pilnie słuchał rozmowy, że ją dziś jeszcze pamięta i teraz ją wam opowiedzieć zamyśla.

Trzej ci ludzie, chociaż nosili tytuły wojskowe, byli obywatelami ziemskimi i od dawna już porzucili służbę; gdyż

Rotmistrz figurował jeszcze w konfederacji Barskiej, a dwaj inni służyli w kawalerji narodowej za Stanisława Augusta.

Spory gąsiorek wytrawnego wiszniaku stał na okrągłym stoliku dębowym, uplacowanym między krzesłami starych wojaków, którzy popijając słodki napój małemi lampkami, ukończywszy rozmowę o ostatniej siejbie, o cenach zboża i wełny, zaczęli ulubioną gawędę o dawnych czasach. — Nie pomnę już z jakiego powodu wszczęła się materja o verbum nobile.

— Verbum nobile, rzekł P. Chorąży, była to rzecz arcyświęta, tak że na jej wspomnienie, nawet Bonawentura Z***, ów kardynalny pijak łęczycki, przy najlepszej okazji, od kieliszka się wstrzymał. — Jednego roku chorował tak długo i tak niebespiecznie iż był in periculo mortis, i musiano dwa razy posyłać po doktora aż do Kalisza, który wsadziwszy Dobrodzieja na łacińską kuchnię i na klejek jęczmienny, salwował na ten raz a peregrinatione æterna. Pan Bonawentura powstał przecie na nogi, ale medyk nakazał mu surowo, ochraniać się jeszcze przez jaki miesiąc od zbytecznego jadła i wstrzymywać od trunków. — Pogrążyło to nieboraka w infandum dolorem, tem bardziej, iż właśnie nadchodził święty Mateusz, dzień imienin Pana Wojewody, na które okoliczna szlachta zjeżdżała się rok rocznie, w większym daleko komplecie niż na powiatowe sejmiki. — Nasz konwalescent, na tydzień przed owym terminem, oświadczył w domu że bądź co bądź musi także jechać do Kutna dla złożenia powinnych rewerencji i kongratulacji JW. Wojewodzie. Biedna żona, dbała o jego zdrowie, zaklinała go na rany Jezusa Pana, aby zaniechał zamiaru; ale mężulko uparty jak kołowaty baran, oświadczył, że swego planu trzymać się będzie unguibus et rostro i że pojedzie, choćby go miano wieźć na łóżku, a odwozić na marach. — Napisała więc lamentabilis uxor do ojca swego mieszkającego w sąsiedztwie, aby jej przybył na sukurs i perswazją swoją odciągnął męża od tej niebespiecznej podróży. Przybył P. Cześnik, argumentował, prosił i groził — ale nic nie pomogło. Tyle przecież wytargował staruszek, że P. Bonawentura dał mu solennie verbum nobile iż żadnego trunku na owym festynie pić nie będzie.

Była pohulanka nie lada u Wojewody; stoły gięły się pod ciężarem półmisków, a wino lało się jak na Kananejskiem weselu. P. Bonawentura zajadał wyśmienicie, przecież mimo nalegań gospodarza i żartów szlachty, nie tknął innego napoju jak czystą kryniczną wodę.

Aż tu pod koniec obiadu, przyniesiono dziesięć butelek tak zapleśniałych i ubranych w taką sukienkę niezaprzeczonej antiquitatis iż się zdawało doprawdy, że musiano je wydostać

z pod myszej wieży, z piwnicy nieboszczyka Króla Popiela. — Wojewoda przypomniawszy w długiej oracji, wielce miłościwym Panom i braciom, że to wino było jego rówiennikiem, sprowadzonem z Węgier przez ś. p. ojca jego Kasztelana, pięćdziesiąt lat temu — własną swą senatorską ręką rozlewał je w małe kieliszki, a hajduki roznosili gościom owe pocula deliciorum, godne olympijskiego festynu.

P. Bonawentura, zajęty żwawym dyskursem z Łowczycem, nie uważał gdy sługa postawił kieliszek i przed nim — gdy więc obaczył fons tentationis tak blisko, wzdrygnął się nieborak jak stary lis na widok żelaza.

Temczasem amatorowie delektowali się, cedząc po kropelce i wychwalając incomparabiles virtutes nektaru; a odor myszki dolatywał do wprawnego nosa konwalescenta, który nie wiedząc jak odegnać pokusę, mrużył oczy i w duchu powtarzał nabożnie: non ducas me in tentationem Domine!

Wtem P. Wojewoda spojrzawszy przypadkiem w tę stronę, odezwał się: — No, Panie Bonawenturo, in gratiam choroby przyjąłem egzkuzę Waszeci, ale tego starego winka mały kieliszek wypić ci radzę, boć to kordjał nad kordjały, prawdziwe krople longæ vitæ. Widziałem ja, Dobrodzieju, ludzi już na śmiertelnej leżących pościeli, którym wytrawny maślacz mirabiliter przywracał zdrowie. Bonum vinum lectificatio cordis et fundamentum valetudinis — w ręce Waszeci!

P. Bonawentura ujrzał się między Scyllą a Charybdą, bo trzeba było albo obrazić Wojewodę, albo złamać dane przyrzeczenie — tu źle i tam nie dobrze. A sąsiedzi wrzeszczą mu w ucho: non licet odmawiać solenizantowi. — a odor węgrzyna łechce mu podniebienie — a kolor bursztynowy delectat oculos! Śród takowych alternatyw, zapomniał biedak o wszystkiem, i już machinalnie wyciągał rękę dla pochwycenia kieliszka, gdy wtem brzękło coś nagle. — Przestraszył się owym brzękiem, spogląda przed siebie, i cóż widzi? — oto w głębi kieliszka swój sygnet, który zsunął mu się z wychudłego od choroby palca. A sygnet ten złoty był z wielkim krwawnikiem, na którym błyszczał wyrzezany Jastrzębiec, jego klejnot rodowy.

Na widok takowego memento, złożył ręce P. Bonawentura ze skruchą i mocnym głosem clamavit: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, że mnie tym przypominkiem od niesławy ochronił. — Trzeba wam bowiem wiedzieć, Panowie Bracia, że na babskie instancje, dałem teściowi memu verbum nobile, iż się wstrzymam dziś od wszelkiego napoju; a jednak gdyby nie ten widok mego herbu, byłbym, peccator indignus, zapomniał obowiąsku szlachcica!

Z ogólnym aplauzem przyjęto tłumaczenie się Pana Bonawentury, i nikt go już nie namawiał do picia. — Ergo

wrócił do domu trzeźwo, ale od owego czasu, postanowił sobie raz na zawsze, nigdy nie dawać słowa w tak delikatnej materji.

— Tak, tak, odezwał się P. Rotmistrz, szlachta nasza była skrupulatną we wszystkiem, a nawet i w pijatyce. Jednego dnia, do ś. p. ojca mego (Panie świeć nad jego duszą!) zjechało się kilku sąsiadów, i zwyczajnie, po staremu bankietując, wypróżniono kilka gąsiorków węgrzyna. — P. Zgierkowski siedział w końcu izby pod oknem, medytując nad pełnym kielichem. — Zbliżyła się Pani żona i mówi z cicha: — Za wiele Jegomość pijesz, znów mu to zaszkodzi!

— A cóż robić kochaneczko, trudno wylać za kołnierz, a gospodarz dogląda czy kielich próżny.

— Jeżeli tylko o to chodzi Jegomości, to wylej tu w doniczkę (bo muszę wam powiedzieć inter parenthesim, że na oknie stały donice z kwiatami).

— A gdyby kto obaczył ten fortel, tobym nie śmiał oczu podnieść na ludzi.

— Ja ci ręczę Jacusiu że cię nikt nie widzi!

— Pan Bóg widzi, Tekluniu!... rzekł westchnąwszy Zgierkowski, i jednym haustem wypróżnił kielich! —

Dykteryjka Pana Rotmistrza ubawiła wszystkich, nawet chłopiec siedzący przy piecu śmiał się do rozpuku. — Gospodarz korzystając z przerwy, nalał próżne już trzy lampki wiszniakiem, i w te słowa przemówił:

— Łaskawi sąsiedzi! muszę i ja wam opowiedzieć o danej i złamanej przysiędze — prawdać i to że ten co jej nie dotrzymał nie był szlachcicem — ale iż rzecz autentyczna i zabawna, warto jej posłuchać.

Słyszeliście wszyscy o Staroście Kaniowskim, tym tyranie chłopów, biczu bożym na żydów i postrachu uboższej szlachty. — Wielki ten pan, ale większy jeszcze grzesznik, był jowialnego humoru i o niczem nie myślał jak o nastawieniu łapki lub spłataniu komu figla — wszyscy zaś domownicy jego już byli wyćwiczeni jakby aktorowie jacy do odgrywania wykoncypowanych komedji pańskich.

Pewnego dnia nudził się Starosta, bo co się rzadko zdarzało, nie było gości w domu — aż w tem turkot na podwórzu, trzask z bicza. — Pyta, kto taki? — Odpowiadają mu że zajeżdża braciszek Idzi, kwestarz bernardyński, który często bywał w Kaniowie. Starosta znał go z dawnej daty, wiedział że Bernach rezolutny i języczny, lubiący się napić i pożartować — więc ucieszył się że jakoś rozpędzi nudy. — A co najważniejsza iż sobie przypomniał, że braciszek gadał o nim wszędzie (jak mu to zaraportowano) z nienajwiększym respektem. Postanowił przeto przy zdarzonej

okazji dać mu nauczkę jak to niebespiecznie porywać się zębem na Kaniowskiego Pana.

Miało się już pod wieczór — nie zadługo zastawiono wieczerzę, przy której gadu, gadu, to o tem to o owem, fugit irreparabile tempus. Bernardyn, który dwa województwa objeżdżał, ciągle zatrzymując się po dworach, znał wszystkie familje szlacheckie i rozmaite o każdej historyjki wiedział; — więc (choć to nie bardzo zgadzało się z duchowną sukienką) puścił wodze językowi, przypinał łatki i Bóg wie jakie plotki paplał. Uśmiał się Starosta do sytu — a gdy dworzanie z szarego końca powstali i pokłoniwszy się nisko, odeszli, Gospodarz, który był człowiekiem światowym, mało mającym dewocji, zaczął sobie żartować z księży, mówiąc że po wysłuchaniu spowiedzi, muszą sobie opowiadać nawzajem ciekawe grzeszki parafian, a szczególniej parafianek. — Zaprotestował Bernardyn, dowodząc że duchowna osoba nigdy sekretu nie wyda, choćby jej nawet śmiercią grożono.

— Czy tylko pewno? — pytał uśmiechając się Starosta.

— Wolne żarty, JW. Panie — odpowiedział Idzi — ale jeszcze nie widziano księdza któryby przysięgę złamał.

— Kiedy tak, to chwała Bogu — zawołał z udaną konwikcją gospodarz — cieszę się mocno z tego co mi Wać mówi, bo od dawna szukałem kogoś przed kim by zwierzyć się można na pewno. — Otóż suknia Wacana i charakter jego duchowny, będą najlepszą gwarancją, że mi dotrzymasz sekretu... Audi et tace.

Mam kryjówkę w której od lat wielu składam zbywające mi od potrzeb pieniądze przeznaczone na fundację klasztoru dla odkupienia grzesznej duszy mojej. — Już tam być musi z okładem jakie pięćdziesiąt tysięcy czerwonych złotych. Ale że nikt na świecie nie wie o mojem schowaniu i gdyby mnie śmierć zaskoczyła nagle, summa owa wraz z intencją przepadłyby marnie — więc oto dzisiaj, jeśli mi przysięgniesz najsolenniej że przed moim zgonem nie wydasz przed nikim sekretu — pokażę ci miejsce gdzie skarb mój leży. —

Bernardyn zadziwiony takiem odkryciem i przewidując że ów kapitał uda się może z czasem na wspomożenie własnego konwentu obrócić, zapewnił Starostę iż może liczyć na jego dyskrecję i przysiągł na zbawienie duszy trzymać język za zębami.

Gospodarz podziękował mu uprzejmie i idąc na palcach zaprowadził Braciszka do małego pokoiku, odsunął czworograniastą szafkę i podniósłszy deszczułkę posadzki, odkrył wykopany sklepik, w głębi którego stał ogromny garnek — już prawie całkiem zapełniony dukatami. Popatrzyli się obaj w milczeniu na ów skarb ukryty przed światem — poczem Starosta zamknął kryjówkę, wsunął nad nią szafkę i po-

wiedziawszy braciszkowi dobranoc, udał się niby na spoczynek — a poszedł wydawać rozkazy swym ludziom do odgrywania komedji.

Odmówiwszy wieczorne pacierze, Bernach położył się w łóżko i już zaczynał zasypiać, gdy raptem usłyszał w domu wielki hałas, krzyki i dobijania się do drzwi. — Nadstawia ciekawe i strwożone ucho, a wtem wpada do jego stancji pachołek donosząc że zbójcy dwór otoczyli.

Zerwał się Idzi, wdział habit i obuwie, i recytując drżącym głosem acta afflictorum, pobiegł na zwiady do pokoju Starosty. Tam zastał kilku pachołków nabijających sztućce i pistolety, a gospodarz kręcił się i wydawał rozkazy.

— Jest ich z pięćdziesięciu Jaśnie Panie — rzekł wchodzący hajduk — liczyłem ich z dymnika, i widziałem że wszyscy dobrze uzbrojeni.

— Policzym ich trupy — wołał Starosta — tylko chłopcy żwawo i śmiało zajrzeć tym hultajom w oczy — będziem się bić do upadłego, a ty księżulku módl się za nas: Ora pro nobis reverendissime frater!

Tymczasem z zewnątrz rąbano drzwi toporem i podważano drągami okiennice z których jedna pękła, dwie szyby się strzaskały, i zbójcy otworzyli okno. — Ognia! — krzyknął Starosta — wystrzelili słudzy; zmięszali się napastnicy, ale niedługo rozpoczęli attak strzelając do pokoju i kwestarz obaczył z przestrachem dwóch pachołków zabitych.

W tej samej chwili rozszedł się hałas w sieniach — zbóje wyłamali drzwi domu i biegli po pokojach mordując i śmiercąc kto się tylko napatoczył.

Krótko mówiąc, opryszki zwyciężyli i powiązawszy postronkami wszystkich, od Starosty i mnicha aż do ostatniego sługi — plądrowali po kątach żądając pieniędzy.

— A skądże jabym miał gotówkę w takie ciężkie czasy — mówił gospodarz — co było to poszło na usługi Rzeczypospolitej, a reszta na sejmikowy traktament i na wydatki domowe. Zboże jeszcze na pniu i dobry miesiąc trzeba będzie czekać nim się coś sprzeda i uciuła jaki kapitalik.

— Ho, ho — wołał brodaty herszt — u takiego pana całą gębą, to pieniędzy jak lodu; a gdzież chodzić po miód, jeśli nie do ula? — po wodę, jeśli nie do studni? — Dawaj dzięgów bo będzie źle!

— Dałbym, ale Dalipan nie mam — odpowiedział Starosta — nie dręczcie mnie dłużej, bo napróżno — z pustej stodoły tylko wróbel, a z dziurawego worka chyba mysz wyleci!

— A ty rewerendo — mówił inny opryszek, nachyliwszy się nad Idzim — czy nie wiesz gdzie Pan chowa szkatułę? Powiedz nam zaraz, bo inaczej zbijem cię na leśne jabłko tak że cię matka rodzona nie pozna!

— Grzeszni ludzie! — odparł braciszek — a skądże bym ja, ubogi sługa klasztorny, miał wiedzieć o sekretach pańskich? Dajcie mi pokój i upamiętajcie się, bo kara boska wisi nad wami.

— Co najpewniej wisi, to batóg nad tobą, bury niedźwiedziu! — gadaj bo ci napędzimy głosu!

— Na co czas tracić — krzyknął herszt — kiedy nie chcą się przyznać, to Panu Staroście uwiązać kamień u szyi i wrzucić w staw, a ja tu sam księdza zastrzelę jak psa! —

Wzięło dwóch zbójców związanego starostę, jeden za głowę drugi za nogi i wynieśli z pokoju; a herszt brodaty podsypał na panewce, odwiódł pistolet, przyłożył Idziemu do piersi i woła: — Gadaj bo strzelę!... —

Przestraszonemu Bernachowi zakręciło się w głowie i tak zaiskrzyło w oczach, że aż Kraków zobaczył — drżał jak liść suchy i bełgotał ostatkiem głosu — Powiem, pokażę!

— No, kiedy tak to dobrze — rzekł zbójca, odkładając pistolet i rozwiązując postronki któremi był skępowany Idzi. — Prowadź!... —

Braciszek nabrawszy nieco ducha, zaczął się wykręcać, mówiąc że o niczem nie wie i że tylko strach przez niego gadał. Wtenczas na skinienie herszta, dwóch opryszków pochwyciło kwestarza — a on sam za pistolet — mierzy i liczy: raz... dwa...

— Bój się Boga nie zabijaj — krzyknął Idzi — chodźcie, pokażę!

Zaprowadził ich więc do pokoiku, odsunął szafkę, podniósł deszczułkę — lecz gdy na rozkaz starszego zbójcy, wydobywa oburącz garnek z kryjówki — słyszy raptem ogromny śmiech za sobą.

Odwraca się, patrzy — mniemane opryszki pozrucali przyprawne wąsy i brody — zabici pachołcy powstali (bo tylko prochem strzelano) a Starosta trzymając się za boki woła:

— A widzisz Bernachu żeś lepszy do rozsiewania złośliwych plotek, niż do trzymania sekretu! —

Biedny brat Idzi odchorował tę scenę, która jednak wyszła mu na profit bo już odtąd nie obgadywał ludzi. Tym tedy sposobem Starosta Kaniowski aby raz w życiu dobry uczynek spełnił!

— Nie mnisza to rzecz mieć kuraż rycerskiego człowieka — odezwał się Rotmistrz — przecież znałem ja księdza, który się nie uląkł większego jeszcze tyrana niż P. Starosta z Kaniowa — bo samego Drewicza, rossyjskiego Pułkownika!

Broniliśmy się jak wiecie w Częstochowie z panem Kazimierzem Pułaskim i nieprzyjaciel tak nas ścisnął, że bez sukursu myśleliśmy że nie podołamy. P. Zaremba z doboro-

wym żołnierzem stał między Kaliszem a Krotoszynem, ale o naszej biedzie nie wiedział, czyli raczej wiedzieć nie raczył, jak się później okazało. Pułaski chciał więc wysłać kogoś do Zaremby z rozkazem, aby w odsiecz przychodził — a tu za wały fortecy ani nosa wyścibić; działo się to bowiem na początku oblężenia, gdy Rossjanie w wielkiej byli forsie, a nasze wycieczki nie udawały się jeszcze. Wystąpiło kilkunastu woluntarjuszów ofiarując się na tę niebespieczną antrepryzę, a między niemi młody kleryk z tamtejszego klasztoru XX. Paulinów imieniem Ambroży. Ow kleryk miał determinowaną minę, a przytem P. Kazimierz konjekturował, że habit mniszy mniejszą obudzi suspicję w przebiegłym jak lis Drewiczu; jego więc wybrał.

Na małej karteczce opisał przykrą swoją pozycję i rozkaz do Zaremby maszerowania pod Częstochowę. Deliberowano gdzieby schować to pismo i mnie przyszedł fortel taki: położyłem na karteczce plaster i przylepiłem na policzku kleryka mówiąc mu, aby jeśli będzie schwytany, udawał że ma wrzód na twarzy, i że idzie do Wielunia poradzić się felczera.

Ambroży poleciwszy się Panu Bogu i Matce najświętszej, — pod wieczór, o zmroku wysunął się z fortecy cichaczem — ale o pół mili za Częstochową złapał go patrol kozacki i poprowadził przed Drewicza.

— A gdzie ty stupasz Panie Dominus vobiscum — rzekł śmiejąc się z swego konceptu Drewicz.

— Do Wielunia do felczera, żeby mi wrzód przeciął, który mnie boli.

— Albo to wy nie macie felczera w klasztorze?.. ho, ho bratku, nie tak łatwo mnie otumanić; mudrejszy wołk niż baran! Ja znaju was proklate Lachy!.. Ciebie wysłał Puławka na zwiady... albo może z pismem do innych sobaków konfederackich? —

Choć tłumaczył się kleryk, że nie jest ani szpiegiem ani posłańcem — kazał go Drewicz rewidować. Bez względu żadnego na stan osoby duchownej rozebrano nieboraka prawie do koszuli i szukano wszędzie a najbardziej w habicie, który do szczętu popruto myśląc, że list jaki w kapturze lub rękawie zaszyty. Nic nie znaleziono, i już Ambroży myślał, że go puszczą. Ale iż z aprehensji się pocił i czuł, że odwilżony plaster odstaje, zaczął więc go obciskać palcami. Ten ruch go zdradził; bo chytry rossjanin spojrzał na niego z podełba — uśmiechnął się, a potem zmarszczył brwi i krzyknął:

— Ty brechun, majesz pisanie tam na rożu i zawołał na unteroficera żeby mu wrzód zrewidował.

Kleryk widząc że kusa rada i że wszystko się wyda — odwrócił się, szybko plaster oderwał, włożył do gęby i połknął.

— A widzisz mieteżniku — rzekł Drewicz — że mnie nie otumanisz. Ja poznał, że ty posłaniec Puławki — dam ja tobie sobako Lachu! —

I zwyczajem swoim zaczął żartować — bo był przy okrucieństwie jowialny. No ty szedł do felczera, ja ci będę felczerem! Mam ja tu doskonałe pijawki rzemienne na wyciągnienie humorów. Iwanuszka! daj jemu sorok pletni! —

Porwali kozacy Ambrożego i biją. Po dziesięciu razach, Drewicz kazał się wstrzymać i pyta.

— A co było napisane w depeszy? powiedz to ci daruję resztę i puszczę wolno.

— Nic, bo nie było żadnego pisma — odpowiedział kleryk.

Na skinienie Pułkownika wyliczono biedakowi drugie dziesięć batożków i Drewicz znów pyta.

— A co było napisane?

— Nic — a choćby było, nie powiem!

Znów odliczono dziesiątkę. Ambroży przeczył znowu. Nareszcie po ostatnich batach już nie słychać responsu, bo młody kleryk omdlał z bólu.

Kazał go Drewicz przykryć płaszczem żołnierskim i odszedł do swego namiotu śmiejąc się i gadając do swojej świty:

— Ot ja Laszkowi prystawił sorok pijawek i musiały skutkować kiedy małczy sobaka! —

Nazajutrz około południa, poszedł tyran odwiedzić więźnia i pyta czy nie ma co do powiedzenia. Ambroży odpowiada, że tylko jedną zanosi prośbę, to jest żeby mu habit oddano.

Zaśmiał się Drewicz po swojemu. — No, ja tobie każę wykroić habit z twojej własnej skóry, to ci go już i czort nie zwaruje!

Wiadomo bowiem, że między innemi okrucieństwy jakich się dopuszczał w Polsce, było i to, że złapanym konfederatom kazał zdzierać po dwa pasy skóry na plecach, niby dla imitowania wylotów — a potem brał się za boki i wołał: — No, widzicie Laszki, jakie ja wam krasne kontusze sprawił!

Byłby i na nieboraku Ambrożym zrobił podobnąż operację — szczęściem że tegoż samego dnia P. Pułaski dostrzegłszy z klasztornej wieży, że się rossjanie nie bardzo pilnują — tentował wycieczkę wieczorem, która się gracko udała, bośmy i zarąbali wielu ludzi — i pięciu sołdatów z jednym oficerem wzięli do niewoli.

Opowiedzieli jeńcy o schwytaniu kleryka, o batogach i o pogróżkach Pułkownika że mu każe zedrzeć skórę z pleców i na głowę zarzucić by mu zastąpiła kaptur.

Posłał więc natychmiast P. Kazimierz parlamentarza ofiarując wymienić wziętych rossjan za zakonnika — na co Drewicz przystał i tak salwowany kleryk opowiedział nam o połknięciu listu i o wiolencjach których się na nim dopuszczono. —

Po skończeniu historyjki, gospodarz chciał jeszcze nalewać wiszniaku w próżne lampki — ale Chorąży dobył z kieszeni srebrny zegarek, duży i okrągły jak jabłko — pocisnął sprężynę a dźwięczny młoteczek dziewięć razy zadzwonił.

— Tardiva hòra a droga spora — rzekł Chorąży — bryka moja już musi być zaprzężona. Pan Wojciech i kobiety w domu o mnie niespokojne, a wiecie że mam tęgą milę do Żarnowa — za rzekami, za lasami, na ultima Thule. —

Rotmistrz także dowiedziawszy się, że jego bryczka stoi gotowa przed gankiem, zabrał się do wyjazdu. Napróżno uprzejmy gospodarz zatrzymywał na nocleg dowodząc, że bardzo późno, ciemno na dworze, a mostki po drogach dziurawe — odmówili goście.

I gdy już przed samem wsiadaniem całowali się w sieni, P. Rotmistrz rzekł: — A nie zapomniejcież Szanowni sąsiedzi, że was z żonami i dziećmi czekam w niedzielę z obiadkiem!

III.

OBIADEK U PANA ROTMISTRZA.

Od samego rana wielki ruch we dworze. Łukasz gajowy, który w dniach uroczystych pełni służbę lokaja, woskuje i poleruje szafy, biórka i stoliki, okurza kanapy i krzesła. Julisia garderobiana, posypała świeżym, żółtym jak złoto piaskiem wczoraj wymyte podłogi — i zakłada w bawialnym pokoju białe firanki u okien. Imość, podstarzała siostra

gospodarza, kręci się po kuchni jak fryga — wydaje rozkazy dziewkom skubiącym kapłony i kaczki — i po raz czwarty eksplikuje kucharce sekret zaprawienia cytrynowego melszpejzu. A Jegomość P. Rotmistrz wygolony, wymuskany i ubrany w świąteczny kontusz, chodzi przed gankiem, pokręca wąsa i z niecierpliwością pogląda ku bramie otwartej na rozcierz.

Nadstawia ucha czy nie posłyszy turkotu kół — spojrzał na słońce czy już wysokie, przeszedł się jeszcze parę razy podwójnym krokiem, pomruczał pod nosem i wrócił do domu obaczyć która godzina. Idąc z pośpiechem potknął się na progu — zagląda w kącik pokoju, aż tu zegar zatrzymany; — Łukasz zajęty glancowaniem mebli zapomniał go z rana nakręcić. Zniecierpliwił się Rotmistrz tym wypadkiem i pobiegł patrzeć w kalendarzu czy to czasem nie dzień feralny, — ale nim zdołał rozwiązać dubium, wpadła zadyszana Julisia wołając: Jegomość! goście jadą!

Istotnie w tej chwili, zbliżały się szybko, choć z dróg przeciwnych, dwie brodzkie bryki — wjechały na podwórze i z jednej P. Chorąży z żoną i córką, a z drugiej Państwo Majorostwo z młodym synem, wysiedli przed gankiem dworu.

Gospodarz uściskał sąsiadów, ucałował rączki sąsiadek dobrodziejek i po zwykłych komplementach zaprosił w dom, dodając, że Pani siostra (która w tej chwili w sypialnym alkierzu kładła koronkowy czepek z wstążkami i pokrapiała gors kolońską wódką) zaraz służyć im będzie.

Jakoż niedługo pojawiła się Pani siostra poprzedzona odorem pachnideł — i gdy w bawialnym pokoju kobiety zasiadły na kanapie, P. Rotmistrz rzekł.

— To już prawie jesteśmy w komplecie tylko mi Podsędka brak. Prawdać, że to maruda nad marudami — czy na obiad, czy na inkwizycję zawsze się spóźni! — Ale Chorąży dobrodzieju! cóż się dzieje z Panem Wojciechem moim poczciwym sociusem, żeś go z sobą nie przywiózł?

— Trochę nie domaga — odpowiedział Chorąży — wczoraj kazał sobie krew puszczać i dziś odpoczywa.

— Wielka szkoda — ozwał się P. Major — będzie jednym gadułą mniej — bo to P. Wojciech kiedy raz zacznie.....

— Przepraszam, że przerywam — rzekł Rotmistrz — ale siadajcież przecie Szanowni sąsiedzi — bo jak ś. p. ojciec mój (Panie świeć nad jego duszą) zwykł był mawiać: pić samemu, bić się na piechotę a gawędzić stojący, to rzecz nie szlachecka. —

Każdy usadowił się na wygodnym krzesełku, lecz nie na długo — bo wszedł Łukasz donosząc, że ksiądz Proboszcz przysyła powiedzieć, iż czeka z summą na przybycie Państwa.

Całe towarzystwo, kobiety i mężczyzni, powstali hurmem

i wyszli przed ganek, gdzie czekały zaprzężone bryki. Kościołek był niedaleko, na drugim końcu wioski, ale nie wypadało dobrze urodzonym ludziom, chodzić do Bożego domu piechotą.

Ledwie że pierwszą ławkę zapełniło dostojne kollatorów grono — Ksiądz Proboszcz zaintonował introibo przy akompaniamencie ochrzypłych organów, których cieniutkie i piskliwe tony, obok stentorskiego głosu Parocha, wydawały się, si parva licet componere magnis — jak świegotanie wróbli przy ryku pioruna.

W środku summy zaczęło się kazanie; rzecz była o przyszłym żywocie, którą orator na trzy części podzielił, mając mówić o Niebie, Czyszcu i Piekle; ale tak rozciągnął materję i tak długo bawił w czyszcu, iż widna była niecierpliwość na czołach nabożnych słuchaczy. Pan Chorąży dobył ukradkiem swój kolosalny zegaręk i popatrzywszy się na indeksa kiwnął głową i westchnął. Szanowny proboszcz położywszy sobie za zasadę iż wymowa kościelna zależy na tem, aby krzyczeć jak można najgłośniej i gadać jak można najdłużej — popuścił wodze elokwencji i trzymał słuchaczów tak długo iż się okazało, że summa i kazanie trwały pół trzeciej godziny.

Pół do pierwszej wybiło na świeżo nakręconym i naregulowanym przez Łukasza zegarze — gdy Państwo wrócili do domu zabrawszy z sobą Proboszcza na obiad. Podsędek jeszcze nie przyjechał — ale trudno czekać — wszyscy mieli powarzone miny, gdyż jak mówi staroświeckie przysłowie: kiedy Polak głodny to zły!

Napiwszy się alembikowej wódeczki, każdy zrobił na czole dużym palcem znak krzyża świętego i zasiadł do stołu, zostawiając próżne krzesełko dla oczekiwanego gościa.

Zupa z pulpetami tak była gorąca iż mimo apetytu, musiano wstrzymać zapał godny wznioślejszego przedsięwzięcia. Nuż więc gadać o Podsędku: przyjedzie — nie przyjedzie!

— Ja wam powiadam że przyjedzie — ozwał się gospodarz — zapomniał o godzinie, ale wam ręczę, że o inwitacji pamięta. bo co do tego jest skrupulat. —

Nalano wina w kieliszki i ogromna sztukamięs z chrzanem ukazała się na stole, z wielkiem zadowolnieniem Chorążego, który poparzywszy się zupą rad był spotkać się z mięsiwem. Z kolei, wnoszono półmisek sztufady woniejący imbierem i bobkowemi liściami — gdy na podwórzu psy zaszczekały, ozwał się turkot kół, trzask z bicza — i pokazał się we drzwiach kłaniający się nisko, chudy, blady i wysoki mężczyzna w czarnym fraku: był to P. Podsędek Buchman, który jeszcze za pruskich czasów przybywszy do Warszawy jako mały urzędniczek, nauczył się po polsku, utrzymał się

nie bez trudności na swojej posadzie za księstwa Warszawskiego — i teraz oto w konstytucyjnem królestwie, piastował godność powiatowego Podsędka.

— Tarde venientibus ossa — krzyknął Rotmistrz — czekamy jedną ręką a pracujem drugą, bo czas leciał a głód dokuczał. Malesuada fames Owidjusza, przemogła patientiam Ewangelisty! —

Wyekskuzował się jak mógł najlepiej podsędek, nagłem zatrudnieniem — opóźniającym się zegarkiem i złą drogą — a potem zaczął dopędzać towarzystwo — czego łatwo dokazał, był albowiem człowiekiem metodycznym i gdy jadł, już się w długie rozmowy nie mięszał.

Po sztufadzie, wjechały na stół karpie z szafranowym sosem — a gdy półmisek obszedł w około, gospodarz nalawszy pełny kielich zawołał:

— Post pisces vinum misces! w ręce szanownego Majora!

— Nunc est bibendum. Evoe Bacche! — rzekł Major, wychylił i podał Chorążemu.

— Non est vinum in mundum quasi hungaricum! — Wypił Chorąży i wręczył Proboszczowi.

— Bibite et gaudeamini fratres — rzekł wysączając proboszcz i z kolei dał Panu Buchman.

— Szanowni Dobrodzieje — ozwał się Podsędek — wypróżniam kielich, ale protestuję przeciw łacinie, gdzyż przysłowie mówi, że dopiero post quintum variis linguis loquuntur! a my jesteśmy dopiero post secundum!

— Masz rację Panie Buchman — powiedział Chorąży — alećprzy dobrem winie łacina nie zawadzi. To mi przypomina następną dykteryjkę. Jechał szlachcic z Sieradzkiego do Lublina za procesem i wstąpił na noc do klasztoru Ojców Reformatów. Choć nieznajomego, przyjęto z gościnnością, — a po kolacji gwardjan zaprosił go do swojej celi i dalejże gawędzić. Szalchcic markotny, że się konwersacja toczy na sucho, skierował mowę na napitek, upewniając że ma nad podziw wprawne palladium, tak iż z całego powiatu nikt nie kupi beczki węgrzyna, póki on nie skosztuje i nie wyda judicium.

Zrozumiał gwardjan przypytankę, wyjął więc z pod stołu duży gąsiorek, nalał gościowi szklaneczkę, a gdy ten wypił pyta:

— Jakże smakuje?

— Bonus vinus Dobrodzieju — rzekł z cicha podróżny.

— Nie tęgi znawca, ale jeszcze gorszy łacinnik, pomyślał Gwardjan, bo wiedział że winko było liche i kwaśne.

Po kwadransie dalszej rozmowy, szlachcic znów o swoich probierskich talentach zaczyna. Gwardjan już chętniejszy,

wydobył z szafki flaszkę lepszego trunku i gdy gość smakuje mówi mu:

A o tem jakie zdanie Waszeci?

— Bona vina przewielebny Ojcze — rzekł podróżny podnosząc głosu.

Gwardjan myśli: szlachcic ze mnie żartuje albo o drogę pyta; trzeba wyklarować tę rzecz. Wyciągnął więc z pod łóżka opleśniałą butelkę i nalawszy tą razą już i sobie mówi:

— Ciekawym co Waszeć powie o tym maślaczu?

— Bonum vinum, reverendissime Pater et illustrissime Capitaneus ecclesiæ! krzyknął Sieradzanin — i nadstawiając już próżną szklaneczkę dodał: bis repetita placent!

— A więc z Waszeci tęgi łacinnik? a czemużeś z początku takich się barbaryzmów dopuścił?

— Tale vinum, tale latinum Dobrodzieju — odpowiedział śmiejąc się szlachcic. Który to koncept tak uradował Gwardjana, że mu pozwolił dokończyć butelki.

Goście słuchając i dając aplauzy Chorążemu, zajadali, pili i śmieli się potężnie jak bohatyrowie Homera. Pieczyste było doskonałe, tłuste, kruche i rumiane — ale melszpejz cytrynowy zakasował wszystko. Tak go chwalono, że gospodyni z radości rosła jak na drożdżach — a Chorążanka zaobserwowała, że nawet u Cioci Szambelanowej w Warszawie, która ma francuskiego kucharza, nigdy smaczniejszych łakoci nie jadła.

Zaczęto więc gadać o nieboszczyku Szambelanie butnym i rezolutnym człowieku, który nie dał sobie dmuchać w kaszę, i za młodu nie jednemu śmiałkowi obciął ucho lub napoczął nosa.

— Znałem go dobrze — rzekł Major — tak on się odcinał wszystkim, że nawet raz Panu Bogu wręcz odpowiedział; prawda, że skromnie i uczciwie, ale nie zamilkł. Będąc jeszcze obożnym Mazowieckim i przejeżdżając przez Górę Kalwarję, zaszedł do Fary. Już było po nabożeństwie — kościół otwarty, ale ani żywej duszy we środku. Obożny ukląkł przed wielkim ołtarzem i odmawiał modlitwy głośno, a w końcu rozciągnąwszy się krzyżem zawołał: Panie! miej miłosierdzie nademną. A ty Patronie mój, Święty Stanisławie Szczepanowski, oręduj za mną boć przecie jestem Wojewódzkim dygnitarzem i z antenatów szlachcicem! —

Organista stał w tyle ołtarza i wszystko słyszał — a że miał ząb na Obożnego, więc gdy ten wymówił: z antenatów szlachcicem; dodał w głos: i kpem!

Obożny na takowe dictum acerbum zerwał się na równe nogi — obejrzał na około, a widząc, że nie było nikogo w kościele i że to musiał być vox dei — ukląkł pobożnie

i podniosłszy oczy w górę rzekł: Jakim mnie Panie stworzyłeś, takim mnie i masz! —

Pod koniec obiadu kielichy krążyły gęściej — kobiety nawet musiały małym kieliszkiem odpowiedzieć za wypite na cześć ich zdrowie. Jedna tylko Chorążanka wymówiła się od wiwatu stanem swoim panieńskim i młodym wiekiem, — co słysząc Buchman szepnął Proboszczowi w ucho:

— Panieństwo dobra ekskuza, ale co do wieku, nego! Jużcić wino zbutelkowane przy jej chrzcinach miałoby czas się wytrawić!

— Czwarty krzyżyk zaczęła Imościanka — rzekł z cicha proboszcz — ale to sekret o którym może i ona sama nie wie, — bo matka zawsze powtarza: Moja Domicelka, dwudziesty rok skończyła!

— Cóż to księże Dobrodzieju — ozwał się Rotmistrz — czy spowiadasz Pana Podsędka? Oj, dobrze robisz bo to stary grzesznik. Prawda, że bardzo tego nie widać — aleć to cicha woda brzegi rwie! —

Zaśmiali się wszyscy — Buchman i Proboszcz załapani jak koty przy mleku, zagadali materję żarcikiem — poczem za danym przez pana gospodarza przykładem powstano od stołu i wesołe towarzystwo przeszło do bawialnego pokoju, gdzie po niejakiej chwili, na prośbę kobiet a szczególniej Pani matki, Chorążanka po długiem opieraniu się i fochach, zaśpiewała przy odstrojonej Rotmistrza gitarze:

> Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły,
> A ktoś tam klaszcze za borem;
> Pewnie mnie czeka mój Filon miły
> Pod umówionym jaworem... i t. d.

Po Filonie, nastąpiła piosnka: Płynie potok doliną — i Chorążanka wzdrygająca się zrazu, wpadła w taki artystyczny zapał, że już obiecała śpiewać: Ledwie pierwszy promień błyśnie. Szczęściem, gitara rozstroiła się do reszty a. P. Buchman chcąc uorganizować instrument, tak ponaciągał struny, że dwie mu od razu pękły — co zmusiło do zaniechania dalszych trelów.

Widać że to nie był przypadek, ale sztuczka ukartowana między Podsędkiem a Majorem, bo po przytłumieniu orkiestry, ten ostatni uśmiechając się rzekł mu pół głosem: Sic me solvavit Apollo!

Właśnie w tej chwili otworzyły się drzwi na rozcierz — wbiegła Julisia, nakryła stół białą, holenderską serwetą — a Łukasz postawił ogromną tacę z filiżankami i kawą, i koszyk ze świeżemi, lukrowanemi sucharkami.

Gospodyni nalewając wrzący napój i ofiarując gościom spytała: A Pan brat czy dziś pozwoli?

— Dziękuję, siostruniu — odpowiedział Rotmistrz — zjem tylko kilka sucharków bo mi jakoś czczo w żołądku — a zamiast waszego tureckiego specjału, wolę dla przepłukania, szklankę mego butelkowanego piwka.

Zaczęła się rozmowa o kawie i o jej preparowaniu. Kobiety utrzymywały iż dla smaku, potrzebna jest koniecznie cykorja, mężczyzni byli przeciwnego zdania, szczególniej ksiądz proboszcz, zawołany amator wszelkich suszonych, smarzonych i filtrowanych delikatesów.

— Nie tak to dawne czasy — odezwał się Chorąży — jak kawa dostała indygenat w naszym kraju. Miałem circa dwadzieścia lat gdym po raz pierwszy w życiu, na imieninach u Stolnika Gadomskiego, zakosztował tego gorącego inkaustu. Była to wówczas wielka raritas, każdy więc z gości krzywiąc się połykał, a choć mu nie smakowało laudabat. Prawdać, że w onych czasach, nie umiano jeszcze preparować napoju — w imbrykach ziarnek kawy było nie wiele rari nantes in gurgite vasto — zamiast dzisiejszej cykorji używano suszonej marchewki, a słodzono miodem. Gdyż cukier in illo tempore pokazywał się tylko na stołach Magnatów — i w pomniejszych miastach nie dostałeś go, chyba u aptekarza, na leki.

— Co do marchewki, święta prawda! — rzekł P. Rotmistrz — sam słyszałem jak Pan Michał, Krasiński Marszałek konfederacji Barskiej, opowiedał następną dykteryjkę. Jechał raz do Warszawy i gdzieś koło Zgierza złamało mu się koło u landary, szczęściem że nie na polu ale śród wioski, przed samym domem właściciela.

Widząc z okna przypadek i miarkując po sutych zaprzęgach i licznej kalwakacie, że to musi być Pan nielada — wybiegł szlachcic na drogę ofiarując pomoc; a że była szaruga i zimno, zaprosił dostojnego gościa w swoje progi ubogie.

Stelmach był we wsi, ale reparacja miała zająć z godzinę czasu, więc gospodarz wraz z żoną gościnni ludziska, pytają czy JW. Pan nie zjadłby czegoś? — Podziękował wymawiając się, że tylko co po obiedzie. — Może szklaneczkę dobrego piwa? rzekł szlachcic — (gdyż wina nie miał w domu).

— Bardzo dziękuję!

— Może kawy? — zapytała gospodyni; właśnie się gotuje.

Marszałek chcąc im zrobić satysfakcję przystał na kawę. Wybiegła sama Imość do kuchni żeby jak najlepiej przyrządzić specjał dla dostojnego gościa. Po niedługiem czekaniu wniesiono imbryk i nalano ogromną szklanicę.

Kosztuje Marszałek aż tu okropna lura, czysty smak wygotowanej marchewki. Skrzywił się delikatek — jednak

przez grzeczność cedzi przez zęby — wreszcie postawił na stole i konwersacją chce zagadać rzecz.

— Cóż to? JW. Pan nie pije? — pyta szlachcic.

Wziął więc szklankę z rezygnacją, połknął trochę, ale czując, że miszkulancja za bardzo niesmaczna, znów postawił.

— Ostygnie kawa! — powiada gospodyni. — Wszakże dobra? Niechże JW. Pan Dobrodziej pije!

Tu już Krasiński nie mógł dłużej wytrzymać, a że był facetus i werydyk, odpowiedział jej w te słowa:

— Ot, przyznam się Acani Dobrodzice, że gdyby to było posiekane w kosteczki i okraszone młodą słoninką, tobym nie odmawiał — ale tak, rozgotowanemu w wodzie i osłodzonemu, Bóg widzi — że nie mogę podołać! —

Na szczęście wszedł kamerdyner donosząc, że koło zreperowane — uwolnił się więc późniejszy Marszałek od gościnnych wiolencji — lecz długo pamiętał i rozpowiedał o marchwianej infuzji.

Przy podobnych dyskursach zeszedł czas do wieczora, a gdy przyniesiono światło, Chorąży, Major, Podsędek i Rotmistrz zasiedli do partyjki kiksa. Kobiety gadały między sobą o projektowanych małżeństwach w powiecie — o Warszawskich sklepach — o zbiorze lnu i konopi — o robieniu domowych konfitur i t. d. A ksiądz proboszcz widząc, że młody syn Pana Majora się nudzi — zaproponował mu zagrać z nim w marjasza pod następnemi kondycjami: Jeśli wygrasz kochanku, dostaniesz obrazek, a jeśli przegrasz zmówisz paciorek.

Chłopiec lubiący obraski przystał chętnie na wyzwanie; — ale choć jako tako rozumiał grę, nie sprzyjała mu fortuna. Proboszcz miał zawsze Pamfila, marjaszów bez liku — a po zebraniu ostatniej, zabijał mu kozerami obce tuzy i kralki. Recytował nieborak przegrane modlitwy — lecz te głosy nie musiały iść w niebiosy, bo chłopak był zmartwiony niepowodzeniem, i łza kręciła mu się w oku. Dla pocieszenia go, ksiądz naumyślnie przegrał partję i dobywszy z kieszeni brewiaż, wyjął z niego kolorowany wizerunek Matki Bożej i dał uradowanemu partenerowi.

Właśnie Chorąży z Podsędkiem, dawszy przeciwnikom zapowiedzianego kiksa, zabrali wielką i długo dysputowaną pulę — gdy Łukasz przyszedł oznajmić że kolacja na stole.

Skończyły się gry mężczyzn, rozmowy kobiet i towarzystwo pospieszyło do jadalnego pokoju.

Mimo sutego obiadu, kawy i sucharków, znalazł się jeszcze apetyt. Podsędek pałaszujący jak drudzy, zrobił uwagę że w Polsce za wiele jedzą. Na co odrzekł P. Major.

— To też dawne epigrammatum powiada:

We Włoszech się uczyć,
W Niemczech się obłóczyć,
We Francji dyskurować,
A w Polsce bankietować.

— Już to dzisiaj — odezwał się westchnąwszy Pan Chorąży — z intromissją mód zagranicznych zaczynają niknąć dawne zwyczaje, i splendor bankietów staropolskich idzie w poniewierkę. Młoda generacja, chuda i blada, nie ma już sił ani do jadła ani do picia. Dawniej szlachcic czując plenus venter popuścił tylko pasa i zaraz znalazło się miejsce na nowy półmisek i nowy kielich. A dziś, jakże tu — Panie mi odpuść! — bez injuria morum rozpiąć obcisły fraczek, kamizeleczkę et cætera!...

Pamiętam ja czasy, gdy w dniach oborów sejmikowych lub trybunalskich, wystawiano na rynku, jedna po drugiej, na wysokich ligarach, ogromne beczki węgrzyna, i wyjmowano z nich szpunty — a szlachta, dopóki płynęło z antrum, piła, nadstawiając co kto mógł, szklanice, kubki, dzbanki — a jeśli kto nie miał na podorędziu naczynia, to nadstawiał czapkę, gdyż było dyshonorem pozwolić trunkowi lać się po ziemi. Piło się dobrze, jadło jeszcze lepiej — a zdrowie było czerstwe, i nie słyszano w ów czas o tylu chorobach co dzisiaj. To też i medyków nie było tak gęsto, chyba w Warszawie lub w Krakowie. A po miastach wojewódzkich siedzieli tylko żydzi felczery do zszywania i opatrywania pokiereszowanych na sejmikach łbów, rąk i kadłubów. Bo szlachcic dawny tylko na takową chorobę zapadał — a na żołądku nigdy szwanku nie poniósł. —

Skończyła się kolacja — wstano od stołu i Chorąży zabierał się do kontynuowania rozpoczętej materji, gdy żona zbliżyła się do niego mówiąc:

— Piotrusiu! trzeba jechać — bryka już zaprzężona — a wiesz że Misia delikatne dziecko — jak późno pójdzie spać, to nazajutrz głowa ją boli. —

Chorąży wyjął zegarek, pocisnął sprężynę, wybiła dziesiąta, obciągnął więc pasa i poszedł szukać laski i czapki. Proboszcz przed chwilą był się już pożegnał i wyszedł. Inni goście zabierali się także do odjazdu — a P. Major rzekł:

— Nie pięknie to najeść się, napić, a potem odjeżdżać — ale komu w drogę temu czas! —

W kilka chwil, całe towarzystwo podziękowawszy Rotmistrzowi za tak wesoło spędzony dzionek w jego domu, rozjechało się — każdy w swoją stronę.

IV.

PAN WOJCIECH BĘBNOWSKI

KONFEDERAT BARSKI.

W bawialnym pokoju czyli w salonie (jak go nazywała Panna Domicella od czasu swego pobytu w Warszawie u cioci Szambelanowej), w poobiedniej porze, siedziało trzy osoby już nam znane. Pani Chorążyna na kanapie odmawiająca cichym głosem rożańcowe modlitwy — Panna Domicella pod oknem, zajęta czytaniem nowego romansu, pod tytułem Żale Elwiry; a przed kominkiem, przy okrągłym stoliczku, Pan Chorąży grał w arcaby z Panem Wojciechem Bębnowskim, którego jakò nieznajomego muszę przedstawić łaskawym czytelnikom.

Pan Wojciech, niegdyś Porucznik w Konfederacji Barskiej, był to starzec siedemdziesiątkilkoletni — otyły, rumiany, z białym zawiesistym wąsem. Po różnych życia swojego kawałkach, straciwszy do reszty fortunkę jaką posiadał — znalazł schronienie w domu Chorążego, przyjaciela młodości i dalekiego krewnego. Siedział więc przy nim jak to mówią na respekcie, albo (że tu użyję jeszcze lepszego wyrażenia w naszym malowniczym języku) bawił u Chorążostwa. Istotnie że bawił, bo miał humor jowialny, dużo wiadomości, zapas anegdot i historyjek — a był gadułą nad gadułami.

Chorążyna domawiała właśnie Litanji do Wszystkich Świętych — Chorążanka zaczynała najpatetyczniejszy rozdział Żalów Elwiry; Chorąży dojeżdżając do drugiej damy wołał z tryumfem: perdidisti Carissime! gdy turkot pojazdu ozwał się na podwórzu. — Goście jadą! rzekła gospodyni; a Pan Wojciech, posunąwszy się do okna, powiedział: to Pan Kapitan z Lipowej Woli!

Panna Domicella spiekła raka, podniosła się, poszła przed lustro uporządkować rozpierzchnięte, na wzór wierzb płaczących, pukle. Pani matka poprawiła jej zgniecioną kryzę u kołnierzyka i obciągnęła na ramionach jedwabną chusteczkę; Chorąży powstał z krzesełka dla przyjęcia gościa. W tej samej chwili drzwi salonu otwarły się i wszedł rosły

i przystojny mężczyzna, mogący mieć około czterdziestu pięciu lat — P. Sulimski, dawny Kapitan za Księstwa Warszawskiego, a na teraz gospodarz w dziedzicznej swojej wiosce, o dwie mile odległej.

Pan Kapitan konkurował już blisko od roku o rękę Panny Domicelli — ale do małżeństwa jeszcze nie przyszło, bo Chorąży chciał żeby młodzi lepiej się z sobą poznali. I raz gdy go nagliła żona, aby rzecz zadecydować, odpowiedział.

— Przeciw Kapitanowi nie mam nic — człowiek majętny, przyzwoity i nie głupi — dyshonoru nam nie zrobi — lecz nie lubię takich nagłych, nowomodnych małżeństw, co to po zrobionej znajomości w zapusty na reducie, idą przed ołtarz w dzień Śgo Józefa. Pamiętasz kochaneczko, żem przez trzy lata z okładem palił cholewki do Imości, i mimo zobopólnych afektów, ledwie na początku czwartego roku ulitował się Jegomość ojciec nad nami niebożętami, usychającemi w ekspektatywie. Łacinnicy mówią festina lente, co znaczy kochaneczko: Spiesz się powoli. Ergo, Kapitan i Misia mogą jeszcze poczekać! —

Przybyły gość uściskał rączki damom, dwóch starców pocałował z respektem w ramię, i gdy wszyscy na nowo usiedli, rozpoczęła się ogólna rozmowa.

— Cóż tam sąsiedzie — rzekł P. Chorąży — droga niegodziwa — wyboje w lesie — a na oparzeliskach koło murowanej karczmy, musi być błota po same szynkle?

— Nie tak bardzo źle — odpowiedział Kapitan — bo podeschło trochę; a potem (tu rzucił czułe wejrzenie na Chorążankę) przyjemność nawiedzenia szanownego domu WMPaństwa Dobrodziejstwa i złożenia im powinnego uszanowania — nie pozwalają myśleć o niewygodach podróży.

— Do swej niebogi, nie ma złej drogi — przerwał uśmiechając się P. Wojciech.

Domicella spuściła oczy, a Chorążyna żeby pokryć ambaras córki, zwróciła dyskurs na co innego, zapytując:

— Wszak Pan w tych dniach wrócił z Warszawy? cóż tam słychać nowego w Stolicy?

— To co i dawniej, Pani Dobrodziko! Po ulicach ruch i hałas — w domach się bawią — w teatrach pełno ludzi! — Wielki Książe musztruje swoje pułki na Saskim placu — wymyśla — wścieka się i do kozy wsadza — a gdzie się obrócić pełno policjantów i szpiegów!

— Oj tak, złe czasy! rzekł wzdychając Chorąży — Moskal wziął za łeb i trzyma — swoim zwyczajem bije i skarżyć się nie da. Alećprzy bożej pomocy tak zawsze nie będzie! Fierat lux! — et aurea libertas powróci jeszcze kiedyś na tę nieszczęśliwą ziemię! My starzy, może już nie obaczym

tej chwili, lecz młodzi obaczą: Surgitur ex ossibus nostris ultor! —

Wpadłszy na ten tor, skierowała się rozmowa ku dawniejszym wypadkom politycznym. P. Sulimski opowiadał o Napoleońskich kampanjach, a nadewszystko o bitwie pod Lipskiem gdzie był ranny. Chorąży przypomniał Kościuszkowskie czasy — a P. Wojciech z kolei, zaczął dowodzić iż nie było na świecie wojny zaciętszej i ciekawszej jak za konfederacji Barskiej.

— Masz racją Panie Bębnowski — rzekł Kapitan — że wasza konfederacja była ostatnią wojną szlachecką — i że takich wojen już więcej nie będzie. Chwała Bogu że nie będzie! bo ja przyzwyczajony do porządku i karności wojskowej, nie mogę ścierpieć ruchawki. Piękna mi to wojna wasza! Jaki taki szlachcic, jeden w sutym kontuszu, drugi w obszarpanej taratatce, ten w wilczurze, tamten w płóciennej opończy, siadał na lichą szkapinę — wór napchany grochowinami służył mu za siodło, dwa postronki z pętelkami za strzemiona; pałasik w węgorzej pochwie i zardzewiała rusznica za broń; a potem hajże gęsiego przez bory i lasy per boros et lassos, póki się nie nagabało kozuniów albo jegrów — albo póki Jegomość nie zatęsknił do domu i bez opowiedzenia się komendantowi, nie wrócił na ciepłe piwko do Imości. Gdyż Bóg świadkiem, znałem jednego szlachcica w Czerskiem, który nominowany przez Regimentarza Rotmistrzem, prowadził swoj oddział przez cztery mile — a potem przypomniawszy sobie że ma żonę, dzieci i wioskę intratną — westchnął nieborak, i zdawszy komu innemu dowództwo, wrócił spokojnie do siebie — i do samej śmierci nosił tytuł Rotmistrza..... czteromilowego. —

Kobiety parsknęły śmiechem — a P. Bębnowski zawołał:

— Wolne żarty Mocipanie — ale tak źle się nie działo jak Wasan mówi. Byłyć prawda włóczące się po kraju tu i owdzie drobne kupki zbieraniny i tałałajstwa: lecz nulla regula sine exceptione. Główne siły konfederacji pod Pułaskim, Zarembą, Walewskim, Malczewskim i innemi Marszałkami — miały dobre konie, jednaki munderunek i nie różniły się niczem od wojsk komputowych. — Granatowa kurta, żupan i rajtuzy czerwone, pas wełniany, czworograniasta czapka z barankiem, flintpas i ładownica łosiowa — za uzbrojenie szabla, karabinek i para pistoletów w olstrach — oto miałeś prostego konfederata. A każdy oficer, Mocipanie, jak wdział mundur wyszywany galonami, szarfę jedwabną, srebrną masywową ładownicę i sute szlufy na obudwu ramionach — to wyglądał paradniej może, niż wasz Marszałek francuski.

— Co prawda to nie grzech — przerwał Chorąży — przy-

pominam sobie, że kończąc szkoły w Piotrkowie, widziałem komendę Pana Marszałka Cieleckiego, Starościca Zgierskiego. Żołnierze mieli ogarnięcie chędogie i doskonałą armaturę — a z Pana Marszałka, to srebro prawie kapało i nie przymierzając, wyglądał w atłasach, aksamitach i haftach, jak jeden z trzech Króli jasełkowych!

— Co zaś do absentowania się dowolnego od komend — rzekł kontynując P. Wojciech — i nie słuchania starszych, temu nego Mocipanie; był rygor wielki i nie jeden panicz za niesubordynacyjne sprawki dostał w łeb kulką bez pardonu — exempli gratia Gogolewski, Kawecki, Wyganowski etc. których ani szlachectwo, ani orędowania koligatów nie wyprosiły od śmierci. Wojna zaś cała nie byłać tak licha Mocipanie, kiedyśmy przeciw forsie moskiewskiej i wojskom królewskim pod Branickim i Byszewskim — przez całe pięć lat się trzymali! I bylibyśmy nigdy nie upadli, gdyby się był Austrjak i Prusak do swego koligata Moskala nie przyłączył.

— Długa i zacięta wojna — zgoda! Ale jakiż rezultat z tego wszystkiego? — przerwał kapitan — zubożenie kraju, nieszczęścia i klęski pierwszego rozbioru Polski! Konfederacja nawarzyła kwaśnego piwa, a my teraz pić go musim!

— Gdzie drwa rąbią — rzekł Bębnowski — tam wióry lecą, — komu się noga pośliźnie ten złapie guza — aleć robiło się co było można a Pan Bóg rozporządził wedle swojej woli.

— Na co tu, Panie Wojciechu, obmywać sobie ręce i zwalać winę aż na Pana Boga, kiedy złe daleko bliżej. Upadliście dla tego, iż były między wami główki, a nie było głowy a więc nie mogło być ogólnego planu wojennego, czyli jedności w działaniu. Generalność siedziała sobie za granicą, piła wino węgierskie i o bożym świecie nie wiedząc, rozdawała patenta na stopnie! A nominowani Regimentarze zamiast łączyć się jedni z drugimi, chodzili każdy swoim dworem, po staremu — gęsiego. To też ich Apraksyn, Renn i Drewicz pojedyńczo napadali i bili.

— Co do tego, Mocipanie, daję ci rezon — rzekł P. Wojciech — wyrąbałeś jak. siekierą verba veritatis. Tak jest, brakło jedności i zgody; każdy chciał przewodzić quot capita tot sensus! Między Panami Marszałkami była zazdrość wzajemna jak to zwykle u nas w Polsce: co panek to hetmanek! — Każdy się miał za lepszego i nie chciał od drugich dependować; pereat mundus byle godność osobista nie poniosła szwanku!

Zaremba jako dawny oficer komputowy, ociągał się iść pod komendę Pułaskiego dzielnego rębacza, ale nowicjusza na polu marsowem. Malczewskiemu jako szlachcicowi starej

daty, nie chciało się słuchać rad choćby najlepszych Pułkownika Moraskiego mieszczanina z Gniezna etc. etc.

Jednak przy tych wszystkich grzechach i błędach, byłać i dobra strona mocipanie; nie brakło u nas dzieł rycerskich i świetnych akcji, godnych figurować w kronikach. Pan Rotmistrz z Raducza opowiadał wam nie raz co dokazywał Pułaski w Częstochowie! — A Zaremba pod Kościanem i pod Widawą nie spisał że się gracko? A ów Moraski póki się nie rozpił, czyż nie tęgo rąbał? Własną ręką, Mocipanie, w różnych potyczkach dwieście Kozaków sprzątnął. A nie pomylił się w addycji bo za każdym ubitym Moskalem, robił kreskę na pochwie u swojej Augustówki, tak że w końcu miejsca zabrakło i musiał znaczyć na rękojeści! A ubieżenie zamku Krakowskiego w czterdzieści jeno ludzi i obrona jego przez dwa miesiące blisko, obrona do której należałem in persona — czyż to przelewki? czyż to nie kapitalna akcja?

— O zamku krakowskim słyszałem — rzekł kapitan — aleście tam mieli oficerów francuskich, ludzi znających służbę wojskową którzy wami dyrygowali — a zatem nie dziwota że się antrepryza udała!

— Concedo Mocipanie — odpowiedział Bębnowski — było kilku francuzików z nami; choć to Panie odpuść! Francuz komenderujący Polakami, to jak kura co kaczęta wodzi: tamta po brzegu a te po sadzawce! Jednak ci francuziki byli kawalerowie odważni i determinowani, a szczególniej Szoazy nasz Komendant w zamku, którego nasi, ci co po francusku umieli, Wybranowskim przezwali...

— Doskonale — zawołała śmiejąc się Panna Domicella — bo widzi mama, choisi znaczy po francusku wybrany. C'est charmant!

— Aleś się Wasan — Panie Wojciechu, rzekł Chorąży — dobrze w tym zamku wypościł! Po takich długich suchych dniach, musiałeś wyglądać jak z krzyża zdięty?

— Infandum jubes renovare — dolorem powiedział Bębnowski — była wielka bieda i głód — bo na tyla ludzi zabrakło w końcu żywności. Gdyż trzeba wam wiedzieć, że skoro owi czterdziestu jamą weszli do zamku śród nocy, i po omacku stu żołnierzy moskiewskich rozbroili i powiązali — reszta nieprzyjacielskiego wojska stojąca kwaterami w mieście, zaczęła atakować nieliczną garstkę naszych. Bronili się mężnie konfederaci, odstrzeliwając ze wszystkich okien do samego rana. My też stojąc w Tyńcu o milkę drogi, na odgłos owych strzałów poszliśmy zuchom na sukurs; Szoazy z czterystu piechoty a Marszałek Walewski z pułkiem dragonów gdzie ja służyłem. Odpędziliśmy zastępujących nam drogę Moskali i cała piechota nasza weszła do zamku

a z kawalerji tylko sto piędziesiąt ludzi i ja z nimi za grzechy moje! — Nie długo ze wszystkich stron, naściągało się nieprzyjacielsiego wojska tak, że ich było do ośmiu tysięcy oblegających; więc zapadła klamka i odtąd żadnego sukursu z niskąd, ani z Tyńca ni z Lanckorony. Przez sześć tygodni Mocipanie, Suwarów z Branickim przypuszczali szturm po szturmie a zawsze ze stratą, bośmy im ubili w tych bójkach, dwa tysiące ludzi z okładem — u nas zaś w zamku więcej żołnierzy z chorób, niż od kuli wymarło. Było w zamku amunicji, mąki i kaszy w bród — ale mięsa ani weź! Zabijano więc konie i jedzono jakby najsmaczniejsze frykasy — i mój biedny kasztanek nie wybiegał się od rożna! Francuziki, że to naród delikatny, wybredzali z początku — strzelali wrony i kawki i wykręcali wróble po kościelnych wieżach — ale najwyborniejszym specjałem dla nich były koty. —

— Czy być może? Mamo! zapytała Panna Domicella, żeby ludzie koty jedli?

— Oj, nietylko koty, ale i szczury smaczne Mościapanno — dodał P. Wojciech — kiedy głód przyciśnie! Otóż żołnierze nasi kiedy nie było ataku, chodzili nocą miauczeć po dachach żeby koty z miasta przywabić i łowili je — bo Szoazy i inni, płacili dobrze za ową francuską zwierzynę.

Ale w końcu zabrakło koni — wystraszyły się wrony i wróble — zmądrzały koty. Tak brakowało wszystkiego, że zamiast tytuniu palono siano w fajkach, a zamiast tabaki zażywano proszek robiony ze spalonego żyta! Większa część garnizonu rozchorowała się, a tu lekarswa ani krzty. Pan Komendant nasz, widząc że niepodobna dłużej się trzymać, podpisał kapitulację z Suwarowem, podług której miano nas wszystkich puścić wolno, gdzie kto będzie chciał.

Obiecanka cacanka, a głupiemu radość — græca fides, nulla fides! Mimo piśmiennej gwarancji, kazał Moskal pokuć nas w dyby i wraz z Francuzami zasłał aż do Smoleńska, skąd dopiero w kilka lat powróciłem do domu. —

Ukazanie się tacy z kawą, przerwało dalsze opowiadania. P Wojciech lubił gadać, lecz do kawy i sucharków jeszcze większą miał słabość — starcy są łakomi jak dzieci. Gdy więc z podaną sobie filiżanką zaczął się ceckać w milczeniu, Chorąży patrząc na niego, rzekł śmiejąc się.

— No, wypierałeś się zawsze — ale dzisiaj przyznaj się nam Bębnosiu, czy jadłeś koty czy nie?

— Piotrusiu! — zawołała Chorążyna — nie gadajże o takich szkaradnych rzeczach przy kawie!

— Cóż tu szkaradnego kochaneczko? Chyba Imość do Pana Wojciecha robi przytyk — bo jużcić kot zwierzątko czyste, muska się jak panienka od rana do wieczora...

— Na rany boskie Piotrusiu! — zawołała znów Chorążyna — widzisz że Misia aż zbladła! —

Kapitan się zerwał szukać flakoniku z kolońską wodą, lecz niebespieczeństwo minęło.

— Sufficit kochaneczko — rzekł ze śmiechem Chorąży — sufficit... Kiedyście obie takie delikatne, to napoczniemy z innej beczki! Ni fallor, gadano o fortecach w Tyńcu i Krakowie — to mi przywodzi na myśl jedno zdarzenie które ś. p. Ojciec mój (Panie! świeć nad jego duszą!) często opowiadał.

Za czasów Augusta III. Sasa, w jednej z fortec należących do Rzeczypospolitej, był komendantem jakiś Pan wysokiego rodu, dumny i nieaprehendujący na nic, nawet na równość szlachecką. Tak więc urządził u siebie iż zawsze w sieniach musiał dzień i noc wartować na ordynansie jeden z towarzyszów garnizonowych, ludzi dobrego urodzenia, któremi czasem posługiwał się jakby ostatniemi pachołkami. Raz przecież niejaki Rzętkowski, szlachcic z łęczyckiego, dał mu następną nauczkę.

Ów Rzętkowski (który służył przy armatach) siedział pewnego dnia jako ordynans na ławie w sieni, myśląc o niebieskich migdałach — aż tu raptem otwierają się drzwi, wchodzi komendant dobrodziej i pokazując na przygaszoną fajkę, woła: Ognia! Rzętkowski — chłopak sprytny a przytem nie mający wielkiej chęci hajdukować choćby orderowemu Panu — biegnie na wały i mówi oficerowi straż trzymającemu że Komendantowi przyszła fantazja aby natychmiast dać ognia ze wszystkich armat. Tym czasem, zniecierpliwiony fajczarz iż tak leniwo spełniają jego rozkazy, wychodzi znowu do sieni — w tem pum, bum, pum — słyszy ogromną kanonadę jakby salwę dla Króla Jegomości (w owych bowiem czasach nie było wojen i proch służył tylko na takowy użytek). Obstupuit, sed non tenebat intenta ora, pytając co się to znaczy?

Gdy się rzecz wyklarowała i gdy Pan Komendant pieniący się od gniewu, wołał że on ognia do fajki żądał, Rzętkowski mu odpowiedział jak na szlachcica familjanta przystało:

— Ja służę Rzeczypospolitej; a Rzeczpospolita fajki nie pali; do jakiego ognia służę takiego podałem. —

Uśmiano się z historji Chorążego choć wszyscy, wyjąwszy Kapitana, nie po raz pierwszy ją słyszeli.

— Dobry koncept w salonie — rzekł Kapitan — ale nie w fortecy. Gdybym był na miejscu Komendanta, kazałbym był panicza wsadzić do lochu na jakie dwa miesiące!...

— Refero relata — odpowiedział Chorąży — co się dalej stało, nie wiem — lecz wątpię aby przyszło aż do inkarceracji, bo za onych czasów, nie tak łatwo było szlachcica więzić.

— To też za to dzisiaj wszystkich nas, Dobrodzieju, nieprzyjaciele nasi więżą! — powiedział Kapitan ze smutkiem, i konwersacja ustała.

Nadeszła też szara godzina, chwila mimowolnej melancholji, tego stanu duszy tak mało znanego wesołym ojcom naszym, a tak ciężącego kamieniem na pokoleniu nowoczesnem. Panna Domicella na skinienie matki przyniosła gitarę i zaczęła śpiewać.

Te brzóz kilka, ten bieg wody...

A potem różne aryjki z nowych operetek.

Kapitan, siedzący obok śpiewaczki, był w zachwyceniu: wybijał takt ręką i chwalił piękność głosu, wyrazistość uczucia i dobór śpiewek. Stary P. Wojciech słuchał cierpliwie trelów i komplementów, wreszcie rzekł:

— Bardzo mi przykro kontrować Szanownemu Kapitanowi, ale mnie się zdaje że w nowomodnych kompozycjach płaczliwych, nie ma ani soli, ani okrasy. Za moich to czasów, Mocipanie, były piosneczki krótkie a węzłowate, pełne animuszu i sentymentu — exempli gratia owa aryjka:

Kiedy ja usiądę przy mojej Dorydzie,
A spojrzę jej w oczy — zapomnę o biedzie —
A kiedy mnie ona ściśnie, pocałuje,
Wtenczas Dorydo, nic mnie nie frasuje...

Gruby i szorstki głos Pana Wojciecha, a przytem pompatyczne i przesadzone giesta śpiewaka, obudziły śmiech powszechny. Panna Domicella aż się zakrztusiła — a Kapitan trzymał się za boki nie mogąc oddychać.

— Widzisz Bębnosiu — rzekł Chorąży — co to jest nie w swoje rzeczy się wdawać — ne sutor ultra crepidam! Nam starym o wojnach, o trybunłach, o sejmikach, o pohulankach gawędzić; ale miłosne piosneczki nucić, to tak samo — Panie odpuść! jakby ksiądz Prymas w infule i w ornacie, brał się do tańczenia hołupca! —

Umilkł skonfundowany P. Wojciech, usiadł w kącie jak trusia i nie mięszał się już więcej do konwersacji, choć kapitan Sulimski, chcąc pocieszyć starowinę, wznowił materję o Konfederacji Barskiej. Zagniewany Achilles medytował zemstę w głębi namiotu!

V.

BŁĘKITNY POKÓJ PANA MAJORA.

Pokój nazwany błękitnym od barwy papieru służącego mu za obicie, znajdował się na lewem skrzydle dworu, od strony ogrodu. Między dwoma oknami stała szafa za szkłem a na jej pułkach kilkadziesiąt woluminów doborowych książek polskich i łacińskich, po największej części treści religijnej i historycznej: Nowy Testament, Żywoty Świętych, Kroniki, Herbarze, etc. Pod ścianą, blisko kominka, widać było szeroki stół dębowy — na nim kałamarz i piasecznica — pióra i scyzoryk — nożyczki, lak i pieczęć herbowa rżnięta na stali — papier listowy, regestra gospodarskie i kalendarz Warszawski — wszystko ułożone tak symetrycznie iż zdawało się mówić do patrzącego: «Nie ruszaj, bo znać będzie żeś się dotykał.»

Na przeciwnej ścianie obok drzwi, z jednej strony błyszczał, pomiędzy dwoma pistoletami, pałasz, dawny bojów towarzysz — a z drugiej, dubeltówka, foworytna strzelba Majora, której rurki były szwedzkie a zamki francuskie, wisiała między torbą borsuczą i trąbką myśliwską. Nad kanapą, naprzeciwko okien, olejno malowany obraz przedstawiał Tadeusza Kościuszkę w profilu, z okiem wzniesionem w górę, z pałaszem w ręku. Artysta wyobraził bohatera w chwili gdy w 1794 r. w Katedrze Krakowskiej przysięgał Narodowi na wierność i błagał Boga aby mu raz jeszcze pozwolił bić się za Ojczyznę. Piękna rycina angielska z wizerunkien Cesarza Pawła dającego wolność Kościuszcze w więzieniu petersburskiem — widok mogiły usypanej pod Krakowem, — zegar ścienny — barometr przybity do ramy okna i kilka krzeseł z poręczami — stanowiły resztę ozdób i sprzętów błękitnego pokoju który był ulubionem ustroniem Majora. Tam on parę godzin codzień przepędzał na pisaniu listów lub czytaniu książek — tam wieczorem zapisywał w regestra miarę omłóconego po gumnach zboża, przeglądał tabellę pańszczyzny i naradzał się z ekonomem jaką robotę gospodarską nazajutrz miano rozpocząć. Narady były długie

zwłaszcza jeśli barometr, niechybna wyrocznia, zapowiadał deszcz lub czas niestały.

Jednego ranka, Major samotny (gdyż żona z dziećmi wyjechała była od dwóch dni w odwiedziny do swojej matki) siedząc w błękitnym pokoju, zajęty czytaniem Kroniki Stryjkowskiego, usłyszał turkot zajeżdżającego na podwórze pojazdu. Położył więc wielką księgę na stole, zdjął okulary i zabierał się wychodzić na spotkanie, gdy ukazał się we drzwiach Kapitan Sulimski.

Pan Major, człowiek z duszą prawdziwie polską i szlachecką, dla której gość jest zawsze najpożądańszą rzeczą na świecie, uradował się z przybycia Kapitana, mocno go bowiem cenił i lubił z nim certować w kwestjach poważnych, lub opowiadać mu, jako młodszemu, o wypadkach Stanisławowskiej epoki.

Po przywitaniu się i wzajemnych pytaniach o zdrowie i powodzenie, gospodarz kazał wyprządz konie przybyłego i rzekł: «Chwała Bogu żeś przyjechał sąsiedzie, bo od onegdaj jestem tu sam jeden i miło mi będzie dzisiaj, zjeść obiadek w tak przyjemnem towarzystwie. Siadajże i rozgość się jakby u siebie.»

— Bardzo wdzięczny jestem — odpowiedział Kapitan — za łaskawe jego i znane mi względy — chętnie przyjmuję zaproszenie i tylko mi przykro żem przerwał Panu Dobrodziejowi interesującą zapewne pracę.

— Wziąłem się do lektury — rzekł Major — dla zabicia czasu, boć tę księgę znam tak dobrze jak niegdyś Alwara znałem; ale miło zawsze odświeżyć sobie w pamięci dzieje i chwałę przodków. Odczytywałem właśnie opis bitwy pod Grundwaldem. Stryjkowski nie ma w sobie wielkiego animuszu rymotwórskiego późniejszych pisarzy' — ale opowiadanie jego zajmujące, czasem nie co przydługie ale za to kategoryczne! Aż serce rośnie, łaskawco, gdy się czyta jak Polacy bili Niemców i jak niegdyś naród nasz był potężnym. Wszakżeć to jego ręka zgniotła na wieki obrzydły zakon Krzyżacki, pod Grundwaldem — i położyła kres ostateczny ottomańskim zaborom, pod Wiedniem! Ulegliśmy prawda, przemocy moskiewskiej aleć do tego upadku przywiodły nas więcej intrygi obcych i niesnaski domowe, niż oręż nieprzyjaciół. Wojna 1794 roku byłaby nas jeszcze ocaliła, gdyby w kraju znalazło się więcej jedności i zgody — gdyby, jak mówi przysłowie, Polak był mądry po szkodzie. Ja co patrzyłem na te wiekopomne wypadki, zaręczyć mogę iż mieliśmy w ręku wszelkie elementa niezawodnego sukcesu!

— Powstanie Kościuszki lubię i uwielbiam — zawołał Kapitan — Była to już nie hałaśliwa ruchawka szlachecka, ale porządna i prawdziwa wojna narodowa. Wszystkie klasy

społeczeństwa rozbudziły się z letargu chwytając za broń z zapałem — a na ich czele stanął człowiek pełen odwagi i poświęcenia, znający dokładnie rzemiosło żołnierza. —

Tak, mój łaskawco — rzekł Major. — Naczelnik był wodzem jakiego od dawna Polska nie miała. Zdatny a skromny, wysokiego umysłu a pełen prostoty — słowem mąż starożytny jakich rodzaj już dzisiaj zaginął i jakich nie spotkasz chyba na kartach dzieł Plutarcha! Widziałem ja go w obozach, jak nie na makatach ale na wiązce słomy spoczywał. W napoju i jadle wstrzemięźliwość zachowywał spartańską — bo nie raz kawałkiem suchego chleba się kontentował a pił tylko czystą wodę. Taki jak on człowiek, co nigdy nie myślał o sobie a zawsze o Ojczyznie, mógł był niezawodnie zbawić ginącą Polskę!

— Na nieszczęście! — przerwał Kapitan — poświęcenie, męstwo i cnoty Kościuszki były już za późnem lekarstwem na dawno zakorzenioną chorobę demoralizacji ogólnej. Od stu lat blisko, Naród nasz utracił wiarę w samego siebie i dla tego to szukał zgubnej podpory u obcych. Z początku jedni wierzyli w Cesarza, drudzy w Szweda — później, jak mówi przysłowie, jedni chodzili do Sasa, drudzy do lasa — a w końcu, ci Petersburga, tamci się Berlina czepiali. Na złe co ich trawiło szukali lekarstwa u obcych, kiedy w wnętrzu własnej ziemi trzeba było go szukać i byłoby się niezawodnie znalazło. A te ciągłe konszachty z postronnemi dworami, sprowadziły ohydną sprzedajność, która nas dobiła moralnie i ostatni cios zadała!

— Masz świętą racją — zawołał Major z westchnieniem — przedajność tak się zagnieździła i niejako weszła we zwyczaj, iż panowie biorący pensje wszelki wstyd utracili, uważając ten proceder za rzecz godziwą i naturalną — a niektórzy nawet, Boże im odpuść — za patrjotyzm! Wszakże jeden z naszych prałatów dyktując testament przy śmierci, zapisał sukcessorom swoim w publicznym akcie, oprócz innych kapitałów, summę trzystu dukatów które mu się należały za ubiegłe półrocze z kassy petersburgskiej. A pewien poseł, gdy mu zarzucano na sejmie pobierane ruble moskiewskie, śmiał odrzec iż to robi w patrjotycznym zamiarze aby zubożyć skarb nieprzyjaciół Ojczyzny! Wstyd i hańba wieczna tym wszystkim zdrajcom! tem bardziej iż większa część wyrodków sprzedawała się nie tak z potrzeby ani przez chęć podłego zysku, jako raczej przez szaloną ambicję i głupią miłość własną. Wyobrażali oni sobie iż muszą być wielkiemi figurami w narodzie, kiedy monarchowie zagraniczni starają się ich zakupić! Wierz mi Kapitanie iż to co mówię nie jest płonnem przypuszczeniem, lecz szczerą prawdą. Sam byłem świadkiem, jak na pogrzebie jednego z Magnatów,

ksiądz prowincjał, nie pamiętam już którego zakonu, mający nad trumną przemowę, chcąc pokazać słuchaczom jakie było znaczenie nieboszczyka, wyrzekł tryumfalnie na dobitkę: «Był to Pan tak wzięty — tak wielki i szanowany Senator, iż trzy najjaśniejsze dwory: Petersburgski, Wiedeński i Berliński, zaszczycały go coroczną pensją...» O! gdyby tam był mówcą ksiądz Biskup Woronicz, byłby zapewne zawołał jak w swojej Sybilli:

«Niech takim nieprzyjaciel targ ich w gardło wbije
«I gniazdo ich zarodku lemieszem rozryje,
«I płód ich zawiązany o kamień rozpryśnie,
«I ciało niepogrzebne psom na pastwę ciśnie —
«Kto cię kochana Matko zabił, zamordował,
«I na twą zgubę, zyski niegodne rachował!»

Tu Major westchnął i zadumał się głęboko.

— Tak, tak — rzekł po chwili Kapitan — za Stanisława Augusta, złe było w samej górze — ale za to niższe warstwy społeczeństwa rozbudziły się do politycznego życia i naród dawniej tylko reprezentowany przez szlachtę, uzupełnił się martwemi dotąd żywiołami. Włościanie powołani do obrony ojczyzny pokazali się godnymi jej synami — a lud warzawski walczył heroicznie z wojskiem Igelstroma i dał dowód że wart był przywilejów nadanych sobie Konstytucją 3° Maja.

— Ani słowa! — odpowiedział Major — pod Racławicami widziałem poczciwych kmiotków naszych biegnących z nieustraszonem męstwem na moskiewskie armaty i dawny mój przesąd szlachecki względem nich zniknął zupełnie. Ale co do ludu warszawskiego, nadzieje moje zawiedzionemi były w części: bo jeśli okrył się chwałą z orężem w ręku — czyż nie splamił się później szubienicą i stryczkiem — gdy winnych po większej części, ale niesądzonych ludzi, samowolnie egzekutował. Gdy przywłaszczając sobie atrybucje rządu ustanowionego legalnie, wprowadził dezorganizację w chwili kiedy trzeba było wszelkiemi siłami wzmocnić rząd jak najbardziej? Gwałt ten zakrwawił poczciwe serce Naczelnika, wszystkich dobrze myślących patrjotów głęboko zasmucił — a nieprzyjaciołom naszym nastręczył pretekst najdziwniejszy okrzyczenia wszystkich Polaków za ród Jakubinów — wtenczas kiedy w Warszawie i w kraju całym nie znalazłbyś był i stu ludzi poklaskujących bezeceństwom francuskiego terroryzmu i szukających podburzyć motłoch ciemny, do mordów i swawoli! Bo lud, Kapitanie, łatwo da się powodować i wciągnąć na dobrą a najczęściej na złą drogę, przez ręcznych podszczuwaczy. Populacja Warszawska w owym czasie nie miała jeszcze politycznej kultury — działała ona nie z przekonania, nie z wiedzą, ale ze ślepego popędu, bez zdania sobie sprawy ze swego czynu —

nic jak wytrawny mąż, lecz jak niedoświadczony młodzieniaszek! Na dowód tego, muszę ci opowiedzieć scenę wydarzoną przed memi oczyma.

Nie długo po owych wieszaniach, przybywszy z obozu pod Mokotowem do Warszawy i wchodząc w ulicę Miodową, ujrzałem niepoliczony tłum ciągnący od strony Krasińskiego pałacu. Na czele kolumny kilku barczystych rzemieślników, niosło w tryumfie na rękach Prezydenta miasta, Zakrzewskiego, ulubieńca całej populacji, wołając na całe gardło: «Niech żyje nasz Prezydent kochany!!» Processja była długa, zwiększająca się co chwila nowym napływem ludzi. Zatrzymałem się dla tłoku a bardziej przez ciekawość, nie spodziewając się wcale usłyszeć tego co w końcu doszło mych uszu. Ci którzy nadeszli za późno i ciągnęli z tyłu kolumny, dowiedziawszy się że przodem niosą Zakrzewskiego, mniemali że go niosą pod szubienicę która zaczynała być w modzie; — kiedy więc pierwsi wołali radośnie: «Niech żyje nasz Prezydent kochany!» — ostatni wrzeszczeli z zajadłością: «Wieszać Prezydenta zdrajcę!» — jedni i drudzy z jednakim entuzjazmem i przekonaniem! Przyznasz mi łaskawco, że widok ten był nauczającym i smutnym zarazem, bo okazywał że lud nieoświecony jest niebespiecznem narzędziem które pierwszy lepszy intrygant łatwo na złe użyć może!

W kilka dni później, assystowałem innej scenie, która mi lud warszawski w nowem świetle przedstawiła.

Na rynku starego miasta obok Ratusza, zebrała się liczna hałastra terminatorów i włóczęgów, domagająca się z krzykiem i groźbą aby natychmiast sądzono pozostałych więźniów lub ich wydano jej w ręce. Wystąpił Zakrzewski perswadując grzecznie, żeby się nie mięszali w rzecz do nich nienależącą — lecz nie chciano go słuchać. Po nim, mówił wielki orator, Pan Ignacy Potocki, nazywając to tałałajstwo, szanownemi obywatelami — i ten nic nie wskurał. Aż dopiero nadszedł znany Kiliński i wlazłszy na stół wyniesiony z bliskiej szynkowni, w ten sposób przemówił do gawiedzi: «A cóż wy to myślicie hultaje, iż osoby rząd składające, są to malowane lale i pozwolą sobie grać po nosie! Rząd zna swoje obowiąski i zajmuje się ukaraniem zdrajców — ale jak nie od razu Kraków zbudowano, tak też indagować, sądzić i wyroki pisać w mgnieniu oka nie można — jak przyjdzie czas to i sprawiedliwość będzie! Idźcie więc sobie do domów i to natychmiast — szewcy do pocięgla — krawcy do igły — kowale do młota — stolarze de hybla; — a zostawcie sędziom jurysdykcję: każdy do swego rzemiosła! A jeśli nie pójdziecie mi precz, to do kroć sto tysięcy, ja wam pokażę że mam dwie pięście u rąk które nie

zużyły się całkiem na moskiewskich plecach i potrafią jeszcze dzisiaj bronić praw i spokojności!!»

Cóż powiesz, Kapitanie, że po tych słowach węzłowatych, godnych owego quousque tandem Cycerona — hałaśliwa tłuszcza rozeszła się spokojnie — każdy jak zmyty i ze spuszczonym nosem. Kiliński w tym dniu spisał się jak Neptunus Wirgiliusza uśmierzający skinieniem morskie bałwany — i pokazał że z ludem można zrobić wszystko gdy kto wziąść się umie zręcznie, odważnie — i przemówi stosownym do jego intelligencji językiem!

Jednakże, jak mówiłem dopiero, mimo tych chwilowych zaburzeń i nieodżałowanych gwałtów, mogliśmy byli jeszcze tryumfować, bo siła znajdowała się w wojsku dobrze uorganizowanem, pałającem najlepszemi chęciami dla Ojczyzny i mającem na czele człowieka z głową i z sercem. Ale Król niedołężny zachwiał się — dawni targowiczanie podnieśli głowę, rozsiewając kalumnie na Naczelnika, wichrząc, rozdwajając naród i paraliżując powstanie. Upadliśmy bo brakło zgody — upadliśmy jednak nie bez chwały — a zdrajcom została w zysku hańba i wspólna nam wszystkim niewola!—

Tych słów dokończał gospodarz, gdy nadeszła południowa godzina — dano znać że zupa na stole, poszli więc obadwa do jadalnego pokoju. Major, którego trudno było naprowadzić na inną rozmowę gdy raz wpadł na wojnę 1794 roku i na Naczelnika (tak bowiem zawsze a nie inaczej nazywał Kościuszkę), ciągnął przez cały obiad rozpoczętą materję, choć Kapitan już się nie mięszał do dyskusji i tylko potakiwał mu wzrokiem i skinieniem głowy. Na twarzy nawet tego ostatniego postrzedz było można że miał umysł czem innem zajęty, bo słuchał z przykładną cierpliwością ale też z widocznem roztargnieniem. I gdy wstawszy od stołu wrócili do błękitnego pokoju i usiedli na kanapie, Kapitan w te słowa przemówił.

— Opowiadania Pana Dobrodzieja, nauczające i wielce ciekawe tak mnie żywo zajmowały, że dotąd nie miałem ani chęci ani odwagi przerywać mu, dla wyłuszczenia powodu moich dzisiejszych odwiedzin — a przyznać się muszę że ta wizyta moja nie jest bez interesu i że przyjechałem w bardzo ważnej dla mnie sprawie! Wiadomy ci, łaskawy sąsiedzie, stan mojej fortuny, nie wielkiej wprawdzie ale dobrze urządzonej i bez grosza długu. Chwała Bogu w domu moim, jak to mówią nasi włościanie: jest chleb i kasa i sól i okrasa — i do całkowitego szczęścia brak tylko kogoś którby używając ze mną tej fortuny, osłodził mi egzystencję. Marcowy kawaler, kończący już piąty krzyżyk, powinien myśleć serio o przyszłości — nieprawdaż?

— Najświętsza prawda! odpowiedział uśmiechając się

Major — ale cóż ja poradzę w tej alternatywie, kiedy nie mam córki na wydaniu!

— Poradzisz szanowny sąsiedzie, poradzisz, jeśli nie nadaremnie na dobroć jego liczę: racz tylko słuchać do końca Nie tajne Panu Dobrodziejowi moje częste wizyty i to od roku przeszło w domu Chorążostwa — a wprawne jego oko, zapewne od dawna postrzegło że wdzięki i przymioty Panny Domicelli obudziły w mojem sercu głęboki szacunek i miłość dozgonną. Zyskałem wzajemność Panny, matka widocznie mi sprzyja — idzie więc tylko o Chorążego, który wprawdzie łaskaw na mnie, ale jak mi się Panna Domicella zwierzyła, chce odwlekać zamęście dla tego jedynie iż sam o swoją żonę cztery lata konkurował! Otóż, nie mając w tych stronach nikogo z bliskich krewnych, a rachując na łaskawe szanownego Majora dla mnie względy i na starą przyjaźń jaka go łączy z Chorążym, śmiem mu polecić interes, od którego szczęście całego mego życia zależeć będzie — i błagać aby Pan Dobrodziej raczył w mojem imieniu prosić Chorążostwa o rękę córki i o przyśpieszenie terminu.

— Z całej duszy, kochany Kapitanie, z całej duszy! nie zawiodę ufności położonej we mnie, tembardziej iż przekonany jestem, że Chorążanka lepszego i zacniejszego męża znaleźć by nie mogła. Muszę cię jednak ostrzedz, że już raz byłem negocjatorem małżeństwa i że po szczęśliwych początkach nadszedł nienajlepszy koniec. Rzecz tak się miała. Znasz łaskawco, Pana Józefa Bilmę z Radoszyna już dziś nie marcowego, ale grudniowego kawalera. Otóż, blisko dwadzieścia lat temu, gdyś ty Kapitanie po Hiszpanji czy po Niemczech wojował, a ja odpasawszy oręż wziąłem się do gospodarki — przyjechał do mnie Pan Józef prosząc, tu oto w tym pokoju, abym mu służył za swata u rodziców Panny Rumowskiej, tej samej która później wyszła za Libidzkiego z Wołuczy. Pośpieszyłem wykonać komis: — przyjęto oświadczenie z przychylnością, ale ostateczną odpowiedź odłożono do narady z panną i z ciotką. Aż tu w kilka dni potem, odbieram wizytę Pana Witałowicza, który po długich ceregielach i wachaniu się, mówi mi, że dowiedziawszy się jakobym ja miał polecenie od Pana Bilmy szukać mu żony — zwierza mi się w zaufaniu sąsiedzkiem iż mając dwie córki na wydaniu, chętnieby Pana Józefa przyjął za zięcia. Zaambarasowany propozycją, zawiadomiłem go o rozpoczętym choć niedobitym targu z Rumowskim. A że od przybytku głowa nie boli, więc myślę, rzekłem, iż jeśli uprojektowana sprawa z tej strony się nie uda, będę mógł zaproponować pretendentowi tę nową partję. — Nazajutrz Rumowscy odpisali mi, przysyłając zezwolenie — z warunkiem, że radziby odłożyć małżeństwo na później, gdy kawaler i panna

bliżej się w sobie rozpatrzą. Skoro więc Bilma przyjechał, dowiedzieć się o skutku mego poselstwa, przyjąłem go tryumfalnie donosząc, że nie jedną, ale trzy panny, mam dla niego do wyboru. Zaczął Pan Józef jeździć w konkury do Rumowa ale zaglądał też i do Berkowic, bo Witałowiczowny były dziewy dorodne i posażne. Otóż biegając od róży do tulipana, tentowany na prawo i na lewo, marudząc i przebierając, nie mógł się bałamut na żadną z trzech zdecydować. Panny wyszły za innych, a on osiadł na koszu!

— Cóż miał przeciw trzem czynić? nawet jak okazuje się, nie umarł z rozpaczy — rzekł wesoło Kapitan. — Ucieszna historyjka szanowny sąsiedzie! ale mnie nie zastrasza wcale perspektywa niebespieczeństwa. Serce moje zrobiło wybór oddawna, nie będzie więc wachania z mej strony.

— Istotnie Kapitanie, wiem żeś nie taki trzpiot i wietrznik jak Pan Bilma — więc ci przyrzekam solennie, iż po powrocie mojej żony, pojadę natychmiast do Chorążostwa z propozycją. Pan Piotr sztuczka uparta — mam jednak nadzieję, że na instancją starego kamrata udobrucha się i uwolni cię od trzechletniej egzpektatywy. Usuniem przeszkody i niezadługo, co daj Boże, wypijem zdrowie nowożeńców z trzewiczka Pani Sulimskiej.

— Wdzięczność moja dla Pana Dobrodzieja — zawołał Kapitan całując w ramię Majora — nigdy nie wygaśnie w mem sercu, i dziękuję mu zawczasu za trudy, dobre chęci i łaskawe względy — a najwięcej za przyjemną wróżbę. —

Po długich jeszcze oświadczeniach i komplementach wzajemnych, gość zabrał się do wyjazdu, a Major odprowadziwszy go przed ganek, wrócił do błękitnego pokoju i wziąwszy leżącą jeszcze na stole księgę, kończył rozpoczętą z rana lekturę, opisu bitwy pod Grundwaldem.

VI.

WESELE KAPITANA Z CHORĄŻANKĄ.

W domu Chorążostwa gości huk — szlachta z całej okolicy zjechała się dworno i wytworno, huczno i buńczuczno bo wesele to nie zwyczajna pohulanka!

Oprócz sąsiadów i sąsiadek, przybyli do Żarnowa krewni z dalekich stron — Pani Szambelanowa z Warszawy, Pan Prosper na dużych i małych Kokoszach Kokosznicki z pod Sandomierza i P. Tryzna z Litwy, «raczyli (jak się wyraził gospodarz), uszczęśliwić i zaszczycić jego domek ubogi.»

Po powrocie z kościoła gdzie się odbył ślubny obrządek, państwo młodzi przestępując próg w obec licznej asystencji, padli do nóg rodzicom. Matka ucałowała ich z płaczem radości — a Chorąży błogosławiąc im, wyrecytował długą orację, naszpikowaną frazesami jezuickiej łaciny, w stylu starożytnych epitalamjów. Dla tego też zamiast gadać o obowiąskach małżeńskich, wspominał co chwila Filemona i Baucis, Tetydę i Peleja, Helikon i Muzy, Rzymian i Greków. Obecni przejęci głęboko uroczystością ceremonji, słuchali z uwagą i rozrzewnieniem, jeden tylko Podsędek uśmiechał się na boku z tej mitologicznej erudycji.

Kapitan uradowany, porzuciwszy na moment żonę, obchodził gości, sypiąc wszystkim komplementa i dziękując z kolei za łaskawe ich względy — najwięciej jednak oświadczeń przyjaźni i wdzięczności dostało się Majorowi, który go tak szczęśliwie wyswatał.

Spodziewając się licznego towarzystwa, tygodniem wprzódy kazał Chorąży przebić ścianę dzielącą jadalny pokój od bocznego alkierza, z czego zrobiła się obszerna sala godowa. — Tam stanął stół ustawiony w podkowę, przy którym zasiedli w środku państwo młodzi — Szambelanowa między Kapitanem a Panem Tryzną, Major między Chorążanką i Panią Kokosznicką — a dalej w prawo i w lewo sześćdziesiąt innych osób.

Z początku panowała zupełna cichość i ledwie słychać było szelest wierzbowych gałęzi, któremi służący opędzali uprzykrzone muchy po nad głowami biesiadujących — aż dopiero gdy po zupie nalano w kieliszki francuskiego wina Bordeaux, ozwał się Chorąży:

— Doskonały i zdrowy kordjał, thesaurum valetudinis! dar to łaskawej Siostruni Dobrodziki, która go nam przywiozła z Warszawy jako donum nuptiale. Bębnosiu! ty co jesteś zawołanym amatorem trunków, powiedz że twój sentyment o tem winie!

— Rekuzuję się od wyrokowania; zbyt parcjalnym byłbym sędzią! — Znasz Panie Piotrze moją predylekcję i przysłowie: nie ma wina, nad Węgrzyna!

— Nego — zawołał Rotmistrz — wytrawne Bordeaux choć nie tak mocne ale za to delikatniejsze i zdrowsze. A jeśli szukasz tęgiego napitku, któryby prędzej pod czupryną zaszumiał, to juźcić hiszpańska Madera prym weźmie!

— Nieszczęściem! — ozwał się kapitan — rzadko my tu pijem

prawdziwą Maderę, Malagę lub Xeres; prawie wszystkie wina hiszpańskie przychodzące do Polski, fabrykują się we Francji.

— Jednak ja mogę ręczyć — rzekł Pan Kokosznicki — że w piwnicy mego zamku mam parę beczułek autentycznej Madery — prawda, że to mnie kosztowało dużo pieniędzy — ale nie żałuję, bo co dobre to drogie et vice versa.

— Nie przeczę Panu Dobrodziejowi, lecz to u nas rzecz arcyrzadka — od czasu mego powrotu do kraju jeszczem nie natrafił na prawdziwe hiszpańskie wino.

— Istotnie, Kapitanie — przerwał Major — ty najlepsze możesz wydać świadectwo, boś był na miejscu i musiałeś nieraz z Iberyjczykami dzwonić w kielichy.

— Hiszpanie — odrzekł kapitan — choć mają wyborne wina i choć ich przysłowie mówi: Mas vale vino maldito que no agua bendita, to jest: lepsze wino wyklęte niż woda święcona — jednakże są bardzo wstrzemięźliwi i pewny jestem, że szlachcic Polski przy okazji, w jeden dzień więcej wypije, niż Hiszpan przez cały miesiąc. Dwa lata przebyłem między niemi, a nie zdarzyło mi się widzieć jednego mieszkańca pijanego. Ale za to żołnierze nasi wychylając dzbany, padali z nóg jak muchy i literalnie topili się w winie.

— A to błogosławiona ziemia Mocipanie — zawołał Bębnowski — w Hiszpanji jak widzę jest ameljoracja, bo w bajecznym świecie złotego wieku, rzeki płynęły tylko miodem i mlekiem!

— Opowiem jak się rzecz stała. Jednego razu wysłano dwie nasze kompanje z Saragosy (którą żołnierze szarą kozą przezwali) na ściganie bandy gierylasów. Po całodziennym marszu przydybaliśmy nieprzyjaciół w małej wiosce śród gór — zaczęła się bójka i wyparliśmy tych hultajów, ubiwszy im kilku ludzi, bez żadnej straty z naszej strony. Już noc nadeszła, wojsko było zmęczone, więc po obstawieniu wedet i wzięciu posiłku udaliśmy się na spoczynek. Nazajutrz rano przy apelu zabrakło jednego żołnierza; po długiem szukaniu i wypytywaniu, doszedłem nareszcie, że się utopił — obaczycie Państwo jak i gdzie? Hiszpanie nie w beczkach ale w wysokich kadziach trzymają wino, a dla konserwacji leją na wierzch oliwę która za pokrywę służy. Otóż w nocy, kilkunastu wiarusów plądrując po kątach, znalazłszy takową kadź przystawili drabinkę, zrzucili wierzchnią oliwę i jeden po drugim właził i czerpał manierką. Co chwila ubywało czerpiących bo mocny napój ich rozmarzył i zasypiali po kolei na ziemi. Nad rankiem budzi się jeden, a czując pragnienie wstaje i włazi na drabinę by odwilżyć zaschłe gardło — aż tu widzi dwie nogi w kamaszach sterczące do góry. Przeląkł się woltyżer i woła na śpiących. Wyciągnięto kamrata ale już nie żył od dawna. Snadź chwiejące

się nogi pijaka straciły ekwilibrium, a ciężka głowa nachylona, pociągnęła ciało do głębokiej kadzi.

— Słodka śmierć Mocipanie — rzekł Bębnowski — niekażdy może sobie taką pańską łaźnię sprawić! Wielki to Cesarz Napoleon Polakom hæc otia fecit!

— Oj tak! — zawołał Major — wytopił on niemało naszych, po kadziach winnych, po Berezynach, po Elsterach i innych wodach — niech mu Pan Bóg tego nie pamięta!

— Powiedz nam też Panie Sulimski — spytał P. Tryzna — czy widziałeś kiedy Napoleona?

— Dwa razy Panie Dobrodzieju; raz będąc za urlopem w Paryżu, a potem w 1813 roku w Dreznie, przyjrzałem mu się bardzo zbliska.

— Ale czy z przodu? — przerwał Rotmistrz.

— A jakże mogłem inaczej!

— Bo ja znałem w okolicach Wilna, ex-jezuitę Kapustowicza, który widział z bliska Cesarza francuskiego, tylko że nie z przodu!

— Jak to łaskawco? — rzekł uśmiechając się Major — Napoleon taki doskonały taktyk dał sobie tył zabrać i to jeszcze przez księdza? To nie podobna!

— Obaczycie że podobna — odpowiedział Rotmistrz. — W roku 1812 kiedy ciągnął na wyprawę do Rossji, zatrzymał się w jakiejś wiosce z tamtej strony Wilna i podług swego zwyczaju wlazł natychmiast w przygotowaną kąpiel, tylko że nie z hiszpańskiego wina! Siedząc już w wannie pyta czy nie ma kogo we dworze umiejącego po francusku lub po łacinie, od którego możnaby się dowiedzieć o topografji okolicznej. Zdarzyło się, że ksiądz Kapustowicz, będący guwernerem przy dzieciach właściciela, znał język francuski, więc go zawołano do Cesarza. Napoleon miał rozwieszoną mappę na ścianie pod którą stała wanna za parawanem — i gdy wszedł ex-jezuita pałający chęcią oglądania tak wielkiego bohatyra, w tej samej chwili Cesarz jak był nagi, podnosi się, opiera na ścianie nad mappą i pyta: Najprostsza droga do Witebska którędy? Ksiądz cytuje miasta i wioski. Jaki dystans? — Tyle a tyle mil! — Jaki rodzaj gruntu? Równiny, lasy i łąki! — Brzegi Berezyny jakie? — Trzęsawica i błota! — Czy nie możnaby ominąć tej rzeczki? — Można, ale trzebaby dużo zbaczać na lewo! — C'est bon! allez-vous en! to jest: Dobrze! idź sobie Wasan precz! rzekł Monarcha nie odwracając głowy. Pojmujesz teraz Szanowny Kapitanie, że Kapustowicz znajdował się blisko Napoleona, sed veram faciem non aspexit! —

Powstał śmiech ogromny śród słuchaczy, jedna tylko Szambelanowa spuściła oczy, przygryzła wargi i rzekła z cicha po francusku do Kapitana.

— Ta szlachta powiatowa nie żenuje się wcale — gdyż przyznasz mi Panie Sulimski, że podobne historje nie opowiadają się przy dobrze wychowanych damach.

— Jestem kompletnie zdania Pani Dobrodziki — ale trzeba wybaczyć staremu żołnierzowi nieobeznanemu z tonem wielkiego świata!

— Nabiegałeś się po świecie mój zięciu — ozwał się gospodarz — de septentrione usque ad ultimam Thule spiesząc za głosem Bellony! — Wielki to profit i rozrywka dla młodego człeka, przetrzeć się po dalekich kątach i zakosztować chleba z niejednego pieca! — Musiało cię to bawić?

— Były dnie przyjemne — odpowiedział Kapitan — ale były też i bardzo przykre! Trudy — bieda i głód — zwyczajnie jak na wojnie! — To też w takich ciężkich chwilach, nasz wesoły Pułkownik zwykł był powtarzać: «Gadajcie sobie co chcecie na pochwałę wojny — gdyby to była dobra i zyskowna rzecz, toby ją żydzi oddawna już wzięli w arędę. —

Tymczasem goście zajadali z apetytem liczne i wyborne przysmaki przyrządzone mistrzowską ręką kucharza Pani Szambelanowej i zewsząd rozlegały się applauzy dla francuskiego artysty! — Kielichy też nie próżnowały a w końcu obiadu rozpoczął się szereg wiwatów. Chciał Major dopełnić przyrzeczenia i pić zdrowie nowożeńców z trzewiczka panny młodej, ale mu się wyprosiła po cichu, wprzód nim ogłosił propozycję — innym też nie przyszło to na myśl i tak Pani Sulimska uwolnioną została od idącego już w zapomnienie zwyczaju. Wychylono wiwat młodej pary, kryształową kulawką, która obeszła w około stołu, ciągle napełniana a ciągle próżna jak owo starożytne Danaid naczynie.

Gdy się skończył obiad, kobiety i młodzież poszli przejść się po ogrodzie w cieniu kasztanowych alei, a potem podzieleni na małe kupki zasiedli po darniowych ławkach i po altanach — matrony zajęte dziećmi a kawalerowie pannami. Kapitan przysiadł się do żony i baczny na jej najmniejsze skinienie, prawił jej najczulsze komplementa jak gdyby dopiero rozpoczynał zalecanki. Męczyzni podeszli wiekiem, jedni obchodzili z Chorążym browar, owczarnię, stajnie i obory, chwaląc wszędy wzorowy porządek — drudzy mniej żarliwi gospodarze zostawszy w domu, zasiedli przy stolikach do marjasza i ćwika.

Po kawie rozpoczęły się tańce; liczna kapela sprowadzona z Rawy huknęła od ucha poważnego poloneza i wysunęły się pary jedna za drugą przechodząc w posuwistym marszu wszystkie pokoje obszernego dworu. Pan Wojciech zostawszy się w końcu sam jeden i nie mogąc znaleźć tancerki, zabiegł na czoło orszaku, pokręcił wąsa, zarzucił w tył wyloty i klaskając w ręce krzyknął stentorskim głosem: «Odbijanego

Mocipanowie.» — Kapitan ustąpił mu chętnie Szambelanowej, bo mu się dostała na chwilę własna żona, która z Majorem w drugiej szła parze — Major odbił Chorążynę Rotmistrzowi i tak dalej i tak dalej rozłamywał się długi łańcuch ruchomy i znów się spajał — póki ostatni tancerz odprawiony, nie zabrał miejsca pierwszemu! — Mazurki, walce i krakowiaki nastąpiły po polonezie i młodzież hasała jakby w zapusty. Nie można było dobrać czterech par do kontredansa, więc Panna Kokosznicka na naleganie matki i ciotek, po długiem wzdryganiu się, zezwoliła tanczyć Szala będącego wówczas w modzie baletniczego pląsu. Nowy to był widok dla szlachty; obstąpili do koła, wspinając się na palcach — a niektórzy powłazili aż na ławki i krzesła. Panna Herminja wysmukła i gibka, wiele miała lekkości i wdzięku w poruszeniach, wiele kokieterji w geście i wzroku — i przerzucając po nad głową lekki szalik błękitny, podobną była do Irydy obwianej mgłą letniego poranku. Patrzący stali w zachwycie i gdy skończył się taniec, ozwał się chór uwielbienia i spadł deszcz komplementów.

Panna się zarumieniła, matce biło serce z radości a Kokosznicki zawołał:

— Córka moja brała lekcje od pierwszego metra w Warszawie — niemało mnie to kosztowało pieniędzy, ale na edukację dzieci nigdy nie trzeba szczędzić! —

Trwały tańce aż do drupiej po północy, w której to godzinie zastawiono cukrową kolację złożoną z tortów, marcepanów, karmelków, pomarańcz i szampańskiego wina za napój.

Już pierwszy brzask zorzy bielił się przez szparzy okiennic, gdy przyszło do oczepin. Na środku pokoju postawiono wysokie krzesło, usiadła na niem panna młoda, druchny rozplotły jej warkocze i włożyły koronkowy czepiec — rodzice i krewni odprowadzili nowożeńców do przygotowanej łożnicy i całe towarzystwo udało się na spoczynek. Kobiety i żonaci nocowali we dworze, a kawalerowie po gumnach, gdzie na rozesłanem sianie rozciągnięto dywany i położono poduszki na których młodzież nie prędko posnęła, prawiąc żarciki i pośpiewując z cicha:

Oj chmielu, oj nieboże,
Niech ci Pan Bóg dopomoże
Oj chmielu, chmielu!

Nazajutrz po śniadaniu chcieli się goście rozjeżdżać — ale nie tak to łatwo wymknąć się w Polsce z szlacheckiego domu. Chorąży kazał jeszcze w wilję pozdejmować po jednem kole z każdego powozu, zamknął je do lamusa i schował klucz do kieszeni.

— Czyż nie wiecie, szanowni sąsiedzi — mówił gospodarz: —

Że w Polsce od króla Lecha,
Trzy dni trwa każda uciecha!

Starożytny przywilej nominem captivabimus nisi jure victum, skasowany już od dawna, tandem tedy, bez dekretu inkarceruję Panów moich i nikogo nie wypuszczę przed czasem — bo gdyby mi gość który odjechał, tobym się nie śmiał szlachcicem nazywać ani pieczętować familijnym klejnotem! —

Poddano się tak ważnemu argumentowi, zwłaszcza że nie było ni głodno ni chłodno. Każdy pływał jak pączek w maśle, bo istotnie w domu Chorążego, chyba jedno ptasiego mleka brakowało.

Czekając obiadu zawiązały się konwersacje po różnych kątach. Pan Tryzna gadał o Grodzieńskich kontraktach i o gospodarstwie litewskiem. Pan Kokosznicki po raz dziesiąty zaczął relację o swoim zamku w dużych Kokoszach i o ogromnej sumie którą wydał niedawno na odbudowanie baszt narożnych.

Podsędek odprowadził na bok Rotmistrza i pyta:

— Cóż to za figura ten Jegomość, który tak ciągle o swoich zamkach i pieniądzach gada?

— Jego curriculum vitæ jest następujące: Syn dorobkowicza zbogaconego podobno handlowaniem wełną, wynalazł dobra w Sandomierskiem, których nazwa podobną była do jego imienia i przepłacił byle je mieć — ożenił się z ubogą lecz przyzwoitą panną, siostrzenicą Chorążyny, i tym sposobem wkręcił się między obywateli. Dziwna to i śmieszna facjata — zadufany w swoim majątku dmie się jak indyk na płocie — a pogląda z góry na nas wszystkich jakby na swoich włodarzy! Jednakże Niesiecki, ani Paprocki, ani nawet Wielądko nie wspominają o żadnych Kokosznickich, dla których najwłaściwszym herbem byłby holenderski dukat w srebrnem polu! —

W innej kupce, gdzie rej wodził Pan Bębnowski, rozprawiano o wojnach, o sejmikach i o polowaniach. Lecz największy był hałas w bocznym pokoju kędy liczni językowi szermierze, mówili o napadach zbójców, o czarownicach i upiorach. Jeden przesadzał się nad drugiego bając niestworzone banialuki — a każdy ręczał, że był naocznym świadkiem wypadku.

— Hola! mościwi panowie bracia i Dobrodzieje — zawołał Major — jeśli będziecie tak strzelać bez prochu i pływać bez wody — to aby stanąć z wami na równi musiałbym wam chyba zacytować parę historyjek Radziwiłła Panie kochanku!

— Prosimy i słuchamy! — zawołało kilku młodszych lubiących tradycyjne powiastki.

— Otóż pewnego dnia u Króla w Łazienkach opowiadał Radziwiłł — że pod Nieświeżem leży na polu tak wielka armata pozostała po Szwedach, że raz wracając z wizyty, w ogromny deszcz, i widząc zamek jeszcze odległy — kazał forszpanowi wjechać w ową armatę dla ochrony przed burzą. Słuchający panowie dziwili się z niedowierzaniem ogromowi szwedzkiej szmigownicy — wtenczas Radziwiłł odwołując się na świadectwo jednego ze swoich dworzan: «Borowski! powiedz że panie kochanku czy to nie prawda.» Tak, wielka prawda, odrzekł dowcipny dworak — jak że ja właśnie w tę samę porę chroniłem się był bryczką parokonną w armatę, ale postrzegłszy że J. O. Książe wali poczwórną karetą, wyjechałem zapałem, ażeby nie zawadzać!»

Ten Borowski był sprytny szlachcic i Radziwiłł bardzo go lubił, choć ulubieniec czasem płatał mu figle. I tak naprzykład: Książe twierdził na obiedzie u Hetmana Ogińskiego, że za czasów konfederacji w jednej potyczce własną ręką pięćdziesięciu Moskali trupem położył. Jakto? aż pięćdziesięciu? zaobserwował Hetman z uśmiechem. — Borowski! powiedz że panie kochanku czy tak nie było! Po raz pierwszy w życiu, odrzekł interpelowany, nie mogę służyć za świadka, bo jeśli sobie J. O. Książe przypomina, ja w onej bitwie od pierwszej kuli nieprzyjacielskiej zginąłem!

Radziwiłł uśmiał się z zadanego sobie kłamstwa, ale nie zawsze był tak dobrodusznym. W jakimsiś domu rozpowiadał zwyczajne swoje dykteryjki i choć przesadzał, przytomni słuchali go z pobłażającem milczeniem — jeden tylko młody osiemnastoletni chłopak, po każdej anegdotce przerywał: «To być nie może J. O. Książe.» Za pierwszym i drugim razem Radziwiłł zmarszczył brwi i kontynuował swoje, lecz w końcu uprzykrzyły mu się te ciągłe zaprzeczania, odwracając się więc ku niedowiarkowi zawołał: Panie młodziku! teraz muszę dla ciebie jednego opowiedzieć ciekawą historję o kpie. Był panie kochanku zamożny i stary Pan mający upodobanie nieszkodzące nikomu, relatowania czasem niepodobnych rzeczy. Między audytorami znajdował się niedoświadczony wyrostek, ot tak, wieku waszeci, który ciągle wykrzykiwał: «To być nie może! to być nie może.» Otóż zgadnij Panie kochanku, co ten wielki pan, który był uprzejmy i przyjacielski ale troche niecierpliwy, odpowiedział mu w końcu? Słuchaj waść dobrze, bo to będzie waści profitem i nauką na przyszłość! Oto odpowiedział mu bez ogródki: «Może być albo nie może, ale tobie kpie co do tego.»

Uradowani słuchacze prosili o więcej anegdot, lecz Major

odchodząc rzekł: Satis! satis! łaskawcy! dosyć na dzisiaj! ważniejsza teraz kwestja nadchodzi. Słyszycie że wołają do stołu: viduus venter non garrulat libenter. —

Po obiedzie — dla zabawy gości, zaproponował Chorąży przechadzkę do boru na jagody — rozdano koszyki i króbki i całe towarzystwo ruszyło na wyprawę przy radośnych okrzykach i pląsach młodzieży. Dwie godziny trwała bieganina po zaroślach z rozmaitym sukcesem zbieraczy — poczem gospodarz oświadczył, że teraz najbliższa droga do domu, prowadzi przez jego folwark leżący tuż za lasem — i puścił się przodem za przewodnika. Ledwie że wyszli na pole ujrzano w odległości, obok dworku na łące jakieś dwie białe pręgi a obok nich kilku uwijających się ludzi. Ci co mieli słaby wzrok rozumieli, że to rozpostarte sztuki płótna do blichowania — ale ostrowidze postrzegli dwa długie nakryte stoły. Istotnie był to przygotowany pod gołem niebem podwieczorek wiejski — a że przechadzka obudziła apetyt, wszyscy powitali radośnie te zgotowaną im surpryzę. Kurczęta ze śmietaną i nadziewane raki składały tę ucztę — a jagody zebrane przez gości, zalane mlekiem i posypane cukrem posłużyły za wety.

Aż do zachodu słońca bawiono się wesoło. Zalotniejsi kawalerowie, grali z pannami na łące w gotowalnię i mruczka; a w jednej izbie we dworku kilku młodych ludzi, słuchało opowiadań Pana Bojko, starego szlachcica znanego w całym powiecie pod imieniem wujaszka. Miał on (jak to u nas mówią) swoje kawałki — i teraz prawił słuchaczom w te słowa:

— Od czasu rozbiorów, Moci Dobodzieje, biedny kraj nasz przeszedł przez dziwne alternatywy i widział nie jednych gości choć nieproszonych, burmistrzujących jakby we własnem domostwie.

W tej tu części Polski mieliśmy naprzód lutra Prusaka — i zwaliła się nam chmara Niemców, jakby rój głodnego robactwa czującego żer przed sobą. Na słupach pręgowanych czarno i biąło pomalowawszy swoje wrony herbowe z niemieckiemi podpisy, przystąpili do głównej antrepryzy to jest do nałożenia podatków. Pogłówne, podymne, kopytkowe, mytowe, szarwarki, furwerki, fajerkasy i tym podobne wyderkasy! Bo u Prusaka, Dalipan Moci Dobrodzieje, pieniądz grunt — a w luterskiej litanji zamiast ora pro nobis mówią bezahl, to jest płać a płać. Dawne nasze przysłowie jeszcze z czasów wojen krzyżackich, że «Pan Bóg wtenczas Niemca stworzył kiedy się na Polaka rozgniewał» sprawdziło się! Oj doskwierałyż nam szwaby i tak zalały za pazury — że lud nasz, zjawiony wówczas owad plugawy co się mnoży w cieple komina i w strawę lezie, prusakami przezwał.

Po wszystkich drogach wiodących z Berlina do Polski, ciągnęły Dajczery w trójgraniastych kapeluszach, w trzewiczkach i dziurawych pończoszkach, z wytartemi łokciami, chude i blade — na urzędników do świeżo zagarnionego kraju. Każdy, za całe manatki, niósł cienki harcap na plecach i nominację w kieszeni. Czarne te pijawki obsiadły zgłodniałe, na rozciągniętem ciele naszego narodu, gdzie tylko najdrobniejsza ukazała się żyłka — gdyż Dalipan Moci Dobrodzieje, nawet na pachołków miejskich i na stróżów do dykasterji rządowych, sprowadzano obszarpańców z Brandeburgji, aby żadna okruszyna dochodów rządowych, nie spadła na krajowca.

Dawne zagony Tatarskie stokroć były znośniejsze — prawdać że pustoszyli wszystko ogniem i mieczem, ale też przemijali jak burza. A Dajczer Mocie Dobrodzieje, jak się raz gdzie zakradnie, to niszczy powoli i wpija się powoli do wnętrza jak rak co i ciało szpeci i krew psuje, póki nie wyssie żywota! Prusacy poprzekręcawszy na swoje kopyto nazwy naszych miast i wiosek i nakazawszy się uczyć swego baraniego języka — zapuścili szpony w kraj nasz i chcieli nas zniemczyć.

Szczęściem, zabrakło im czasu — bo gdy król ich zadarł z Francuzem — Napoleon tak mu wytatarował skórę pod Jena, że nie było się po co i schylać! — Na odgłos zbliżających się Francuzów z naszemi Polakami, wielki popłoch padł na niemiaszków. Landraty i pachołki, justicraty i stróże zmykały aż się za nimi kurzyło. Tylko że już lutrzyska nie były tak chude i blade jak przed kilką laty. Każdy wypasł się na polskim chlebie, wyrumienił na polskiej krwi — i smutno mu było rejterować na post ku brandeburskim piaskom.

Odetchnęliśmy po Prusakach — lecz nowa zmora siadła nam na piersi — niedowiarki Francuzy! — Cesarz Napoleon, któremu kraj nasz tyle krwi dał w ofierze, postąpił sobie nieszczerze, odpłacając lichą miarką. Wskrzesił nam kawałek kraju, ale dalipan bał się wymówić tego wyrazu Polska — organizując jakąś podrzędną prowincję nazwaną od imienia stolicy. To też zaraz wszędy mówiono, że z łaski wielkiego mocarza nie mamy nic polskiego — bo było Księstwo Warszawskie, król saski, kodeks francuski, moneta pruska. Egzystowało wprawdzie wojsko polskie, ale jakby na urągowisko. Moci Dobrodzieje, płatnik jego jeneralny zwał się Węgierski. Nasze dawne województwa przezwano departementami, potworzono prefektów i podprefektów — a dobra narodowe zaczęto rozdawać Panom Davoustom i innym marszałkom, jakby w kraju podbitym. Podatki nałożono równie

ciężkie a rekrutowanie daleko liczniejsze, bo szczupły nasz kraik do 90,000 wojska usztyftował.

Jednak z Bogiem a prawdą, choć trza było nadłożyć workięm i ludźmi — jakoś zdawało się lepiej, boś przynajmniej nie widział Szwabów i nie słyszał luterskiego języka. Chociaż w niepodległym niby to kraju, nic się nie działo bez wiedzy Cesarza, gdyż Książe Warszawski siedząc na francuskim wózku musiał śpiewać Napoleońską piosnkę — powtarzano jednak dla pociechy: lepszy rydz jak nic, czekając pomyślniejszych czasów.

Zamiast pomyślniejszych, gorsze nadeszły; wpadliśmy z deszczu pod rynnę! — Gdy Napoleonowi pośliznęła się noga, przywędrowali do nas nowi ale znani już goście — szyzmatycy Moskale! — Traktat Wiedeński, jak wiecie, zadekretował Królestwo Polskie któremu Cesarz Alexander nadał konstytucję. Oj cacanka to szychowa — pęcherz wiatrem nadęty! bo choć wydrukowano piękne prawa i zaręczenia na papierze, widzicie jak wielki książe Konstanty codzień nowy artykuł zamazuje dziegciem, i batem kozackim Wiedeńską konstytucję z pyłu liberalnego otrząsa! Jak się to wszystko skończy, tylko Bogu samemu wiadomo — ale Dalipan Moci Dobrodzieje, mam silną wiarę, że wy młodzi, doczekacie się szczęśliwszych czasów i już nie pruskiego, francuskiego i moskiewskiego — ale polskiego rządu!

— Amen! — odpowiedzieli z uczuciem słuchacze, i głęboko zamyśleni rozeszli się.

Trzeci dzień pohulanki przeszedł z równą uciechą. Jedli, pili, gawędzili i spacerowali. Kąpitan zajęty żoną — P. Kokosznicki sam sobą — inni goście każdy swoim bliższym znajomym — a Pan Chorąży wszystkimi — pilnując aby nikt się nie nudził i nikomu nie brakło wygody, napitku ni jadła.

Pod wieczór zaprzężono wszystkie pojazdy — i biesiadnicy upakowani do drogi, wyszli do sieni i na podwórze — lecz nikt nie śmiał odjeżdżać bez pożegnania się z gospodarzem, który raptem gdzieś był zniknął jak kamfora. Wołano go i szukano po wszystkich kątach nadaremnie — aż nareszcie od strony gumien, ujrzeli czekający, dwóch parobków prowadzących ogromnego wołu — przodem kroczył poważnie Chorąży jakby starożytny ofiarnik.

Zatrzymał się przed gankiem, padł na kolana i wskazując na dwurożnego olbrzyma zawołał.

— Szanowni sąsiedzi! zjedzmy jeszcze tego karmnego wołu — a potem was puszczę! Nota bene, nie jest to żadna wiolencja z mej strony bo ni fallor, tylko o trzy dni was Miłościwi Dobrodzieje obligowałem — jednak czyja łaska i kto mi dobrze życzy, ten zostanie!

Trzeba było mieć serca z kamienia i nie szlacheckie żołądki aby odmówić — wyprzężono konie — zostali się wszyscy i jeszcze dwadzieścia cztery godzin bankietowano po staropolsku.

«Ja także tam byłem, miód i wino piłem,
«A co się widziało, w relację włożyłem!...»

VII.

OSTATNI SZLACHCIC RZECZYPOSPOLITEJ.

Ostatni typ epoki Stanisławowskiej, który zdarzyło mi się napotkać lat temu blisko dziesięć, był Pułkownik T*** starzec osiemdziesięcioletni, biały jak gołąb, poważny jak patrjarcha biblijny — a pełen dobroci, uprzejmości i praktycznego rozumu.

Lubił on opowiadać jak wszyscy ludzie stojący nad grobem którzy, widząc że już nie czas budować plany na przyszłość, chętniej sięgają myślą po za siebie i hojną ręką sypią chcącym ich słuchać niewyczerpane skarby tradycyjnych powiastek, zapomnianych zwyczajów, wypadków i zdarzeń domowego życia — tyle zajmujących dla każdego miłośnika przeszłości.

Było to w końcu lata 1840 roku w jednych z wód nadreńskich, gdzie się zjechało z różnych części kraju naszego liczne towarzystwo polskie. Znajdowały się tam zacne matki z pięknemi jak róże córami; przekwitłe lafiryndy dyskutujące o poezji i sztukach pięknych; młodzież lornetkowa zajęta polityką i ruletą — i ludzie dojrzalsi szukający nie rozrywek, ale polepszenia nadwątlonego zdrowia. Lecz między wszystkimi, największą zwracała uwagę kontuszowa i poważna postać Pułkownika.

Na jednym wieczorze u Hrabiny *** gdzie dużo było gości, wszczęto rozmowę o upadku Polski. Jakiś młodzieniec świeżo wracający z Paryża, zaczął powstawać z całą zaciętością na dawną szlachtę — a drugi jak gdyby ciągnąc dalej rozpoczętą materję rozwodził się długo nad przedaj-

nością całego narodu przyuczonego w czasie elekcji do brania pieniędzy od cudzoziemców — a po dworach wielkich Panów, nawykającego do zależności i służalstwa.

Śród tej całej dyskussji, która nie obyła się bez kontradykcji innych członków towarzystwa — poglądałem z ciekawością na Pułkownika siedzącego na wygodnej kanapie między Panią domu a starszą jej córką. Na twarzy starca z razu spokojnej jak zwykle, przebiegał kiedy niekiedy jakby uśmiech politowania, to znów brwi ściągały się zaledwie widomą zmarszczką. Ale chował uporne milczenie choć to nie zgadzało się wcale z jego naturą — bo do kontrowersu był skory a do pogadanki zawsze gotów.

Czując jednak zapewne iż to było niejako obowiąskiem jego, ująć się za dobrą sławę epoki, której pomiędzy nami był jednynym żyjącym reprezentantem — odgadując że prawie wszyscy obecni zdawali się wywoływać go na plac boju błagającem wejrzeniem — Pułkownik pogłaskał się jedną ręką po szerokiej łysinie — drugą wsadził za nadrze jak gdyby sięgał do żywiej niż zwykle bijącego serca — i w te słowa przemówił:

«Już to u dzisiejszej młodzieży weszło we zwyczaj gadać o dawnych czasach z przekąsem, wyśmiewać zwyczaje przodków — i za błędy kilkudziesięciu wyrodków cały naród oskarżać i bezcześcić. A czyż to nie jest ten sam grzech, za który Pan Bóg ukarał synów, Noego naśmiewających się z nagości rodzica? — A czyniąc w ten sposób, nie jest że to stawać się podobnym owym ptakom dudkami zwanym, które własne gniazdo plugawią?

«Przepadł kraj, to prawda — ale któż temu winien? — Oto źli sąsiedzi, król niedołęga i kilku ambitnych magnatów — którzy za wstęgi czerwone i czarne, za tytuły cudzoziemskie, za frydrychsdory i ruble, przefrymarczyli biedną ojczyznę!

«A my szlachta, Bóg świadkiem, ręce mamy czyste; niepokalała ich niemiecka ni moskiewska moneta — i gdy na ostatecznym sądzie przyjdzie je podnieść na świadectwo, to na nich jeno ślady krwi nieprzyjacielskiej się pokażą!

«Jestże więc godziwie imać za topor dla ścięcia całego drzewa za to, że na kilku najwyższych jego gałęziach zalęgły się liszki plugawe? Trzebaż lekce ważyć cały łan złotej pszenicy, za to że na niektórych wzgórkach zły kąkol wybujał?

«W charakterze poczciwej szlachty naszej było to, na co targać się jest grzechem — była owa cnota nienapróżno szlachetnością nazwana — bo zaprawdę! jej kolebką nie kramy ni warsztaty, ale były zamki, dwory i dworki!

«Gdyż nie idzie tu wcale o to, że ktoś z praszczurów

pieczętował się Śreniawą lub Nałęczem i po Senatorskich krzesłach siadywał — prawdziwe szlachectwo nie zależy na herbie ani na zakopconych portretach antenatów! Zależy ono na rodzinnej tradycji o cnotach i poświęceniu, tradycji przechowywanej pod dachem domowym z pokolenia do pokolenia, jak ów ogień święty na rzymskim Kapitolu!

«Bo jużcić przyznacie mi wszyscy — że ja, com od czasu jak pamięcią sięgnąć mogę, słyszał zawsze opowiadania, że dziad mój połowę fortuny poświęcił broniąc sprawy Leszczyńskiego — że jeden że stryjów moich zginął śmiercią bohatera na szańcach Baru — ja, com patrzył własnemi oczyma jak ś. p. Ojciec mój dopomagał podupadłym sąsiadom i własnym kosztem podejmował proces ledwie znanej sobie lecz niesprawiedliwie pokrzywdzonej wdowy — ja, com od kolebki nasłuchał się w domu rozmów uczciwych, gdzie nie obrażano Pana Boga, ani szarpano dobrego imienia bliźnich! — Przyznacie mi mówię, iż po takowej edukacji szlacheckiej, musiałem wejść na świat z innem usposobieniem i z innymi sentymentami, niż syn tego lub owego dorobkowicza, który od dzieciństwa słyszał kalkulujących rodziców jak dokładać szeląg do szeląga, talar do talara; jakim sposobem nieuczciwy proces wygrać fortelem — przez jaki wykręt sprzedać żydowi stęchłą pszenicę, lub zbyć sąsiadowi kulawego konia!

«Darmo, Panowie! czego skorupka za młodu się napije tem na starość trąci — jabłko niedaleko pada od jabłoni — jaki ojciec taki syn! — I otóż to jest, co ja nazywam rodzinną tradycją i co właśnie niezaprzeczoną wyższość nadaje szlachcie polskiej, nad innymi stanami!

«Był ci prawda, za moich czasów tu i owdzie zły szlachcic, co nie po ludzku obchodził się z chłopkiem, co robił hałaburdy po sejmikach, co się puszczał na kosterstwo i inne łotrostwa po jarmarkach i po zjazdach trybunalskich: concedo! Ale powiedźcież mi, gdzie nie ma złego na świecie? W jakimże wieku, w jakimże narodzie, było towarzystwo ludzkie złożone jeno z Aniołów pańskich?

«Przyznaję wam, że była i zła szlachta, ale musicie mi także przyznać, że było daleko więcej uczciwej, czuwającej nad czcią imienia własnego i lękającej się pokalać tego, cośmy niegdyś nazywali nie bez przyczyny, klejnotem przekazanym od ojców!

«A teraz pozwólcie mi parę słów powiedzieć o dworach wielkich panów, które okrzyczano dzisiaj za szkoły służalstwa i próżniactwa.

«Zaprawdę, powiadam wam, że to były instytucje wywierające wpływ zbawienny, zakłady prawdziwie dobroczynne dla chudych pachołków, którym niedostatek zabraniał kształ-

cić się po Akademjach lub obcierać się między ludźmi podróżując po świecie, a którzy tutaj, bez kosztu, żyjąc ciągle w wyższem towarzystwie, nabierali w tem obcowaniu przyzwoitych manier, grzeczności i obyczajności. Tam to młodzik ukończywszy jako tako studja książkowe, rozpoczynał wielką i trudniejszą naukę światowego pożycia — bo za moich czasów, nie dosyć było wyjść na sawanta, trzeba było jeszcze wyrobić się na obywatela!

«Na dworach takowych, ubogi syn szlachecki uczył sie uszanowania dla starszych, życzliwości dla rówienników a pobłażania dla młodszych. W jednych godzinach wprawiał się w ćwiczenia wojenne, w drugich przyuczał do certowania w kwestjach moralnych i politycznych — słowem, nabierał (jak to wy dziś nazywacie) wszechstronnego wykształcenia, albo jak za moich czasów mówiono: obywatelskich rudymentów i światowego poloru. A kto miał trochę statku i sprytu, ten przy protekcji pańskiej i zapomodze, dochodził do znaczenia w kraju i do kawałka chleba na starość!

«Mówicie żę taki stan zależności był służalstwem niegodnem wolnego człowieka. Prawda, że trzeba było często pocałować w rękę lub ścisnąć za kolana benefaktora swego, lecz podobne oznaki wdzięczności nie miały wówczas nic rażącego, bo to był zwyczaj ogólny.

«A czyż to lepiej jest dzisiaj? Czyż nie jeden syn obywatelski aplikując się po kancelarjach nie musi nadskakiwać starszym i czapkować przed naczelnikiem swojej dykasterji? Za moich czasów przynajmniej uniżano cię przed człowiekiem znanym i szanowanym powszechnie, a dziś Boże odpuść! przed lada urwipołciem moskiewskim lub niemieckim, który jeszcze czapkującego zbeszta nieraz grubijańskiemi słowy!

«Ale niestety! zwyczajna to kolej rzeczy na tym świecie! Czy tak czy owak, czy niżej czy wyżej — kłaniać się musi kto potrzebuje chleba! I chyba wtenczas to się skończy, gdy nastaną owe zapowiedziane przez młodych czasy ludowego rządu — pod któremi zapewne bez żadnych zabiegów, pieczone przepiórki spadać będą każdemu do gęby!

«Otóż moja odpowiedź kategoryczna, na dopiero co usłyszane zarzuty. Wybaczcie staremu, że gadał może za długo i za cierpko — ale zaczepka poszła nie od niego, musiał się więc bronić — musiał wam pokazać, że nie tak djabeł czarny jak go malują — a zarazem dać do zrozumienia, że kocioł garnkowi przygania a sam smoli!» —

Tu nastąpiła mała przerwa. Gospodyni domu winszowała Pułkownikowi, że tak wymównie bronił swojej epoki, oskarżanej niesłusznie — młodzi antagoniści starca wynieśli się cichaczem z salonu; a Pułkownik po niejakiej chwili, wy-

piwszy podaną sobie szklankę limonady — poprawił się na kanapie i w te słowa przemówił:

«A teraz, Panowie i Panie! gdym zrzucił co mi na sercu ciężyło — by wam wynagrodzić za to, żeście mnie z pobłażaniem słuchali — opowiem wam zabawną historyjkę z moich czasów, która wam jeszcze jaśniej wykaże, jak przy dworach wielkich Panów, chudy pachołek, bez nadzwyczajnych starań i pracy mógł się dorobić fortuny.

«Książe Radziwiłł, zwany Panie Kochanku, miał jak wiadomo liczny dwór w Nieświeżu i żywił przy sobie nie mało ubogiej szlachty. Był to najbogatszy pan nie tylko w Polsce ale może i w całej Europie. A choć większa część owej krezusowej fortuny poszła z wiatrem — to przecież nie stracił jej jak inni, na karty ni na pieniactwo, ni na cudzoziemskie wymysły i zbytki. Ale ją przejadł uczciwie, po staremu, bankietując z braćmi szlachtą i hojną ręką rozdając na prawo i na lewo prawdziwie książęce podarunki.

«Ks. Karol Radziwiłł nie posiadał wielkiej nauki, lecz serce miał nieoszacowane i sentymenta staropolskie, dużo wrodzonego sprytu i humor krotochwilny, lubiący wesołe rozmowy, figle i żarty.

«To też nie brakło jowialnych ludzi na dworze Nieświeżkim, którzy ciągle bawili Księcia Pana, wynajdując mu coraz to nowe rozrywki. A oprócz tego Radziwiłł wykoncypował sobie następującą uciechę.

«Czasami bywało gdy mu przyszła fantazja, ubierał się w wytarty kontusz i rozstawiał pachołków z rozkazem aby, gdy dojrzą gdzieś zdala jadącego szlachcica kałamaszką lub konno, dawano mu znać natychmiast. Wtenczas wychodził na drogę wskazaną, zatrzymywał jadącego, wchodził z nim w rozmowę — a w końcu ofiarował mu się, przedstawić go Księciu Radziwiłłowi.

«Gdy napadł (co najczęściej bywało) na jakiego niezdarę, lub nierozgarniętego młokosa, bawiło go to niezmiernie i nażartowawszy sobie do woli z nieboraka, nakarmił go, napoił i hojnie udarowawszy w dalszą podróż wyprawiał.

«Ale bywało także, że Książe trafiał na swego, to jest, że nagabany szlachciura, choć niepozornej czasem miny, był to bywalec z wyćwiczonym językiem, który nie raz skonfundował przebranego Magnata. Wtenczas Radziwiłł nie gniewał się bynajmniej, cenił bowiem ludzi sprytnych; i takowego zucha przyjmował z większą jeszcze gościnnością a nie raz u siebie na zawsze zatrzymywał.

«Otóż jednego ranka, pachołek wartujący na wieży zamkowéj, dał sygnał, że na drodze od Brześcia widać zdaleka, het pod borem, zbliżającego się konno gościa. Wyszedł więc

Radziwiłł w tę stronę i doszedłszy pola usiadł na kamieniu przy drodze i czeka.

Po niedługiej chwili nadjechał podróżny na małej szkapce — był to dwudziestokilkoletni wyrostek z miną determinowaną, w szarym kontuszu, czapka na bakier, szabla przy boku — słowem, ubrany ubogo ale chędogo.

— Szczęść wam Boże, panie Kochanku, rzekł Radziwiłł, a skądże to Pan Bóg prowadzi?

— Dziękuję za życzliwość Waszeci, odrzekł podróżny — jadę z daleka bo aż z Korony, z Województwa Rawskiego, skąd mnie po skończeniu szkół w Łowiczu wyprawił Pan ojciec w drogę, do starego stryja księdza Trzaski, który tu na Litwie jest proboszczem i ma dostatnią prebendę — bo jak to u nas mówią: Kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie.

— Więc Waszeć, Panie kochanku, jedziesz do naszego kraju po sukcessję — rzekł uśmiechając się Książe.

— A tak zwyczajnie — powiedział podróżny — boć to przecie mówią zdawna: do Korony po rozum, do Litwy po pieniądze!

— Sprytny z Waści chłopak — rzekł z przekąsem Radziwiłł — i nie widać z waszej odpowiedzi, że Mazury ślepo się rodzą.

— Ślepo się rodzą, to prawda, ale gdy raz przejrzą to im już nie potrzeba okularów aby poznać człowieka z którym mają do czynienia. — Otóż ja widzę, że Waszeć jest niepoczesnym trefnisiem. — Daj mi więc Waści święty pokój, bo ja z ludźmi kłócić się nie lubię i gdybym był zawadjaką tobym się był już dawno zapytał Waszeci: Czy u waszego Radziwiłła, boćwina się obrodziła?

— Kwita byka za jędyka, krzyknął zanosząc się od śmiechu Książe — odwetowaliśmy sobie nawzajem. Żart Panie Kochanku czasem nie zawadzi kiedy humor po temu. Śmiech nie żaden grzech a słów igraszka, to fraszka: lepiej się śmiać niż gniewać, więc pogodźmy się i przebaczmy sobie nasze winy, jak na katolików i ludzi dobrze urodzonych przystało. Responsa waścine pokazują żeś choć młody, masz rozum i umiarkowanie statecznego człowieka. Takich ja szanuję i kocham — i jeźli, Panie Kochanku, nie odrzucisz dobrych chęci, to Wasana przedstawię w zamku Księciu Panu — który rad będzie poznać tak rezolutnego jak Waszeć kawalera. —

«Podróżny młodzieniec któremu przymówka o mazurach nie w smak poszła — widząc w nieznajomym tyle szczerości i wesołego humoru, po krótkim namyśle podał mu rękę i w najlepszej komitywie postępowali zwolna drogą ku zamkowi — młody na koniu a książe pieszo, wypytując się kompana o jego familję i przygody podróży.

«Gdy stanęli w dziedzińcu, Radziwiłł zarekomendował Marszałkowi przybysza i przyrzekłszy mu, że w czasie obiadu sam przedstawi go księciu — poszedł do swoich komnat ubrać się jak przystało na tak wielkiego Pana.

«O godzinie dwunastej zastawiono stół na kilkadziesiąt osób i gdy młody Trzaska szuka między zapijającémi anyżowkę gośćmi, swego protektora napotkanego na drodze, książe Pan wchodzi do sali i z uśmiechem dobroci zaprasza młodzieńca aby siadł koło niego.

«Poznał go Trzaska i przypomniawszy sobie niedawną żywą rozmowę, zmięszał się nieco — ale Książe dodał mu ducha, mówiąc aby to wszystko było zapomnianem — uśmiechał się jednak odwracając głowę: snadź gotował przybyszowi jakiegoś figla.

«Nalano na talerze zupę i gdy Trzaska nadaremnie szuka łyżki obok siebie, Książe Radziwiłł poglądając ukosem mówi: kiep ten kto nie zje zupy!

«Młodzieniec zrozumiał, że to łapka na niego — poszedł więc po rozum do głowy i widząc leżący przed sobą bochenek chleba, szybko odkroił przylepkę, wydłubał z niej ośródek i nuż za pomocą owej kromki wypróżniać nalany talerz. Udało się wybornie, nie zostawił ani kropli.

«Radziwiłł myśli: to widzę frant jakich mało — trudna z nim sprawa! — Ale nie na tem był koniec: bo Trzaska skończywszy zupę zawołał patrząc ukosem: «kiep ten kto nie zje łyżki» i dalejże chrupać skórkę od przylepki.

— Łebski z ciebie chłopak, Panie Trzaska — rzekł uradowany Radziwiłł — z tobą Panie Kochanku to nie przelewki; wywołałem wilka z lasu! Zagabałeś mnie zręcznie bo jużcić ja mojéj łyżki zjeść nie mogę — a jako szlachcicowi z Antenatów kpem zostać mi się nie chce. Otóż wiesz co Panie Kochanku, zróbmy kompromis; spuść mnie ze słowa, a ja tobie na odkupne daruję Zalesie wioskę intratną w Nieświeżkich dobrach; a przyrzeczenia dotrzymam jakem Radziwiłł! —

«Trzaska jakby go kto wsadził na sto koni, uradowany tak niespodziewanym darem, który go z chudeusza na possesjonata kierował, ścisnął księcia za oba kolana dziękując serdecznie za dobrodziejstwo.

«Podano dobrego węgrzyna, a po jednym i drugim kieliszku, przybysz podochocił sobie jeszcze lepiej — sypał więc żarciki jak z worka bo jak to mówią: Węgrzyn, to recepta na śmiech i koncepta. A gdy Książe żartował sobie, że go nie poznał na drodze:

— No jakże ja miałem poznać Waszą Książęcą Mość w wytartych sukniach idącego pieszo! Bo ja Mospanie, gdy-

bym był Radziwiłłem tobym nie chodził jak w złotogłowiu, a nie jeździł po Litwie tylko trzymasztowym okrętem!

— Tęgiś Panie Kochanku — zawołał rozochocony Radziwiłł. — Wiesz co Panie Trzaska takieś mi się podobał, że jużby mi tęskno było bez Wasana. Zostań więc przy mnie; ja ci zastąpię opiekę księdza stryja. Tu w Nieświeżu będziesz miał kawałek chleba i wesołą kompanję. A co czy zgoda? —

«Jak możecie sobie wystawić, Trzaska nie dał się długo prosić — do śmierci Radziwiłła siedział na jego dworze i zaraz po sławnym Borowskim w największych był u księcia faworach.

«Znałem ja osobiście tego Trzaskę Rawianina, który po stracie benefaktora swego mieszkał w dziedzicznej swej wiosce Zalesie i często sam rozpowiadał ową historję, dodając: «Jedni szablą, drudzy głową, trzeci ślubnym pierścieniem dorabiają się chleba, a ja przyszedłem Mospanie do fortuny łyżką.» I na wieczną pamiątę swego sukcessu wybudował folwark który Łyszkowicami nazwał.

«No, proszę was panowie moi, czyż nie łatwiej było za moich czasów ubogiemu szlachcicowi żyć na świecie bez świecenia łokciami? A jest że dziś aby jeden magnat w całej Europie, któryby za koncept lub sprytne obejście się, podarował komu wioskę? Prawdać, że i w Polsce dwóch Radziwiłłów nie było!

«Ależ Sapiehowie, Lubomirscy, Potoccy, Sanguszkowie, Czartoryscy i tylu innych, trzymali dość liczne dwory, na których wykształcił się nie jeden człowiek porządny co potem był pożytecznym krajowi orężem radą lub piórem — a który bez owej protekcji byłby gnił gdzieś nad zagonem roli, dął w miechy przy organach, lub (jak mówił jeden z poetów mego czasu) umarł za piecem u żyda!»

VIII.

SIEROTKA.

— Więc Jegomość nie chce się decydować?

— Powiedziałem Imości i powtarzam po raz drugi, że Wicuś jeszcze za młody! Ja w jego wieku ledwo w Syn-

taktyce byłem — i dzisiaj szukać mu żony, byłoby toż samo co się turbować o wory na mąkę, kiedy pszenica dopiero kwitnie na zagonach!

— Upór a nie żadna racja w tem co mówi Jegomość. Wicuś przecież nie dziecko — kończy edukację — i w Listopadzie będzie miał lat dwadzieścia! — A potem, nikt nie żąda aby natychmiast stawać przed ołtarz i ręce wiązać stułą: — dziś idzie tylko o to, aby dać Kokosznickim stanowcze przyrzeczenie.

— Ja, chwała Bogu! nie w ciemię bity — wiem o co chodzi! Lecz u mnie słowo to nie plewa — słowo szlacheckie to świętsza i ważniejsza rzecz niż fascykuł przed Panem Rejentem. Gdybym dał przyrzeczenie tobym go i dotrzymał — a ja z Kokosznickim w parentele wchodzić nie myślę — bo to wylazło Bóg wie skąd, nie urosło ani z soli ani z roli, a zadziera nos w górę jakby jakie książątko. —

— Cóż nam do tego kto go rodzi i czem się pieczętuje — mniejsza o to że trochę dumny! Lecz Jegomość mi przyzna, że nam dyshonoru nie zrobi, bo przecież człowiek przyzwoity a przytem bogaty.

— Tra ta ta, wiedziałem że Imość przyjdzie do tego ostatniego argumentu! Wicuś będzie miał kawał własnego chleba i nie potrzebuje czyhać na cudze! — A nawet, jeśli Imość tak wielką przywiązuje wagę do bogactw, to jej powiem, że Kokosznickiego majątek nie bardzo czysty — więcej hałasu i ambarasu niż aksamitu i atłasu! Ja wiem dobrze, że ten Panek w długach po uszy!

— Zwyczajnie plotki i zazdrość ludzka, a Jegomość w to wszystko wierzy jak w dziesięcioro przykazań.

— Zresztą mało to mnie obchodzi — nie moja sprawa weryfikować cudze fortuny! Wracając zatem do rzeczy, po raz trzeci i ostatni oświadczam Imości, że choćby Pan na wielkich i małych Kokoszach był bogaty jak Krezus, a nasz Wicuś miał już wiek do małżeństwa stosowny, to ja na to nie przystanę aby z Kokosznicką się żenił.

— Zobaczemy!

— Rozmaite rzeczy obaczy Imość wyjąwszy tę!

— Jakaś mucha wlazła dziś w nos Jegomości i burczy — ale jak odleci a refleksja przyjdzie, to wiem, że Jegomość przystanie.

— Ani dziś, ani za miesiąc, ani za rok — nigdy nie zgodzę się na to. Niech sobie Imość to zanotuje i więcej mnie tą propozycją nie nudzi! —

Mówiąc te słowa, wziął czapkę i laskę i wyszedł szybkim krokiem z domu.

Imość popatrzyła oknem a widząc, że mąż już za bramą — przeszła się kilka razy po pokoju, a potem otworzyła

raptem drzwi do bocznego alkierza gdzie przy małym stoliku siedziała szesnastoletnia dziewczynka z książką w ręku.

— Cóż to, Wasanna książkę czyta zamiast haftować? rzekła do niej ze złością i przystąpiwszy dała jej szturchańca w plecy.

Pokręciły się łeski w modrych oczach nadobnego dziewczęcia — w milczeniu złożyła książkę i wzięła się do krosienek.

— To już za nadto abyś Wasanna darmo chleb jadła i nie chciała pracować! Lektura to zabawa dla dzieci pańskich, dla panien posażnych — a dla sieroty jak Wasanna, która żyjesz z mojej łaski, to nie tylko niepotrzebna ale i szkodliwa rzecz, bo zawraca głowę a chleba nie da! — Już byłabym oddawna te wszystkie tomy w piec wrzuciła gdyby nie należały do Wicusia. Ale on za kilka dni przyjeżdża, to mu każę aby je trzymał pod kluczem i więcej ich Wasannie nie dawał. Bo to wstyd i hańba, że takie duże dziewczysko, które trzeba karmić i odziewać — nie może przez cały miesiąc jednego kołnierzyka wyhaftować! —

Uradowana Imość, że znalazła na kim się pomścić za niepomyślność negocjacji z mężem, wyszła tryumfująca, z alkierza zatrzasnąwszy drzwi z hałasem.

Dopiero co zasmucona i operlona łzami twarz dziewczynki, rozjaśniła się promieniem pociechy. Ujrzawszy się sama, złożyła ręce, wzniosła oczy ku niebu i rzekła z uczuciem:

— Wicuś przyjedzie!... o dzięki tobie Matko Najświętsza — jedyna matko biednej sieroty!

Scena ta, działa się w domu Państwa Ryszewskich zamożnej familji szlacheckiej mieszkającej w Pełczycach, blisko Opatowa.

Dwie wioski z folwarkami składały ich fortunę; lecz Pan Ryszewski żyjąc skromnie, zaoszczędził niemało grosza i posiadał znaczne kapitały, które trzymał u siebie w gotówce — bo za dumny aby jak Żyd pożyczać na procenta, a za ostrożny aby się puszczać na niebespieczne spekulacje.

Jedyny syn ich Wincenty, młodzieniec znakomitych zdolności i pełen zacnych uczuć, kończył trzecioletni kurs w Uniwersytecie warszawskim i właśnie w tej chwili miał składać magistrowski egzamin.

Dziewczynka, którą widzieliśmy w alkierzu, nazywała się Emilja Fiałecka. Jej ojciec oficer legji nadwiślańskiej, ożeniony z francuską, wróciwszy do kraju w 1814ym roku, okryty ranami, wycieńczony na zdrowiu, nie mogąc wejść do nowo formującego się wojska polskiego, zamienił pałasz na

lemiesz i trzymał mały folwarczek który mu Pan Ryszewski daleki krewny jego, wypuścił w dzierżawę.

Pięć lat spokojnego życia przy gospodarstwie, zdawały się wracać mu siły i szczęśliwą przyszłość rokować — lecz niedługo potem nadeszła ciężka choroba i poniosła Fiałeckiego do grobu. Biedna żona przeżyła go ledwo kilkoma miesiącami zostawując ośmioletnią córkę, którą Ryszewscy wzięli w opiekę i chowali u siebie w domu.

Mała Emilka piękna jak aniołek, pod okiem i pieszczotami matki wesoła i szczebiotliwa jak ptaszek — po śmierci kochających ją rodziców, dostawszy się na cudzą łaskę, zrozumiała co to być sierotą! Z śmiejącej się i rezolutnej, stała się cichą, smutną i lękliwą — ale wrodzona żywość dziewczynki nagle stłumiona, działając na wewnątrz, rozwinęła w niej wcześniej nad wiek; umysł, uczucia i charakter.

Od czasu wejścia w dom ten, opuszczona i prawie zapomniana śród sług niechętnych, Emilka sama sobie musiała być ochmistrzynią i garderobianą. Stare i wytarte dawano jej sukienki, a jednak zawsze wyglądała czysto i chędogo. Bo są istoty hojniej uposarzone od natury, które się rodzą z instynktem porządku i noszą na czole jakieś piętno wyższej godności i rodzimego wdzięku. Takim nic nie doda strój wykwintny ani ujmie uboga szata — jak perełka lub brylant które osadzone w miedź lub w złoto, zawsze jednakim blaskiem jaśnieją!

Pan Ryszewski człowiek poczciwy i dobry, ale zajęty wyłącznie interesami i gospodarstwem, nie zwracał uwagi na biedną krewniankę i nie widział, że żona jego, kobieta z zimnem sercem, traktowała ją z snrowością macochy. Rzadko słowo pobłażania i zachęty spadło na sierotę — nigdy nie uradował jej uśmiech lub pocałunek miłości, rzeczy tak niezbędne dzieciom jak kwiatom słońce i rosa! — Napróżno Emilka starała się być pracowitą, posłużną i potulną — zawsze ją popychano i łajano, nazywając darmozjadem i próżniakiem.

Bóg, opiekun nieszczęśliwych a cichych, ulitował się nad opuszczonem i poniewieranem dziewczęciem, zsyłając jej przyjaciela. Tym przyjacielem był syn Ryszewskich Wicuś, czterema tylko laty od niej starszy. Gdy przyjeżdżał na wakacje i święta — wiedziony może tylko potrzebą towarzystwa i rozrywki z podobnem do siebie dzieckiem — bawił się z Emilką, dawał jej swoje cacka, dzielił się przysmakami i nieraz wyprosił ją u matki od niesłusznie naznaczonej kary. To też sierotka znalazłszy w Pełczycach jedno przynajmniej chętne dla niej serce, jedną przynajmniej dłoń obrończą — uradowana i wdzięczna, kochała go całą duszą jak brata, uwielbiała jak opiekuńczego anioła. A kiedy jej

młody przyjaciel był w Warszawie, liczyła niecierpliwie dnie i godziny po których miał wrócić i długi jej czyściec na krótki raj znów zamienić.

Z upływem czasu, Wicuś nabrawszy zapału do nauk, zaczął myśleć więcej o pracy niż o zabawach; książka i pióro zastąpiły piłkę i drewnianego konika. Nie zmniejszyła się wprawdzie dobroć jego dla małej towarzyszki dziecinnych igraszek, lecz mniej się już nią zajmował. Trzynastoletnia Emilka choć umysłem i ciałem wydająca się starszą nad wiek swój, była dzieckiem obok Wicusia dorastającego na młodzieńca.

Jednego razu, młody Ryszewski już przeszło szesnaście lat mający, przy końcu wakacji odjeżdżał do szkół z matką i wsiadając do powozu, przypomniał sobie zostawione pudełko z motylami. Wbiegł więc do domu i szukając po wszystkich pokojach, zajrzał do małej alkowy, gdzie zastał Emilkę zanoszącą się od płaczu.

— Dla Boga! co tobie jest? czy cię Imość obiła?

— Nie, to nic Panie Wincenty.

— Jakto nic, kiedy tak płaczesz? powiedz mi zaraz co ci się stało?

— Ot mi się tęskno zrobiło, że Pan Wincenty odjeżdża — bo teraz znów będę sama!...

— Nie płacz, dobra Emilciu! wszak Boże Narodzenie niedaleko; za trzy miesiące znów będziem razem! —

Ucałował ją serdecznie i pobiegł do pojazdu. Ruszyły konie traktem warszawskim — co chwila zmieniały się widoki — matka po kilkakroć wszczynała z nim rozmowę — lecz syn przez całą drogę był roztargniony i smutny, a jednak rad z tego smutku. Jakieś niepojęte, nieznane aż dotąd wzruszenie zaczęło kołysać mu sercem — a na ustach czuł jak żar ognia i razem miodową słodycz.

Dotychczas w sierotce widział tylko towarzyszkę zabaw, lub biedną, godną politowania istotę — dziś uczuł, że Emilka była czemś więcej jeszcze, że — kobietą!

Łatwo się domyśleć jak zaniedbaną została edukacja młodej dziewczyny. W dzieciństwie umiała po francusku pierwej niż po polsku, a teraz język macierzysty już prawie jej wyszedł z pamięci. Jeszcze w szóstym roku życia nauczono ją czytać i pisać, lecz w domu obojętnych opiekunów gdzie nikt ani pomyślał o jej nauce, byłaby straciła i tę

jedyną puściznę po rodzicach, gdyby nie książka do nabożeństwa na której się codzień modliła i która wznosząc tkliwą jej duszę ku Bogu, przypominała jej kształt liter i mowę pisaną.

Wicuś zdolny już ocenić jakim skarbem i pociechą jest ukształcenie moralne — marząc często w Warszawie o Emilce, po raz pierwszy zastanowił się nad smutnem położeniem sieroty pod względem naukowego wychowania — postanowił więc stać się jej nauczycielem i zbliżywszy się do niej sercem, zbliżyć ją ku sobie umysłem.

Zaraz po przybyciu do domu na święta, oświadczył rodzicom, że dla zabicia czasu i dla własnej wprawy, chce dawać lekcje Emilce. Matka widząc w tem kroku jedynie rozrywkę dla ukochanego syna, nie opierała się bynajmniej; Pan Ryszewski, któremu ta propozycja przypomniała obowiąski jakie na niego wkładała opieka, żywo pochwalił tęn zamiar.

— Masz rację Wicusiu! Bóg natchnął ci poczciwą myśl! Przecież Emilka to dziecko szlacheckie i nasza krewnianka i byłoby nieszczęściem dla niej a wstydem dla nas, gdyby dorastając nic nie umiała.

Dziewczynka przepełniona radością, dostała papieru, piór, kilka elementarnych książek i z gorącą chęcią wzięła się do pracy. Nowe istnienie, prawdziwe życie rozpoczęło się dla niej. Drugi Pigmaleon zaczął wlewać ducha, w piękny lecz prawie martwy dotąd posąg nowej Galatei.

Pomimo nie jednej przerwy sprowadzonej nieobecnością nauczyciela i zajęcie kobiecemi robotami, których sama Pani Ryszewska doglądała — po trzech latach starannej edukacji (w chwili w której zaczyna się niniejsza powieść), umysł Emilki pełen wrodzonych skłonności wykształcił się i zbogacił niezbędnemi wiadomościami. Historja, geografja, rachunki, język francuski, kompozycje piśmienne — we wszystkiem widoczne robiła postępy — i młody nauczyciel chlubił się z swej uczennicy.

Wdzięczność Emilki ze to nowe dobrodziejstwo — radość Wicusia patrzącego na owoce niedaremnych starań — wzmacniały i powiększały codzień dawne ich przywiązanie dziecinne. Nowe ogniwo, ogniwo ducha, utwierdziło tajemny łańcuch łączący dwa serca dziewicze. Ciągle sobą zajęci, szczęśliwi oboje na tej czarownej drodze młodych marzeń, usłanej tak gęsto kwiatami, że pod niemi cierniów nie widać — kochali się wzajemnie z całą szczerotą pierwszej, niewinnej miłości — nie domyślając się niestety! że są na świecie długie smutki i krwawe cierpienia, któremi człowiek musi odpłacić prędzej czy później, najkrótszą chwilkę roskoszy!

O kilka mil od Pełczyc, nad brzegiem rzeczki Kamionny, widać wioskę zwaną Wielkie Kokosze. Przy wjeździe modrzewiowy kościołek, ukryty prawie całkiem śród lip stuletnich — dalej ciągną się chaty i zabudowanie wieśniacze — a w końcu, na wzgórzu, otoczony pięknym i obszernym ogrodem, stoi dwór murowany mający po rogach dwa półokrągłe pawilony. Z tej to przyczyny, właściciel Pan Kokosznicki, przezwał dwór zamkiem, ogród parkiem, a pawilony basztami.

Duża ta wieś wraz z przyległym folwarkiem, położone śród wybornych gruntów Sandomirskich, przynosiły znaczną intratę, która łatwo mogła wystarczyć na wygodne i dostatnie życie szlacheckie. Ale Kokosznickiemu, pełnemu próżności i dumy, zachciało się szumić i grać rolę magnata. Sprowadzał kosztowne meble z Paryża, wykwintne ekwipaże z Wiednia, jeździł co roku do wód zagranicznych, a resztę czasu przepędzając prawie tylko w Warszawie — zaniedbał gospodarstwa i interesów i powoli zapadł w długi przenoszące więcej niż o połowę wartość całego majątku. Szukając gotówki na płacenie procentów od sum zapożyczonych od obywateli, udał się do usłużnych żydków, a gdy i u tych kredyt się wyczerpał, rzucił się w nielitośne ręce lichwiarzy Warszawskich, dla uspokojenia których musiał corocznie podpisywać coraz większe obligi.

Kilka lat ratując się w ten sposób, to jest za gotówkę płacąc podpisem, zdawało się niebacznemu, że odkrył tajemnicę łatwego i nieustającego dochodu — że wynalazł kopalnię złota. Lecz do czasu tylko dzban wodę nosi, na końcu obrywa się ucho!

Podobna chwila właśnie teraz nadeszła — wierzyciele jakby sobie dali hasło, rozpoczęli razem processa — wyroki i pozwy spadały jeden po drugim jak płomieniste strzały na dach obciążonego długami zamku.

— Słuchaj Andziu — rzekł Pan Kokosznicki wchodząc z otwartym listem do pokoju żony — czy wiesz jaką propozycję robi mi ten kanalja Gribsgold, który nas tak dręczy o swoje głupie 10,000 dukatów? Otóż pisze, że jeśli mu udowodnię iż istotnie młody Ryszewski żeni się z naszą Minią i jeśli to małżeństwo wkrótce nastąpi — to się wstrzyma od zaczętych kroków prawnych i tradowania zaniecha!

— W Bożem ręku wszystko kochany mężu! Wielki ciężar spadłby nam z głowy — z innymi wierzycielami byłoby łatwiej, bo ten Gribsgold najzaciętszy i najwięcej mu się należy — ależ kondycja którą kładzie, trudna i ciężka — jakąż możemy mu dać pewność w tym względzie, kiedy po

tak dawnem przyrzeczeniu, Pani Ryszewska dotąd nic nie odpisuje na moje naglące listy?

— Ryszewska dobra kobieta, ale on sam twardy i nieużyty — szlachciura traktuje mnie zawsze obojętnie i zimno — i choć go nigdy o pieniądze nie prosiłem, pogląda na mnie z góry jak gdyby Kokoszniccy u niego sługiwali za włodarzów. Dalibóg! że gdyby nie myśl iż to małżeństwo byłoby doskonałą partją dla naszej córki, a ratunkiem dla mnie w obecnej chwili, nigdyby noga moja u nich nie postała! Lecz darmo — gdzie nie można przeskoczyć tam podleźć trzeba — wiele może kto musi. Słyszałem od arendarza z Pełczyc, że od kilku dni Wincenty wrócił z Warszawy — zdaje mi się przeto, że warto by jutro pojechać do Ryszewskich — zbliżyć dzieci do siebie i jakoś ten interes wyklarować na czysto.

— Zapewne kochany mężu! sama nawet grzeczność tak nakazuje, bo od powrotu z Karlsbadu jeszcze nie byliśmy u nich z wizytą!

— Tylko uważasz Andziu — musisz działać ostrożnie i jeśli są jakie trudności chwilowe, nie forsować zbytnie — lepiej czekać choćby i długo, niż zrywać zupełnie!

— A gdybyś też temczasowo, poprosił go o pożyczkę?

— Wiem ja dobrze, że szlachciura ma grube pieniądze, ale siedzi na nich jak pies na sianie co i sam nie je i krowie nie da! — Zdaje mi się jednak iż trzeba kryć przed nim stan naszych interesów, rozumiesz! — Inaczej, z takim kalkulatorem nie możnaby ani gadać o małżeństwie.

— Ja myślę kochany mężu, że postępując otwarcie —

W tej chwili urwała się rozpoczęta rozmowa, bo wbiegła do pokoju Panna Herminja drażniąc się ze swoim pieskiem angielskim i pośpiewując dźwięcznym głosem arję Rozyny z «il Barbiere di Seviglia.»

Nazajutrz rano, czterokonny pojazd zajechał przed dwór Pełczycki wiozący familję Kokosznickich.

Pani Ryszewska przyjęła ich serdecznie, mąż z uprzejmością gospodarza, Wincenty z grzecznem uszanowaniem. Herminja jaśniała doborem strojów, a jeszcze więcej całym blaskiem młodości i niezaprzeczonej urody.

Kokosznicki chcąc pokryć smutne myśli, które nim miotały, odgrywał rolę wesołego — gadał komplementa i żarciki, jakby najszczęśliwszy człowiek na świecie!

Gospodyni wymknęła się na chwilę do kuchni zadysponować kilkoma potrawami więcej — i dla tego opóźniono obiad blisko o godzinę.

W czasie siadania do stołu weszła do pokoju Emilka, skromnie skłoniła się gościom i w milczeniu zajęła swe miejsce na szarym końcu.

— Jak też ta Emilka wyrosła! — rzekła Pani Kokosznicka.

— I jak wyładniała! — dodał jej mąż z uśmiechem.

— Niechże jej Pan takich rzeczy nie gada, bo ona głupiuteńka gotowa uwierzyć temu — przerwała sucho Pani Ryszewska.

Ubodła silnie Wincentego ta niesprawiedliwość matki — dziewczyna spuściła oczy, zapłoniła się jak piwonja, a Pan Kokosznicki, zręczny dyplomata, zrozumiawszy po tonie głosu, że nie wszystkie pochwały przyjemne w tym domu — zwrócił szybko mowę na inny przedmiot, winszując Wicusiowi ukończenia nauk i wychwalając jego wysokie zdolności i rozum dojrzały. Pani Ryszewska chcąc się wywdzięczyć, nie szczędziła pochwał Herminji podziwiając jej wdzięki, talenta, ułożenie, skromność i dobroć.

Natychmiast po skończeniu obiadu Emilka podług zwyczaju odeszła do swego alkierza. Gospodyni wyprowadziła Kokosznickę do osobnego pokoju, niby to dla pokazania jej nowych obrusów i serwet własnej roboty — a istotnie na tajemną rozmowę o wiadomym interesie. Dla tego też gdy Herminja chciała pójść za niemi, odprawiła ją matka mówiąc:

— Idź Miniu, pogadać z Emilką! —

Mężczyzni udali się do gorzelni obejrzeć nową maszynę Pistorjusza, którą Pan Ryszewski świeżo sprowadził z Kozienickiej hamerni.

Główną namiętnością Panny Herminji była niepowściągliwa gadatliwość. Matka strofowała ją wiecznie o tę wadę tak nieprzystojną dla panienki, musiała się więc przy ludziach wstrzymywać — lecz na boku, nie będąc strzeżona, popuszczała chętnie wodze językowi. Teraz widząc się sam na sam z Emilką, tak szybko zaczęła gadać, przechodząc z jednego przedmiotu w drugi — że zdziwiona i ogłuszona sierotka tym ulewnym deszczem słów, nie miała czasu jej odpowiadać na setne zapytania i uwagi.

— Jak się masz kochana Emilko? — Czekaj poprawię ci chusteczki! Ach! jakiż ty masz grzebień? już teraz takich wysokich nie noszą! Poproś Pani Ryszewskiej żeby ci sprowadziła z Warszawy, ot taki szylkretowy jak mój! — Ah! mon Dieu! co tu książek! — Śpiewy Historyczne! czy ty się uczysz śpiewać? Pamiątka po dobrej matce! to musi być bardzo nudne? Pielgrzym w Dobromilu! dziwny tytuł! — Ja nigdy polskich książek nie czytam, bo papa mówi że to nędzota! Bardzo ładnie haftujesz Emilko! tylko jak skończysz ten kołnierzyk to trzeba go ugarnirować koronką. — Ach! są tu widzę i dzieła francuskie. Contes pour ma fille,

par Bouilly! to dla dzieci! — La chaumière indienne! jak byłam młodszą lubiłam bardzo tę powieść, ale teraz mnie już nie bawi. Stanik u twej sukienki za wysoki! zobacz w Żurnalu mód; teraz noszą w Paryżu daleko dłuższe — patrz, jak mój! — Ale powiedz że mi, nie masz romansów Pani Cottin? —

Tu się zatrzymała na chwilę, mogła więc jej Emilka odpowiedzieć.

— Ja nigdy żadnego romansu nie miałam w ręku.

— Jakto? nawet Darlenkura nie czytałaś? ani Lè Solitaire, ani L'Etrangère?

— Nie, bo ja tylko te książki czytam które mi Pan Wincenty da!

— Jak będziesz w Warszawie, to kup je sobie u Gliksberga, na miodowej ulicy.

— Ja nie bywam w Warszawie.

— Jakto nigdy? to być nie może! — Ja Warszawę znam lepiej niż Kielce i Opatów. Żebyś wiedziała co tam sklepów i marszandemodów! — Poproś Pani Ryszewskiej, niech cię tam zawiezie koniecznie. Jabym tak nie wytrzymała jak ty, wiecznie siedzieć na wsi.

— Bo Panna Herminja robi wszystko co się jej podoba, a ja tylko to co mi pozwolą — bo panna masz rodziców a ja jestem sierotą!

— Biedna Emilka! — rzekła Kokosznicka z prawdziwem współczuciem — lecz słysząc, że matka ją woła, bez pożegnania wybiegła z alkierza.

Po odjeździe gości, Pani Ryszewska będąc sama z synem, usiadła przy nim i rzekła:

— Jakże ci się wydała Minia?

— Przystojna Panna!

— A czy chciałbyś mieć podobną żonę?

— Nie, mamo!

— A to dla czego?

— Dla tego, mamo, że mi się nie podoba!

— Za bardzoś wybrydny mój chłopcze — bo jużci ładniejszej dziewczyny nie widziałeś!

— Może i widziałem, mamo!

— Aha! nic dobrego! a gdzież to znalazłeś takie cudo? powiedz że mi to zaraz, bo przed rodzicami niczego taić się nie godzi! —

Postrzegł niedoświadczony młodzian, że się niechcący wygaduje z sekretu. Więc by pokryć co się działo w jego duszy, nadrobił miną i śmiejąc się nieszczerze, odpowiedział:

— Jak też mama łatwo wszystkiemu wierzy! ja tak żartowałem sobie. Mojemi pannami to są książki moje — a ta u mnie najpiękniejsza, która najwięcej wiadomości mi udzieli.

— Tem lepiej moje dziecko, tem lepiej! Bo inaczej bardzo bym się gniewała — a Jegomość jeszcze więcej by się dąsał. —

W kilka dni później, niby dla oddania wizyty, zawiozła Ryszewska Wincentego do Wielkich Kokosz, gdzie rad nie rad musiał dzień cały nie odstępować Herminji. Ale wprawne oko matek postrzegło ze smutkiem, że kawaler choć grzeczny dla panny, był niesłychanie zimny i jakby znudzony tą wymaganą od siebie pańszczyzną. Nie zrażono się jednak tem powtórnem niepowodzeniem, licząc na czas późniejszy i na niestałość młodzieńczego umysłu. Prędzej czy później Wicuś się rozkocha — a ojciec, mimo uporu będzie musiał ustąpić przed rozpaczą jedynego dziecka! Tak się pocieszały obiedwie matki.

Napróżno łamała sobie głowę Pani Ryszewska, skąd pochodzi obojętność syna dla Herminji i dziwny jakiś w nim humor. Czy nie jakie miłostki warszawskie? Ale nie! — zawsze chętniej wraca do domu, niż z niego wyjeżdża!

Emilkę uważała za istotę tak mało znaczącą, tak podrzędną i upośledzoną we wszystkiem, iż nie przypuszczała ani na chwilę, by ktokolwiek mógł się nią zająć.

Aż dnia jednego, wchodząc boczną furtką do ogrodu, gdy postrzegła zdaleka Wicusia z sierotką siedzących w altanie — pierwszy raz podejrzenie przeszyło jej umysł. Miałżeby się kochać w tej dziewczynie? rzekła do siebie z przestrachem. I chcąc się przekonać czy mogło być jakieś podobieństwo do prawdy w tem przypuszczeniu, podsunęła się ukradkiem po za gęstemi szpalerami — a skoro stanęła niewidziana o parę kroków od altany, następne słowa doszły jej uszu.

— Lecz gdyby mnie gwałtem chciano żenić z Kokosznicką lub inną panną, cóżbyś na to powiedziała Emilko?

— A któżby mego zdania żądał, lub na sąd mój uważał? — A po tem, byle Pan Wincenty był zawsze tak dla mnie dobry jak teraz — bylem została przy nim i codzień mogła go widzieć — to mnie się zdaje że byłabym szczęśliwą!

— A tobie Emilko, jeśli się trafi jaki przyzwoity obywatel na męża, czyż nie poszłabyś chętnie za niego?

— Niech mnie Matka Najświętsza od tego uchowa! Wo-

łałabym umrzeć, niż Pełczyce porzucić i rozłączyć cię z Panem Wincentym!

— A gdybyś po ożenieniu została tutaj?

— To być nie może — bo jakżeby Państwo chcieli przyjąć w dom obcego człowieka?

— A jeśli ten człowiek nie byłby obcy? rzekł młodzieniec i dodał drżącym głosem: — gdybym to ja był naprzykład? czyżbyś przystała Emilko?

— Niech Pan Wincenty sobie nie żartuje — gdzież ja biedna sierota godnam takiego szczęścia — odpowiedziała dziewczyna ze łzami oczach.

— To co mówię Emilko, nie jest żartem! z głębi serca mojego powtarzam, że jesteś godną, godniejszą niż każda inna — i biorę Boga na świadka, że innej żony jak ciebie mieć nie będę!

— Niech Pan Wincenty takich rzeczy nie gada, bo mnie biednej, głowa albo serce pęknie z radości!

— A więc zezwalasz Emilko? więc mi przyrzekasz najdroższa, wierność i stałość dozgonną? — zawołał Wincenty z uniesieniem, uchwyciwszy obie jej ręce i tuląc je do swego łona.

— O mój Boże, mój Boże! — odrzekła ze łkaniem sierota — czyż te łzy moje, łzy wdzięczności i uradowania, nie są najlepszem przyrzeczeniem! —

Było to pierwsze wyznanie i pierwsza przysięga miłości, dwojga dzieci niewinnych, kochających się od tak dawna.

Pani Ryszewska osłupiała słysząc tę rozmowę. Zadziwienie i przestrach, złość i smutek miotały nią naprzemian. W pierwszym popędzie gniewu, chciała wbiedz do altany i rozpędzić kochanków używając pięści i słów obelżywych — lecz wnet postrzegła się iż złe było za nadto posunięte — że krzyki i łajania niedostatecznem będą lekarstwem na ocalenie syna — niezbyt surową karą dla sieroty. Trzeba było uniknąć publicznego zgorszenia, a nadewszystko skuteczniejszy wynaleźć środek. Widok niebespieczeństwa, po raz pierwszy w życiu, doradził jej umiarkowanie.

Spiesznie wróciła do domu, nachylając się po za szpalerem i weszła drżąca od gniewu do pokoju męża, który właśnie list jakiś czytał.

Jegomość tu siedzi sobie spokojnie jak u Pana Boga za piecem, a nie wie jakie piekło w domu się dzieje?

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — rzekł Ryszewski

zdejmując okulary — dajże mi Imość święty pokój ze swoją furją bo ja i tak mam za swoje na dzisiaj. Oto mi pisze mój Mecenas, w chwili gdy ja myślę o siewach, abym natychmiast przyjeżdżał do Warszawy, bo sprawa o sukcessję po Kryńskim przychodzi na stół za tydzień.

— Niech Jegomość odłoży ten kłopot na stronę, bo tu ważniejszy proces będzie do sądzenia w domu! — Wychowaliśmy żmiję na własnem łonie — wilk w skórze baranka pokazał kły jadowite — niewdzięcznica zrzuciła maskę!

— Co się Imości dzieje — na Boga! Kto? co? jak?

— Kto? oto córka Fiałeckich, którą Jegomość uparł się wziąść na opiekę, pięknie nam odpłaciła za wszystko dobro któreśmy dla niej robili! Oto zbałamuciła nam Wicusia — opętała niepoczciwa, dziecko nasze, skarb nasz jedyny! —

Tu Pani Ryszewska opowiedziała całą scenę w altanie, dodając z gniewem:

— Ja zaraz tego ścichapęka wypędzę z domu! Niech sobie idzie na rozstajne drogi — niech umrze z głodu niegodziwa — byle tylko jej oczy moje nie oglądały!

— Dosyć tych trelów i odgróżek, słowa to wiatr a tu trzeba czynu! — To co mi Imość powiada jest ważną rzeczą i należy jak najprędzej złemu zapobiedz. Lecz z góry oświadczam, że wypędzać na świat biedną dziewczynę nie pozwala mi sumienie — bo że się dzieci w sobie pokochały, w tem jeszcze kapitalnej zbrodni nie widzę ani ostatecznego nieszczęścia. Znajdzie się przecież inny sposób łagodniejszy, a równie skuteczny.

— Sposób! szuka Jegomość sposobu? — rzekła Ryszewska chcąca korzystać z pory dla przeprowadzenia swego ulubionego projektu. Jest sposób prosty i łatwy! — Ożenić zaraz Wicusia z Panną Herminją, a Emilkę wydać za mąż za jakiego wójta gminy albo pisarza prowentowego, dawszy kilkaset złotych posagu. Tak działając, wszystkie głupstwa się skończą — mnie ciężar spadnie z głowy, a sumienie Jegomości uspokoi się.

— Tra ta, ta! pop swoje, czort swoje! — Imość każesz mi zapominać o moim interesie warszawskim a sama, ulubioną jej sprawę Kokosznickich jakby Patron jaki forytujesz! Lecz z tego, jak już mówiłem nic nie będzie! Druga zaś część projektu równie niedorzeczna jak pierwsza. Jak to? chcesz wydawać za pierwszego lepszego gbura, córkę poczciwego i zacnego ojca i przecież krewnę naszą? — Bój się Imość Boga! trochę litości i refleksji!

— Litości? litość u mnie dla niewdzięcznicy już się wyczerpała! — Refleksji? Jegomość ma głowę gospodarza, więc się nie spieszy — a mnie pilno i bardzo pilno — bo mam serce matki!

— Pewno Imość Wicusia więcej odemnie nie kocha! Więc proszę mi zostawić czas do namysłu. Kto się zbyt spieszy, ten się w końcu nie cieszy — odłóżmy tę rzecz do jutra. A teraz, na rany Boskie! niech się Imość umityguje i uda jakbyś o niczem nie wiedziała. Z dziewczyną sprawa pójdzie jak po maśle; z Wicusiem będzie trudniej bo, nie przymawiając Imości, wdał się w matkę i jest uparty! — Jednak działając ostrożnie, mam nadzieję, że wszystko ułatwim. —

Pan Ryszewski długo nie mógł zasnąć rozmyślając nad rozmaitemi projektami. W całej tej sprawie domowego niepokoju nie widział on dotąd nic zastraszającego. Nienawiść żony dla Emilki daleką była od jego serca — owszem lubił sierotę; ale nie mając zamiaru przeznaczać ją za towarzyszkę dla swego syna, postanowił położyć wczesną zaporę temu, jak nazywał, wybrykowi głów dziecinnych. Ułożył więc sobie stosowny plan do działania i nazajutrz rano, wchodząc do pokoju żony, ozwał się tryumfalnie:

— Mowiłem Imości że znajdę sposób i znalazłem. Wyprawim jutro Wicusia do Warszawy — niech wyręczy ojca i na mojem miejscu pochodzi za interesem. Sprawa i podróż zabiorą dziesięć dni z okładem — a przez ten czas ja wywiozę Emilkę do Mirczeskich. Właśnie przypomniałem sobie, że zaprzeszłej niedzieli widziałem Pana Jana w Radomiu zakłopotanego iż nie mógł znaleźć w tem mieście przyrzeczonej mu guwernantki do małej Juzi. Emilka umiejąca po francusku i mająca trochę wiadomości elementarnych, będzie mu na rękę — tym sposobem uplacujem ją w uczciwym domu i w przyzwoitej kondycji. Widzi Imość że kalkulując, wszystko się znajdzie — i wilk będzie syty i owca cała! — Z początku trochę płaczu i smutku z obojej strony — a potem dywersja i oddalenie, staną się najlepszem lekarstwem na dziecinne szusy! —

Matka obstawała jeszcze przy swoim planie ożenienia syna z Herminją — ale zahukana przez męża, zgodziła sie na wszystko.

Wicuś uszczęśliwiony z nadarzonej sposobności stania się użytecznym rodzicom, podjął się chętnie zastąpić ojca w podróży do Warszawy — jednakże ciągłe szepty Imości z Jegomością, i niezwykłe zajęcie rozlane na ich spokojnych zazwyczaj twarzach — bardzo go dziwiły. Postrzegał ze drżeniem, na horyzoncie domowym zbierające się chmury, ale się nie domyślał kto miał być ofiarą tej burzy. Uspokoił się przecież, przeświadczony, że zapewne proces warszawski tak

zakłopotał rodziców i postanowił najpilniejszych dołożyć starań dla zakończenia pomyślnie powierzonego sobie interesu. Mimo to jednak, żegnając się z Emilką uczuł niewypowiedzianą żałość i jakieś smutne przeczucie przeszyło mu serce.

Przed wieczorem, po odjeździe Wicusia Pani Ryszewska kazała do siebie przywołać sierotkę — a gdy zostały same, rzekła jej z udaną spokojnością:

— Wybieraj się wasanna w drogę — pojedziesz jutro z Jegomością — tylko zabierz wszystkie twoje manatki, bo tu już więcej nie wrócisz! —

Dziewczyna słysząc te słowa, zalała się rzewnemi łzami.

— O! ja nieszczęśliwa! mamże po raz drugi zostać sierotą! — Niech się Imość ulituje nademną! niech mnie lepiej na śmierć ubije, a nie wypędza od siebie! —

— Proszę! chciałoby się Wasannie wiecznie tu siedzieć! Udajesz smutek i przywiązanie do nas, ale ja znam się na farbowanych lisach! — Ty płaczesz nie po nas, którzyśmy cię karmili i odziewali jak własne dziecko — bo w tobie nie ma wdzięczności i za szeląg! Wiem ja dla czego Wasanna tak szlocha! Radabyś jak najdłużej tu zostać, aby romansować po altankach z Wicusiem! —

Piorun padający u stóp Emilki byłby ją mniej przeraził, jak to odkrycie najtajemniejszych jej uczuć. Lecz cios ten niespodziewany i silny, zamiast ją złamać do reszty, dodał hartu szlachetnej jej duszy. Wstrzymały się łzy dziecinne, ustały łkania — jakaś nagła zmiana wewnętrzna przeobraziła całe jej jestestwo — podnosząc oczy w których malował się spokój czystego sumienia, rzekła z godnością i tonem solennym, który zadziwał Panią Ryszewskę.

— Bóg Najwyższy świadkiem, że niesprawiedliwe zdanie Imości o mnie! Wiem i czuję co jestem winna Państwu, i gdziekolwiek będę, wdzięczność moja nigdy dla nich nie wygaśnie! — A że mi żal także i Pana Wincentego, to grzechu w tem nie widzę. On od dzieciństwa był mi jedynym przyjacielem, więcej niż bratem — był aniołem moim stróżem i dobroczyńcą! Jeśli pojęłam co to jest cnota, obowiązek i zasługa, wszystko co boskie i piękne — on mnie tego i swą mową i przykładem nauczył! On rozbudził mój umysł i dodał skrzydeł mej duszy! Po Bogu, jemu samemu winnam wszystko czem jestem — dla tego też nie wstydzę się wyznać, że zachowam dla niego wdzięczność i przywiązanie dozgonne!

— Piękna dla niego wdzięczność Wasanny, kiedy chciałaś

go zgubić; piękne przywiązanie, kiedyś szukała, drogę mu do szczęścia zagrodzić?

— Jakże srogie i bezmiłosierne są słowa Imości! Jaż miałabym żądać zguby lub nieszczęścia Pana Wincentego? — Ja, cobym chciała sobie ująć a jemu nieba przychylić i życiem mojem całem najmniejszy grożący mu cios odsunąć i opłacić! Niech mnie Imość lży najgorszemi słowy, niech mnie wypędzi na świat w jednej koszuli — ale niech Imość takich przypuszczeń nie robi! —

Pani Ryszewska słuchała jej z coraz widoczniejszem zadziwieniem. Nie przypuszczała ona nigdy by tyle charakteru i uczucia znaleźć w tej pogardzanej od siebie istocie. Przygotowała się do łajania krnąbrnej i nierozgarniętej dziewczyny — aż tu nagle spotkała przed sobą kobietę wyższą od siebie rozumem i sercem.

Upokorzona wewnętrznie, pokryła szybko to przykre wrażenie, i zręczna dyplomatka, postanowiła korzystać ze szlachetności Emilki. Przybierając więc ton łagodny, ozwała się:

— Cieszę się mocno, żem napotkała w Wasannie takie przystojne i poczciwe uczucia! Wiedz przeto, że jeśli cię stąd wyprawiamy, to jedynie dla tego że odjazd Wasanny, potrzebnym jest do Wicusiowego szczęścia.

— Dziękuję Imości za to pierwsze dobre słowo i za tę ostatnią pociechę — rzekła Emilka. — Choć serce mi pęka z żałości na myśl oddalenia — pójdę bez skargi na to ciężkie wygnanie, kiedy ono ma służyć na cel tak święty! Za wszystkie ich dobrodziejstwa, niechże Państwo i Pan Wincenty, przyjmą to poświęcenie moje jako jedyną zapłatę wdzięczności biednej sieroty! — Bóg wam resztę nagrodzi — ja nic droższego dać nie mogę! —

Słowa te pełne szlachetności byłyby zmiękczyły serce każdej innej kobiety — w Pani Ryszewskiej, nawet politowania nie obudziły. Anielska ta rezygnacja, stłumiła tylko pierwotny gniew zimnej opiekunki.

Nazajutrz rano, opuszczała Emilka Pełczyce bez szlochów i płaczów — z jakąś straszną spokojnością. I nie dziw, tu zostawała jej dusza, a tylko ciało wieziono gdzieś jakby na smętarz daleki.

W drodze, Pan Ryszewski, opowiedział jej z dobrocią dokąd jedzie i po co — i aby ją pocieszyć, dodał — nie wiedząc że jeszcze bardziej rozdziera jej serce.

Po kilku latach Emilko, gdy Imość się udobrucha, a nasz Wicuś ożeni — to cię napowrót wezmę do domu!

Łatwo sobie wyobrazić niespokojność, smutek i trwogę młodego Ryszewskiego, gdy powróciwszy z Warszawy, napróżno po całym domu szukał sierotki. Z razu nie śmiał dowiadywać się o nią — wreszcie, niby to obojętnie, zaczął zapytywać służących — ale ci, stosownie do surowego rozkazu Pani, odpowiadali iż wcale nie wiedzą co się stało z panienką.

Ojciec odebrawszy raport o szczęśliwie ukończonym procesie, chcąc uniknąć pierwszego wybuchu synowskiego żalu, wyszedł w pole dla doglądania ludzi zajętych siewem na drugim folwarku. Matka widząc na twarzy Wicusia wyraz głębokiego cierpienia i rozumiejąc iż najkorzystniej będzie obrzydzić mu wspomnienie kochanki, sama zaczęła mu rozpowiadać wymyśloną przez siebie historję, mówiąc że Emilka niewdzięcznica, uciekła z domu.

— Książki które jej dawałeś przewróciły jej głowę — od niejakiegoś czasu zdawało się Imościance że już wszystkie rozumy podjadła i gardziła nami wszystkiemi! Pełczyce za niskiem były polem dla takiej sawantki, więc poszła w świat myśląc zapewne, że tam wszyscy padać będą na kolana przed jej paplaniem francuskiem!

— O matko, matko! — zawołał rozżalony Wicuś — nie oskarżaj tak surowo cichej i potulnej dziewczyny. Do podobnej ostateczności, nie żadna duma, ale rozpacz chyba przywieść ją mogła za jakieś poniżające lub bezlitośne obejście się Państwa z biedną sierotą, krewną naszą — z tą która dla mnie była więcej niż siostrą! Mam nadzieję że Bóg miłosierny nie opuści niewinnego dziewczęcia — ale wiedz, matko kochana, że jeśli jakie nieszczęście ją spotka — syn twój, nie przeżyje tej zguby! —

To powiedziawszy wyszedł i zamknął się w swoim pokoju wylewając łzy obfite, które przyniosły znękanemu ulgę chwilową.

Człowiek dopiero po długich walkach z przeciwnościami nabiera hartu i siły ducha — lecz pierwszy cios, zbyt silnie wstrząsa młodą latoroślą. Słaba trzcina, która z czasem ma stać się dębem wyzywającym burze, chyli się na powiew pierwszego wiatru i nieraz łamie przedwcześnie. Wincenty, zatrwożony o los Emilki, uczuł w głębi duszy ten raz śmiertelny, który upadł całym ciężarem na jego organizm fizyczny. Przez kilka dni mocna gorączka odjęła mu przytomność umysłu i zatrwożeni rodzice lękali się utracić ukochane dziecko.

Pilne starania, a nadewszystko młoda natura, przemogły chorobę. Powoli, nieszczęśliwy młodzieniec przyszedł do zdrowia — ale niemoc cielesną zastąpiła niemoc moralna i zobojętnienie na wszystko co go otaczało.

Pan Ryszewski cierpiał patrząc na stan opłakany w jakim syn się znajdował — pocieszał się jednak tą myślą że już zatrważająca kryzys minęła i że czas reszty dokona. Błagał więc żonę, aby nie dręczyła chorego próżnemi pytaniami, zostawując go samemu sobie.

Wincenty skoro mógł opuścić łóżko, nikogo o Emilkę nie pytał. Zagłębiony w dumaniach, bez skarg i narzekań, przechadzał się samotny wolnym krokiem, po miejscach, które mu przypominały tak miłą dla niego przeszłość. Alkierzyk Emilki był najulubieńszą dla niego siedzibą. Te ściany które ją tak długo chroniły, to okno po którego szybach jej wzrok tak często błądził, te książki dotykane jej ręką, te krosienka nieraz jej łzami skropione, były dla niego przedmiotem świętości i poszanowania. Widok ich martwy, ale ożywiony jakąś tajemniczą obecnością dawnej ich właścicielki, zdawał się przynosić ulgę zranionemu sercu Wicusia — jak zapach kwiatów rosnących na mogile kochanki, zdaje się nieść słowa pociechy opłakującemu jej stratę kochankowi!

Dnia jednego, przeglądając pozostałe książki na stoliku, zadrżał napotkawszy na okładce Śpiewów Historycznych, następne słowa skreślone ręką sieroty:

«Dziś mnie Jegomość gdzieś wywozi z sobą — Imość mi «powiedziała że to jest koniecznem dla szczęścia Pana Win«centego. — Ta myśl że mam cierpieć dla jego dobra, «krzepić będzie me siły na wygnaniu. — Niech Bóg Naj«wyższy i Matka Najświętsza opiekują się Panem Wincentym «i pamiętają o nim — jak ja wiecznie pamiętać będę.

E. F.»

Młody Ryszewski po kilkakroć odczytał to pismo i do ust swych z rozrzewnieniem przycisnął. Uczuł się on mniej nieszczęśliwym na wiadomość że sierota nie tuła się opuszczona po rozstajnych drogach — że musi się znajdować gdzieś w miejscu bespiecznem, pod strażą czulszych może opiekunów. Przecież kłamstwo matki i milczenie ojca boleśnie go dotknęły — ukląkł więc ze skruchą i pomodlił się gorąco do Boga, prosząc aby oddalił od jego serca cisnącą się niechęć przeciw rodzicom.

Modlitwa i wieść pewniejsza o losie kochanki, stały się balsamem ożywczym na czarne myśli dręczące go bez ustanku. Tegoż samego dnia miał długą rozmowę z ojcem, który zapytany po raz pierwszy od syna, powiedział mu prawdę, zaręczając że Emilka umieszczona w domu uczciwym i przyjacielskim, i że jej na niczem zbywać nie będzie. Mimo jednak próśb i nalegań, nie chciał przed nim wyjawić miejsca jej ukrycia.

Wincenty, po tylu silnych wzruszeniach, zapadł w rodzaj moralnego letargu — gdy nagle, wiadomość o rewolucji Warszawskiej 29go Listopada, znów go powołała do życia.

Syn i kochanek, uczuł w tej chwili solennej obowiąski obywatela — i tym bodźcem wiedziony — mimo łez matki — za przyzwoleniem ojca, opuścił dom swój i pojechał zaciągnąć się do formującego się pułku Krakusów.

Głos odradzającej się ojczyzny, zapał święty bronienia swobód narodowych — zagłuszyły w Wincentym boleśne wspomnienia — przy radości ogólnej, ucichł smutek osobisty. Walczyć za Polskę, nieść jej krew swoją w ofierze, stało się jedynem zajęciem, jedyną myślą, ognistej i szlachetnej duszy młodzieńca.

Los mu poszczęścił. Znajdował się w jednej z najpierwszych potyczek z nieprzyjacielem — w bitwie pod Stoczkiem, gdzie nacierając ze swoim szwadronem na jazdę moskiewską, biegnąc w pierwszym szeregu, młody Ryszewski został cięty pałaszem w głowę — ale spadając z konia, usłyszał wesoły odgłos zwycięstwa współbraci.

Rana nie była niebespieczną — jednak że znaczny upływ krwi tak go mocno osłabił, że gdy transport z rannymi przybył na wypoczynek do wioski leżącej na trakcie warszawskim, Wincenty leżał na wozie omdlały.

Zbiegła się ludność około tych pierwszych męczenników sprawy narodowej. Wioska ta należała do Państwa Mirczeskich, i Emilka wraz z nową swoją opiekunką, zawiadomione że przed ich karczmę przywieziono rannych, przybiegły niosąc szarpię i bandaże dla walecznych rycerzy.

Wozy nie były liczne; świetna bitwa pod Stoczkiem, wygrana natarczywością młodego wojska, niewiele kosztowała ofiar. Gdy dwie kobiety zbliżyły się do podwody na której z obwiązanem czołem spoczywał Krakus, Emilka, poznając Wicusia, krzyknęła przerażona i zachwiała się na nogach. Na głos ten dźwięczny, przenikliwy i znany, ocknął się ranny — oczy dwojga kochanków spotkały się w rozrzewniającam spojrzeniu. Wincenty podźwignął głowę — z konwulsyjnem drżeniem wyciągnął ramiona do tego czarownego zjawiska — ale to wytężenie wzburzyło w nim krew — opadły go wracające siły, i omdlał na nowo.

W godzinę później, gdy się ocucił już na drodze warszawskiej, napróżno pytał wszystkich o Emilkę. Lekarz pułkowy, jadący obok niego na koniu, lękając się pogorszyć stan chorego, uręczał iż żadnych dam ani panien nie było — że musiał we śnie coś widzieć — i zalecił mu spokojność jak największą.

Młody Ryszewski zrazu nie wątpił że się spotkał rzeczywiście z najdroższą mu istotą — ale zaprzeczenie lekarza

wyrzeczone tonem stanowczym — ból i osłabienie fizyczne — zachwiały w nim nieco tę wiarę. Myśli jego zaczęły się plątać i pogrążyły go wkrótce w gorączkowe marzenia. Senny czy rzeczywisty, był to obraz który mu się ukazał. O tem jednem nie wątpił, bo go czuł i zmysłami i całą duszą — i w pokorze dziękował Bogu że go nawiedził taką niespodziewaną pociechą.

Jakim boleśnym ciosem był dla biednej sierotki widok rannego Wicusia, odgadnie to każde serce kochające. Trzeba ją było gwałtem oderwać od wozu i odnieść pozbawioną zmysłów do domu. Patrząc na krew i niebespieczeństwo młodzieńca, odstąpiło ją męstwo — złamała się zahartowana od dzieciństwa cierpieniami jej dusza.

Nie pomogły pociechy Pani Mirczeskiej i zapewnienia że podług zdania lekarza, rana była lekką i łatwą do wyleczenia. Emilka od niejakiegoś czasu już zrezygnowana na los swój, uspokojona i cicha, zapadła w głęboką desperację, z której wywinęła się ciężka choroba grożąca zapaleniem mózgu.

Pan Mirczeski napisał do Pełczyc przez umyślnego, donosząc o całem zdarzeniu, i Ryszewscy pojechali natychmiast do Warszawy szukać ukochanego syna, którego znaleźli w lazarecie w stanie zupełnie zaspakajającym. Rana zaczęła się goić i za parę tygodni miał być zupełnie wyleczonym.

Starania poczciwej Pani Mirczeskiej, która przywiązała się do sierotki z całą czułością macierzyńską, wróciły Emilkę do zdrowia. Zapewniona że Wicuś żyje, pewna że o niej nie zapomniał — nabrała odwagi do cierpienia i sił do zajęcia się na nowo powierzonemi sobie obowiąskami.

Niezadługo, najżywsza, najpożądańsza pociecha spłynęła na młodą guwernantkę. Wincenty zdrów zupełnie, wróciwszy do pułku, spotkał się z lekarzem, który towarzyszył konwojowi rannych z pod Stoczka do Warszawy. Wesoły Eskulap, witając ozdobionego blizną i krzyżem żołnierza — zapytał go z przyjacielskim uśmiechem, jak się ma piękna blondynka, która tak rzewne łzy roniła i tak romansowo omdlała, przy spotkaniu się z nim w Skibinie?

Ryszewski za całą odpowiedź, rzucił się w objęcia zadziwionego doktora — uściskał go najserdeczniej i pobiegł jak obłąkany do swej kwatery.

Wydała się nareszcie prawda! spotkanie się z kochanką nie było senną ułudą! — a co najważniejsza, miejsce jej schronienia przestało już być dla niego tajemnicą. Wiedział on że Skibin należał do Mirczeskich, i domyślił się reszty.

Napisał list do Emilki, list pełen rzewnego uczucia, wdzięczności i przywiązania — który spadł na utęsknione serce sierotki, jak pożywna rosa niebieska na więdnący w zapomnieniu kwiatek.

Wincenty odbył kampanję 1831 roku, jako zdatny i odważny oficer, podzielając z całym narodem, w czasie tej kilkomiesięcznej dramy, nadzieje i zwątpienia, tryumfy i klęski, dobre i złe przygody. W chwili gdy się przechylała szala niepowodzeń sprowadzonych niedołężnością przywódzców — i gdy korpus Romaryny, w którym się teraz znajdował, zbliżał się do Galicji, gdzie miał ostatecznie broń złożyć — nowy cios niespodziewany dotknął młodego Ryszewskiego.

Stanąwszy w małem miasteczku, nad samą granicą austryjacką, przechadzając się po rynku, ujrzał zdaleka arendarza z Pełczyc — a że od miesiąca już przeszło, przy ciągłych ruchach korpusu, nie miał żadnej wiadomości od rodziców — pobiegł wołając na żyda:

— Jak się masz Mordku! a co tam słychać w domu u Państwa?

— Źle ślichać Wielmożne Panie — odpowiedział arędarz zdejmując lisią czapkę — Jejmość mama bardzo chore! — Onegdaj Jegomość papa strasznie zafrosowany, aż dwóch doktorów przywiózł do Pełczyc! —

Przerażony tą wieścią Wincenty, udał się natychmiast do swego pułkownika donosząc mu o grożącem sobie nieszczęściu. Zacny dowódzca który go cenił i kochał — widząc że sprawa narodowa przepada i czując, że spłaciwszy dług ojczyznie, wolno jest myśleć o familijnych kłopotach — poradził mu aby w tej chwili gdy już niknie sposobność pełnienia obowiąsków żołnierza, zajął się jak najśpieszniej dopełnieniem obowiąsków syna. Wyrobił mu więc u szefa sztabu dymisję i Ryszewski pożegnawszy się z kolegami pośpieszył do Pełczyc, gdzie zastał matkę jeszcze przy życiu, ale już bez nadziei ocalenia.

Przez tydzień cały, w którym choroba zwiększała się stopniami, nie odstępował łoża boleści, oddając konającej najstaranniejsze posługi i dowody najgorętszego przywiązania ża do chwili ostatniej.

Śmierć ta, pogrążyła Wicusia w smutną i ciężką żałobę, bo mu razem dwie matki wstąpiły do grobu — i ta która życie mu dała i ta druga równie kochana, dla której walczył i krew swoją przelał napróżno!

Dwór Pełczycki tak niegdyś wesoły i ludny zamienił się teraz w ponury smętarz, po którym snuły się dwie milczące mary — starzec siwowłosy przyciśniony nieszczęściem i wiekiem i młodzieniec którego serce nie jednym ciosem zranione i ciągle krwią ciekące, chętnie kryło się przed zgiełkiem świata.

Sąsiedzi i przyjaciele, jedni znużeni tak smutnem towarzystwem, drudzy szanując ten żal nieutulony, zdający się odpychać każdą pociechę, powoli zaprzestali odwiedzin. Syn i ojciec nie wyjeżdżali nigdzie, chyba do kościoła w niedziele i święta — w takiem odosobnieniu przeszedł im rok cały.

Pan Ryszewski troskliwy o jedynego, syna którego teraz całem zajęciem były książki i pióro — szukał mu innych rozrywek mniej nużących od nauki i ciągle najczulszemi słowy do niego przemawiał — ale gdy Wicuś ośmielony tą dobrocią, wspomniał mu raz o Emilce i o ukryciu w którem ją odnalazł — ofuknął go surowo ojciec, że jeszcze dotąd tego dziecinnego szusu nie wybił sobie z głowy — i nakazał uroczyście dać sobie słowo honoru, że nigdy bez jego pozwolenia do Mirczeskich nie pojedzie. Posłuszny syn złożył wymagane przyrzeczenie, ale od tego dnia stał się jeszcze bardziej milczącym i jakaś przykra oziębłość i przymus wkradły się między dwóch pustelników.

Drugi rok wlókł się daleko smutniej jak pierwszy. Wincenty od czasu swego powrotu do domu trzy tylko krótkie listy odebrał od kochanki — wiedział przynajmniej że sierotka znalazła w Skibinie jakby drugą rodzinę i że pamiętała o nim. O jakże byłby rad ujrzeć ją choć na chwilkę! Lecz przyzwyczajony od młodości szanować wolę rodziców, poddał się nie bez szemrania ciężkiemu wyrokowi, nie tracąc nadziei, że może kiedyś Opatrzność ulituje się nad nim.

Stary Ryszewski mimo tej pozornej surowości, gryzł się i martwił patrząc na ponury humor syna i dla wyrwania go z tego stanu melancholji umyślił go wysłać na wojaż za granicę. Nie śmiał Wicuś wręcz odmawiać tej propozycji, prosił tylko aby ten zamiar odłożyć na później — bo żal mu było jeszcze opuszczać Pełczyce i zostawiać starego ojca w samotności. Pan Ryszewski zrozumiał iż dłuższe naleganie byłoby z jego strony tyranją — że podróż przedsięwzięta dla rozrywki stała by się prawie karą i wywołała by nowe poświęcenie się syna. Kłopotał się więc tem bardziej i coraz inne plany w głowie układał dla wrócenia spokojności sobie i dziecku. Wreszcie po długich walkach i naradach samotnych, po wielu nocach bezsennych — gdy rachuby rozumu nie doprowadzały go do żadnego stanowscego rozwiązania — postanowił starzec pójść za głosem serca.

Właśnie zbliżały się imieniny Wincentego, ten dzień

tak niegdyś wesoły, tak zawsze huczno obchodzony w Pełczycach, a który teraz nie obiecywał dawnych uciech i szczęścia. W wigilję dnia tego, ojciec siedząc na kanapie wieczorem, rzekł do przechadzającego się po pokoju syna:

— Wszak to jutro twoje imieniny Wicusiu? Trzeba się przecież zabawić! — bo dobrawdy zdziczejem do reszty, jeśli ciągle tak będziem siedzieć odludni jak dwa niedźwiedzie w zimowej jamie!

— Wiesz ojcze że zabaw nie szukam; przywykłem już do odosobnienia i dobrze mi z tem — ale jeśli to może przynieść ojcu jakąś przyjemność — chętnie pojadę z nim w sąsiedztwo i sprobuję czy bawić się nie zapomniałem.

— Zostaniem w domu mój chłopcze — lecz zaprosiłem na jutro kilka osób na obiad — bądź że dla nich grzeczny i pokaż im weselszą twarz jak dzisiaj!

— Niczego nie ma w świecie czegobym dla ojca nie zrobił — a cóż dopiero tak drobnego zlecenia. Przyjmować gości ochoczo, to polska i szlachecka rzecz — i obaczy ojciec żem się od niego nie odrodził.

— Bardzo mi miło mój Wicusiu żeś taki wyrozumiały i posłuszny; Pan Bóg ci nagrodzi za to. A tymczasem, ja także, przygotowałem ci prezent na jutro, za to żeś zawsze umiał szanować wolę rodzica.

— Cóż to takiego mój ojcze? — zawołał żywo Wicuś zaintrygowany nie tak oznajmieniem podarunku, jako raczej tonem na w pół rubasznym, z jakim te słowa wymówił Ryszewski.

— To mój sekret, moje dziecko! dowiesz się jutro — a teraz idź na spoczynek i bądź dobrej myśli. —

Poszedł spać Wicuś, lecz sen długo nie nawiedził mu powiek; gubił się w myślach i przypuszczeniach. Miałżeby ojciec zamiar swatać go z jaką panną? — O Emilce bał się biedny nawet pomyśleć; ale obraz Herminji przedstawił mu się przed oczy jakby widmo przerażające. Wzdrygnął się i westchnął z goryczą, przewidując że to na przyjęcie Kokosznickich, kazano mu przystroić twarz w wesołe uśmiechy.

Kiedy się tak dręczył niepotrzebnie młody kochanek, serce sierotki przepełniała niespodziewana radość. Państwo Mirczescy od kilku dni odebrali list od starego Ryszewskiego, w którym prosił ich aby na dzień Śgo Wincentego przyjechali do Pełczyc i przywieźli z sobą Emilkę. Więc Bóg ulitował się nad nią — więc po dwuletniem przeszło wygnaniu, miała obaczyć dom ten, gdzie spłynęła cała jej młodość śród łez i cierpień, lecz zarazem i śród najmilszych,

najczarowniejszych uniesień! Więc wolno jej będzie spotkać Wicusia, już nie omdlałego z bólu, z bladą twarzą, ze krwią na czole — lecz jak dawniej bywało, z uśmiechem na ustach, z wyrazem miłości w oku, cisnącego jej rękę, do życiem przepełnionego łona. O! o takiem szczęściu już i marzyć nawet nie śmiała!

Któż zdoła opisać jak gwałtownie biło w niej serce, gdy siedząc w pojeździe z familją Mirczeskich, ujrzała zdaleka szeroką drogę wysokiemi topolami sadzoną, a w końcu dwór Pełezycki, a obok niego altankę i ogród, którego każde drzewo tyloma wspomnieniami było uświęcone i tak głęboko wyryte w jej pamięci!

Nie mniejsze wzruszenie i radość ogarnęły Wicusia, gdy na odgłos turkotu kół wyszedłszy z ojcem na ganek, zobaczył śród przybywających gości, wyrosłą i wyładniałą sierotkę. Przez chwilę lękał się czy to nie ułuda wzroku, czy to nie sen jaki zwodniczy! Lecz zbył się obawy, słysząc następne słowa wyrzeczone z cicha:

— Oto masz przyrzeczony ci podarunek! —

Emilka wyskakując z pojazdu, rzuciła się z płaczem do nóg staremu Ryszewskiemu, który ją podniósł z rozrzewnieniem. W obec ludzi, młodzi kochankowie nie śmieli się tak witać jak im serce radziło. Wicuś skłoniwszy się z uszanowaniem Państwu Mirczeskim, ścisnął w milczeniu rękę Emilki, ale całując rumianą twarzyczkę małej Józi, zdał się mówić wzrokiem skierowanym gdzie indziej, komu przeznaczone te całusy.

Gdy wszyscy łzy otarli — bo wzruszenie było ogólne — zaczęła się przyjazna i wesoła rozmowa — życie i radość, oddawna wygnane bóstwa, znów powróciły pod dach tego domu.

Po obiedzie, Emilka biegała po wszystkich kątach jakby odszukując śladów przeszłości. O! jakąż uczuła uciechę, gdy wszedłszy do alkierzyka została wszystko w dawnym stanie. Też same krzesełko wyplatane trzciną, ten sam stolik dębowy a na nim papiery, książki i krosienka — staranna i przyjazna ręka, zachowała święcie wszystkie po niej wspominki!

Usiadła wzruszona sierotka i dumać poczęła — wtem otwarły się z cicha boczne drzwiczki — wbiegł Wicuś i tu dopiero bez świadków, rzucił się w objęcia kochanki. Długie smutki i rozpacze, wszystkie łzy i westchnienia samotne, pogrzebane i zapłacone zostały — pocałunkiem gorejącym jak młode ich serca, a niewinnym i czystym jako myśli aniołów. A potem oboje padli na kolana dla podziękowania Najwyższemu, że im pozwolił dożyć tej tak upragnionej chwili.

Pogrążeni w modlitwie, nie słyszeli oboje, że drzwi od alkierza otwarły się na rozcierz i dopiero ocucił ich z zachwytu głos ojca, mówiącego z uczuciem:

— Kto z Bogiem, Bóg z nim! zostańcie tak dzieci moje, bo oto przychodzę dać wam błogosławieństwo ojcowskie! — I zwracając się do Mirczeskich stojących obok niego, dodał:

— Dotąd znaliście Państwo w Emilce, sierotę po moim przyjacielu i krewnym kapitanie Fiałeckim, teraz przedstawiam wam przyszłą moją synowę! —

Kochankowie padli do nóg ojcu, który tuląc ich z czułością do łona, rzekł z wzniesionemi w niebo oczyma:

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków, Boże Jakubów, pobłogosław tej młodej parze dobrych i posłusznych dzieci! — Niechaj chowając w sercu świętą wiarę Twoją, z cnotą, z uczciwością, z miłością dla bliźnich a poszanowaniem dla starszych, żyją szczęśliwie w najdłuższe lata — i niech te łzy które wylewają w tej chwili będą dla nich ostatnie. Amen.

W dziesięć miesięcy później, Wincenty Ryszewski powiódł do ołtarza piękną Emilkę w obec licznych i wesołych gości, którzy przez trzy dni bankietowali w Pełczycach. Wszyscy sąsiedzi bliscy i dalecy znajdowali się na godach i z dawnych znajomych brakło tylko Kokosznickich, osiadłych po sprzedaniu majątku, od roku przeszło, w Warszawie.

Kokosznicki nieprzestający marzyć o odrobieniu fortuny, chciał wydać córkę za bogatego pułkownika moskiewskiego — ale Herminja oparła się woli ojca i wkrótce potem, oddała swą rękę byłemu oficerowi wojsk polskich.

KONIEC.

LISTY Z PODRÓŻY

PO

WŁOSZECH.

PRZEDMOWA.

Listy niniejsze, pisane z Włoch do jednego z moich przyjaciół krakowskich, drukowane były kolejno w dzienniku Czas. Przejrzane na nowo, uzupełnione — i pomnożone kilkoma nie wydanemi dotąd listami — wychodzą dziś na świat już nie w oderwanych ogniwach numerów gazety — lecz w jednym ciągu stanowiącym całkowity obraz objęty ramami tego tomiku.

Pejzaże, rysy charakterów i szkice obyczajowe włoskiego życia — a nawet historyczne wspomnienia przeszłości obudzone widokiem miejsc, które uświęciły — tworzą niejako podrzędną część tej pracy. Głównym tu przedmiotem są studja archeologiczne i artystyczne nad pomnikami starożytności, nad arcydziełami rzeźbiarstwa i malarstwa.

Nie chęć rozrywki ciągnęła mnie i powiodła do Włoch, ale gorące zamiłowanie w sztukach pięknych — im więc poświęciłem najdłuższe wejrzenia!

Z tej przyczyny, przewiduję z łatwością, że większa połowa tych listów będzie niesmaczną i nudną dla każdego czytelnika, któremu sztuka jest rzeczą obojętną — i który wolałby może napotkać, nieco mniej stronnic o obrazach Rafaela i posągach Michała Anioła Buonarottego, a więcej o scenach karnawału rzymskiego i tańcach neapolitańskich — a zamiast opisu Panteonu lub odkopanej Pompeji, znaleźć legendę o jakimś średniowiecznym Condotière, lub opowiadanie napadu rozbójników w Apenińskim wąwozie!

Dla pocieszenia tego zawiedzionego czytelnika szukającego w każdej książce nie nauki i pożytku, ale wzruszeń i zabawy — pośpieszam z zawiadomieniem, że owi dawni Bryganci włoscy z czarną brodą i arsenałem fiuzji i sztyletów, znani nam z Melodramatów i Romansów — bardzo dzisiaj zaczynają być rzadcy na półwyspie italskim. Zmienili oni

niebespieczny swój zawód, na równie korzystne rzemiosła — i zamiast rabować po pustych gościńcach — osiedli w miastach, są oberżystami, kupcami, tragarzami, urzędnikami komór celnych, i t. d., i obdzierają podróżnych tak jak dawniej — tylko że już teraz legalnie, bez obawy karabinierów i żandarmów.

Dnia, 30 Grudnia 1852 roku.

GENUA. — PIZA.

FLORENCJA. — RZYM. — NEAPOL.

SIENNA. — TURYN.

LIST I.

Tęsknota do Włoch — Ziszczone marzenia — Przeprawa przez górę Ś. Gotharda — Genua — Widok miasta — Ulica pałaców — Galerje obrazów — Portrety Van Dyka.

Genua, 18 Listopada 1851 roku.

Niespokojny umysł ludzki, od kolebki aż do grobu goni wiecznie za coraz nowem mamidłem. Dziecko marzy o koniku drewnianym lub o książkach z pięknemi obraskami kolorowanemi. Młodzieniec ściga myślą inne cacko czarowne — wymarzony ideał kobiety, który napotkany na ziemi, ma przed nim wymówić anielskie słowo miłości. Mąż, za odmiennemi wzdycha celami — za chwałą — za potęgą — a czasem tylko za cichem szczęściem domowego pożycia!

I jam także w młodości gonił koleją nie za jedną marą utęsknioną — a w wieku dojrzalszym, gdy zapał do sztuk pięknych całą moją duszą owładnął — zacząłem marzyć o Włoszech, do których przyciągał mnie potrójny urok: południowego nieba, wspomnień przeszłości — i nagromadzonych skarbów architektury, rzeźby i malarstwa — że wołałem kiedyś z tęsknotą:

. . . .

O piękna Włoch Kraino! dziś, o twojem niebie,
O twej chwale przebrzmiałej w ciągłych walk pożarze,
O twych miastach, madonach i gondolach, marzę —
I jak kochanek, wzdycham i tęsknię do ciebie!
Kiedyż, piękna Florencjo, starożytny Rzymie,
Ujrzę wasze muzea i gmachy olbrzymie?
Kiedyż dotknę marmuru co grób Danta kryje? *)

. . . .

---

*) Tęsknota do Włoch. Sonet (1834).

Po długich zwłokach i licznych przeszkodach, urzeczywistniło się nareszcie to najmilsze i najgorętsze z moich życzeń! — Od kilku dni stanąłem na ziemi, ku której myśl moja tak często rozwijała swe skrzydła, do której przylgnąłem sercem wprzód, nim ją mogłem ujrzeć oczyma!

Jestem jak ów błędny rycerz średniowieczny, rozkochany w znanej mu tylko z portretu księżniczce — który po przebyciu licznych trudów i po zwycięstwie nad smokami zastępującymi mu drogę, dostał się przecież do progów jej pałacu! Wzmianka o smokach, nie jest tu zbyt przesadzoną hyperbolą — bo zaprawdę powiadam ci, że Włochy podobne są do ogrodu bajecznych Hesperydów, i że do nich także, bronią przystępu straszliwe potwory.

Jednym z nich jest morze, bezlitośna piastunka, która póty cię kołysze na swem łonie zdradliwem, aż ci życie obrzydnie i staniesz się rzeczą martwą bez siły, chęci i woli. Wspomnienie cierpień jakich doznałem kilkanaście lat temu, płynąc i wracając z Korsyki, doradziło mi raczej zaprobować spotkania z drugim potworem, strzegącym Włoch od północy — z Alpami, tak pięknemi w opisie poetów i tak ponętnemi w obrazach Genewskiego pejzarzysty Pana Calame.

Mimo więc spóźnionej pory, ruszyłem przez Szwajcarję i przepłynąwszy na wygodnym parostatku, jezioro Czterech Kantonów (na którego wybrzeżach odegrały się najgłówniejsze epizody życia Wilhelm Tella), stanąłem u podnóża góry Ś. Gotharda.

Niedawno spadły ogromne śniegi i przez sześć dni wszelka kommunikacja między kantonami Uri a Tessino przeciętą została. Dopiero w wigilję mego przybycia, spędzeni drogowcy rządowi, odgrzebali rydlami zasypany gościniec. Wsadzono nas po dwóch podróżnych na jedne saneczki tak małe i wąskie, że nie obok siebie, ale jeden na przeciw drugiego siedzieliśmy. Przypomniała mi się podróż jenerała Kopcia wracającego z Syberji — brakowało tylko uprzęży z psów i eskorty z Kamczadalów!

Konwój nasz złożony był z piętnastu sanek — i rozpoczęła się przeprawa dziesięciogodzinna po krętej i stromej drożynie zawieszonej nad przepaściami, na których wspomnienie dotąd dreszcz mnie przejmuje. — Otulony futrem, nie cierpiałem wprawdzie zimna, ale zimno moralne przejęło mnie sto razy, zwłaszcza gdy na tej ciasnocie przychodziło wymijać inne konwoje sanek jadących od strony Włoch.

Dziki lecz wspaniały krajobraz Alp, granitowe skały na kilka tysięcy stóp wysokie, po których zwieszały się zamarzłe wodospady, niby olbrzymie stalaktyty ze srebra, i sterczały posępne jodły, jak czarne duchy zaklęte w tej

dziedzinie białości — wszystko to, mijało mi obojętnie przed roztargnionem okiem. Wybierałem tylko myślą, miejsce głębiny, w której miałem być pogrzebanym na wieki — bo lada potknięcie się konia lub nieuwaga siedzącego z tyłu i powstrzymującego co chwila chylące się sanki, woźnicy — a lecieliśmy w otchłań, od której jedyną oddzielającą nas poręczą, była Opatrzność Boska!

Pośród tych wszystkich niewygód i niebespieczeństw pocieszałem się w duchu, że za przebyciem góry, napotkam zieloność i słońce — bo u niedoświadczonego podróżnika, idea Włoch łączy się zawsze z ideą o cieple i o pomarańczowych gajach. Złudne marzenia! Prawda żem stanął bez szwanku u południowych stóp Ś. Gotharda, ale zimno i śnieg towarzyszyły mi ciągle. Gdym płynął po Lago maggiore, którego malownicze brzegi biały całun pokrywał, deszcz lał tak rzęsisty, żem na pokładzie parostatku musiał się z pod parasola przyglądać uroczym wyspom Boromejskim. Isola bella mignęła mi przed wzrokiem, przesłoniona kroplistym kryształem zimowej szarugi — a olbrzymi posąg Ś. Karola Boromeusza (w którego brązowej głowie czterech ludzi może siedzieć wygodnie), wydał mi się zdala, podobnym do czarnego komina sterczącego nad ogromną hutą żelazną.

Cóż dopiero powiedzieć o ciasnych dyliżansach Piemontskich i o brudnych hotelach po drodze!

Mój entuzjazm do włoskiej krainy zaczynał stygnąć niepomału — bo przyznasz, że pierwsze kroki moje po tej ziemi, nie były usłane różami.

Odetchnąłem dopiero w Genui, która mnie powitała promieniem południowego słońca i wspaniałą panoramą swych murów, piętrzących się coraz wyżej po nad portem, jak gdyby dla pokazania światu, że z handlu morskiego wyrosły.

Miasta, którem dotąd widział w przejeździe, jak Arona, Novara, Casale i Aleksandrja nie mają odrębnej czystowłoskiej fizjonomji. Poglądając na ich ulice i na mieszkańców, zdaje ci się, że jesteś jeszcze we Francji lub w Szwajcarji — w Genui dopiero czujesz żeś już stanął we Włoszech.

Ci robotnicy i tragarze w frygijskich czapkach, z zawieszonymi szkaplerzami na obnażonej piersi, ogorzałej jak ich twarze — te kobiety czarnookie, cery bladej, z osłoniętą głową w długą, białą, muślinową oponę — te habity zakonników różnorodnego koloru i kroju — ci kobziarze w śpiczastych kapeluszach, grający po rogach ulic przed obrazem Madony, ustrojonym w kwiaty i w palące się lampy — te sklepy pełne wyrobów koralowych lub świecideł i ozdób ze srebrnych drutów misternie plecionych — te sążniowe afisze

ludowego teatru, na których wymalowano jaskrawemi kolorami główne sceny wieczornego widowiska — ten ruch i hałas i szczebiotliwość różnobarwnego tłumu, wijącego się śród szeregów objuczonych mułów, śród straganów, na których skwarzą się w oliwie niezbyt apetyczne przysmaki, obok stosów pomarańcz ułożonych w piramidy — wszystko to, tak dla mnie nowe, niespodziewane — przypomina mi żem już zdala od północnych krajów Europy — że inne niebo, inna ludność i inne obyczaje mnie otoczyły.

Wzdłuż większej części wąskich uliczek, po których nigdy żaden pojazd nie jeździł, uliczek pnących się w górę i krzyżujących w nierozgmatwany labirynt — wznoszą się domy sześcio lub siedmio piętrowe. — Każden z nich, jak drzewa w gęstym lesie sosnowym, szczebluje coraz wyżej aby dostać się do promieni słońca. Dla tego to, najokazalsze apartamenta znajdują się zwykle na trzeciem lub czwartem piętrze, bo niższe są zbyt ciemne i nie dość ciepłe na zimę. Wysoki świat genueński zajmuje mieszkania godne swej rangi — i kto ma tu wiele znajomości i oddaje częste wizyty po salonach, musi odbywać prawdziwie Herkulesową pracę!

Nie sądź przecież aby całe miasto było złożone z takiej siatki ciasnych przesmyków. — Znajdziesz w Genui (choć nie w wielkiej liczbie) i szerokie ulice, po których toczą się bogate pojazdy — i obszerne place obok wspaniałych kościołów. Jest tu nawet ogród publiczny, w górnej części miasta — prawda, że doszedłszy do niego zadyszany, nie masz sił do przechadzki i musisz padnąć na marmurową ławkę, dla wypoczynku. Przepyszny stamtąd widok na morze, na amfiteatr gór najeżonych w warowne cytadele, na żyzne doliny, śród których bieleją rozrzucone domy i zielenią się gaje drzew pomarańczowych, oliwnych — aleje z cyprysów, i inne krzewiny, których liść nie opada z jesienią.

Genua nie napróżno nosi od wieków, przydomek la superba. — Dawni jej panowie, kupcy-rycerze, musieli ogromne skarby gromadzić handlem, olbrzymie łupy zagarniać orężem, kiedy mogli wystawić taki gród okazały, naznosić takie stosy marmurów — wyrzeźbić je, wyzłocić i na tych ścianach zawiesić arcydzieła sztuki!

Długa i szeroka ulica, zmieniająca kilka razy nazwisko, przecinająca wzdłuż miasto, równolegle od portu — jest najciekawszą częścią Genui i powinnaby zwać się: drogą pałaców. — Po obudwu jej bokach stoją jeden przy drugim, gmach przy gmachu, jak Luwr przy Tuillerjach, prawdziwie królewskie rezydencje potomków dawnych Dożów i Oligarchów, zadziwiające swym ogromem i harmonijnym kształtem. Bramy, sienie i wschody tych pałaców są tak kolosalnych

rozmiarów — że widać iż stały otworem nie tylko dla grona przyjaciół, ale dla wszystkich obywateli Rzeczypospolitej. Każdy Genueńczyk, jako niegdyś każdy szlachcic polski, mogący przez wybór dostąpić najwyższej władzy — przyspasabiał sobie zawczasu siedzibę godną oczekiwanej dostojności. Wszystkie te budowle, otoczone rzędami kolumn, ozdobne w przejrzyste portyki i balustrady, są murowane nie z cegieł ni z kamienia, lecz z kararyjskiego marmuru. Równy przepych i zbytek służył za miarę równości genueńskiej arystokracji!

Prawie każdy pałac posiada galerję obrazów, otwartą codziennie dla publiczności. — Nie mając czasu oglądania wszystkich, zwiedziłem tylko trzy najsławniejsze pałace: Brignole — Durazzo — i Balbi, gdzie napatrzyłem się dzieł malarzy włoskich, zacząwszy od średniowiecznego Cimabue, aż do współczesnego Camuccini. Arcydzieł wielkich mistrzów tutaj nie wiele — autentycznego Rafaela wcale nie ma — Ticjanów i Corregiów mało — czekają one na mnie we Florencji i w Rzymie. — Wszystkie jednak utwory szkoły włoskiej noszą takie piętno wyższości nad innemi szkołami, że nawet obrazy malarzy drugiego rzędu, przyciągają ku sobie wytwornością smaku, szlachetnością pomysłu, wdziękiem i energją pędzla.

Z malowideł innych szkół, najpierwsze miejsce przynależy się portretom Van Dyka. Van Dyk długo bawił w Genui i zostawił tu liczne i wspaniałe ślady swego pobytu, unieśmiertelniwszy rysy nie jednego patrycjusza, mniej znanego w historji niż Fiesco, lub Doria. Szczególniej dwa wizerunki całkowite (en pieds) kobiety i mężczyzny, przodków markiza Brignole-Sale, są prawdziwemi arcydziełami tego niedorównanego portrecisty. Tak doskonałych Van Dyków nie widziałem nawet w muzeach belgijskich — i kto chce poznać genjusz tego mistrza w całej świetności, tutaj powinien przyjść, patrzeć i uwielbiać. Sam Van Dyk zapłacił mi sowicie trudy niewygodnej podróży.

Dopiero od sześciu dni tu jestem, a jutro wyjeżdżam do Florencji — nie mogę ci więc dać szczegółowego opisu Genui*) — nawiasowo tylko napomknę, że katedra tutejsza, cała wyciosana z marmuru, jest okazałym i zajmującym pomnikiem średniowiecznej architektury.

*) Do ciekawości miasta Genui i to policzę, że najbogatszym bankierem jest tu Polak, pan M. W., znany powszechnie autor kilku znakomitych dzieł, pełnych erudycji, sumienności i stylowej ogłady. — Od czasu napisania pierwszej książki w naszym języku, jest to niezawodnie jedyny literat polski, który wyszedł na miljonera.

W Rzymie, gdzie mam zamiar z pięć miesięcy posiedzieć — rozpocznę obszerniejsze studja nad tem miastem miast — a wywięzując się z danego przyrzeczenia, przesyłać ci będę dłuższe i więcej szczegółów zawierające listy.

LIST II.

Piza. — Żebracy. — Katedra. — Wieża pochylona. — Campo Santo. — Florencja. — Pałace i kościoły. — Plac del Gran Duca. — Posągi Dawida i Perseusza. — Galerje obrazów. — Dwie Wenery. — Niobe i jej dzieci.

Florencja, 27 Listopada 1851 r.

Po Genui, zwiedziłem przelotem Pizę. Piza la morta jak ją zowią — prawda, że posępna i pusta! Po obszernych placach i szerokich ulicach bez ruchu i życia, snują się tylko tłumy żebraków, które dostrzegłszy cudzoziemca, gonią za nim jak roje brzęczących i uprzykrzonych komarów. Ledwiem przestąpił próg hotelu, chałastra ta osaczyła mnie jak dzika w ostępie — było ich przeszło trydziestu manewrujących tak doskonale, że czym szedł na prost czy zygzakiem, zawsze mnie otaczali ze wszech stron. Trzeba było kapitulować — mój przewodnik (cicerone) zadecydował, że mam dwa tylko sposoby pozbycia się tych natrętów: 1. walić laską po łbach i po grzbietach owych obywateli toskańskich: 2. dać dla wszystkich un paolo, to jest jedną sztuczkę srebrej monety, wartującą 20 groszy pols. Przyjąłem bez wahania drugi artykuł tego ultimatum — i eskorta żebracza odebrawszy okup, puściła mnie wolno, życząc mi tak długiego życia, że mógłbym ci ze sto lat ustąpić.

Na kończynach miasta, na wielkim placu porastającym trawą, znajdują się cztery sławne monumenta Pizańskie. Katedra (Duomo), gmach średniowieczny, wspaniały, cały z kararyjskiego marmuru, o drzwiach brązowych — bogaty w kosztowności, mozajki i malowidła — otoczony posągami i kolumnadą na zewnątrz. Naprzeciw kościoła chrzcielnica (Battisterio) wykuta w marmurze jakby jakie cacko misterne, zawiera w sobie ciekawe rzeźby pełne naiwnego uczucia, wyszłe z pod dłuta Mikołaja z Pizy, snycerza XIII. wieku.

Z tyłu kościoła dzwonnica (campanile) zwana wieżą pochyloną. Pomnik ten, nie bardzo jest miłym widokiem dla oka, choć także stawiany z marmuru i ośmioma piętrami kolumn i galerji otoczon od stóp do szczytu — ale to pochylenie przypadkowe czy umyślne (co dotąd między archeologami jest w kontrowersie), ma coś w sobie rażącego, przykrego jak wszelkie kalectwo. Ta wieża kulawa, która od sześciu wieków zdaje się przewracać a dotąd stoi, może być podziwem dla gminu, ale jest potwornością dla estetyka.

Na tym samym placu spostrzegasz sławne Campo Santo, pamiątkę potęgi Rzeczypospolitej Pizańskiej, arcydzieło budowy XIII wieku, rzadki pomnik gotycki we Włoszech. Jest to smętarz czworoboczny, do którego ziemię przywieziono czterdziestoma okrętami z okolic Jerozolimy, w czasie wojen krzyżowych. Ów smętarz okolony szerokiemi galerjami, o ścianach odzianych w zatarte na pół, ale ciekawe średniowieczne freski Mazaccia, Orcagna etc., roztwiera się na wewnątrz w dziwnie piękne i przejrzyste arkady gotyckie, oddzielone jedne od drugich cienkiemi i rzeźbionemi kolumnami. Campo Santo zamieniono dziś na muzeum miasta i nagromadzono w niem starożytności różnej daty.

Muszę także parę słów powiedzieć o kaplicy nad brzegiem Arno, zwanej Santa Maria della Spina. Widziałeś zapewne dawne relikwjarze ze srebra lub bronzu, wyrobione w kształcie maleńkiego kościoła, ale tak delikatnie, iż zdają się ulepione z brabanckich koronek. Otóż S. M. della Spina jest podobnem pieścidłem, tylko że dłutowanem w marmurze.

Rzuciwszy jeszcze okiem na gmach Uniwersytecki, dziś pusty a kiedyś sławny na całą Europę, kędy w XVI wieku młodzież polska równie tłumnie uczęszczała jak do Bolonji i Padwy — opuściłem Pizę i po dwóch godzinach i pół, podróży drogą żelazną, stanąłem w grodzie Medyceuszów, w ojczyznie Danta i Michała Anioła Buonarottego, w mieście kwiatów i malowideł.

Florencja piękna i czysta (co rzadką jest rzeczą we Włoszech) ma zupełnie odrębną postać od Genui. Są i tutaj pałace, ale nie roztwierające się w szerokie krużganki i olbrzymie podwoje jak w Genui. Tu każdy pałac do fortecy podobny — otwory z zewnątrz ciasne, mury grube, dolne okna wysoko i gęstemi kratami oplecione. Nie dziw się temu — w średnich wiekach, wojna domowa trwała we Florencji prawie bez ustanku; ulica ulicy, dom domowi wypowiadał walkę. Naprzód Gwelfy i Gibelliny, później Medyceusze, Pazzi, Strozzi etc., wydzierali sobie władzę koleją — budowano więc domy zdolne wytrzymać szturm i

oblężenie. Pałac Strozzich jest jedną z najgustowniejszych i najokazalszych cytadelli dawnej republiki Florenckiej.

Nie mam dosyć miejsca w tym liście aby ci dać poznać wszystkie pomniki tutejsze — wymienię przeto pokrótce te tylko, które na mnie silniejsze wywarły wrażenie.

Ogromna, marmurowa katedra (Santa Maria dei fiori) zdająca się być pięcioma kościołami skupionemi — najeżona w byzantyńskie kopuły — z odosobnioną, wysmukłą dzwonnicą nadobnego kształtu — jest jedną z najpiękniejszych świątyń chrześciaństwa. Jej architektami byli Giotto i Bruneleschi. Tuż obok, wznosi się chrzcielnica o sławnych drzwiach bronzowych rzeźbionych przez Ghibertego, o których Michal Anioł Buonarotti powiedział, iż byłyby godne służyć za wrota do raju.

Kościoł Świętokrzyzki (Santa Croce) jest Panteonem toskańskim. Są tam przepyszne, kolosalne groby: Danta, Buonarottego, Galileusza, Machiavella, Alfierego, i t. d. W bocznych kaplicach spotkałem kilka mauzoleów polskich, z których najpiękniejszy, bo wyrzeźbiony przez Bartoliniego, grób ordynatowej Zamojskiej, matki siedmiu dziś żyjących synów. Napis na sarkofagu polski — a na ścianie, po nad leżącym posągiem zmarłej, napis łaciński.

W kościele S. Wawrzyńca, dwie osobne kaplice służą za miejsce ostatniego spoczynku Medyceuszom. W większej kaplicy gdzie jest ośm nagrobków, wszystko lśni od złota, drogich kamieni, bronzu, granitów, porfirów i najkosztowniejszych marmurów. W drugiej kapliczce, nie widać ani kosztownych kruszców, ani różnokolorowych kamieni — mieści ona daleko większe skarby — posągi dłutowane tytańską ręką Michała Anioła Buonarottego. Tam-to jest owa statua allegoryczna Nocy o której współczesny rzeźbiarzowi poeta powiedział: «Mów z cicha, bo się obudzi.» Tam jest także ów posąg Juljana Medyceusza, znany w świecie artystycznym pod nazwiskiem Penseroso. Z tak głębokiem uczuciem wykonanego dzieła, nigdy dłuto greckie nie wydało — prawda, że i melancholja była rzeczą nieznaną starożytnym!

San Marco, Santa Maria Novella i Annunciata godne są również wspomnienia śród tylu innych kościołów florenckich. W Santa Annunciata, przyglądałem się z uwielbieniem, freskom Andrzeja del Sarto współcześnika Rafaela — a nadewszystko prześlicznemu wizerunkowi Najświętszej Panny, który zowią Madonna del Sacco.

Pójdźmy teraz na plac del Gran Duca, pełen wspomnień historycznych, otoczony monumentami z czasów Rzeczypospolitej Florenckiej (która niegdyś Jezusa Chrystusa królem swoim ogłosiła, jak później Polska, Matkę Boską swoją królową nazwała), plac zaludniony arcydziełami sztuk pięknych.

Oto naprzód, czerni się przed nami Palazzo Vecchio, pałac-forteca, budowla o cyklopejskich murach nastrzępionych blankami (creneaux), po nad któremi rośnie ku niebu czworogranna wieżyca. Przed bramą, stoją dwa olbrzymie marmurowe posągi, niby dwaj żołnierze strażnicy tej ojczyzny wielkich artystów XVI wieku. Jeden z nich wyobraża Dawida młodzieńca, gotującego się do powalenia Goljata. Michał Anioł Buonarotti w młodym wieku wyciosał to arcydzieło, które zdaje się być utworem greckiego dłuta. W istocie, Dawid ten, wygląda bardziej na pogańskiego Półboga, niż na biblijnego bohatera. *

Po prawej ręce pałacu, konny posąg z bronzu, Kosmy Medyceusza, i fontanna z kolosalnym Neptunem z marmuru — po lewej (pod portykiem o czterech arkadach, prześlicznej architektury), zamieszczono kilkanaście statui, z których najznakomitsze: Judyta przez Donatella, porwanie Sabinek, gruppa przez Jana z Bolonji i Perseusz z bronzu, przez Benvenuta Cellini. Właśnie nie dawno czytałem pamiętniki Celiniego — jest to książka niezmiernie ciekawa, bo malująca dokładnie życie artysty w XVI wieku. Opowiada nam autor, iż leżał mocno chory na febrę, gdy odlewano jego posąg Perseusza. Wtem donoszą mu, iż zdaje się, że zabraknie roztopionego metalu. Cellini zrywa się z łóżka w koszuli, biega po całym domu, zbiera łyżki, półmiski, wazy, sztaby, miedziane, cynowe i srebrne — i rzuca to wszystko do kotła. Odlew udał się doskonale i snycerz ozdrowiał. Perseusz jest bardzo znakomitem dziełem — codzień przyglądam mu się z wielkim interesem, znając wszystkie szczegóły jego porodu. Artysta wszczepił całą swoją duszę, cały swój charakter w ten utwór. Cellini był człowiekiem śmiałym do szaleństwa, ale przytem niesłychanie próżnym, chwalącym się nieustannie. Otóż w rysach twarzy Perseusza (który depcąc nogami ciało zwalczonego potworu, podnosi i pokazuje odciętą głowę Meduzy), widać niesłychaną moc i energję, ale razem i coś junackiego, coś chełpliwego, co po dokonanem zwycięstwie, czeka na oklaski tłumu.

Palazzo degli Uffizi i pałac Pitti (rezydencja wielkiego księcia), przechowują liczne galerje obrazów rzadkiej piękności — którym i muzeum paryskie w Luwrze i galerja Drezdeńska, ustąpić muszą pierwszego miejsca. Oprócz doborowych dzieł takich mistrzów jak Ticjan, Corregio, Karol

---

*) Drugi posąg stojący przed Palazzo Vecchio jest dłuta Bandinel'lego i przedstawia Herkulesa.

Dolci, Guido Reni, Albano, Paweł z Werony, Allori, Barrocio, Andrea del Sarto, Fra Bartholomeo, Salvator Rosa etc., wielki książe Toskański posiada piętnaście Rafaelów! Pomiędzy utworami Rafaelowemi, którem tu widział, najwięcej mnie zachwyciły: Ś. Jan na puszczy (w Uffizjach) i widzenie Ezechiela (w pałacu Pitti). Mojem zdaniem, w tych dwóch obrazach malarstwo wypowiedziało ostatnie swoje słowo. Do takiej wysokości pomysłu, i takiej doskonałości wykończenia, już żaden pędzel nie dosięgnie!

W zbiorze portretów historycznych zawieszonych na wstępnym kurytarzu galerji, dostrzegłem i kilka polskich. Są to portrety królów: Stefana Batorego, Zygmunta III, Sobieskiego, Augusta II Sasa — a obok nich, Jana Zamojskiego i Stanisława Jabłonowskiego hetmana. Wizerunki te malowane za życia osób, które przedstawiają, są nader interesujące. W pałacu Pitti jest także miłym dla Polaka widokiem, piękny obraz Ś. Kazimierza przez Karola Dolci.

Galerje te otwarte są codziennie, przez sześć godzin, dla publiczności — to też z każdego dnia korzystałem aby napaść oczy, nakarmić ducha temi nieśmiertelnemi wzorami malarstwa. Po dzisiejszych ostatnich odwiedzinach sali zwanej Tribuna, gdzie zgromadzono główne arcydzieła (capi d'opera), zdaje mi się że już na przyszłość nie będę miał ochoty oglądania innych malowideł. Jestem jak człowiek, który zjadłszy wykwintny obiad u Lukulusa lub Talejranda, natrafiłby po drodze na garkuchnię pod Konikiem. Daruj mi to prozaiczne porównanie, ale że dobrze maluje rzecz, zostawiam je.

Jeszcze słowo o najcelniejszych rzeźbach galerji Florenckich. Są tu dwie sławne Wenery: — starożytna nazwana Medycejską, i nowożytna, dzieło Antoniego Kanowy. Przyznam ci się, że pierwszego dnia ta ostatnia więcej mi się podobała. Nie długo przecież trwał obłąd — po drugiej i trzeciej wizycie, przekonałem się, że Wenus Kanowy, to tylko doskonały wizerunek ciała pięknej kobiety — a Wenus Grecka, to skamieniały ideał niewieściego piękna!

Oddzielna sala obejmuje kilkanaście posągów dłuta greckiego, przedstawiających Niobę i jej dzieci, ów rozdzierający dramat starożytny, przypominający pomimowolnie żałosną matkę naszą Polskę. Synowie Nioby konają lub uchodzą przed mściwemi strzałami Apollina i Diany — biegły mistrz wlał życie i ruch nadzwyczajny w każdy marmur — a mianowicie w gruppę, w której najmłodsza z córek, nadobnė dziewczę, rzuca się przerażona na łono matki i chce się ukryć w fałdach jej szaty. Wyraz twarzy Nioby, wycisnął mi z oczu łzę współczucia, bo wyczytałem w nim

całą historję narodu naszego z ostatnich lat sześćdziesięciu. Wieleż to matek polskich, takim wzrokiem bezsilnej rozpaczy, poglądało i pogląda!

LIST III.

Kilka rysów charakteru ludności toskańskiej. — Zaklęcie na Madonę. — Zamiast wygodnej karety, arka Noego. — Facchini, dorożkarze i oberżyści. — Żebractwo pod pokrywką kwiatów. — Miasto Liworno zapomniane w opisie piekła u Danta. — Paszporta. — Komora celna.

Rzym, 3 Grudnia 1851.

Wczoraj, o wpół do dwunastej w nocy przybyłem do Rzymu. Przy rzadkich, zakopconych, z dopalającym się knotem latarniach (bo tu oświetlenie gazem jeszcze nie znane, choć już przyjęte w Genui i we Florencji), nie mogłem nic widzieć po ulicach, przez które wieziono mnie od rogatek do komory celnej a stamtąd do hotelu. Dziś rano, chmurno i wietrzno i deszcz pada — ani sposób wyjść na miasto. Spragniony przyglądania się Rzymowi, zaczynam pojmować męczeństwo Tantala — i aby sobie skrócić czas w samotności, zasiadłem przy stoliku i opisywać ci będę nowe trudy i tarapaty mojej podróży.

W Toskanji gdzie niebo tak piękne, klimat tak łagodny, gdzie widok arcydzieł sztuki powinienby podnosić umysł i wyszlachetniać serca mieszkańców — znalazłem ludność obrzydliwie natrętną, chciwą, bezsumienną i płaszczącą się najpodlej. Toskańczyk uważa każdego cudzoziemca (forestiere), za pastwę zesłaną sobie od Opatrzności, którego obedrzeć i oszukać, jest dla niego pewnym rodzajem zasługi i chluby. Jużem przebiegł w mojem życiu nie mały kawał Europy, a nigdzie nie zdarzyło mi się napotkać podobnych opryszków i wydrwigroszów. Sam Guide du voyageur ostrzega cię, abyś broniąc twojej kieszeni, targował się tu o wszystko z góry. Nudna to i przykra rzecz umawiać się o cenę przed wstąpieniem do mieszkania, przed zaczęciem obiadu — z dorożkarzem, z golibrodą, z posługaczem i t. d. Nudna rzecz ale konieczna — inaczej bowiem, gdyś (spuszczając się na dobrą wiarę) zjadł już obiad, kazał ostrzydz

sobie włosy, wysiadł z pojazdu, przespał noc w stancji, bez zrobienia uprzedniego kontraktu — musisz bez repliki, zapłacić cztery lub pięć razy tyle co się należy.

Częstokroć i ustny kontrakt nie zabespiecza cię od oszukaństwa. W czasie mego pobytu we Florencji, jeden z moich przyjaciół zaskoczony deszczem na ulicy, zawołał dorożkarza i ugodziwszy się z nim na pięć pawłów (4 złp.), kazał się wieźć do hotelu. Wysiadając płaci — ale woźnica przyjąwszy pieniądze, powiada że to nie pięć ale siedem pawłów była umowa. Rozpoczął się spór — wreszcie przyjaciel mój, który nie poraz pierwszy znajdował się w Toskanji i znał Włochów, bierze w rękę dwa pawły i mówi: «Przysięgnij mi na Madonę, że ja tobie obiecałem siedem, a natychmiast dodám ci jeszcze te dwie sztuczki.» Usłyszawszy takowy warunek, łotr zaciął konie i uciekł nie oglądając się po za siebie. Gdyby prosty lud toskański przestał wierzyć w Madonę i bać się piekła — kraj ten zamieniłby się na wyspę ludożerców!

Właśnie wczoraj, ja sam oszukany zostałem jak najhaniebniej. W Civita Vecchia, wychodząc z bióra dyliżansów, gdzie mi powiedziano że już wszystkie miejsca zajęte, słyszę wołającego za mną człowieka: Signore! la vettura per Roma! Uradowało mnie to wezwanie — odwracam się i mówię do Włocha, że chętnie z nim pojadę, chciałbym tylko wprzódy obejrzeć jego pojazd. Filut wierutny prowadzi mnie do stojącej na placu porządnej karety, otwiera wnętrze i każe mi probować jak miękkie i wygodne siedzenie. Zadowolniony z przeglądu, godzę się o cenę i płacę natychmiast. Za godzinę mamy wyjeżdżać. Zjadłszy naprędce obiad, biegnę na plac — a widząc że jeszcze nie zakładają koni, przechadzam się spokojnie obok mojej karety, marząc o wygódkach, które mnie czekają w podróży. W tem odzywa się głos już mi znany: «O Signore! wyjeżdżamy.» O kilkanaście kroków dalej, stała zaprzężona istna arka Noego, z potłuczonemi szybami, z ressorami powiązanemi postronkiem, z poduszkami wypchanemi zapewne łupinami z orzechów — rzeczy moje były upakowane z tyłu i przywalone innemi, jak Ossa, Pelionem! Rozgniewany i oburzony, musiałem się jednak rezygnować — a nie umiejąc dosyć dobrze po włosku, nie miałem nawet satysfakcji wyłajać oszusta. Na twarzach obecnych tej scenie krajowców, dostrzegłem wyraz zadowolnienia, że forestiere wpadł w łapkę nastawioną przez Włocha.

Najnieszczęśliwszy cudzoziemiec, który ma z sobą dużo bagażów. Po przybyciu do jakiego miasta, dwóch tragarzy (facchini) niesie twój kufer — trzeci schwycił worek podróżny — czwarty odebrał ci płaszcz i bieży przodem —

piąty chce ci wydrzeć z ręku parasol i laskę i nieść je przed tobą, jak pęk rózg przed Liktorem rzymskim! Westchnąłem z zazdrością, pomyślawszy o ojcu Adamie, ktpry odprawiając pierwszą podróż po wypędzeniu z raju, nie miał ni kufra ni parasola!

W Liworno, chcąc się uwolnić od tych ludzi zbyt usłużnych, wziąłem przy dworcu kolei żelaznej dorożkę i kazałem się z rzeczami wieźć do hotelu. Spekulacja nie udała się — koszt był podwójny. Dwóch bowiem fakinów biegło kłusem obok pojazdu i gdym, zajechawszy na miejsce, poszedł oglądać mieszkanie — nie słudzy hotelowi ale owe laufry uliczne, wnieśli moje rzeczy na górę i trzeba im było zapłacić. Oberżysta, którego pytałem czemu nie polecił tego zrobić posługaczom domowym, odpowiedział mi, że to jest prawem fakinów i że tu zwyczaj taki — zwyczaj toskański obdzierania ze skóry cudzoziemca!

Żebractwo zakazane we Florencji, ukryło się pod poetyczny płaszczyk handlu kwiatami. Co kilkanaście kroków spotykasz na ulicy bukietierkę lub bukietiera, którzy z uśmiechem i ukłonem ofiarują ci pęczek kwiatów — a jeśli się odwracasz i idziesz dalej, gonią za tobą i gwałtem ci wsadzają do kieszeni lub za nadrze, swój towar. Cóż czynić — zwłaszcza, jeśli bukietierka piękna dziewczyna! Dajesz sztuczkę monety jednej, drugiej, trzeciej i czwartej żebraczce. Nieraz tak byłem obładowany kwiatami, że mi przychodziła myśl, przed wejściem do domu, stanąć na rogu ulicy i zaprobować rzemiosła bukietiera.

Liworno jest najuprzykrzeńszem miastem pod wszelkiemi względami. Ledwie że wyjdziesz na bruk, już o pięćdziesiąt kroków zdala, każdy cię poznał żeś forestiere i zaczyna się obława na ciebie. Doróżkarze opuszczają swe konie i zastępując ci drogę z biczem w ręku, wrzeszczą: Signore! la vettura! Żebracy (najdziwaczniejszych postaci o jakich Callot nawet nie marzył w swoich fantastycznych szkicach), zagłuszają cię prośbami: Signore! date qualche cosa! Tu żyd ofiaruje ci bardzo tanio wszelkie towary angielskie — tam wioślarz zaprasza cię do swojej łódki — tam znowu jakiś obdartus chce ci służyć za cicerone i oprowadzać po mieście, którego jedyną ciekawością jest starożytna bożnica żydowska. A każdy cię potrąca, ciągnie, szarpie i głuszy. Dant w swoim opisie mąk piekielnych, zapomniał wystawić cudzoziemca przybyłego do Liworno!

Do przyjemności podróży po Włoszech dodać i to należy, że w każdem miasteczku odbierają ci paszport i wizują, nota bene, za pieniądze. Od granicy Szwajcarskiej do Rzymu, przyłożono mi szesnaście włoskich pieczęci.

Z Liworno do Civita Vecchia, przecierpiałem na morzu

noc całą. Wysiadając na ląd takaż sama przeprawa z fakinami i t. d. Oprócz tego jest tu komora celna papieska — nie dla rewizji (bo ci więcej na rękę niż na bagaże patrzą), ale na to, aby podróżny wetknął celnikowi kubana w pazury. Oplombowali mi kufer (za osobną opłatą), ale w Rzymie nowa rewizja — choć pieczęć ołowiana urzędowa, nie naruszona — i kontrabanda chyba cudem mogłaby się tam wcisnąć. Oczewiście, idzie tu o pieniądz srebrny, który, nieszczęśliwa ofiara legalnego rozboju, dajesz z rezygnacją nieskazitelnemu urzędnikowi w chciwą garść — za co ci się wiele uśmiecha, kłania aż do ziemi i nazywa cię Excellencją! Zmordowany więcej jeszcze na ciele niż na kieszeni, odetchnąłem nareszcie w Rzymie, pomyślawszy sobie że przez kilka miesięcy nie będę miał do czynienia z celnikami, fakinami i wizownikami paszportów. Odetchnąłem jak Farys piersiami całemi i strząsnąłem pył zebrany na obuwiu po tej ziemi uroczej, zaludnionej tak obrzydliwą tłuszczą!

LIST IV.

Ogólny pogląd na Rzym. — Cywilizacja obok barbarzyństwa. — Monte Pincio. — Bazylika S. Piotra. — Groby papieżów. — Mozajki. — Plac przed Kościołem. — Obeliski egipskie. — Koliseum. — Panem et circenses. — Krzyż Chrystusowy w środku areny.

Rzym, 14 Grudnia 1851.

Rzym, miasto wieczne (Roma æterna), dawna stolica potężnej społeczności pogańskiej, a następnie siedziba naczelników chrześciańskiego kościoła — Rzym, którego było przeznaczeniem od dwudziestu kilku wieków zawsze rozkazywać narodom, rządzić ciałami lub sumieniami ludzkiemi, trzymać wysoko po nad światem miecz i groźbę lub tjarę i błogosławieństwo — Rzym, ma zupełnie różną postać od innych wielkich miast Europy i do żadnego z nich nie podobny.

Zbudowany śród pustyni, na siedmiu wzgórzach, na przestrzeni prawie tak wielkiej jak Paryż choć ledwo piątą część ludności paryskiej liczący — mieści on w swoim obrębie łąki, po których pasą się konie i bawoły — obszerne

winnice i wiecznie zielone (bo w mirty, cyprysy, bukszpany, w pomarańczowe i cytrynowe drzewa sadzone) ogrody — po za któremi, znów głazy i marmury piętrzą się w kościoły i pałace lub rozsypują się w gruzy. Za niemi znów pustynia — za pustynią nowe pomniki — i dopiero za niemi krańce i bramy miasta.

Wewnątrz Rzymu jakaż to mięszanina! jaka mozajka z porfirów i gliny, z pereł i śmieci, z przepychu i nędzy, z cywilizacji i barbarzyństwa! Oprócz dziesiątka ulic, z których najprostsza i najdłuższa zwie się Corso, oprócz kilkunastu placów ozdobnych w fontanny i w obeliski egipskie, i zabudowanych w piękne i okazałe domy w harmonji jedne z drugiemi i przypominające przechodniowi, iż się znajduje w wielkiej stolicy — reszta miasta jakże ciasna, zaniedbana i brudna! Nie raz, szukając jakiegoś monumentu, musisz przechodzić przez stosy śmieci i plugastw, w których dolne pokłady datują może od czasu pierwszego napadu barbarzyńców na Romę Cezarów. Tak to podróżny entuzjasta, kroczy per angusta ad augusta!

Idziesz przez kręte i nietykane miotłą uliczki, których domy są obwieszone po wszystkich piętrach suszącą się na sznurach bielizną — i nagle stajesz na przepysznym placu, takim jak np. Kwirynalski, o wielkich pałacach, o olbrzymich posągach dłuta greckiego! Gdzie indziej, przebywszy brudne zaułki zapełnione straganami zieleniarek i rzeźników (których widok obudza w tobie odrazę do mięsa) — przychodzisz przed monumentalne wschody Kapitolu, lub trafiasz na fronton i kolumnadę Panteonu, tego arcydzieła starożytnej architektury, najlepiej zachowanego z czasów pogańskich pomnika — który później stał się tem większym i świętszym, iż mieści w sobie skromny grób Rafaela!

Musisz iść długo pustemi, zamkniętemi murem ogrodów i winnic, drogami — nim się dostaniesz przed taki pyszny, bogaty i ogromny kościół jak Santa Maria Maggiore — lub do takiej wspaniałej Bazyliki jak Święty Jan Laterański!

Słowem, Rzym dzisiejszy podobny jest do królewskiego płaszcza, na którego tle ze złotogłowiu zakurzonem od pyłu — śród dziur, plam i łat ze zgrzebnego płótna, błyszczą liczne perły, djamenty i karbunkuły nieocenionej wartości!

Trzeba wydawać dużo pieniędzy na pojazd albo mieć nogi mocne i zdrowe, do oglądania tego miasta, bo odległości miejsc bardzo wielkie, a ta droga ciągle idąca w górę lub na dół, męczy okropnie. Nie żal jednak przekroczyć paręset wschodów by się dostać na Monte Pincio, gdzie Francuzi (gospodarząc w państwie papieskiem za czasów Cesarstwa), urządzili dla przechadzki publicznej, ogród o-

balustradach i ławkach z kararyjskiego marmuru. Stamtąd spostrzegasz Rzym prawie cały, rozesłany u stóp twych. Przy zachodzie słońca jest to widok zachwycający.*)

Z tej wysokości, nieczystość i ciasnoty nikną, przerw ogrodowych nie widać — tylko ci się rozwija przed okiem panorama wysokich murów, a nad niemi wytryska gęsty las kopuł, wieżyczek i krzyżów pośród których ogromna kopuła Bazyliki Ś. Piotra wybujała gdzieś ku niebiosom, jak wspaniała palma po nad drobne drzewka szpalerów. Za ramy do tego obrazu, dodaj wznoszące się na krańcach widnokręgu, pobliskie góry ponętne harmonijnym kształtem swych szczytów — a po nad górami, bezchmurne lazury włoskiego nieba!

Pierwsze moje odwiedziny były do kościoła Świętego Piotra. Czytałem był nie raz dawniej opisy tego gmachu i napatrzyłem się rycin przedstawiających jego widok — ale opisy i ryciny, a nawet wyobraźnia poety są błahym cieniem w porównaniu z rzeczywistością. Jest to ogrom stawiany, zdaje się, ręką bajecznych olbrzymów, na którego koszta musiano wyczerpać kopalnię złota. Prawda, że dwóch Tytanów, Bramante i Michał Anioł Buonarotti byli jego pierwotnemi architektami — a składki pobożne, napływające ze wszystkich krajów katolickich, dopomogły do jego wzniesienia.

Gdy wejdziesz do środka i spojrzysz przed siebie i nad siebie — na tę przestrzeń jakby bez końca, na te filary tak grube że w ich rdzeniu możnaby wyciosać obszerne kaplice — na te sklepienia tak wysokie że zawrotu głowy dostajesz poglądając na nie z dołu — czujesz w głębi duszy, że to nie jest kościół zbudowany dla samego Rzymu tylko — ale dla chrześciańskiego świata. Czujesz, że błogosławieństwo namiestników Chrystusa, przesyłane miastu i światu (urbi et orbi) — grzmieć może tylko z krużganku takiej Bazyliki!

We wnętrzu tego przybytku godnego Pana Zastępów, nie spotkasz innego materjału jak różnokolorowe marmury, afrykańskie granity, wschodnie alabastry, porfiry, jaspizy, lazury (lapis lasuli), ametysty i bronzy. Wspaniałe groby Papieżów są dłuta Algarda, Pollajuola, della Porta, Bernina, Thorwaldsena, Kanowy etc. — a obrazy ołtarzów i kopuł, przedstawiają w kopjach, najcelniejsze arcydzieła religijnego malarstwa, wypracowane mozajkową robotą.

Wiesz zapewne, że do malowideł takowych, nie używa

---

*) Z drugiej strony Tybru, z tarasu przed Kościołem San Pietro in Montorio, odkrywa się daleko obszerniejszy widok na Rzym; ale mojem zdaniem, panorama z Monte Pincio ma w sobie więcej malowniczości.

się ani farb ani pędzla, ale na przyrządzonym pokładzie z kitu, artysta nakreśliwszy ogólny zarys obrazu danego mu do kopjowania, dobiera kolorowych kamieni (pietre dure) obszlifowanych w czworogranne kostki — lub emaljowanych szkieł ulanych także w kwadratowe pręciki — i stosownie do barwy i odcieni modelu, nabija je jedne przy drugich w lipką massę objętą ramami. Słowem, maluje odłamkami szkła lub kamienia, które naśladują każdy pociąg pędzla, jak nitki jedwabne lub wełniane, w fabryce Gobellinów francuskich. Jest to praca trudna, długa i kosztowna a tak doskonała – że ja, co wzrok mam wyborny, rozumiałem z początku że to są malowidła — i dopiero spojrzawszy w książkę opisową, przekonałem się zawstydzony, że na mozajkę patrzę. Między innemi, są prześliczne reprodukcje Rafaelowego Przemienienia Pańskiego i Domeniquinowej Komunji Ś. Hieronima.

Plac owalny dotykający do szerokich wschodów, które prowadzą do głównego wejścia Bazyliki z pięciu bram złożonego — przedstawia widok poważny i uderzający. Okrąża go portyk roztoczony w podwójną kolumnadę porządku korynckiego o trzystu olbrzymich filarach z kamienia. Na wierzchu tego portyku (który wybiegł na przód i roztwiera się jak dwa szerokie ramiona wyciągnięte ku chrześciańskiemu światu) stoi trzysta posągów. Po dwóch bokach placu biją w górę wodotryski z dwóch monumentalnych fontan, a na środku podnosi się granitowy obelisk egipski.

Dziwny to los tych obelisków, których jest w Rzymie do dwudziestu, różnej wielkości! Stawiane były niegdyś w Tebach, w Heliopolis, na cześć Thutmozysów, Psammetyków, Ramzesów — jak świadczą (podług zdania uczonych), ich hieroglificzne napisy. Później, zwycięskie kohorty rzymskie, pomiędzy trofeami, przywlokły tych granitowych niewolników Cezarom do ich stolicy. Cezarowie wznieśli je na postumenta i przeznaczyli ku pamiątce swoich poprzedników: Kaligula Augustowi, Domicjan Tyberjuszowi i t. d. Spadkobiercy Cezarów Papieże, zostawili hieroglify egipskie i napisy dedykacji rzymskich — i tylko na szczycie każdego obelisku, utkwił krzyż Chrystusowy!

Po obejrzeniu kościoła Ś. Piotra, który jest niejako treścią, uosobieniem Rzymu chrześciańskiego — pospieszyłem obaczyć drugi kolos dawniejszy, to też nadwerężony nielitośnym młotem czasu, Kolizeum Flawiusza Wespazjana, uosobistniające w sobie Romę pogańską.

Jest to amfiteatr pół okrągły, mimo olbrzymich rozmiarów pełen lekkości, przejrzystości, harmonji i wdzięku.

Prawie połowa zewnętrznego jego muru (oświeconego trzema rzędami wznoszących się jedne nad drugiemi arkad przedzielonych kolumnami) zwaliła się w gruzy kilka już temu wieków — i z tych okruszyn tytańskiej budowli, wymurowano nie jeden pałac w Rzymie. Ten ubytek, ta szeroka szczerba w kamiennem ciele olbrzyma, nadaje mu jakiś urok melancholiczny i budzi w duszy patrzącego to współczucie żalu, które odzywa się w nas zawsze na widok dawnej wielkości, potęgi i chwały, chylących się do upadku. Wystawisz sobie łatwo ogrom tego pomniku, gdy ci powiem, że mógł w sobie mieścić sto tysięcy widzów.*)

Panowie ówczesnego świata, cesarze rzymscy, wyobraziciele siły materjalnej, zwierzęcej, wznosili takowe Kolizea dla ludu, który od nich nie żądał konstytucji — ale tylko: strawy i zabawy (panem et circenses). Cezar musiał żywić cały motłoch miasta, tak jak rewolucyjny rząd francuski w 1848 r. żywił swoje Ateliers nationaux. Gdy się przebrało zasobów w skarbie, wtedy biada zbyt wzbogaconym patrycjuszom! Rząd wynajdywał pozór oskarżenia ich o crimen lesæ majestatis, wskazywał na śmierć lub na wygnanie — a ze skonfiskowanego ich majątku dawał strawę plebejuszom. Lecz strawa, to nie dosyć — najedzony i próżnujący motłoch nudził się, a z nudów możeby zaczął i myśleć — trzeba go więc było rozrywać, już nie apologami Meneniusza Agrypy jak za republiki, ale hucznemi igrzyskami w takich cyrkach jak ten o którym mowa. Tam były wyścigi piesze, konne i wozowe — czasem, na wpuszczonej wewnątrz wodzie, okrętowe bitwy. Tam potykali się gladjatorowie (po większej części z jeńców wojennych złożeni) którzy przed śmiertelną walką przychodzili oddawać czołobitność Panu: «Morituri te salutant Cæsar!» Tam nareszcie pierwotni chrześcianie rzucani byli na pastwę lwom i tygrysom, dla zabawki ludu rzymskiego, który klaskał w dłonie i radował się na widok męczeństwa!

Cezary i dawny lud rzymski zniknęli bezpotomnie — Kolizeum stało się ruiną. Następcy Piotra apostoła kazali podeprzeć i umocnić pozostałe mury pogańskiego kolósu**)

---

*) Dwanaście tysięcy Żydów wziętych w niewolę za Wespazjana, pracowało nad murowaniem Kolizeum. — Za Tytusa Cesarza, który dokończył budowy, igrzyska inauguracji trwały 100 dni. — Zachowała się dotąd tradycja, że na owych igrzyskach, 5000 dzikich zwierząt i 3000 gladjatorów zginęło. — Tytus uważany jest za jednego z najlepszych Cesarzów; to daje nam miarę, co się dziać musiało po cyrkach, za takich Imperatorów jak Neron, Kaligula, Domicjan, etc.

**) Pius VII przyczynił się najwięcej do zachowania sypiącego się już w gruzy Kolizeum.

— a na środku jego areny, dla uczczenia wylanej krwi męczenników, postawili godło Zbawienia. Ten krzyż choć drewniany i nie wysoki, tkwi nieporuszony i przetrwa cyklopejskie głazy Wespazjana, piętrzące się jeszcze tak szeroko i tak butnie ku niebu!

LIST V.

Forum Romanum. — Resztki pogańskiego Rzymu. — Skała Tarpejska. — Kapitol. — Posąg Marka Aureliusza. — Muzeum Kapitolińskie. — Obrazy. — Posągi. — Umierający Gladjator. Panteon.

Rzym, 16 Grudnia 1851 r.

Kolizeum, leżące teraz śród ogrodów, winnic i pustych wzgórzy, znajdowało się niegdyś w samym środku starożytnego Rzymu — to też w jego pobliżu spotykasz co krok reszty dawnych monumentów — jedne zapadłe już w głąb ziemi jak Łazienki (Thermæ) Tytusa — drugie na wpół odgrzebane, jak Łuk tryumfalny Septyma Sewera — inne widne z dala choć popękane, porosłe mchem i powojem, jak Bazylika Konstantyna, Forum Nerwy, Świątynia Wenery i t. d. Tutaj cały portyk świątyni Antonja i Faustyny wmurowano w kościół chrześciański — tam znów przybytek gdzie Westalki strzegły ognia świętego, stał się kościołem Ś. Teodora — a mury śród których wznosiły się ołtarze Romulusa i Remusa, poświęcono ŚS. Damjanowi i Kosmie. Na całej tej przestrzeni zwanej dotąd Forum romanum, sterczą resztki murów, leżą kawały rzeźbionych gzymsów, tarzają się kapitele korynckie, jak spruchniałe kości na opuszczonym smętarzu. Tu jedna, tam trzy, tam znów ośm kolumn marmurowych stoi odosobnionych i smutnych, jak okopcone pnie wielkich dębów śród zniszczonego pożarem lasu!

Otóż prawie wszystko co pozostało dziś z grodu Cezarów! Gdyby nie świadectwo historji, któżby uwierzył — patrząc na te okruszyny lecących w proch świątyń i łuków tryumfu — że niegdyś świat cały ujarzmiony, znosił tu skarby i przychodził bić kornem czołem przed Imperatorami liczonemi za życia w rzęd Bogów! Jeżeli gdzie to tutaj, w obec tych gruzów, poglądając na znikomość największej

z potęg jaka była i jakiej już nie będzie pod słońcem — powtórzyć można słowa Psalmisty: Omnia est vanitas!

Dla każdego miłośnika przeszłości obznajmionego z historją i architekturą rzymską, ta część miasta jest niezmiernie zajmującą. Masz tu dotykalne ślady wszystkich wspomnień klasycznych — zacząwszy od podnóża Palatynu (mons Palatinus), gdzie Faustulus znalazł dwoje bliźniaków karmionych przez wilczycę, aż do szeroko po całej górze rozesłanej ruiny pałacu ostatnich Cezarów — od via sacra, na której Romulus zaprzysiągł traktat przyjaźni z Tacjuszem, aż do więzienia Mamertyńskiego, w którem zamorzono głodem Jugurtę — od Kapitolu kędy wiedziono tryumfatorów, aż do skały Tarpejskiej, z której strącano winowajców!

Nadmienię tu nawiasowo, że skała Tarpejska, o której każdy z nas marzył jako o jakimś olbrzymiem urwisku zawieszonem nad bezdenną przepaścią — nie ma w sobie dzisiaj nic wielkiego ani przerażającego. Na jej wierzchołku zieleni się mały ogródek warzywny — a w głębi cztero lub pięcio sążniowej przepaści, zamiast Kurcjuszów, spostrzegasz potomków dawnych Rzymian grzejących się na słońcu lub żebrzących o pół bajocco u przechodzącego cudzoziemca, potomka dawnych Barbarzyńców!

Ze starożytnego Kapitolu, owej nieporuszonej opoki, Capitoli immobile saxum, jak go nazwał rzymski poeta — zostały tylko czarne reszty dolnego muru, na których oparto i zbudowano w XVI wieku, pałac z dwoma pawilonami noszący tęż samą, uświetnioną w dziejach nazwę.

Szeroka i stroma droga idąca w górę, otoczona balustradą (z dwoma lwami z bazaltu egipskiego u spodu i dwoma olbrzymimi posągami Kastora i Poluksa u wierzchu) prowadzi na czworoboczny plac Kapitoliński. Na tym placu bardzo czystym (z tej prostej przyczyny że w otaczających go domach nie ma innych mieszkańców jak obrazy i rzeźby) stoi bronzowy Marek Aureljusz na koniu — znakomite dzieło sztuki. Przyglądałem mu się z prawdziwem zajęciem, przypomniawszy sobie opis tej statui w IV. części Dziadów, gdzie Mickiewicz ją porównywa z posągiem Piotra Wielkiego w Petersburgu. Opis ten jest nad podziw dokładny:

> Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło;
> Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;
> Rękę poważnie wzniósł, jak gdyby w koło
> Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,
> . . . .
> Koń równym krokiem, równą stąpa drogą,
> Zgadniesz że dojdzie do nieśmiertelności!

Mistrz Adam odlał w bronzie swego rymu, doskonałą kopję arcydzieła rzymskiego mistrza!

Jak już mówiłem, nowożytny Kapitol mieści w sobie publiczne Muzeum malarstwa i snycerstwa. Między obrazami, znajdziesz tu kilkanaście dzieł pierwszego rzędu: Romulus i Remus, Rubensa — dwa piękne portrety Van Dyka — trzy wspaniałe malowidła Pawła z Werony — prace Domeniquina, Ticjana, Guida — i kilka dzieł Guerchina, śród których celuje obszerna kompozycja (przedstawiająca wyjęcie z grobu ciała Świętej Petronelli) — która energją, kolorytem i światłem, przypomina najpiękniejsze obrazy sławnego hiszpańskiego malarza Velazqueza.

W galerji rzeźby, oprócz ogromnych urn z marmuru i bronzu — oprócz sarkofagów wyciosanych w nieporównanego wdzięku płaskorzeźby, jest tu liczny zbiór doborowych posągów. Wymienię z nich trzy najdoskonalsze: 1. Prześliczną Wenerę zwaną Kapitolińską, która z przyczyny zbyt lekkiego stroju, wzięta w kuratelę i zamknięta w osobnej sali, legalnie niewidzialną jest dla publiczności (odźwierny każdemu ją pokazuje na żądanie, ale nie gratis jak się możesz domyśleć). 2. Statuę siedzącą, Agryppiny, żony Germanika, postać pełną spokoju i powagi, jak na matronę rzymską przystało. 3. Znany głośno w świecie artystycznym posąg umierającego Gladjatora.

Byron poświęcił mu piękną strofę w IV pieśni Childe-Harolda:

> I see before me the gladiator lie:
> He leans upon his hand. . . . . .

i w tym konającym męczenniku poznaje Sławianina, który przed zgonem, marzy o dalekiej rodzinie i o swej chatce nad brzegiem Dunaju. I ja także (wiedziony genialnem postrzeżeniem wieszcza) im bardziej wpatruję się w rysy tej twarzy, tem więcej przekonywam się, że w istocie musi to być wizerunek jakiegoś Daka, Decebalowego żołnierza, przywleczonego do Rzymu za tryumfalnym wozem Trajana — któremu nakazano umierać w arenie, dla zabawy motłochu rzymskiego.

Witam cię, biedny praojcze mój Sławianinie! Oto siedemnaście już wieków jak dłuto doskonałego snycerza wyrzeźbiło twoją wzruszającą postać — siedemnaście już wieków, jak cierpisz i konasz w twojej marmurowej powłoce — a jednak, jeszcześ dotąd nie skonał! Na twojej szyi widać kawał powroza, obydny znak niewoli — bok twój przebity włócznią, krew się z niego sączy — zbolałe twe ciało upadło na obcą ziemię — ale jeszcze oddycha. Twa ręka jeszcze się opiera na leżącym orężu — w jej muszkułach naprężonych widać jeszcze znaczny zasób siły — w konwulsyjnych zmarszczkach czoła znać rodzimą energję życia — w ponurym

wzroku twych oczu, błyska iskra zatajonej zemsty na wrogów! Jeszcze oddychasz, jeszcześ nie skonał i może wstaniesz na nogi, biedny praojcze mój Sławianinie!

Najpiękniejszym jednak pod względem architektury i najlepiej zachowanym pomnikiem pogańskiego Rzymu, jest Panteon — zbudowany w epoce najbujniejszego roskwitu sztuki starożytnej.

Jest to ogromna świątynia okrągła (dla tego zwią ją dziś, la Rotonda) pokryta wypukłem sklepieniem, w środku którego wydrążono szeroki otwór kulisty oświecający wnętrze budynku. Służy Panteonowi za wejście, przepyszny portyk o szesnastu granitowych kolumnach jednogłazowych na trzynaście stóp wysokich (nie licząc w to kapitelów koryncklich z białego marmuru wieńczących każdą kolumnę). Pó nad kapitelami ciągnie się poprzeczny gzyms (la frise) z napisem:

M. AGRIPPA L: F: TERCIUM. FECIT. *)

Trojkątny fronton wystający po nad gzymsem, ozdobiony był niegdyś płaskorzeźbą że złoconego bronzu. Ten kosztowny zabytek starożytnej sztuki, zniknął — stopiono go — i metal pogański (ważący 300,000 funtów) posłużył na odlanie wielkiego ołtarza z kolumnami i baldachinem, stojącego dotąd w Bazylice Świętego Piotra.

Dziwnym cudem, gmach ten po kilkunastu wiekach pozostał prawie nie tknięty. Środek nawet świątyni choć zamienionej na kościół, zachował w całości swą pierwotną formę. W pogańskich marmurowych framugach (ædiculæ), postawiono chrześciańskie ołtarze — z resztą wszystko starożytne.

Panteon, otoczony dziś zewsząd brudnemi domami zamieszkałemi przez ubogą ludność — z jednej tylko strony odosobniony jest placem, przed którym roztacza swą majestatyczną kolumnadę.

Choć jestem gorącym wielbicielem architektury gotyckiej, nie mogę nigdy dosyć napatrzeć się temu arcydziełu klassycznego budownictwa — i muszę wyznać, że jeźli gotycyzm ma w sobie więcej malowniczości, ruchu i życia — tutaj, spostrzegam więcej powagi, spokoju i prostoty!

Przed średniowiecznym gmachem, przychodzą ci na myśl Trubadury, Minnezengery, Ariosto i Tasso — przed Panteonem, przypomniasz sobie mimowolnie Iliadę Homera!

---

*) Świątynia ta wystawioną była przez M. Agryppę, gdy był po raz trzeci obrany Konsulem (727 roku od założenia Rzymu, a 26go roku przed Chrystusem).

LIST VI.

Pałac Watykański. — Galerje malowideł. — Rafael Sanzio. — Jego obraz Przemienienia Pańskiego i cztery sale (stanze) malowane al fresco. — Jak Rzym uczcił pamięć Rafaela. — Galerje starożytnych posągów. — Gruppa Laokona. — Appolin zwany belwederskim.

Rzym, 20 Grudnia 1851 roku.

Dopiero w tych dniach zebrałem się na zwiedzenie Watykanu. Ten wspaniały pałac a raczej zbiór pałaców, odwieczna siedziba Papieżów — tron, z którego niegdyś tak często spadały gromy na głowę najpotężniejszych władzców Europy, a z którego dotąd spływa błogosławieństwo na narody i króle świata — Watykan, ten Kapitol chrześciański, stoi także na wzniosłem wzgórzu, na kończynach wiecznego miasta — i łączy się z bazyliką Ś. Piotra.

Za nadarzoną sposobnością, to jest gdy jaka z bawiących tu rodzin polskich pójdzie złożyć pokłon czci i uwielbienia u stóp Namiestnika Chrystusowego, odbędę i ja z niemi do Watykanu pielgrzymkę katolika — tą razą byłem tam jedynie jako artysta, dla oglądania i podziwiania skarbów sztuk pięknych, staraniem ojców świętych nagromadzonych w tym gmachu.

Galerja obrazów zaleca się nie liczbą ale wyborem dzieł najznakomitszych mistrzów włoskich, między którymi jest kilka arcydzieł znanych światu: jak Przemienienie Pańskie (Transfiguratio) przez Rafaela — Madona di Foligno tegoż samego malarza — i Komunja Ś. Hieronima przez Domeniquina. Są tu jeszcze znakomite utwory Perugina, Pawła z Werony, Ticjana, Correggia, Guida, Caravaggia i t. d.

Gdybym pisał dzieło obszernego rozmiaru a nie polotne listy o Rzymie, nie pominąłbym żadnego z tych obrazów — byłoby o każdym coś powiedzieć, scharakteryzować każdą szkołę, wykazać indywidualność każdego mistrza — wyrzec w czem ów celuje, czego nie dostaje tamtemu. Zresztą, rzemiosło krytyka zmudną jest rzeczą — na to trzeba mieć więcej niż ja cierpliwości a mniej entuzjazmu. Kto z nożem anatomisty w ręku rozpruwa drobne żyłki leżącego przed sobą ciała, wyszukując zarodu chorób — ten zapomnia najczęściej, że w owem martwem ciele biło niegdyś serce, że w głębi tego zakrzepłego mózgu, wyrabiała się nie jedna myśl wielka — słowem, zapomina o życiu. Ja wolę dyty-

ramb niż analizę i dla tego zajmę się wyłącznie Rafaelem; bo, obejrzawszy we Florencji i w Rzymie najgłówniejsze jego dzieła, czuję, że to był mistrz w całem znaczeniu tego wyrazu — może jedyny malarz bez ale. U niego najdokładniejszy rysunek, a razem najpiękniejszy koloryt — dwa przymioty rzadko zlane razem. W jego kompozycjach głęboka uczoność, połączona z prostotą — dościgniony ideał bez przekroczenia krańców prawdy. Lecz co najwięcej zachwyca w jego obrazach, to wyraz twarzy i spojrzenia u jego Madon i Świętych, po których rozlał on jakąś słodycz, jakiś anielski urok i wdzięk, do oddania których, nie mógł spotykać wzoru na ziemi — i musiał go szukać wiarą i natchnieniem, pokorą i gorącą miłością tam — skąd spływa każda potęga czynu i myśli, każde dobro i piękno!

W widzeniu Ezechiela i w Ś. Janie Chrzcicielu galerji Florenckich, równie jak w Madonie di Foligno i w Przemienieniu Pańskiem znajdującem się tutaj — znawca spotyka wszystkie te zalety nagromadzone obficie.

W Ewangelji u Ś. Mateusza w Roz. XVII, v. 2, czytamy: «I przemieniony jest przed nimi — a rozjaśniło się oblicze «jego jako słońce, a szaty jego stały się białe jako światłość.» Oto jest przedmiot obrazu Transfiguracji. Rafael każde z tych słów prostych a szczytnych przepisał pędzlem — i kopja stała się godną oryginału. Głowa Chrystusa taka wypromieniona, ciało takie przejrzyste i lekkie, tak z ziemskich cząstek obrane — iż widno na pierwszy rzut oka, że to już nie Bóg, który stał się człowiekiem — ale człowiek, który napowrót staje się Bogiem. A na tej nieruchomej desce (bo to malowanie na drzewie) taki szybki polot Zbawiciela ku niebu, iż spieszno ci patrzeć na tę rozjaśnioną postać, bo myślisz, że za lada chwilkę przekroczy ona ramy obrazu i zniknie w nieskończoności!

Obok Chrystusa płyną śród lazurów, dwaj prorocy Eliasz i Mojżesz — niżej Piotr, Jakub i Jan brat Jakubów, padli na ziemię z przestrachu i zasłaniają człowieczy wzrok od zaświatowego blasku. Na dole, na pierwszym planie (jak to nazywają malarze), w gruppie z kilkunastu osób złożonej, Rafael przepisał pędzlem, dalsze wersety tegoż samego rozdziału Ewangelji. Czytamy tam: że gdy Jezus odszedł na górę z Piotrem, Jakubem i Janem, człowiek pewien przyprowadził do pozostałych w dolinie uczniów, młodego syna opętanego od czarta, prosząc ich, aby go uzdrowili. Otóż dolna część, przedstawia owych uczni, którzy w nieobecności Chrystusa, siłą się napróżno dopełnić cudu przed rzeszą.

Na jednym obrazie są więc niejako dwa przedmioty — powyżej, dramat boski sięgający najsubtelniejszych misterjów wiary — poniżej, dramat ludzki ze wszystkiemi namiętno-

ściami i nędzą natury człowieczej. Dwie niejako przeciwności — duch i ciało — niebo i ziemia! Trzeba było takiego mistrza jak Rafael Sanzio, aby się odważyć na przezwyciężenie podobnej trudności — i z żywiołów zupełnie odrębnych, harmonijną całość utworzyć!

Ta cała dolna gruppa jako rysunek i układ doprowadzona do rzadkiej doskonałości, odznacza się niewypowiedzianą pełnią życia. W postawie i ruchach osób tam zamieszczonych, tyle jest prawdy, iż zdaje ci się, że słyszysz prośby ojca i klęczącej kobiety (zapewne matki chorego); że dolatują cię słowa egzorcyzmu, które jeden z uczni czyta z wielkiej księgi, a inni wtorują mu głosem i giestem; a szczególniej że rozdziera ci ucho, krzyk konwulsyjny opętańca. W drobnem, mizernem i wybladłem obliczu tego chłopięcia widać taką dziką energię, taką wściekłość olbrzymią, że ja com nigdy nie widział opętanego, zrozumiałem od razu (wprzód nim sobie mogłem zdać sprawę z przedmiotu malowidła) zrozumiałem, mówię, że pod tą wątłą i słabą powłoką dziecięcą, miota się piekielna potęga!

Postrzegam się zapóźno niestety, żem się za długo rozpisał o tym obrazie. A tu mam jeszcze przed sobą, przez tegoż samego Rafaela malowane al fresco (to jest na murze), cztery ogromne sale (stanze), szesnaście ścian pokrytych nieśmiertelnemi poematami pędzla, przed które codziennie ze wszystkich zakątów cywilizowanego świata zbiegają się artyści, aby się uczyć co to jest rysunek i kolor!

Mamże ci wyliczać i rozbierać jedne po drugich te kompozycje wzorowe, okazujące wszechstronny genjusz mistrza — zacząwszy od Pożaru miasta i Szkoły ateńskiej, aż do Atylli i Konstantyna? Nie, na to się nie odważę! Takie dzieła trzeba widzieć na własne oczy i karmić niemi ducha w cichości! I chociaż przed chwilką dopuściłem się podobnego grzechu, wyznaję w pokorze, iż opisywać obrazów Rafaela niepodobna, jak niepodobna opowiedzieć zimnemi słowy, co się znajduje w świetle błyskawicy, w woni kwiatów, w wejrzeniu miłującej cię kobiety, w Requiem Mozarta, lub w niektórych ustępach Marji Malczewskiego!

Teraz przychodzi mi zakończyć ten zarys smutnem postrzeżeniem. Takiemu cudotwórcy jak Rafael, starożytność byłaby stawiała świątynie; a jakikolwiek inny naród dzisiejszej ucywilizowanej Europy, dla uczczenia samego siebie, byłby uczcił pamięć mistrza olbrzymieni posągi. Rzym, w którym ten malarz przebył większą część krótkiego życia, któremu najcelniejsze utwory swoje zostawił w puściznie i śród którego murów umarł, Rzym zdobył się tylko na dwa popiersia, jedno w Kapitolu, drugie na kurytarzu watykańskim, i na maleńką płytę marmuru w Panteonie, której napis przypo-

mina, że pod nią spoczywają kości największego władcy pędzla!

Oprócz obrazów i fresków, znajdziesz w pałacu Watykańskim najciekawszy i najliczniejszy zbiór na świecie starożytnego snycerstwa. Dwadzieścia kilka sal, galerji, kurytarzy, zapełnione są w posągi, popiersia, płaskorzeźby, urny i sarkofagi. Cywilizacja nowożytna prześcignęła w wielu bardzo rzeczach cywilizację starożytną, lecz przyznać potrzeba, iż rzeźbiarze przedchrześciańskich wieków, pozostaną na zawsze mistrzami tej sztuki. Jeden Michał Anioł Buonarotti, a po nim w części Thorwaldsen i Canova, doszli niekiedy do doskonałości Greków i Rzymian, lecz nie wydarli im palmy zwycięstwa. Tutaj dopiero śród niepoliczonego tłumu posągów przekonywasz się jaką siłę, jaki urok musi mieć kunszt snycerski, który pozbawiony słów poezji, dźwięku muzyki i koloru malarstwa, potrafi jednak w taki martwy przedmiot jak kamień, wlać ruch, harmonję i życie!

Zbyt trudno w ciasnym obrębie mego pisma, wyszczególniać i zastanawiać się nad wszystkiemi znakomitszemi utworami zbioru watykańskiego. Wspomnę ci więc tylko gruppę Laokona (ten marmur jęczący, który zda się, że trzeszczy i wije się z konwulsyjną rozpaczą pod splotami olbrzymiego węża), i Apollina zwanego Belwederskim, który mojem zdaniem jest królem posągów.

Patuit Deus! Tak, to ty jesteś wiecznie młody Bożku światła i poezji, pogromco Pithona, w całym blasku piękności i siły, czekający na czołobitność delfickich kapłanów! I ja także pełen uwielbienia, schylam kolano, nie przed tobą, ale przed genjuszem niewiadomego mistrza, który z nieforemnej bryły marmuru, wyciosał ideał ciała ludzkiego i zostawił dla potomności niedorównany wzór sztuki!

Wszystkie tu zgromadzone posągi znaleziono w różnych epokach, w ziemi pokrywającej ruiny starego Rzymu, lub w innych miastach państwa papieskiego. Codzień prawie, przy odnawianiu niejednego gmachu lub przy zakładaniu podwalin do nowej budowli, rydel robotników natrafia na urnę rozkwitłą w płaskorzeźby, wygrzebuje jakąś Boginię lub Nimfę, jakiegoś Cezara lub wojownika. Laokona znaleziono w XVI wieku w Rzymie*, a Apollina kilkadziesiąt lat temu dopiero, w Antium (Porto Anzio).

Drugie Peru, drupa Kalifornia, kopalnia posągów w Romulusowym grodzie, niewyczerpana jeszcze! Ileż tu może arcydzieł pokalanych błotem, przyduszonych ziemią od kilkunastu wieków, czeka na promień rodzinnego słońca i na oklaski nowych pokoleń!

*) W ruinach Łazienek Cesarza Tytusa.

LIST VII.

Dalszy ciąg zbiorów watykańskich. — Muzea Etruskie, Egipskie i charakterystyka sztuki u tych starożytnych narodów. — Bibljoteka. — Archiwa Stolicy Apostolskiej. — Kaplica Syxtyńska w Watykanie. — Michał Anioł Buonarotti. — Opis jego freski przedstawiającej sąd ostateczny.

Rzym, 26 Grudnia 1852.

Myślisz zapewnie, że po tak długim opisie, już ci pokazałem cały skarbiec Watykanu. Lecz nie tak to snadno opowiedzieć w jednym liście o tem wszystkiem, co starania i pieczołowitość papieżów nagromadziły przez ciąg kilku wieków. Ojcowie święci dali także w swoim pałacu schronienie pamiątkom dwóch zmarłych cywilizacji: etruskiej i egipskiej, i dwa oddzielne z nich utworzyli muzea.

Etruskowie (których niektórzy nowsi badacze uważają za pierwotny szczep sławiańskiego plemienia) nie mieli biegłych rzeźbiarzy. Ich mauzolea i posągi (przynajmniej te które dotąd widziałem) noszą na sobie cechę dzieciństwa sztuki i przypominają prawie owe posążki bogów meksykańskich z czasów przed Kolumbowych, odkopywane dziś po pustyniach południowej Ameryki. Przedmioty wyrabiane z bronzu jak puklerze i hełmy, lub ze złota, jak naszyjniki, pierścienie i inne ozdoby kobiece, okazują już wyższe wykształcenie tego ludu; sztuka zaś garncarska doszła była u Etrusków do rzadkiej doskonałości. Ich urny, wazony, talerze i lampy (których zbiór tu jest bardzo liczny i piękny) wdziękiem formy, trwałością kolorów i biegłością rysunku, zadziwiają dotąd znawców i służą za wzór nowożytnym wyrobom tego rodzaju.

Muzeum egipskie składa się z mumji zamkniętych w trumnach malowanych, lub na wpół odkrytych (pod szkłem) dla pokazania, od dwóch tysięcy lat zabalsamowanego ciała; z naszyjników bronzowych i paciorkowych, z kosztownych amuletów w kształcie chrząszczów (scarabee sacree) z tablic o hieroglificznych napisach. Najciekawszemi jednak są rzeźbione krokodyle, ibisy, ogromne sfinksy z granitu, i kilkanaście posągów z bazaltu różnej wielkości i formy.

I u Egipcjan także, widne dzieciństwo sztuki; linja prosta przemaga w ich rysunku, stąd sztywność i nieruchomość figur. Draperja czyli fałdy są rzeczą zupełnie nieznaną; suknia leży na ciele jakby z desek uszyta. A przecież jest

tu naiwna prawda w każdym przedmiocie i staranne wykończenie, któremu nie brak pewnej harmonji, i które dowodzi nie małego rozwoju cywilizacji, tylko że spaczonej, zwichniętej, strąconej z drogi życia w nieruchomość śmierci. Żaden naród nie był nigdy tak uciskanym, dręczonym, jak dawni Egipcjanie; dla tego też utwory ich sztuki nacechowane są grobowym smutkiem i bezwładną rozpaczą! Znać że to są dzieła ludu, który musiał na swych barkach nosić kamienie na budowanie niebotycznych piramid, wydobywać z wnętrza gór olbrzymie głazy na ciosanie obelisków!

Gnębiony od panów swoich, ludzi jak on, Egipcjanin szukał opieki i litości u istot niższego rzędu i brał sobie za bogów zwierzęta i rośliny. Nie mogąc śmiało wypowiedzieć swej myśli, uciekał się do symbolu, do satyry może, gdy dłutował posągi lwicy z twarzą i piersiami kobiety, lub postaci człowiecze z głową lwa, psa lub jastrzębia. Stary Egipt jest pełen tajemniczości do których klucz nam zaginął, bo nauka Champolliona (czytanie hieroglifów) zdaje mi się rzeczą bardzo problematyczną. Sfinks granitowy pozostał, ale Edypów już nie ma!

Bibljoteka watykańska prócz książek drukowanych (między któremi znajduje się mnóstwo najrzadszych inkunabułów czyli edycji z XV wieku) posiada 35,000 rękopisów w różnych językach. W żadnej stolicy europejskiej nie dano za przytułek utworom pióra ludzkiego, takich wspaniałych sal, takich długich, szerokich galerji przystrojonych we freski, w marmury, złocenia i bronzy. Ci co oskarżają Papieżów o obskurantyzm, niechaj przyjdą do Watykanu obaczyć, jak następcy Piotra Ś. umieją szanować zabytki sztuk pięknych i literaturę.

Złożone tu są także archiwa Stolicy Apostolskiej, bogate w ciekawe akta dotyczące historji narodów katolickich, a więc i polskiego; archiwa w których nasz zasłużony Jastrzębski pracuje od lat kilku i idąc po śladach Albertrandego i Przezdzieckiego, odnalazł już nie jeden kłos pełny i ważny, przeoczony od poprzedników. Ma on zamiar wkrótce ogłosić drukiem część wyszukanych przez siebie, a dotąd nieznanych dokumentów. Już mi nie staje czasu, mówić ci o gabinecie medali, o zbiorze rżniętych kamieni (camees), i o tak zwanem muzeum świętem czyli kollekcji kielichów, krzyżów, kadzielnic i t. d., których używali pierwotni chrześcianie do obrzędów religijnych. Zresztą, gdy mi przyjdzie opisywać katakumby, wrócę do tego przedmiotu; bo te wszystkie narzędzia znalezionemi zostały w podziemnych pieczarach Rzymu, gdzie wyznawcy Chrystusa kryć się musieli przed prześladowaniem pogańskich Cezarów!

Nie mogę jednak opuścić Watykanu bez zatrzymania się

w kaplicy sykstyńskiej (Papież Sykstus V ją fundował), którą zdobi jedno z głównych arcydzieł malarstwa: sławna freska Michała Anioła Buonarottego, przedstawiająca sąd ostateczny.

Po Dancie, posępnym śpiewaku Piekła, nikt tak przerażającej, tak obszernej i doskonałej epopei nie stworzył. Michał Anioł, artysta o wyobraźni olbrzymiej, o tytanicznych pomysłach — dla którego każde płótno objęte ramami było za ciasne, każdy odłam marmuru za mały — i który chciał, jednę z gór otaczających Rzym, przekuć na posąg Ś. Piotra — Michał Anioł, mówię, choć nie malarstwo ale snycerstwo było jego prawdziwem powołaniem — musiał się rozradować nie pomału, gdy Papież Paweł III wskazał mu za przedmiot dzieła, taki dramat jak Sąd ostateczny — a na tło obrazu, zostawił mu ścianę kilkadziesiąt stóp wysoką. Apokaliptyczny duch mistrza spotkał się z żywiołem godnym siebie — orla jego natura znalazła przestrzeń do rozwinięcia szerokich skrzydeł.

W górnej części freski, dwie słusznie uwielbiane gruppy aniołów, unoszą w powietrzu krzyż i inne narzędzia męki Zbawiciela. W samym środku, Chrystus Pan z podniesioną ręką, z gniewnem obliczem, ogłasza ostateczny wyrok. Obok niego, Matka jego Najświętsza schylona, oręduje za wskazanymi na potępienie. Na prawo i na lewo tłum patrjarchów, proroków i głównych osób starego testamentu — niżej, Święci, męczennicy i wyznawcy Ewangelji. Pod niemi prześliczna gruppa aniołów dmących w trąby zmartwychwstania. Jeszcze niżej, na prawicy wybrani i roztwierające się groby — na lewicy, potępieni i obok nich (najdziwniejsze pomięszanie idei chrześciańskiej z pogańską) czarne fale Styxu i Charon z swą łodzią, wiozący grzeszników ku brzegom Erebu, gdzie na nich czekają czarci. Dodać muszę, że aniołowie są bez skrzydeł, i że malarz-snycerz przepełnił swój obraz nagiemi ciałami.

Niepodobna policzyć, lecz mi się zdaje, że jest do pięćset figur w tej kompozycji — a rozmiar malowidła taki, że Chrystus, Adam i Mojżesz (zamieszczeni na pierwszym planie), mają każdy po dwanaście stóp wysokości.

Widok tego obrazu sprawia silne ale przykre wrażenie, gdyż obudza (podobnie jak Dantowe Piekło) przestrach bez pociechy i trwogę bez nadziei. I słusznie zarzucają Buonarottemu, że jego Chrystus nie jest Bogiem miłosierdzia, ale jakimś pogańskim, nieprzebłaganym sędzią, który wymierzając sprawiedliwość, zemstą oddycha.

Rysunek poprawny, dokładny, lecz nieco twardy i pozbawiony tej giętkości, tego zaokrąglenia, które tak uwielbiamy u Rafaela. Chociaż to jest dzieło pędzla, znać, iż rzeźbiarz

dłutował te kontury. Ale w zamian tego braku — znajdziesz tu najtrudniejsze postawy ciała ludzkiego (prawdziwe tours de force malarstwa), oddane po miśtrzowsku — niepodobne zdaje się zadania sztuki, rozwiązane zwycięsko. Nikt przed nim nie odważył się na przedstawienie takich skurczów (raccourcis), a wszyscy co go później w tem naśladować chcieli, wpadli w przesadę i śmieszność.

Jednem słowem, głównym charakterem tej olbrzymiej kompozycji, jest potęga myśli i dzika energja zarysu do jakiej żaden malarz nie doszedł. Najwięcej się ona daje postrzegać u spodu freski, na lewej stronie — szczególniej zaś w cenionej powszechnie postaci potępieńca ciągnionego przez czartów, i którego wąż okręca i kąsa. Twarz tego drugiego Laokona, choć na wpół zakryta dłonią, wyraża taki ból i cierpienie — iż dreszcz przejmuje patrzącego. Michał Anioł trzy lata przeszło, sam jeden nad tem dziełem pracował. Dwadzieścia miesięcy poświęcił on poprzednio na malowanie sufitu tejże kaplicy, na którym predstawił dramat pierwszej księgi Genezy. I tu są piękności nieocenione, nieśmiertelne wzory dla rysowników. W obrazie stworzenia kobiety, szorstki i ponury pędzel Michała Anioła, stał się miękkim, ponętnym, wypogodzonym — ugłaskany zapewne wdziękiem przedmiotu.

Gdybym był nie znał dokładnie Sądu ostatecznego z dawnych rycin i z wybornej kopji (znajdującej się w Paryżu w szkole sztuk pięknych), którą dziesięć lat temu, zrobił Sigalon olejno w tychże samych rozmiarach co oryginał, na rozkaz rządu francuskiego — możebym nie był w stanie rozwodzić się tak obszernie nad tem arcydziełem. Freska ta bowiem przedstawia się dzisiaj w bardzo opłakanym stanie. Czy to należy przypisać wilgoci muru, czy też raczej dymowi kilkuset gromnic (które od trzech wieków w każde święto goreją po nad ołtarzem stojącym u spodu malowidła i przed którym papieże odprawiają nabożeństwo) nie śmiem zawyrokować. To jednak pewna, że nieporównany utwór Michała Anioła Buonarottego, dla słabych oczu musi być niedostępnym — gdyż poczerniał okropnie, zaciera się powoli — i może za lat kilkadziesiąt (jeśli nie ma sposobu oczyszczenia) zniknie zupełnie, jak już tyle innych dawnych fresk Giotta i Mazaccia, zniknęło!

LIST VIII.

Pałac Laterański i Bazylika Ś. Jana Ewangelisty. — Kaplica Korsynich. — Groby familji Torlonia. — Santa Maria Maggiore. — Architektura Kościołów rzymskich. — Pare słów o stylu gotyckim. — Pałac Kwirynalski. — Kościoł Ś. Piotra w okowach i posąg Mojżesza przez Buonarottego.

Rzym, 2 Stycznia 1852 roku.

Nie spodziewaj się odemnie szczegółowego opisu tego wszystkiego, co w Rzymie jest godnem widzenia. O wielu pomnikach, któreby w innem miejscu ściągały ku sobie oczy i zaszczyt przynosiły nie jednemu miastu, zamilczeć muszę. W okolicach Krakowa jeżdżą ludzie oglądać dolinę Mnikowską, lecz gdyby się ona znajdowała w samym środku Karpat, powiedz mi, czy podróżny zatrzymałby się przed nią na długo? W krótkości więc zwrócę twoją uwagę na ważniejsze monumenta, nadewszystko takie, które się wiążą wspomnieniami z historją, lub zbiorami artystycznemi ze sztuką.

Na południowych krańcach Rrzymu, na wzgórzu, śród obszernego placu ozdobionego obeliskiem i fontanną, wznosi się pałac Laterański, a obok niego Bazylika Ś. Jana Ewangelisty.

Lateran był pierwotną rezydencją Papieżów, lecz gmach dawny, w którym mieszkali, zgorzał; i ten który dzisiaj widzimy stanął dopiero w końcu XVI wieku, za panowania Syksta V.

Pałac ten, poważnej architektury, zbudowany w czworogran, mieści w swych ogromnych salach odlewy gipsowe sławnych płaskorzeźb Fidjaszowych z Partenonu, kilka starożytnych sarkofagów, z których jeden rzadkiej piękności, przedstawia historję Nioby i jej dzieci — urny, mozajki i kilkadziesiąt znakomitych posągów i malowideł. Lecz po zwiedzeniu muzeów Watykańskiego i Kapitolińskiego, mijasz te rzeźby prawie z obojętnością, a śród obrazów, ledwo się zatrzymasz przed Wniebowzięciem N. Panny, przez Guerchina. Nie mogę także przemilczeć starożytnej mozajki odkopanej w ruinach Łazienek Karakalli, doskonale zachowanej, choć ona zaleca się więcej swoim niezwykłym ogromem, niż wdziękiem i dokładnością rysunku.

Bazylika Ś. Jana, jeden z najwspanialszych przybytków Bożych po bazylice Ś. Piotra i najdawniejszy może kościoł

rzymski, ma także pięcioro drzwi wchodowych, z których śródkowe ulane z bronzu, sięgają czasów pogańskich.

Środek kościoła na trzy nawy podzielony, zadziwia swą kolosalną przestrzenią, pięknością fresk i bogactwem bocznych kaplic; najokazalszą z nich jest kaplica Korsynich. Papież Klemens XII z domu Corsini, wystawił ją na cześć S. Andrzeja, jednego z przodków swoich. Niepospolita architektura, kosztowne marmury, mozajki i posągi, usprawiedliwiają rozgłośną sławę, która do niej ściąga ciekawość podróżnych.

Na przeciwnej stronie kościoła, olśniony zostałem widokiem innej kaplicy całej w rzeźbach, w bronzach i w złocie. Dwa przepyszne mauzolea z marmuru, bielusieńkie, nowiusieńkie, wyciosane dłutem Teneraniego, najpierwszego dziś mistrza w Rzymie.. Na jednym sarkofagu siedzi kobieta w postaci Zenobii lub Semiramidy, na drugim mężczyzna z miną rozkazującą, ze zwojem papieru w ręku, niby mocarz potężnego państwa w chwili nadania praw swemu ludowi! Nie mało zostałem zdziwiony wyczytawszy napis, który mi doniósł: że to jest grób familijny pana Torlonia bankiera rzymskiego, mianowanego księciem za Grzegorza XVI.

Obok Bazyliki, warto obejrzyć smętarz z XIII wieku, okolony czworoboczną galerją stylu bizantyńskiego, o drobnych łukach i cienkich kolumnach z białego marmuru misternie rzezanych i ozdobnych w mozajkowe arabeski.

Wracając ku miastu, wejdźmy do prawie równie wspaniałej jak poprzednia świątyni, do Santa Maria Maggiore. Przed nią, na placu, widzisz na wysokiej koryncki kolumnie posąg z bronzu Najświętszej Panny, a w tyle, obelisk egipski, ten nieodstępny towarzysz wszystkich znaczniejszych gmachów tutejszych.

Santa Maria Maggiore jak prawie wszystkie kościoły rzymskie, zbudowana jest w stylu epoki odrodzenia (renaissance) czyli powrotu architektury do wzorów starożytnych.

Każda z takich budowli ma kształt podłużnego czworoboku; fronton o pięciu arkadach; dwie boczne ściany proste i gładkie, ostatni tylko mur, ten który jest po za wielkim ołtarzem (abside) wygina się w półkole. Cały gmach pokryty płaskim dachem i uwieńczony biegnącą w okół balustradą kamienną. Gdyby nie kopuły, krzyże i posągi świętych, wziąłbyś z daleka każdy taki kościoł raczej za pałac jakiś niż za świątynię pańską. Wewnątrz trzy nawy przedzielone dwoma rzędami kolumn, po większej części wydobytych z ruin pogańskiego Rzymu — sufity płaskie, wyrzeźbione, wyzłocone, często mozajką lub freską okryte. Ołtarze lśniące od bogactw, wykładane porfirem, lapisem i owym marmurem zielonym zwanym verde antico, którego kopalnie

wyczerpnięto jeszcze w starożytności, i które sprzedaje się na wagę złota.

Oto masz opis Ś. Marji; to ci da wyobrażenie i o innych kościołach rzymskich, dodać jednak muszę, iż wnętrze Bazyliki Świętego Piotra jest odmiennem; są tam wyniosłe sklepienia a nie płaskie sufity. Prawda, że przyczepiono do niej fronton pałacowy, jak ten, o którym dopiero co mówiłem — lecz to jest winą ostatniego jej budowniczego Karola Maderne — bo w pierwotnym planie Michała Anioła, narysowany był wspaniały portyk na wzór fasady Panteonu.

Mojem zdaniem, architektura gotycka stosowniejszą jest formą dla świątyń chrześciańskich, bo ma w sobie coś symbolicznego, duchowego — które obudza w nas jakąś mistyczną zadumę. Patrzaj! w średniowiecznych katedrach północnych, kamień czyli materja, usiłuje widocznie przeobrazić się w ideę, w ducha — biegnąc w górę w przejrzystych wieżycach, w wysmukłych strzałach — rozwijając się w róże i kwietne festony, ulatniając w najdelikatniejsze hafty, w niciane zdaje się tło. Nawet arkady sklepień, drzwi i okien, zwężają się w łuk ostry (ogive), jak gdyby z tęsknoty wyrywały się także ku niebu. A to światło tajemnicze przedzierające się w promieniach tęczy przez szyby malowane w obrazy świętych — czyż nie odrywa myśli od ziemi? czyż nie unosi jej w pozaświatowe strefy?

Lecz śmieszną byłoby rzeczą robić wyrzut chrześciańskiemu Rzymowi, iż nie przyjął obcej achitektury. Każda rasa, każdy naród ma wyłączny smak swój, a nadewszystko swoje własne tradycje, za któremi iść musi, jeśli nie chce przestać być samym sobą.

Na północy tradycją religijnich świątyń były odwieczne lasy Odyna, lub zielone gaje Druidów. Dla tego to architektura gotycka pośród tych wspomnień zrodzona, zachowała w sobie coś roślinnego, drzewnego. Jej kolumny cienkie, wysmukłe, podobnemi są do wyniosłych pniów sosnowych — nie kończą się też płaskim kapitelem, ale rozdrabniają na wąskie ramiona (nervures), i pną się po sklepieniu, niby gałęzie szukające promieni słońca. Nad głównemi drzwiami katedry, środkowe okno ma zawsze kształt ogromnej róży (rosace) — a w okół niego, wyrzezane girlandy z liści, czyż nie przypominają owej zielonej sieci bluszczu pełzającego po czarnej korze starych dębów? — Ta wysoka wieżyca na przodzie, czyż to nie wybujała ku niebu topola, drzewo święte u wielu północnych plemion? A te gęste, spiczaste wieżyczki i strzały, któremi dach nastrzępiony, czyż to nie las sterczących po nad mogilnikiem świerków i jodeł?

Rzym chrześciański miał u siebie tradycję sztuki staro-

żytnej dochowaną nietylko we wspomnieniu i w teorji, ale w doskonałych pomnikach stojących mu w całym przepychu przed oczyma. Z tej to przyczyny architektura bizantyńska i późniejsza gotycka, objawy innych ras, nie ostały się tutaj długo — i Rzymianie aby pozostać w rodzimym żywiole, zwrócili się w XVI wieku wyłącznie do stylu starożytnego, który mniej więcej prawie zawsze u nich przemagał.

Na całej przestrzeni ziemi włoskiej, gotycyzm zabłąkał się tylko na dwa ostateczne jej krańce — i to, przyniesiony przez cudzoziemskich zdobywców: — do Sycylji przez Normandów i do Medjolanu przez Longobardów.

Pałac Kwirynalski należy do najobszerniejszych gmachów rzymskich. Tutaj po śmierci każdego Papieża zbierają się kardynałowie w Conclave dla obioru jego następcy... Tutaj przez rok przeszło Pius IX rezydował, aby mieszkać w środku miasta bliżej swego ludu, który go wówczas ubóstwiał, a później (18 listopada 1849 roku) podburzony przez demagogów, przyszedł przed Kwirynał tłumnie i zbrojno, domagać się rzeczy niepodobnych — i zmusił Ojca świętego do opuszczenia Rzymu. Pałac ten położony na górze, otacza z jednej strony ogród z przepysznym widokiem, a z drugiej plac obszerny — na którym obok obelisku stoją dwie olbrzymie grupy marmurowe.' Te wzorowe, pełne prostoty i piękności posągi dwóch ludzi powstrzymujących każdy wspinającego się konia, uchodzą: jeden za dzieło Fidiasza, a drugi Praksytela!

List ten zakończę krótkiem wspomnieniem o trzech kościołach niezbyt wielkich ni okazałych, ale bogatych w arcydzieła.

Długo błąkałem się pośród ciasnych murów ogrodowych w okolicach Kolizeum, nim trafiłem do kościoła Świętego Piotra w okowach (San Pietro in vincoli). Nie żal czasu i trudu na drogę, którą prowadzi do takiego klejnotu sztuki jak Mojżesz Michała Anioła Buonarottego, siedzący u stóp grobowca Juljusza II Papieża. Kompozycją i wykończeniem, posąg ten kolosalny, zbliża się do najdoskonalszych utworów dłuta greckiego — ma on nawet w sobie coś więcej... Wyraz twarzy poroka promienieje tą potęgą ducha, którą mógł wcielić w marmur tylko mistrz chrześciański przepełniony wspomnieniami biblji, natchniony wiarą objawioną! Opowiadają, że Buonarotti ukończywszy Mojżesza, wpadł w taki zachwyt przyglądając się własnej pracy — iż porwał za młot, uderzył silnie w kolano posągu (czego ślad dotąd widny) i krzyknął w uniesieniu: «Teraz przemów słowem.» (Adesso, parla)!

W ubogim ale schludnym kościele Kapucynów znajduje

się znany obraz Guida Reni, Archanioł Michał z dobytym mieczem depczący szatana. — Malowidło to idealnej piękności, jest jednym z tryumfów pędzla włoskiego. Santa Maria della pace posiada freskę małego rozmiaru ale na której pochwałę dosyć powiedzieć — że jest dziełem Rafaela!

LIST IX.

Mieszkańcy Rzymu i okoliczni wieśniacy. — Zakonnicy Abati. — Dolce far niente. — Żyjące posągi. — La coltellata. — Żebranina ogólna. — Jak trzeba się wszędy opłacać. — Moneta rzymska. — Przepych obok nędzy. — Pojazdy Kardynałów. — Kareta papieska. — Cudzoziemcy w Rzymie.

Rzym, 10 Stycznia 1852.

Dla przerwania na chwilę tego nieco monotonnego opisu pomników — porzućmy dziś mury, posągi i malowidła, a skierujmy wzrok na ludzi zamieszkujących stolicę papieskiego państwa.

Jak w każdem innem mieście europejskiem tak i tutaj obecnie, u wyższych i średnich klas społeczeństwa, moda francuska zatarła indywidualność narodowego stroju; uboga tylko ludność zachowała jeszcze niektóre charakterystyczne części ubioru, jako to; kapelusz spiczasty i płaszcz odrębnego kształtu. Płaszcz ten długi, zarzucony na lewe ramię jest nieodstępnym towarzyszem Rzymianina — może jako wspomnienie owej togi praojców, przed którą ustępowały niegdyś oręże (cedant arma togæ). Najbiedniejszy wstydziłby się wyjść na ulicę bez tej obsłony — a choć często więcej w niej dziur i łat niż pierwotnego sukna — żebrak nawet gdy się nią obrzuci i ofałduje, nabiera zaraz jakiejś miny poważnej i wygląda na dawnego senatora z czasów Brennusa, siedzącego na krześle kurulnem.

Niekiedy na ulicy, rozweseli ci znużone jednostajnością oko, widok przechodzącej wieśniaczki, ubranej w błękitny, a najczęściej w czerwony stanik — z gorsetem w kształcie złamanego kirysa — z ogromnemi szpilkami srebnemi i pękiem wstęg różnobarwnych we włosach — z jaskrawym

szalikiem leżącym na wierzchu głowy, niby płaski daszek nad dymnikiem.

Czasem spotkasz wiejski wóz dwukolny, ciągniony przez parę lub dwie par siwych wołów o sążnistych rogach. Na siedzeniu przerażającej wysokości, woźnica okręcony płaszczem, w rzemiennych do kolan kamaszach, w spodniach z koziego futra, nasunął kapelusz na oczy i długim bodźcem podobnym do dzidy kozaczej, kieruje swój uprząg w milczeniu, ale z takim majestatycznym giestem, iż ci się zdaje, że to drugi Cincinnatus, ukończywszy urzędowanie publiczne, powraca uprawiać swą rolę. W istocie nie można odmówić najbiedniejszej klasie ludności tutejszej, pewnej godności w postawie ciała, rytmicznej harmonji w ruchach, i pewnego posągowego wdzięku w spoczynku.

Ciekawym także dla cudzoziemca widokiem jest tłum wijących się po mieście zakonników w habitach rozmaitej barwy i kroju, jakich nigdy nie oglądał; lub seminarzystów idących parami na rekreacyjną przechadzkę i ubranych, jedni w jasny błękit, drudzy biało, trzeci czerwono jak kardynałowie. Wyższe duchowieństwo nigdy nie chodzi piechotą. Młodzi księża świeccy (abati) ukazujący się na ulicy, odznaczają się rzadką wykwintnością stroju. Pończocha jedwabna doskonale obciągnięta, trzewiki z lakierowanej skóry, płaszczyk jedwabny na ramionach, trójgraniasty kapelusz osadzony na głowie z kokieterją — twarze rumiane, pulchne, krok śmiały — znać, że to panowie miasta! Co mnie przecież najdziwniejszem się wydało, to spotykanie takowych księży, nawet wieczorem po kawiarniach. Aleć to co kraj, to obyczaj!

Słodkie próżnowanie (dolce far niente) jest stanem błogosławionym, rajem ziemskim dla Rzymianina. Tak go opanowało lenistwo, że najczęściej słowa odpowiedzi zastępuje skinieniem głowy, przymknięciem źrenicy lub ruchem ręki. Wyuczyłem się dykcjonarza niektórych ruchów długie frazesa znaczących, ale podobnej mimiki słowami opisać nie zdołam. Gdy wejdziesz za sprawunkiem do sklepu, nieraz mina kupca (zmuszonego sięgać po towar na wysoką półkę), zdaje się mówić: «Po co mnie Wasan przyszedł fatygować!» — a jeśli zbłąkany na ulicy, pytasz spotkanego mieszkańca, o drogę — Rzymianin, by sobie oszczędzić trudu długiego rozpowiadania, daje ci krótką i zupełnie niezaspakającą odpowiedź: «Sempre diritto, to jest: zawsze na prost.» A zwykle diabelne cię czekają zygzaki.

Dla Włocha krok powolny już staje się pracą, posuwisty niepodobieństwem — a szybkiego lecenia używa on chyba w ostatecznym razie np. w niebespieczeństwie grożącem życiu. Nikt się też nie spieszy w Rzymie, nie rozpycha łokciami

tłumu, każdy kroczy jakby za procesją lub za pogrzebem; jedyne to może miasto, w którem ludzie przechadzają się po ulicach. Lecz przechadzać się bez potrzeby, bez celu, to nie Rzymianina rzecz; roskoszą jego natury jest spoczynek. Na Forum i innych placach wystawionych na ciepło południowe, widzisz codzień tłumy próżniaków grzejących się na słońcu jak stada amfibjów na brzeżnych skałach oceanu. Te gruppy nieruchome siedzące wzdłuż murów, przedstawiają widok prawdziwie malowniczy; są to gotowe modele dla rysownika do ciekawych szkiców; bo jak już mówiłem, ludność ta (szczególniej w spoczynku, czyli w swoim stanie normalnym) przybiera zawsze postury akademiczne, może nieco teatralne, lecz pełne powabu i ładu.

Dopiero w stosunkach z cudzoziemcem, u którego w kieszeni czuje szkudy (scudo 8½ złp.). Włoch traci swą posągową piękność, a okazuje brzydotę poliszynella. Żaden naród nie kłania się tak nisko, nie nadskakuje tak zwierzęco, nie płaszczy się tak mizernie dla wydrwienia sztuki monety. Oberżysta niemiecki hojnie szafuje grafem, lecz tutejszy kupiec, lub facchino przeszedł go o kilka sążni w uniżoności i raczeniu cię tytułem ekscellencji.

Przy tej żyłce do pochlebstwa, komplementów i udanej pokory, lud ten prędki do gniewu i nadzwyczaj mściwy. Każda sprzeczka, która w Niemczech, rozstrzyga się wymyślaniem sobie zdaleka, w Polsce dochodzi do wzięcia się za łby — we Francji, do pięści lub do policzka — kończy się tutaj zwyczajnie, uderzeniem noża (la coltellata). Jeśli obecni świadkowie zdążą na czas rozłączyć zapastników — ten który się czuje obrażonym odchodzi z posępnym wzrokiem, mówiącym: Co się odwlecze to nie uciecze! — i czasem przez rok cały karmi zemstę w duszy, póki nie znajdzie dogodnej pory do zabicia przeciwnika. Duchowieństwo wpływa jak może (a nawet często skutecznie) na wykorzenienie tej zaciętości i pragnienia krwi bliźniego. Widziałem, w części miasta zwanej Transtevere (zamieszkałej przez ubogą ludność) w kościele Augustjanów, arcy ciekawy monument pokuty i przebaczenia. Jest to posąg Najświętszej Panny, obsadzony do koła, niby w promienie ze stali, śpiczastemi nożami, które były przeznaczone za narzędzia do spełnienia poprzysiężonej zemsty — a które, skruszeni przez spowiedź grzesznicy, złożyli jako votum dla Madony.

Żebracy nie stoją tu bandami jak w Pizie lub Liworno, ale za to, co dwadzieścia kroków spotykasz wyciągniętą rękę i słyszysz głos błagający. A jeśli nie robią na cudzoziemca obławy i nie ścigają go hałaśliwym chórem, jak w Toskanji, to nie przez uczucie godności własnej, tylko za pewne z przyczyny rodzimego lenistwa. Dawać jałmużnę jest obo-

wiąskiem chrześcianina; udzielę jednak ostrzeżenie tym, którzy po raz pierwszy przyjadą do Rzymu. Niechaj wspierają ubogich, ale nigdy tych, którzy obrali siedzibę w bliskości ich mieszkania. Bo skoro raz dasz grosika takiemu sąsiadowi, już on uważa ciebie za swego hołdownika — płacąc mu ten drobny haracz, oddałeś mu się niejako w lenność na zawsze. Odtąd codzień zastępuje ci drogę, wita z uśmiechem i woła: dzień dobry panie! oto jest wasz ubogi! (Buon giorno Signore, ecco il vostro povero!). Nie ma rady, musisz się uiścić z podatku twemu panu.

Przez wstręt do pracy cała rasa włoska oddana żebractwu. W Rzymie liczba ubogich jest niepoliczona — nietylko po ulicach, ale śród kościoła, w czasie mszy świętej, przy stoliku kawiarni i na wschodach własnego mieszkania, napastowany jesteś co chwila. Filantrop, któryby codzień każdemu spotkanemu ubogiemu dał jedną tylko bajokę — za parę lat byłby zmuszonym zmienić rzemiosło i sam wpisać się do dziadowskiego bractwa.

Nie mogę zaręczyć czy wszyscy urzędnicy rzymscy biorą to, co u nas w pospolitym języku nazywa się łapowem — dotąd miałem tylko do czynienia z celnikami i z biuralistami pocztowymi: jedni i drudzy nietylko że biorą, ale nawet przymawiają się o datek. Większą część ciekawości Rzymu nie oglądasz darmo; wszędzie trzebe płacić za nie, dwunożnemu cerberowi, który się zowie custode to jest opiekunem. a którego słuszniej byłoby nazwać poborcą. Najuciążliwszym jednak wydatkiem dla kieszeni są tu zaprosiny na bal lub na obiad do kardynała, księcia, ambasadora lub bankiera. Nazajutrz, wszyscy służący twego wczorajszego Amfitrjona przychodzą do ciebie z komplementem, za który musisz szkudami dziękować. Służba nazywa się po włosku la famiglia; wyraz ten wprowadził w wielki ambaras jednego z moich znajomych. Był on na obiedzie u pewnego Monsignora, a nie bardzo dobrze znał język tutejszy. Nazajutrz, jeszcze leżał w łóżku gdy służący jego, Włoch — melduje mu, że la famiglia di sua Excellenza Monsignore *** przychodzi do niego z wizytą. Zerwał się młodzieniec na obie nogi i ubrał z pośpiechem, myśląc, że krewni prałata odwiedzają go. Dziwne było odkrycie, gdy obaczył pięciu lokajów w liberji. Obiad kosztował drogo, bo każdemu należącemu do famiglia trzeba było dać w rękę kilka sztuk monety.

Pieniędzy złotych papieskich nie widziałem — pieniądz srebrny jest tu rzeczą rzadką — miedź kursuje obficie, lecz niestety! jej sztuki są wielkości kół od taczek. Najpospolitszą monetą są papierki (carta), które wszędzie biorą, ale tak chętnie jak dziecko bierze lekarstwo, kiedy ojciec trzyma w jednej ręce łyżkę z miksturą, a w drugiej rózgę. Jeżeli

chcesz obaczyć twarz rozpromienioną szczęściem; to zapłać tutejszemu kupcowi srebrem.

Obok nędzy prawdziwej czy udawanej, ale liczebnie olbrzymiej, jeszcze widniejszy w Rzymie przepych i zbytek. Ledwie w Paryżu jest tyle pojazdów i sutych zaprzęgów, ile w stolicy papieskiego państwa. Żaden majętniejszy mieszkaniec nie tknie nogą bruku miasta, tak że nawet na głównej promenadzie na monte Pincio wszyscy przechadzają się w pojazdach. A że przestrzeń wozowej drogi śród ogrodu jest mała, więc przez godzinę i więcej, ekwipaże jeżdżą w kółko, gęsiego, przed nielicznem gronem pieszych cudzoziemców.

Nie najgustowniejsze, ale najwspanialsze są karety kardynałów, wylakierowane, wyzłacane, z galeryjką bronzową na wierzchu pudła, końskie łby w jedwabne czerwone kity strojne — kozioł w aksamitach i w galonach — na nim woźnica w bogatej liberji, a z tyłu aż trzech lokajów. Ten trzeci musi być niedawnym dodatkiem, bo za staremi pojazdami nie ma miejsca jak na dwóch ludzi — więc ów biedny trzeci lokaj trzyma się oburącz za płaszcze kamratów i za każdym wybojem, najkomiczniejsze dygi odprawia.

Kareta papieska tem tylko różni się od kardynalskich, że nie dwa, ale sześć koni ją ciągnie. Jeden stangret na koźle drugi na przodkowych koniach noszą poważny strój z karmazynowego aksamitu z wiszącemi na plecach wylotami (do którego to ubioru Michał Anioł Buonarotti miał pierwszy podać rysunek). Za karetą zamiast trzech drabów kardynalskich, idzie sześciu laufrów i jedzie eskorta konna złożona z tak zwanej gwardji szlacheckiej (guardia nobile), bohaterów od parady, w sutych szlifach, którzy w czasie rewolucji 1849 roku zamiast bronić Ojca świętego, zniknęli bez śladu i dopiero po przywróceniu porządku przez wojsko cudzoziemskie, ukazali się napowrót w swoich złotem kapiących mundurach!

Rzym rok rocznie przepełniony jest gośćmi różnych narodów. Najliczniejsi są żołnierze francuscy — prawda, że nie dla klimatu ani dla studjowania pomników starożytnych, ale z obowiązku tutaj rezydują. Ich postępowanie jest pełne taktu i umiarkowania. Nie grają oni roli zwycięsców, nie brząkają pałaszami po ulicach i nie traktują brutalsko mieszkańców. A jednak ich obecności winni jesteśmy, że tu spokojnie i cicho — a gdyby i administrację miejscową wzięli w swe ręce, to mógłbym dodać: żu tu porządnie i czysto i wygodnie dla cudzoziemca.

Kilkanaście rodzin polskich zimuje w Rzymie; nie brak Niemców, Hiszpanów, Amerykanów i t. d. Najwięcej jak zwykle jest Anglików, którzy z Hand-Book Murraja pod pachą zwiedzają gorliwie starożytności i muzea — nie dla

tego aby ożywić duszę wspomnieniami wieków, nakarmić oczy pięknością form, ale jedynie, aby sprawdzić czy każda rzecz stoi na swojem miejscu i czy wszystko w takim stanie jak Murraj opisał.

Dziwna to rzecz! W moich pielgrzymkach po Belgji, Francji, Niemczech, Szwajcarji i teraz po Włoszech — wszędzie, w dyliżansie, czy na statku parowym, czy na kolei żelaznej, czy przy wspólnym stole w hotelu, czy na wierzchołku Righi, czy przed obrazem Transfiguracji Rafaela — wszędzie, mówię, przy dziesięciu osobach, spotkałem przynajmniej ośmiu Anglików. Zdawałoby się, że cały naród wyemigrował i że nad brzegami Tamizy pozostały tylko machiny parowe, które rządzą krajem, fabrykują porter i makintosze, uprawiają grunta i posyłają swym panom włóczęgom, bite przez siebie gwineje, na opłacenie kosztów podróży po wszystkich zakątkach świata!

LIST X.

Nabożeństwo odprawiane u Ś. Piotra w obec Papieża i kardynałów. — Opis procesji i tronu, na którym wnoszą Ojca świętego do kościoła. — Pius IX. — Wspaniałość obrzędów katolicyzmu. — Siedm mszy świętych podług rytuału kościołów Unicko-wschodnich. — Egzamin publiczny w instytucie rozszerzania wiary ś. (Propaganda). — Nowa wieża Babelu.

Rzym, 18 Stycznia 1852 roku.

Rzym przedewszystkiem jest miastem papieskiem, stolicą katolicyzmu — tutaj więc cudzoziemiec przyjrzeć się może obrzędom kościelnym odprawianym z okazałością na jaką żadna inna religja, a nawet żaden inny gród chrześciański, zdobyć się nie potrafi. Najwspanialsze ceremonje przypadają na pierwsze święto Wielkiejnocy, to jest za trzy miesiące. Nie mogłem być obecnym mszy świętej śpiewanej przez samego Piusa IX, w dzień Bożego Narodzenia — i dziś rano dopiero miałem szczęście znajdować się na wielkiem nabożeństwie w Bazylice Ś. Piotra i widzieć z bliska Ojca świętego w całym majestacie ziemskiego przepychu.

Gwardja miejska piesza, ustawiona w dwa długie rzędy, zajmuje boki środkowej nawy kościoła — około wielkiego

ołtarza i po skrzydłach, stoi straż przyboczna papieska złożona z Szwajcarów ubranych w strój średniowieczny z halabardami w ręku. Na przeciw ołtarza *), w głębi przybytku, wznosi się tron pokryty srebrną lamą, ocieniony draperjami z karmazynu. Po obydwu bokach tronu, taburety dla kardynałów — za niemi siedzenia dla dyplomatów, dygnitarzy i oficerów cudzoziemskich. Po za ołtarzem na prawo, obszerna trybuna dla dam, ale takich tylko, które się przedstawią w ubiorze balowym czarnym — mężczyzni chcący wejść do strzeżonego przez warty obrębu, muszą być we fraku i w białych rękawiczkach.

O wpół do jedenastej, rozpoczął się wchód solenny papieskiego orszaku. Przodem duchowieństwo niższe — dalej kanonicy — za niemi trzydziestu kardynałów, każdy z kamerjerem niosącym ogon czerwonej sukni pryncypała. Za kardynałami idą szambelani świeccy w stroju hiszpańskim z XVI wieku, zupełnie czarnym z atłasu i aksamitu, z białą kryzą i koronkowemi mankietami, szpadą u boku i złotym łańcuchem u szji.

Za nimi dopiero, ukazuje się u drzwi Bazyliki, Ojciec święty cały w bieli, z srebrną tjarą na głowie, niesiony na wyniosłym tronie przez dwunastu pachołków w karmazynowych szatach z wylotami jak polskie kontusze. Dwóch jeszcze ludzi tak samo przybranych idzie po bokach trzymając dwa ogromne wachlarze z białych piór strusich, osadzone na wysokich prętach złoconych. Oddział gwardji szlacheckiej zamyka orszak.

Procesja ta postępuje zwolna, bardzo zwolna wzdłuż nawy długiej do sześćset stóp — a więc w takiej odległości, zdaje ci się, że tron ów nie jest niesionym, ale że jak korab jaśniejący, płynie po morzu z głów ludzkich, zniżających się na przodzie a podnoszących z tyłu, niby spokojne fale Oceanu. Patrząc zdala na Papieża, myślisz że niosą jakiś posąg świętego ulany ze srebra — ale posąg to żywy, bo co parę kroków podnosi rękę by błogosławić na prawo i na lewo klękające tłumy wiernych.

Ten pochód kilkuset osób w bogatych szatach, postępujących w uroczystem milczeniu, przedstawia widok malowniczy i wzruszający, z którym nic się porównać nie może. Wieśniaczka polska, obecna ceremonji, tak mi opowiadała swoje wrażenia po powrocie z kościoła: «Kiedy nieśli Pa«pieża na tem złocistem krześle, to mi się widziało, że sa-

*) W Bazylikach rzymskich, wielki ołtarz jest całkiem odosobniony, wysunięty naprzód — i tak urządzon, że kapłan przy mszy świętej zwraca twarz ku drzwiom świątyni.

«mego Boga Ojca niosą — i bałam się patrzeć myśląc, że «to grzech może. Ale sobie powiedziałam: no, to już i «zgrzeszę, ale będę patrzeć, bo takie święte cudowności to «chyba w niebie można obaczyć.» Te naiwne słowa podziwu duszy prostej ale żywo czującej, lepiej malują, niżbym ja zdołał, wrażenie jakie ta procesja wywiera na tych, którzy po raz pierwszy ją widzą.

Orszak zatrzymał się przed wielkim ołtarzem — Ojciec święty zstąpił z wysokiego siedzenia, ukląkł — i po krótkiej modlitwie poszedł zasiąść na przygotowanym w głębi tronie. Zdjęto mu tjarę a włożono infułę złotą — i kardynałowie przystępowali jeden po drugim całować rękę Papieża okrytą w białą rękawiczkę z relikwiami na wierzchu. Teraz, rozpoczęła się msza święta celebrowana przez kardynała-biskupa (kardynałowie dzielą się na djakonów, księży i biskupów), w asystencji trzech prałatów w litych kapach. Nie ma organów u Ś. Piotra, orkiestra kościelna składa się tylko z licznego chóru najdoskonalszych śpiewaków, których talent rozgłośny po całej Europie. Msza ś. (przerwana kazaniem) trwała przeszło półtory godziny.

W czasie podniesienia i po ite missa est, Ojciec święty zstępował z tronu i szedł z gołą głową przed ołtarz, gdzie modlił się na przygotowanym klęczniku. Stałem niedaleko, mogłem więc przyjrzeć mu się najdokładniej. Pius IX jest jeszcze w całej sile wieku (59 lat), postawy słusznej i kształtnej — twarz jego piękna, pogodna, ma wyraz powagi i spokoju — słodyczy i dobroci.

Po odmówieniu ostatniej modlitwy, Papież usiadł na krześle i odniesiono go aż do drzwi łączących Bazylikę z Watykanem, w takim samym porządku jak się rzekło powyżej.

Słyszałem nie raz rozumowania dowodzące, że religja chrześciańska całkiem duchowa, nie ma potrzeby i nie powinna działać na zmysły — i że tłumne i huczne ceremonje są przypomnieniem pogaństwa. Nigdy nie byłem tego zdania, a teraz jeszcze mniej je podzielam. W czasie dzisiejszego obrzędu czułem i duszą i ciałem, więcej niż kiedykolwiek w mem życiu, potęgę i obecność Bożą w koło mnie — coś jakby przestrach i uwielbienie!

Uroczyste śpiewy, liczne procesje, bogate stroje, są zewnętrznemi oznakami naszego poszanowania dla Stwórcy. Wszakże idąc witać człowieka, wielkiego władzą, rozumem lub cnotą, lud cały przywdziewa szaty godowe, śpiewa mu hymny i drogę uściela kwieciem!

Niecielesny Jehova kiedy obcował z patrjarchami i prorokami starego testamentu, czyż nie otaczał się łuną błyskawic i grzmotem piorunów? Czemużby widomi Namiestnici

syna jego Chrystusa, nie mieli ukazywać się wiernym, otoczeni majestatem światowego przepychu?

W obec tej ogromnej, lśniącej marmurami i złotem Bazyliki, w obec tego niepoliczonego orszaku zgromadzonego obok Piotrowego następcy, jakże mizerną jest owa protestancka świątynia o czterech gołych ścianach, ze stolikiem we środku, przed którym czarno ubrany Priester rozbiera słowa Ewangelji jak anatomista krający trupa, lub jak profesor matematyki sprawdzający trygonometryczne zadanie!

Do ciekawych obrzędów religijnych, które można oglądać razem, tylko w Rzymie, należy siedem mszy odprawianych w czasie oktawy Trzech Króli w San Andrea della valle *), podług rytuału kościołów wschodnich, połączonych unją z katolicyzmem. Zapóźno dowiedziawszy się o tych ceremonjach, byłem obecnym tylko na czterech mszach ostatnich: grecko-melchickiej, armeńskiej, maronickiej i chaldejskiej. Maronicka najwięcej się zbliża do naszej, grecko-melchicka najmniej. Wszystkie jednak te obrzędy wschodnie, mają z sobą niejakieś pokrewieństwo. Odmawiane są w językach narodowych, wszyscy kapłani noszą długie brody, na ich kapach wyszyty krzyż grecki a nie łaciński. Kadzielnica wielką gra u nich rolę, ciągle jest w ręku księdza lub jednego z akolitów; po kilka razy obkadzają ołtarz, kielich, oficjanta i zebraną publiczność. Wszystkie te msze są śpiewane; jeden chór z tyłu ołtarza ukryty, drugi z przodu stojący przed pulpitem, odpowiadają koleją na śpiew celebrującego. Melodja śpiewu dzika, smutna, dziwna, jakiej nigdy ucho europejskie nie słyszało. Przy mszy armeńskiej psalmodja z towarzyszeniem dzwoneczków, jest nieopisanej oryginalności: coś jak kwilenie niemowląt lub świegotanie ptasząt przed wschodem słońca. Jest to muzyka i nuta ras pierwotnych, może przechowana tradycją od czasów Jubala!

Przy jednej mszy, kapłan przed spożyciem Ciała Pańskiego, odprawia procesję przed zgromadzonym ludem, trzymając Hostję wzniesioną po nad kielichem; w drugiej, akolit odchodzi od ołtarza, odwraca się ku wiernym i czyta im w głos ewangelję. W końcu mszy grecko-melchickiej przynoszą koszyk pokrajanych kawałków chleba, kapłan je błogosławi, okadza i rozdaje obecnym, którzy całują go w rękę i t. d.

W zeszłą niedzielę to jest 11 t. m. znajdowałem się na publicznym egzaminie instytutu propagandy (Collegio de propaganda fide). Wiadomo że instytut ten składa się z młodzieży różnych narodów, sposobiącej się do apostolatu czyli

*) Kościoł ten zdobią piękne freski Domeniquina.

do opowiadania wiary świętej bałwochwalcom. Murzyni z Congo, z Guinei i Abissynii, Syryjczycy, Kurdy, Persowie, mieszkańcy Chin, Indostanu i cesarstwa Birmanów, Europejczycy wszystkich krajów, recytują przed publicznością, każdy w swoim djalekcie, ustępy prozą lub wierszem na chwałę Boga i religji, jakby dla sprawdzenia tych słów Psalmisty: «Pańską jest ziemia i napełnienie jej, okrąg ziemi i którzy mieszkają na nim.» (P. XXIV).

Językom azjatyckim nie brak melodji, ale ich dźwięki są gardłowe i czasami dychawiczne. Mowa chińska monosylabna, przecinana jak stuk młyńskiego koła, powszechny śmiech obudziła. W afrykańskich djalektach, przebija gwizd dzikiego ptastwa, albo raczej syk wężów. Polski język nie odezwał się, bo tego roku nie ma w propagandzie żadnego Polaka. Słowiańską rasę reprezentował młody Illyryjczyk o poczciwej i otwartej fizjonomji. Francuz najdłuższe zyskał oklaski (gdyż publiczność włoska klaszcze jak na teatrze) prawda że pośród owego Babelu, w tym karawanseraju indywiduów globu całego, Francuzik najwięcej miał szykowności i życia, i wyglądał jak młode orle pośród ciężkich kaczek, ponurych kruków i nieśmiałych gołębi.

Mąż, który rozumiał te wszystkie narzecza, kardynał Mezzofanti już nie żyje. Cała publiczność (z małemi zapewne wyjątkami) łowiła uchem te martwe dźwięki, jakby słuchająca harmonji nieznanych instrumentów; i gdy po Azji przyszła kolej na Europę, twarz każdego z nas rozradowała się. Zdawało się nam że po przebyciu pustyń, wstępujem w kraje cywilizacji, i języki te brzmiały nam jak witające głosy przyjaciół. Najmuzyczniejszemi, bez zaprzeczenia, są: grecki i włoski.

Przyglądałem się z zajęciem, współczuciem i pewnym rodzajem poszanowania, tym młodym wysłańcom wszystkich prawie plemion człowieczeństwa, zgromadzonym nie bez przyczyny w Rzymie; boć to przecie stolica kościoła katolickiego czyli powszechnego, w której (podług zapowiedzin Ewangelji), jeden pasterz pracuje nad utworzeniem jednej owczarni. Zawód tych przyszłych apostołów trudny, pełen cierniów i poświęceń! Nie jeden z nich może padnie ofiarą fanatyzmu muzułmańskiego, skończy życie w okropnem więzieniu chińskiem, lub pod maczugą dzikich ludów wysp Oceanu! I smutek ścisnął mi serce, bo mi się zdało, że nad wieloma głowami jaśniejącemi młodością i beztroską, widzę zawieszoną palmę męczeństwa!

LIST IX.

Pamiątki polskie w Rzymie. — Ramię S. Wojciecha i otwarcie skrzynki ołowianej zamykającej tę relikwię. — Cela S. Jacka Odrowąża. — Grób i kaplica S. Stanisława Kostki. — Kościoł polski S. Stanisława Biskupa i rozmowa z Włochem administratorem tegoż kościoła. — Kościołek Bazylianów. — Dom Sobieskich. — Napisy w Kapitolu. — Chorągwie tureckie przysłane z Polski. — Groby Polaków po różnych kościołach rzymskich.

Rzym, 24. Stycznia 1852 roku.

W liście niniejszym postanowiłem mówić ci wyłącznie o pamiątkach polskich znajdujących się w Rzymie.

Od dwóch miesięcy mego tutaj pobytu, nie straciłem czasu napróżno i codzień czemuś nowemu przyglądam się; przecież niepodobieństwem byłoby samemu dotrzeć wszędzie i dojrzeć wszystkiego, a szczególniej wielu drobnych zabytków ciekawych dla nas jedynie, o których nie ma wzmianki w żadnej książce opisowej włoskiej, francuskiej lub angielskiej. Do odkryć, a raczej do poszukiwań takowych, konieczną była pomoc ziomka oddawna zamieszkałego w Rzymie i poświęcającego się rzeczom ojczystym. Takiego przewodnika znalazłem w panu Ludwiku Jastrzębskim, o którego pracach i zasługach już ci mówiłem. On to z uprzejmością, zwykłą naszym rodakom choć rzadką u badaczów cudzoziemskich, wskazał, gdzie i co mam oglądać i udzielił mi nawet, do napisania tego listu, niektórych notatek z swego zbioru.

Najdawniejszą pamiątką polską, bo sięgającą XI. stólecia, jest ramię S. Wojciecha, które niegdyś wielki król nasz Bolesław Chrobry ofiarował w darze cesarzowi Ottonowi III, odwiedzającemu go w Gnieznie, a które tenże Otton przywiózł do Rzymu i złożył z należną czcią w kościele zbudowanym na wyspie Tybrowej, zwanym dziś San Bartholomeo i isola.

P. Jastrzębski marzył ciągle o tym zabytku, jak górnik marzy o skale pod którą przewiduje kopalnię kruszcu, i spodziewając się, że wedle wszelkiego podobieństwa, obok tych relikwji znajduje się może jaki dokument historyczny do owej odległej epoki naszych dziejów, podał na początku 1852 roku, prośbę do Ojca świętego o pozwolenie otworzenia ołowianej skrzyni, w której ramię S. Wojciecha od ośmiu przeszło wieków spoczywa. Pius IX wydać raczył przy-

chylną odpowiedź i delegował biskupa Tizzani do przewodniczenia ceremonji.

Dzień onegdajszy to jest 22 t. m. naznaczonym został na otwarcie i Polacy zebrali się w znacznej liczbie na ten obrzęd religijno-narodowy. Przyznam ci się, że ciekawość archeologa stłumiła we mnie myśli pobożne jakie oglądanie szczątków Ś. Apostoła i Męczennika obudzić winno w każdym katoliku. Łatwo było się domyśleć, że dłoń Chrobrego zrosła z orężem i z uzdą rumaka, zapewne nigdy pióra nie tknęła; aleć jakikolwiek pargamin spisany w XI wieku ręką przybocznego mnicha w Gnieźnie, byłby już prawdziwą relikwją historyczną na jaką nie codzień natrafić można. Czekaliśmy więc niecierpliwie tej chwili tak pożądanej.

O godzinie 9 ksiądz Hube odprawił mszę przy ołtarzu Ś. Wojciecha, poczem nadszedł biskup Tizzani i dwóch ślusarzy wydobyło z pod ołtarza skrzynkę na trzy ćwierci łokcia długą, którą przeniesiono do dawnej zakrystji. Po odlutowaniu ołowianego wieka, znalazło się drugie drewniane. Gdy i tę zaporę podważano dłutem, patrzyłem z wytężoną ciekawością jak dziecko gdy przed nim rozwijają z papieru przyniesiony mu podarunek. Ale niestety! pod drewnem pokazała się wata, płód daleko późniejszej cywilizacji! Pod owym bawełnianym pokładem, znalazł się pożołkły półarkuszek papieru z datą 1713 roku opiewający, że w tem zamknięciu złożone są kości z ramienia Ś. Wojciecha i relikwije trzech innych świętych. Największy pakiet (jak świadczył napis także z XVIII wieku), zawierał naszą narodową pamiątkę obszytą w podwójną powłokę płócienną i jedwabną, po odpruciu których, biskup pokazał nam święte szczątki męczennika i każdemu z obecnych pozwolił uczcić je dotknięciem ust i czoła. Słowem, jak widzisz, nie był to dzień stracony dla wiernych, ale bezowocny dla archeologów. Bez zaprzeczenia, dokument współczesny musiał towarzyszyć darowi Bolesława Chrobrego, ale przy otwieraniu zapewne kilkakrotnem, wyjęto go i złożono w Watykańskiem lub innem jakiem archiwum, gdzie dotąd może w zapomnieniu spoczywa.

Odwiedziłem w tych dniach kościół Ś. Sabiny i należący do niego klasztor dominikański, szukając tam starożytnych śladów polskich. Pokazano mi celę, w której podczas swego nowicjatu, mieszkał w XIII wieku Ś. Jacek Odrowąż; a w kościele, osobną kaplicę poświęconą temu z krwi polskiej wyszłemu słudze bożemu; są w niej freski, które przedstawiają obłóczyny i kanonizację Świętego Jacka.

W San Andrea al Quirinale należącym do OO. Jezuitów, spoczywają zwłoki Ś. Stanisława Kostki w bogatej trumnie wykładanej lapisem i drogiemi kamieniami. Klasztorną celę,

którą zajmował rodak nasz i gdzie umarł w kwiecie wieku, zamieniono na wspaniałą kaplicę ozdobną pięknemi obrazami i posągiem świętego. Wyobrażony jest, leżący na śmiertelnem łożu: głowa z białego, ręce i nogi z cielistego, reszta ciała pokryta suknią, z czarnego, materac z żółtego marmuru. Ta pstrokacizna razi oczy artysty; aleć to dzieło pierwszych lat XVII wieku, chwili zepsutego smaku w sztukach pięknych. W poprzedniej izbie, służącej za przedsionek kaplicy, oglądałem w jedenastu obrazach (robionych wodnemi farbami), cały żywot Stanisława Kostki. Najdziwniejszym, jest obrazek przedstawiający starszego Kostkę ubranego w kontusik, stojącego z kijem w ręku po nad leżącym mu u stóp młodym bratem. Guwerner Bieliński (jak go nazywa legenda) także w polskim stroju z wąsami i podgoloną głową, rozbraja tę familijną bójkę.

W Rzymie, każde państwo katolickie posiada własnej fundacji kościoły; do Francji należy ich kilka; Polska miała dom boży pod inwokacją S. Stanisława biskupa. W roku 1580, za panowania Stefana Batorego i szczególną pieczą żony jego Anny Jagielonki stanął niezbyt wielki ale schludny kościół, a obok niego dom obszerny przeznaczony na mieszkanie i szpital dla pielgrzymów naszego kraju. Narożna ulica nazywa się Polską (via delli Polacchi); nad wszystkiemi oknami domu pozostały dotąd kamienne orły białe w koronach; ale na fasadzie kościoła na wiszącej tablicy owalnej, wymalowany ptak czarny dwójgłowy z mikroskopicznym białym na piersiach, gdyż dzisiaj świątynia ta przeszła na własność cesarzów rosyjskich jako królów polskich. Proboszcz Włoch, administrator świecki, także Włoch, dawny szef orkiestry petersburgskiego baletu. Z tym ostatnim miałem ciekawą rozmowę. Gdym zaraz po mszy ś. w ostatnią niedzielę, zaszedł prosić księdza o pozwolenie obejrzenia znajdujących się w zakrystji portretów Jana Sobieskiego, Augusta II i III i kardynałów Hozjusza i Radziwiłła, pan administrator obecny, przemówił do mnie po francusku ekskuzując się, że dotąd tych portretów nie kazał wynieść pod strych, gdyż to było niestosownem (inconvent) trzymać je w miejscu poświęconem.

Łatwo pojmiesz jaki nieopisany żal ścisnął mi serce; odpowiedziałem mu jednak grzecznie, że po wszystkich krajach widziałem wizerunki fundatorów i dobrodziejów zachowywane po zakrystjach, a wskazując na Sobieskiego dodałem: Zresztą, ten oto król był człowiekiem rzadkiej bogobojności i oddał wielką usługę chrześciaństwu.

— Prawda (powiedział Włoch) ale gdy spieszył przeciw Turkom, wielu wojewodów nie chciało mu towarzyszyć.

— O tem po raz pierwszy słyszę, wiem tylko że przybył na odsiecz Wiedniowi z 20,000 wojowników.

— Tak, ale to był zbyt szczupły hufiec na tak wielki kraj jak wasza Rzeczpospolita.

— Rezultat bitwy, odrzekłem, pokazał że siła ta była dostateczną. —

Pan administrator, który królów polskich traktował, jak gdyby należeli do jego dawnej orkiestry i który chciał mnie uczyć historji mego narodu, udobruchał się w końcu ze swego gniewu na wojewodów i zlecił zakrystjanowi, by mnie zaprowadził do wielkiej sali przeznaczonej niegdyś na szpital. Są tam obrazy świętych patronów naszego kraju — a obok nich Stanisław August Poniatowski zabłąkany tu jak Piłat w Credo. Chciano mi także pokazać portret cesarza Mikołaja, ale że boczna stancja (gdzie zachowują z honorami wizerunek dzisiejszego króla polskiego) była zamkniętą i przewodnik mój nie mógł znaleźć kluczy naprędce, więc mię to minęło. W kącie sali szpitalowej stoi jeszcze wyblakła tablica z dawnym herbem przedrozbiorowym i kilka innych późniejszych, na których dostrzegłem dziwne stopniowanie; im świeższe malowidło, tem orzełek biały mniejszy.

W kościele znajduje się pięć dosyć dobrych obrazów, których jednak, mimo najlepszej chęci, nie mogę nazwać arcydziełami, choć jeden z nich wyobrażający Chrystusa, jest pędzla Czechowicza — inne zaś jak ś. Stanisław wskrzeszający Piotrowina i t. d., malowane przez Smuglewicza *).

Kościoł Bazyljanów położony w części miasta zwanej Monti, jest także fundacji polskiej. W wielkim ołtarzu bogaty wizerunek Matki Boskiej Żyrowickiej — nad nim herby familji polskich (między innemi Pogoń Czartoryskich) — a obok napis na marmurowej płycie, donoszący że w roku 1819 papież Pius VII, obraz ten poświęcił w przytomności przełożonego Bazyljanów, Jordana Mickiewicza Rusina. W zeszłym tygodniu słuchałem tu mszy ś. odprawianej po sławiańsku.

*) Szymon Czechowicz urodzony w Wieliczce, bawił parę lat w Rzymie na początku XVIII wieku i był uczniem znakomitego wówczas mistrza włoskiego Karola Maratte. Siostrzeniec Czechowicza, Franciszek Smuglewicz, kosztem księcia Gedrojcia biskupa Żmudzkiego, wysłany za granicę, mieszkał tu dłużej. Wiele jego obrazów, szczególniej kopji dawnych malowideł zakupowano do Anglji. Zajmował się także sztycharstwem — widziałem piękny zbiór jego rycin wydany w Rzymie w drugiej połowie zeszłego wieku... Są to doskonałe kopie fresków starożytnych. Te kilka drobnych szczegółów wyjąłem z dwuarkuszowego rękopisu p. t. Wiadomości o malarzach polskich w Rzymie, pisanego kilkadziesiąt lat temu, który p. Jastrzębski znalazł tutaj przypadkiem. Są to krótkie notatki małej wartości; przytoczę z nich jednak jeszcze jeden szczegół... Bezimienny autor mówi, iż Smuglewicz tak był cenionym w Polsce, że książe Radziwił chcąc go zatrudnić u siebie w Ołyce, posłał po niego karetę i własną kuchnię.

Na Monte Pincio na jednym pałacyku widne dotąd orły i pogonie i korona królewska. Dom ten należał do familji Sobieskich.

W Kapitolu, w sali de conservatori oglądałem dwa medaljony Jana III i Marji Kazimiry. — W galerji rzeźby, długi napis na marmurze przypominający zwycięstwo pod Wiedniem. W kościele Ś. Jana Laterańskiego zachowują chorągiew turecką wziętą pod Chocimem 1674 roku*); a w Santa Maria delle Vittorie, kilka bogatych chorągiewek bisurmańskich z trofeów przysłanych przez Sobieskiego z pod Wiednia. **)

Napisy i groby polskie po kościołach rzymskich. U Kapucynów mauzoleum (z medaljonem) Aleksandra Sobieskiego (zmarłego 1714 roku). W Bazylice Ś. Piotra wspaniały grób (z portretem) Marji Klementyny Sobieskiej, żony ostatniego z Sztuartów (1755). W kościele Santa Maria in Transtevere, kardynała Hozjusza (1579) z pięknem popiersiem.

U Jezuitów, kardynała księcia Jerzego Radziwiłła (1600).

U Trynitarzy, kardynała Jana Kazimierza Denhoffa (1697).

W kościele Ś. Augustyna trzy groby z popiersiami i herbami: Piotra Andrzeja Jazłowieckiego (1581) — Wojciecha Spławskiego Wojewodzica Inowrocławskiego (1596) i Jana na Wrambczynie Falibowskiego (1596); wszyscy ci trzej w kwiecie młodości zmarli w Rzymie, gdyż dwaj pierwsi mieli tylko po 22 lat a ostatni 25.

W Santa Croce in Gerusalema leży Bernard Bogdanowicz uczony profesor filozofji, z zakonu Cystersów (1722).

W kościele ś. Stanisława biskupa wmurowano trzy osobne tablice z marmuru ku pamiątce Anny Jagielonki, Andrzeja Załuskiego biskupa i prymasa Poniatowskiego, jako dobrodziejów tego kościoła. Groby: Eustachy Służka (z popiersiem) Wojewodzic Nowogrodzki, dworzanin Władysława IV, zmarły w Rzymie w 24 roku życia, 1639 roku. — Marcin Kaflewski (z popiersiem) kanonik warszawski (1656) — Zakrzewski dworzanin Jana III (1712); Konrad Radoszkowski major (1755) — Stanisław Parczewski doktor teologji (1830) — Księżniczka Dorota Lubomirska, zmarła w kwiecie wieku (1832).

---

*) P. Jastrzębski posiada rzadki medal bity w Rzymie na pamiątkę tego zwycięstwa... Klemens X siedzi na tronie, a przed nim klęczy wojownik polski z chorągwią w ręku, którą król przysłał w hołdzie papieżowi.

**) Wiadomo, że wielką chorągiew Machometa przysłaną Inocentemu XI przez Sobieskiego — ofiarował (w czasie wojen napoleońskich), senat rzymski jenerałowi Dąbrowskiemu dowódzcy legjonów polskich we Włoszech. Dąbrowski przywiózł ją do Warszawy i złożył w darze Towarzystwu Przyjaciół Nauk. Chorągiew ta, wraz z innemi zbiorami uczonego towarzystwa, wywiezioną została w roku 1832 do Rosji i znajduje się dziś w Kremlu.

W kościele Bazyljanów: napis na pamiątkę Rafała Korsaka biskupa Kijowskiego (rok śmierci zatarty nie mogłem wyczytać — grób Marji Charzewskiej (1802) — małe mauzoleum ale pięknie rzeźbione, Juljusza Miszewskiego malarza, zmarłego w 1826 roku przypadkową śmiercią w Subjaco (in Subjaco infelici casu obito).

U Ś. Klaudjusza *) groby: Jerzego Sobolewskiego oficera wojsk polskich (1846) — Zofji hr. Łubieńskiej (1847) — Joanny hr. Tyszkiewicz (1848) Panny Józefy Łopacińskiej (1848).

Na smętarzu Ś. Wawrzyńca po za miastem, leżą pogrzebani: jenerał Klicki — poeta Stefan Witwicki — Bohdan Jański — etc.

LIST XII.

Ruiny starożytnych Łazienek rzymskich. — Kolumny na cześć Marka Aureliusza i Trajana, cesarzów. — Świątynia Westy. — Niedbalstwo administracji o dawne pomniki. — Pałac Wenecki. — Pałace: Borghese, Farnese, Corsini, Pamphili-Doria etc. i znajdujące się w nich zbiory sztuk pięknych.

Rzym, 1 Lutego 1852 roku.

Dzisiaj wracam znów do odwiecznych kamieni i marmurów, które w tak wielkiej jeszcze liczbie stoją mi przed myślą i zdają się dopominać, abym w tej panoramie wiecznego miasta poświęcił im przynależne wspomnienie.

Po Kolizeum, najokazalszemi ruinami przeszłości są Łazienki (Thermæ), stawiane niegdyś dla ludu przez cesarzów: Tytusa, Djoklecjana i Antonina Karakallę. Te ostatnie za-

*) Kościół ten należy do Francji i ustąpiony został na posesję jeszcze za rządów Ludwika Filipa, nowemu zakonowi naszemu Zmartwychwstańców. Tam w niedziele i święta zbierają się Polacy na nabożeństwo i na kazania miewane przez księdza Hieronima Kajsiewicza. Do nieszczęść ciężących nad plemieniem naszem i tę klęskę doliczę, że taki wielki mówca chrześciański jak ksiądz Kajsiewicz, potężny słowem, a silniejszy jeszcze wiarą i sercem, zbiegiem okoliczności na obcą ziemię zagnany — nie przed tysiącami rodaków, ale przed nielicznem gronem 30 lub 40 słuchaczy — wylewa jasne strumienie swojej pełnej ogłady i budującej wymowy!

chowały się najlepiej i choć sklepienia runęły oddawna, ich mury olbrzymie wznoszą się wspaniale ku niebu, na przestrzeni, na której nie jedno miasteczko polskie pomieściłoby się łatwo. Termy Karakalli były zakładem godnym wielkiej stolicy starożytnego świata; trzy tysiące osób mogło się w nich kąpać o jednym czasie; a znalezione tu dzieła sztuki okazują jaki w nich przepych i zbytek panował.

Kosztowniejsze mozaiki, wanny z bazaltu i porfiru, urny i posągi (między innemi sławny kadłub Herkulesa zwany Torse du Belvedère) przeniesiono do muzeum watykańskiego i do Lateranu *). Zostały na miejscu tylko ściany do pięciu stóp grube a do czterdziestu wysokie, jedne całkowite, drugie na wpół zwalone; proste mozajki bez figur, w części popsute, resztki płaskorzeźb i kawały marmurowych kolum z kapitelami. W szczelinach murów rosną krzewy dzikiej lawendy, bluszcz się czołga i gdzieniegdzie karłowate drzewko wychyla się ku promieniom słońca. Na ziemi, pomiędzy leżącemi odłamami sklepienia, zieleni się bujna murawa, śród której w końcu grudnia zerwałem kilka rozkwitłych fijołków.

Czem dzisiaj dla ludności miejskich kluby, resurse i kawiarnie, tem były dla starożytnych Rzymian łazienki. Tam, po sybarytycznej kąpieli, civis romanus przepędzał znaczną część dnia na czytaniu rękopismów greckich i łacińskich (których zbiór każdy zakład takowy posiadał) a najpospoliciej na zabawach i na gawędzie. Cygar ni dzienników wówczas nie znano; więc dla zajęcia gości, okazywali przed nimi swą zręczność gimnastycy, nie jeden poeta przychodził czytać swe wiersze, nie jeden rhetor perorował o sprawach publicznych; nie brakło nowiniarzy, często zakradł się i delator. Słowem, wyjąwszy gimnastyków, wszystko było jak dzisiaj. Zawsze, w wszystkich krajach i wiekach, człowiek niebaczny wymykał się chętnie z pod spokojnego dachu rodziny, by się nudzić w licznej kompanji.

Pójdźmy teraz obaczyć dwie przepyszne kolumny starożytne: jedna wystawiona przez senat na cześć Marka Aureljusza za zwycięstwa jego w Germanji, druga dla Trajana, na pamiątkę tryumfu nad Decebalem królem Dacji (r. 101 po Chr.). Obydwa pomniki okryte są w piękne płaskorzeźby wijące się wstęgą marmurową od postumentu aż do wierzchołka kolumn i przedstawiające szczegóły wojen, które uwiecznić miały. Rzeźby te są niezmiernie ciekawe dla archeologa i wszelkiego historycznego badacza, dochowały

*) Tutaj także odkryto sławny posąg Herkulesa i gruppę znaną pod nazwiskiem Byk Farnezyjski, znajdujące się dziś w muzeum królewskiem w Neapolu.

nam bowiem oprócz wizerunków żołnierzy legji rzymskich, fizjognomję, ubiór i uzbrojenie dawnych Germanów i Sławian. Obraz często więcej naucza niż opis; są to kamienne illustracje do dzieł Tacyta.

Bronzowa kolumna placu Vendôme w Paryżu, wzniesiona przez Napoleona, jest co do formy, kopją kolumny Trajana.

Nie sposób mi zapomnieć o maleńkiej świątyni Westy osamotnionej nad pustym brzegiem Tybru. Prawdziwe to cacko starożytne, wytoczone dłonią mistrza, ma kształt okrągły; dwadzieścia żłobionych kolumn (colonnes cannelées), z białego marmuru o kapitelach koryntskich, otacza ją w koło harmonijnym wieńcem. Drobny ten pomnik, niewiele do dziś uszkodzony, policzyć można do najpiękniejszych wzorów architektury pogańsko-rzymskiej. Panteon przypomniał mi Iljadę, świątynia Westy, wdzięk i miarę ody Horacjusza!

Gdyby takie pieścidło sztuki znajdowało się w innym kraju, gdzie zajmują się gorliwie zachowaniem zabytków przeszłości, pokryto by je nowym dachem, powprawiano brakujące stopnie wschodów, oczyszczono kapitele z kurzu i pajęczyn, a z sąsiedztwa wywiezionoby wiekowe brudy i śmiecie! Ale administracja tutejsza, zapewne przez uszanowanie, lęka się tykać dawnych pamiątek, a przez bojaźń może, nie śmie wypowiadać odpornej wojny niszczącemu wszystko czasowi! O błogosławione dolce far niente! pod twem hasłem Rzym nowożytny, pozwala rozpadać się w gruzy Romie praojców!

W Florencji a szczególniej w Genui, olśniony byłem przepychem i ilością pałaców. W Rzymie jest ich dwa razy więcej i równie okazałych, ale że nie stoją jedne przy drugich jak w grodzie Dorjów i Fiesków, lecz są porozrzucane po mieście, nikną więc czasem i maleją obok wielkich pomników historycznych.

Pałac zwany Weneckim, dawniej własność Dożów a dziś Austrji, należy do nielicznych gmachów czysto-średniowiecznych, które tu oglądać można... Zbudowano go w środku XV wieku z głazów wydobytych z Kolizeum. Okna przedzielone na czworo z krzyżem kamiennym (stąd słowo francuskie croisée) ściany czarne, posępne — wierzchy murów nastrzępione blankami, nadają mu postać gotyckiej fortecy. Ogrom zaś całej budowli przypomina dawną potęgę owej Rzeczypospolitej, która wywalczywszy sobie u tak upornego żywiołu jak woda, szczupłe miejsce na kolebkę — zagarnęła później tyle zdobyczy na stałym lądzie i przez długi czas stała na równi z najsilniejszemi mocarstwami Europy.

Pałac Borghese godny ściągnąć na siebie uwagę cudzoziemca, okazałością architektury (szczególniej podwórzec otoczony przejrzystym portykiem dwupiętrowym o stu kolumnach

z granitu — i ozdobion trzema kolosalnymi posągami starożytnemi) zaleca się nadewszystko swą galerją obrazów, najliczniejszą z prywatnych zbiorów w Rzymie. W dwunastu wspaniałych salach, pośród dzieł Perugina, Pawła z Werony, Ticjana, Karola Dolce, Andrzeja del Sarto, Albana, Van Dyka, Rubensa i t. d. — zawieszono (jak djamenty przy topazach, rubinach, szmaragdach i safirach), trzy obrazy Rafaela i dwa Domeniquina. Dwa znajdujące się tutaj portrety pędzla Rafaelowego (Cezar Borgia i niewiadomy kardynał), jużby wystarczyły na uświetnienie nie jednej galerji; a cóż dopiero powiedzieć o wielkiej kompozycji — Pogrzeb ciała Chrystusowego przez Apostołów! Spokój nadziemski rozlany po umarłej twarzy Zbawiciela, macierzyńska żałość na obliczu Marji — i cała postać S. Jana, są nieopisanej piękności. Dwa obrazy Domeniquina, Polowanie Djany i Sybilla Kumejska należą także do arcydzieł malarstwa. Dominik Zampieri zwany powszechnie we Włoszech Domeniquino, zmarły w 1641 roku, był niepospolitym władzcą pędzla. Mało jest jego obrazów po innych krajach Europy i chcąc poznać i ocenić godnie wielkość jego talentu, trzeba przyglądać się po rzymskich kościołach i pałacach, licznym i doskonałym płodom tego mistrza.

Pałac Farnese (zbudowany przez Pawła III papieża, gdy jeszcze był kardynałem) gmach ogromny, wspaniały, mogący służyć za rezydencję królewską — stoi w pustkach i opuszczeniu. Naprzeciw niego, na drugiej stronie Tybru, mały pałacyk zwany Farnesina, choć również zaniedbany jak poprzedni — odwiedzają tłumnie podróżni z przyczyny prześlicznych fresk Rafaela (historja Amora i Psychy w jednej — Galatei w drugiej sali). Dwa te budynki należą dziś do króla neapolitańskiego, który kazał wywieźć do swej stolicy wszystkie dzieła sztuki, nagromadzone niegdyś przez familję Farnezów. Jedynie malowidła na murze, nie dające włożyć się w paki, pozostały w puściźnie Rzymowi.

Pałac Corsini, w którym pod koniec XVII wieku mieszkała i umarła Krystyna królowa szwedzka, posiada znakomite muzeum. Perłami jego są: Portret Juljusza II papieża, przez Rafaela — Ecce homo Guerchina — Herodiada Guida Reni — Madona Murilla — Prometeusz Salvatora Roza. Znalazłem także z uradowaniem dzieło mego ulubionego artysty Benvenuta Cellini, wypukłorzeźb (haut relief) na bronzie wystawiający mitologiczną bajkę porwanie Europy. Snycerz-jubiler, wydłutował najdrobniejsze szczegóły pełnego życia obrazy, ze zręcznością, gustem i niezaprzeczonym talentem. Są tam kilkocalowe Trytony i maleńkie Nimfy zbliżające się formą i wdziękiem do najpowabniejszych rzeźb starożytnych.

Pałac Pamphili-Doria należy do najpiękniejszych a jest jedynym porządnie utrzymywanym i czystym pałacem w Rzymie. Zdawałoby się, że stał wczoraj na bulwarach paryskich lub na rynku Hagi — i że nagle przyszła mu fantazja, za pomocą laski czarodziejskiej, przenieść się tutaj. Ile razy obok niego przechodzę i widzę jasne mury, połyskujące szyby okien, podwórzec starannie wybrukowany, umieciony, z zielonym klombem we środku — aż lżej mi się robi na sercu tęskniącem za schludnością krajów północnych. W zbiorze obrazów księcia Pamphili-Doria, najpierwsze miejsce trzymają portrety: przez Rafaela, Velasqueza, Leonarda da Vinci, Ticjana, Bronzina, Holbeina, Van Dyka, Rubensa. Wspaniały krajobraz Klaudjusza Lorrain, Święta familja przez Sasso Ferrato i t. d. W żadnej galerji rzymskiej nie spotkałem tyle malowideł szkoły flamandzkiej — oprócz Rubensa i Van Dyka, jest tu ciekawy obraz Quentyna Metsis (z XV wieku) kilka pięknych Breughlów, Teniersów, etc., etc.

Musiałbym się powtarzać i może w końcu znudzić cię, gdybym chciał opisać szczegółowo jeszcze inne znaczniejsze pałace, jak: Barberini, Colonna, Ściarra*), Spada, Rospigliosi, Mathei; dosyć będzie powiedzieć, że każdy z nich wart jest odwiedzin podróżującego cudzoziemca — jedne z przyczyny ogromu, drugie dla wdzięku architektury — a wszystkie jako muzea artystyczne.

Płótnami malowanemi, które znajdują się w Rzymie, możnaby pokryć całą przestrzeń państwa papieskiego — a posągami, zatamować Tyber — gdyby jacy nowi Ikonoklaści jęli je zrzucać z mostu Ś. Anioła.

---

*) W galerji pałacu Sciarra znajdują się dwa sławne obrazy: Skrzypek przez Rafaela, Próżność i Skromność przez Leonarda da Vinci. Widziałem tylko ich kopje — bo z przyczyny familijnego procesu, pałac zamknięty tego roku i nieprzystępny dla publiczności.

LIST XIII.

Ville rzymskie. — Villa Albani i zbiór posągów. — Villa Borghese. — Starożytne rzeźby. — Venus Kanowy i jej historja. — Villa Ludovisi. — Ogród, posągi i freski. — Villa Torlonia. — Wielki przepych a mierny gust bankierski. — Villa Pamphili-Doria. — Najłatwiejszy sposób dostania się do Villi rzymskich.

Rzym, 8 Lutego 1852.

Jako niegdyś zamożni patrycjusze starożytnej Romy, budowali sobie wspaniałe mieszkania wiejskie, kędy nieraz pod cieniem drzew rozłożystych, w gronie przyjaciół i klientów, z wieńcem kwiatów na czole, z puharem falernu w ręku, pożywali wykwintne uczty opiewane przez Horacego i innych współczesnych poetów; tak i później, kardynałowie, książęta i bogacze chrześciańskiego Rzymu wystawili po za murami miasta lub na ostatecznych jego krańcach, mnóstwo letnich pałaców Villami zwanych.

Każda z znakomitych rodzin tutejszych posiada willę takową stojącą zwykle na wzgórzu, z rozległym widokiem na Rzym i okolice. Otacza ją obszerny ogród sadzony w cieniste aleje, w strzyżone szpalery, ozdobny w groty, altany i wodotryski. A nie jedna z tych budowli, znakomita zewnętrzną architekturą, mieści jeszcze w swych marmurowych salach zbiory starożytne, godne ściągnąć na siebie oko znawcy, nawet po obejrzeniu muzeów w Watykanie i w Kapitolu.

Villa Albani. Kardynał Aleksander Albani znany protektor sztuk pięknych, wznieść kazał podług planu Winkelmana, to przepyszne ustronie wiejskie i zapełnił je skarbami rzeźbiarstwa. Pałac ten choć obszerny, ma bardzo mało mieszkalnych pokoi, większą jego część zajmują portyki i galerje. Widać że go zbudowano dla samotnego kapłana artysty, gromadzącego obok siebie marmurową rodzinę niby dzieci i wnuków, którym przygotował tę królewską siedzibę.

Na szczególną uwagę zasługują posągi: Apollina, Bachusa, Juljusza Cezara, Augusta, Agrypiny; małe statuetki: Faunów, Satyrów *) i Herkulesa z bronzu; olbrzymia głowa Jo-

---

*) Marmurowy posążek z podpisem Satyressa, przedstawiający kobietę o biodrach i nogach kozich, jest może jedyną rzeźbą tego rodzaju, gdyż w mitologji starożytnej, żeńskich satyrów ani faunów nie było,

wisza z bazaltu, i prześliczny wypukło-rzeźb Antinousa, prawdziwe arcydzieło mogące zająć jedno z pierwszych miejsc w każdym zbiorze europejskim. Tylko w Rzymie po nad gruzami stolicy pogańskiego świata (i to już nie dziś, ale dawniej gdy było mniej zbieraczów) mógł człowiek prywatny takie liczne i doborowe muzeum utworzyć, jak kardynał Albani na początku zeszłego stólecia.

Nie przepomniał on i o malarstwie; najznakomitsze obrazy są: Narodzenie Chrystusa Pana przez Perugina, Madona Guida Reni. Zdjęcie z krzyża, przez Wanderwerfa; krajobraz Salvatora Roza. Amorki Łukasza Giordano, mała kopja transfiguracji Rafaela, przez jego ucznia Juljusza Rzymianina (Giulio Romano) i kartony (to jest pierwotne rysunki, pomysły do przyszłych obrazów) Domeniquina i Frederyka Barocci. Szkic Baroccia przedstawiający ukrzyżowanego Chrystusa, obok którego unoszą się w powietrzu anieli z oznakami rozdzierającej żałości, jest dziełem natchnienia i głębokiego uczucia.

Teraźniejszy właściciel tej rezydencji, tego pięknego ogrodu i tych zbiorów tak bogatych, mieszka w Medjolanie i jak mnie zapewniano, nigdy jeszcze swej własności (odziedziczonej w spadku) nie widział. Przecież, choć pańskie oko z daleka, porządek tu wielki i czystość zadziwiająca na kraj ten.

Villa Borghese stanąć może na równi z poprzednią. Urny z bronzu, z porfiru i z verde antico, świeczniki i trójnogi rzeźbione z miedzi koryntskiej, popiersia z marmuru i ze wschodniego alabastru, płaskorzeźby i posągi, zajmują ośm czy dziesięć sal o sufitach malowanych al fresco, o podłogach wykładanych mozajką.

Ceres nadobnego kształtu, obleczona w tak lekką draperję że przez nią przegląda każde zagięcie i nieledwie każdy muszkuł ciała, wspaniały Herkules, leżący posąg Hermafrodyta, kolosalne popiersie Djany i takież Izydy, policzyć wypada do najznakomitszych zabytków pogańskiej sztuki. Starożytna mozajka znaleziona w 1834 roku w bliskości Rzymu, dobrze zachowana i przedstawiająca walkę gladjatorów z drapieżnemi zwierzęty, jest dziełem arcy ciekawem jako epizod z obyczajów przedchrześciańskiego świata. Znajduje się tutaj także kilka grup naturalnej wielkości, przez kawalera Bernini (między innemi Apollo i Dafne przemieniająca się w drzewo) w których, mimo przesady teatralnej i stylu, który Francuzi zowią manière, widno życie i talent tego płodnego snycerza.

W osobnej sali, na postumencie w kształcie starożytnego łoża, z djademem na głowie, z przejrzystą obsłoną na dolnej części ciała, spoczywa podparta na lewem ramieniu a w pra-

wej ręce trzymająca jabłko, wyciosana z kararyjskiego marmuru Wenus zwyciężczyni (Venere vincitrice jak ją nazywa katalog) arcydzieło Kanowy. Posąg ów pełen uroczego wdzięku, wabiący oko harmonją układu i niezaprzeczoną pięknością form, tem więcej zajmuje i przyciąga, iż nie jest ideałem wymarzonym przez snycerza, ale wierzytelnym portretem historycznej osoby.

Paulina siostra Napoleona, poślubiona księciu Borghese, jedna z najnadobniejszych kobiet swojego czasu, chcąc zostawić dla potomności dotykalną pamiątkę cielesnych wdzięków, któremi ją tak hojnie udarowała natura — odważyła się służyć za model wielkiemu mistrzowi i ukazać mu się kilkanaście razy w bezszatnej postawie olimpijskiej bogini. Mówiono mi, że gdy w kilka lat później jedna z przyjaciołek księżny pytała się jej zarumieniona, jak mogła w podobnym stanie przedstawić się oczom mężczyzny — odpowiedziała z uśmiechem: «O moja droga! urządziłam wszystko z jak największą oględnością — apartament był doskonale ogrzany.»

Trzy sale zawierają galerję malowideł po większej części podrzędnych i niewielkiej wartości *). Powiem jednak słów parę o obrazie Ś. Jan każący na puszczy przez Rafaela Mengs, tego Niemca zwłoszonego, który w XVIII wieku narobił tyle hałasu w Europie i znalazł entuzjastów okrzykujących, że w nim Rafael Sanzio powstał z grobu. W tem dziele Mengsa rysunek poprawny, nie brak koloru i i ruchu — ale brak wzniesienia, szlachetności, ducha... Jest to wierna kopja pospolitej, niezidealizowanej natury! Jego Ś. Jan Chrzciciel o żylastem ciele, z zaczerwienioną twarzą, z wyprężonem ramieniem ku górze, nie przypomina namazańca bożego opowiadającego przyjście Chrystusowe — ale raczej ma postać pijanego pasterza z kampanji rzymskiej, który krzyczy i wymyśla przechodzącym.

Villa Ludovisi choć w obrębie murów miasta leżąca, jest obszernem, cichem, pełnem spokoju i drzewnego cieniu ustroniem. Ogród ten urządzono podług planu sławnego Lenôtre, czyli w dawnym guście francuskim. Niski pawilon obok bramy wchodowej, służy za przytułek stukilkudziesięciu popiersiom i posągom starożytnym. Zbiór ten utrzymywany w ciasnocie i zaniedbaniu, pokrywa kurz i przędza pajęcza. A godnym byłby przecież większej pieczołowitości, ów piękny posąg Apolina opartego na lirze — i Orestes poznający Elektrę, grupa z autentycznym podpisem Menelausa sławnego

*) O bogatej galerji obrazów w pałacu Borghese, mówiłem w poprzednim liście.

snycerza Grecji; i ta kolosalna głowa Junony jaśniejąca wszystkiemi zaletami klasycznego dłuta — i tyle innych rzeźb, które wymieniać byłoby za długo. Wspomnę jeszcze utwór późniejszy, grupę marmurową Plutona porywającego Prozerpinę. Jest to jedno z najmniej manierowanych i może najlepsze dzieło Berniniego. Na suficie pałacowej sali oglądałem z przyjemnością śliczne freski Guerchina przedstawiające Jutrzenkę, Dień i Noc.

Villa Torlonia. Czego tylko można dostać za pieniądze, nagromadził tu Książe-Bankier bez żadnego wyboru, pomięszawszy i style i wieki w najdziwniejszą amalgamę. To też znajdziesz tu wszystko okrom dobrego gustu — który się nie sprzedaje na giełdzie.

Z zasobami jakie posiada rzymski Krezus, mógłby był jak inni zaludnić pałac swój wiejski starożytnemi posągami — kupić nawet od vice króla Egiptu i przewieść do swego ogrodu, najwyższą z piramid, z której szczytu czterdzieści wieków poglądało na Napoleona. Ale starożytne marmury są zwykle poczernione, pomniki przeszłości popękane i uszkodzone — a książe zapewne lubi aby wszystko świeciło jak sztuki monety wyszłej wczoraj z mennicy. Kazał więc sobie wykuć z nowego granitu dwa nowe obeliski z nową kopją starych hieroglifów. Świątynia Westy, kolumny rzymskie z Forum, Kolizeum nawet, musiały w zmniejszonym rozmiarze ale w świeżej szacie stanąć dla ozdoby pańskiej siedziby. Najsławniejsze mozajki starożytne takoż kopjowane, zasłały podłogi pałacu całego w marmurach, złoceniach i freskach nowożytnych. Freski te (nie pomnę już czyjego pędzla) nie są bez zalety — lecz najpiękniejszym przedmiotem pod względem sztuki, jest marmurowa fryza okrągłego salonu, rzeźbiona przez Thorwaldsena i przedstawiająca gonitwy konne w rodzaju Fidjaszowych płaskorzeźb z Parthenonu greckiego. Fryza ta, rysunkiem i wykończeniem należy do rzędu znakomitych dzieł nowożytnego snycerstwa.

Obszerny ogród villi Torlonia z wzorowym porządkiem utrzymywany (ogrodnikiem jest Polak), ma postać angielskiego parku z trawnikami i klombami. W jego obrębie spotykasz co chwila jakiś budynek. Mówiłem już o kopijach obelisków i rzymskich pomników i o pałacu mieszkalnym — są tam prócz tego, kjoski maurytańskie, szwajcarskie szalety, gotyckie kaplice — sala teatralna zbudowana z przepychem prawdziwie książęcym — oranżerje pełne zamorskich krzewów — menażerja dzikich zwierząt — stajnie o żłobach rzeźbionych z marmuru, z freskami na suficie (miałem chęć pytać przewodnika czy pozłacają owies dla koni)! — Pokazano mi także sztuczną grotę murowaną (która

miała kosztować 400,000 fr.) o sklepieniach lepionych z gliny, o rozpadlinach wyżłobionych kielnią, o stalaktytach kręconych z powrozów oblanych błyszczącą powłoką krystaliczną — kaskada tylko jest z prawdziwej wody!

Widoczną jest rzeczą, że książe bankier ma niesłychany pociąg do wszelkich kopji. Trzeba mu jednak oddać jedną, słusznie należną sprawiedliwość za to, iż napełniwszy swoją villę naśladowaniami dzieł sztuki i natury — wstrzymał się od naśladownictwa niedbałości i brudów swego rodzinnego miasta!

Villa Pamphili-Doria zajmuje ogromny przestwór ziemi na wzgórzach panujących Rzymowi od strony północnej. Piękny pałacyk z rozległym widokiem na całą panoramę wiecznego miasta, nie zawiera żadnego zbioru artystycznego; ale otaczający go ogród, łąki, winnice, jezioro, lasek sosnowy (złożony z tych malowniczych sosen włoskich zwanych parasolami) zielone aleje, obfitość wody spadającej w kasdalach lub bijącej w górę z licznych fontan, ściągają tu podróżujących cudzoziemców, radych odetchnąć świeżem powietrzem, pokrzepić się przechadzką, napoić wzrok wspaniałym krajobrazem.

Tutaj w 1849 roku stała główna kwatera armji francuskiej pod przywództwem jenerała Oudinot oblegającej Rzym; i książe Pamphili-Doria wystawił świeżo w swym parku piękny pomnik marmurowy na pamiątkę poległych żołnierzy francuskich.

Oto masz skrócony opis najgłówniejszych villi tutejszych. Dodać muszę iż wstęp do nich nie jest otwarty każdemu. Trzeba się starać o pozwolenie na piśmie od właściciela lub plenipotenta (czego zresztą nie odmawiają nikomu). Ale dla uniknienia długich korowodów, najłatwiejszym kluczem do tych Hesperydów jest sztuka dwudziestobajokowa włożona w rękę odźwiernemu. W Rzymie (gdyby to było możebnem) pokazanoby ci siódme niebo, za pieniądz srebrny!

LIST XIV.

Groby pogańskiegu Rzymu. — Mauzolea cesarzów Adrjana i Augusta. — Columbaria. — Grobowiec Cecylji Metelli. — Via Appia odgrzebana. — Katakumby i ich początek. — Opis wycieczki podziemnej po tych smętarzach pierwotnych chrześcjan. — Museo sacro i znajdujące się w niem zabytki.

Rzym, 20 Lutego 1852 roku.

Starożytni Rzymianie oddawali przykładną cześć zmarłym. Ich groby o krótkich napisach bez przesadzonych pochwał, imie tylko, wiek i stan pogrzebanej osoby głoszących, ozdobne w płaskorzeźby, w popiersia, lub w posągi, stały zwykle w miejscach najwięcej uczęszczanych np. wzdłuż dróg publicznych.

Niektóre z tych pomników były tak ogromnego rozmiaru, że je w średnich wiekach zamieniono w fortecę, i siedziba umarłych stała się uchroną przed śmiercią, dla żywych. Sławny zamek Ś. Anioła górujący po nad Tybrem, który tylekroć wytrzymał szturmy i nie raz przyjął w swych murach papieżów zagrożonych nieprzyjacielską napaścią *), jest-to dawne mauzoleum wystawione przez cesarza Adrjana dla siebie i swych następców.

Kilkaset posągów i kolumn z najkosztowniejszych marmurów, zdobiło niegdyś ten dom wiecznego spoczynku ubóstwionych za życia władzców świata. Ale Konstantyn W. stawiając bazylikę Ś. Pawła **) kazał zabrać do budowy chrześciańskiej świątyni, Adrjanowe kolumny; a wojsko Belizara (jak utrzymuje miejscowe podanie) oblegane tu przez Gotów, zrzuciło na głowy barbarzyńcom, arcydzieła starożytnej cywilizacji, Adrjanowe posągi. Pozostał tylko, z olbrzymich głazów wzniesiony gmach okrągły, do którego dołą-

---

*) Sklepione przejście (tysiąc stóp długości mające) łączy zamek Ś. Anioła z Watykanem. Benvenuto Celini w swoich pamiętnikach opowiada malowniczo, schronienie się tutaj Klemensa VII papieża, przed napadem wojsk hiszpańskich w roku 1528. Celini w czasie tego niespodziewanego oblężenia obecny w zamku, kierował artylerją papieską, i utrzymuje że to on sam wyrychtował szmigownicę, która zabiła Konetabla de Bourbon dowódzcę wojsk nieprzyjacielskich.

**) Wspaniały ten kościoł o pięciu nawach, położony śród kampanji rzymskiej zdala od miasta, zgorzał w 1828 roku. Odbudowują go na nowo z ogromnym nakładem. Robota trwa od dwudziestu kilku lat i może jeszcze z dziesięć lat upłynie nim Bazylika S. Pawła ukończoną zostanie.

czono przekop i szańce, przymurowano górne piętro ze strzelnicami i uchroną dla załogi; a na szczycie warowni stanął kolosalny Michał Anioł z bronzu, wkładający miecz do pochwy. Dawniejsze mauzoleum cesarza Augusta, równej wielkości i zapewne nie mniejszego przepychu, przechowało się do naszych czasów jedynie w swych podziemiach i w obwodzie dolnego muru. Dzisiaj służy za amfiteatr konnych widowisk i może mieścić kilka tysięcy widzów.

Monumentalny grób Kajusa Cestjusa, pozostał w całości. Jest to piramida z białego marmuru na trzydzieści siedm stóp wysoka. Czas, kapryśny burzyciel, który zniszczył w znacznej częsci stojące w pobliżu groby wielkich Scypjonów, nie naznaczył ani jedną szczerbą pomniku Cestjusza, nieznanego w historji bogacza!

Obok bramy Ś. Sebastjana śród winnicy, odkryto przypadkiem w 1830 roku dwa zbiorowe grobowiska, zwane u Rzymian gołębnikami (columbaria). Są to kwadratowe głębokie sklepy, oświecone z góry, o ścianach pokrytych gęstemi rzędami półokrągłych framug. W każdym takowym otworze stoi wmurowana urna a raczej gliniany garnek (olla) z pokrywką i mieści popioły ze spalonych kości nieboszczyków. Te grobowiska przez siedm czy ośm wieków przysypane ziemią, zachowały się nietykalne i przedstawiają arcy zajmujący widok dla archeologa. Jak świadczy mozaikowy napis, Cajut Pomponius Hylas i Pomponia Vitaline, zbudowali je dla siebie i swych niewolników, których grzebano obok panów jakby członków rodziny *).

Prawdziwy smętarz pogański leży daleko za dzisiejszem miastem wzdłuż starożytnego gościńca Apjusza (via Appia), przecinającego w prostej linji tę szeroką i płaską dolinę co się ciągnie od murów rzymskich, z jednej strony aż do morza, a z drugiej do pasma gór na pochyłości, których bieleją malownicze miasteczka, Frascati i Albano. Jest to część owej Campagna di Roma, podobnej do ukraińskiego stepu, śród której, jak mówi jenialny poeta w epilogu do Irydjona: «Czarne wodociągi idąc ku miastu, nie znachodząc «miasta, stanęły; opadłe z nich głazy leżą pogrzebnemi stosy; «tam powój się rozwlekł przysypan kurzawą, tam radzą ptaki «nocne i jęczą....»

Grób Cecylji Metelli żony triumfira Krassus **), zbudo-

*) Dla tego to zapewne, dotąd w Rzymie nazywają służących: la famiglia.

**) Aby dać wyobrażenie o skromności napisów nagrobkowych u starożytnych, przytaczam epitaf pomnika Metelli:

CÆCILIÆ.
Q. CRETICI. F.
METELLÆ. CRASSI.

wany w kształcie okrągłej wieży, uwieńczonej rzeźbioną z marmuru fryzą, najpiękniejszy i najwspanialszy, po mauzoleach cesarskich, z pośmiertnych pomników rzymskich (i który także od czasów Bonifacego VIII, przez parę wieków służył za fortecę) rozpoczyna szereg tego grobowego gościńca.

Oddawna Via Appia była kopalnią pamiątek starożytnych. Każdy kto miał ku temu wolę i władzę, łupił bezprawnie własność zmarłych pokoleń, rzucał na wiatr ich popioły a zabierał najokazalsze sarkofagi rozkwitłe w rzeźby znakomitego dłuta. Wszystkie te dzieła sztuki, które powinny były nietykalne pozostać na miejscu, dziś porozrzucane — zdobią muzea papieskie — pałace, wille i ogrody panów rzymskich *).

Dopiero Pius IX nakazał robić regularne poszukiwania (fouilles) na tym gruncie rytym częściowo i ogołoconym już ze znaczniejszych skarbów. Od dwóch lat pod kierunkiem biegłego inżyniera, pracują tu robotnicy, i już na długość mili polskiej rozkopana ziemia, odkryła leżące w jej łonie zabytki. Praca nie ustaje i ma być posuniętą aż do Albano.

Dziwny to widok tego smętarzowego gościńca — zdaje ci się że idziesz ulicą zgorzałego miasta. Na prawo i na lewo, w równych odstępach, sterczą zręby kwadratowych domków a podłogach wyłożonych mozajką ozdobną w figury i w gustowne szlaki. W bardzo wielu grobach widać jeszcze urny pełne popiołów — na niektórych pozostał napis (titulus), fryza, resztki kapitelów. Tutaj odkopany posąg bez głowy, stoi jak białe widmo upiora — tam kadłub marmurowy z podniesioną ręką, oparty o brzeg drogi, ma postać potępieńca zakopanego po pas w ziemię, który błaga przechodzących o ratunek — dalej stos potłuczonych kolumn leży na innych gruzach. A wszędy grunt zasuty, odłamkami marmuru i porfiru — nogi, ręce, głowy posągów, tarzają się w pyle tego pobojowiska, na którem czas i ludzie nowi, pastwili się w zawody nad pamiątkami dawnych pokoleń. Gdyby tutaj zniesiono napowrót, złupione niegdyś sarkofagi i mauzolea — Via Appia stałaby się drugą Pompeją, najpiękniejszem i najciekawszem muzeum w świecie!

Na zakończenie tego poglądu na wieczne miasto, zachowałem opis Katakumb i zdanie ci sprawy z mojej podziemnej pielgrzymki po tych zarazem kościołach, smętarzach i schronieniu pierwotnych chrześcian.

Zroszone krwią męczenników, uświęcone wspomnieniami

---

*) Sarkofag wydobyty z mauzoleum Cecylji Metelli, stoi na podwórzu pałacu Farnese.

wiary, obleczone poetycznym urokiem przez pieśni wieszczów lgnących do wszystkiego co jest tajemnicze — katakumby mają początek bardzo prozaiczny.

Jak prawie cały półwysep włoski tak i okolice Rzymu składają się z terenu wulkanicznego, pokrytego pokładem ziemi wegetalnej. Ten piasek brunatny zwany dziś puzzolana, resztki przepalone po zagasłych jeszcze może przed potopem wulkanach, jest doskonałym do robienia cementu. Od czasów niepamiętnych, zapewne od epoki pierwszych królów, mieszkańcy Romulusowej osady, kopali głębokie jamy szukając tego wyborowego materjału do murowania. W miarę jak Rzym rósł w potęgę, mnożyły się domy i pomniki — do ich budowy potrzeba było coraz więcej puzzolany. Oględny rząd zaprowadził porządek w kopalniach — by uniknąć zawalenia się ziemi, rozkazano przebijać galerje w naznaczonych odstępach i w coraz nowych kierunkach. Po kilku wiekach pracy i wywozu, utworzyła się, jakby ogromna sieć wąskich kurytarzy podziemnych krzyżujących się w niepoliczone gałęzie i ogniwa — i powstał szeroki labirynt straszniejszy od owego, z którego wywiodła Tezeusza nić Arjadny — straszniejszy, mówię, bo pozbawion promieni słonecznych, bo złożony z kilku piętr coraz głębszych podziemi połączonych z sobą schodami. Robotnicy pogańscy mimowiednie, opatrznie, przygotowywali zawczasu uchronę dla wyznawców nowej, prześladowanej wiary!

Na powierzchni ziemi wzbroniono chrześcianom słuchać wykładu Ewangelji, odprawiać obrzędy religijne — zeszli więc do pustych katakumb, rozkopali szerzej kończyny niektórych zaułków, i tak stanęły pierwsze kościoły boże, gdzie zdala od gnębicieli, przy blasku pochodni, odzywał się głos kapłanów, wznosiły się ku niebu modły wiernych. By uniknąć nakazu palenia ciał zmarłych na stosie (rogus), wyżłobili w ścianach kurytarzy podłużne otwory — i tam grzebano ciała braci, którzy skończyli spokojnie żywot doczesny, lub padli śmiercią męczeńską. W tych także niedostępnych manowcach, nie jeden świeżo nawrócony Rzymianin, oskarżony od krewnych, ścigany przez władzę, znajdował bezpieczne ukrycie.

Z upływem czasu, w chwilach ulgi i krótkiego spokoju, przedarł się do katakumb pewien rodzaj okazałości; freski pokryły sklepienia kaplic, rzeźba ozdobiła ołtarze — a każdy grób zamknięto płytem białego marmuru z napisem. Tradycja głosi, że czternastu Papieżów i sto kilkadziesiąt tysięcy chrześcian spoczywa w tych smętarzach.

Nikt może w żadnej epoce, nie zwiedził wszystkich kryjówek tej szerokiej Nekropoli ciągnącej się (podług zdania wielu autorów) aż do brzegów morza i do granic państwa

Neapolitańskiego. Wyobraźnia Anny Retckliff, Teodora Hoffmana i Arnima, nie wymyśliła nic bardziej fantastycznego i przerażającego, jak rzeczywistość tego podziemnego miasta bez końca, które miało za ulice sklepione rowy, za domy grobowiska, za świątynie, groty w twardym piasku wykute, za słońce, blask pochodni — za ludność, codzień gotujących się na śmierć męczeńską, czcicieli prawdziwego Boga!

Oddawna już, z przyczyny licznych przypadków obrywania się sklepień, które pozbawiły życia niejednego z odwiedzających, wstęp do całych katakumb wzbronionym został dla publiczności. Kilku zaledwie śmiałych badaczów (i to dopiero za wdaniem się dyplomacji i z ogromnym kosztem na grabarzy torujących w wielu miejscach drogę motyką i rydlem) wkraść się zdołało, w ostatnich czasach, do tych tajemniczych podziemi *).

Podróżni tacy jak ja, ograniczać muszą swoją ciekawość, na trzech smętarzach położonych za miastem w bliskości kościoła Ś. Wawrzyńca, Ś. Sebastjana i Świętej Agnieszki. W dwóch pierwszych oglądać można zaledwie kilka galerji zakończonych murem, który przecina dalsze komunikacje. Ostatni, jest najobszerniejszym, najwięcej zajmującym i daje najlepsze wyobrażenie czem były i czem są katakumby.

Pozwolenie na piśmie wydane z kancellarji papieskiej jest niezbędnem do tej podziemnej wyprawy. W naznaczony zawczasu dzień i na umówioną godzinę, przybyłem w towarzystwie polskiem z ośmiu osób złożonem, do winnicy obok kościoła Ś. Agnieszki, gdzie już czekało na nas dwóch przewodników z pochodniami. Każdy z nas również uzbroił się zapalonym stoczkiem — i zstąpiliśmy do państwa umarłych po długich, wilgotnych schodach, po których Dante musiał stąpać przed napisaniem swej Epopei!

Wszystkie galerje są wąskie, trzeba postępować jeden za drugim, jak duchy nocne sunące pogrzebową procesją przy bladem świetle migotających ogników. Czy na prawo czy lewo zwrócisz oczy w tej ciasnocie, ten sam uderza cię widok; kilkorzędowe, podłużne, otwarte framugi pełne kości i czaszek. Niekiedy, jakby dla przerwania tej jednostajności, wprowadzają cię przewodnicy do przestronnej groty. Tutaj

---

*) Opowiadano mi, że parę lat temu jeden rolnik z kampanji rzymskiej, odkrywszy w swej winnicy otwór komunikujący z katakumbami schodził tam często, plondrował po nietkniętych grobach i sprzedawał kupcom starożytności, wyniesione stamtąd pamiątki. Jednego dnia zgasła mu lampa, zamokły zapałki; stracił przytomność i zabłąkał się. Po czterdziestu ośmiu godzinach dopiero, zdołał na wpół umarły wydobyć się z tego grobu. Z przestrachu, włosy jego czarne, nagle zbielały jak śnieg.

była kaplica *); stoi jeszcze ołtarz murowany z prostych kamieni, na ścianach ślady fresk zaczernionych dymem pochodni — ceglane pułki, na których składano ubogie przybory do odprawiania ofiary mszy świętej; obok ołtarza, głaz wyciosany w kształcie szerokiego krzesła, który służył zarazem za kazalnicę i za konfesjonał. Dalej znów długie, krzyżujące się kurytarze, a w nich groby i kości. Za niemi jeszcze dalej, schody a raczej ścieszka pochyła, stroma, prowadzi w dolne piętro zupełnie podobne do wierzchniego. Takież same tu rozporządzenie, ten sam obraz żałobny innego zdaje się świata; kaplice i smętarze, ciemny i samotny labirynt, z którego (mimo uroku religijnego budzącego w duszy litość i uwielbienie) radbyś wyjść jak najprędzej na świeże powietrze, odobaczyć dziedzinę żywych, błękit nieba i promienie słońca! Wizyta nasza trwała blisko dwie godzin.

Spodziewam się żeś zrozumiał z tego opisu, iż dziś w katakumbach pozostały tylko wspomnienia, goła ziemia, nagie ołtarze i otwarte groby. Wszystko co było pamiątką historyczną lub dziełem sztuki, przeniesiono oddawna do Watykanu, gdzie te zabytki są przystępniejsze dla oka, zabespieczone od wilgoci ziemnej i łupiestwa pojedynczych amatorów. Płaskorzeźby i napisowe marmury, wlepiono w ścianę szerokiej galerji, służącej za wejście do Muzeów Watykańskich. Łatwo rozpoznać chrześciańskie epitafy; pod napisem znajduje się na nich zawsze symboliczny rysunek np. Pastor bonus (to jest Chrystus niosący jagnię na ramieniu), lub gołąb z różczką oliwną w dziobie. Na innych znów są znane symbola, jako to: lira oznaczająca krzyż, latorośl winna, Syna Bożego — gałąska palmowa, zwycięstwo — kotwica, zbawienie i t. d.

Jedna z sal bibljoteki zwana Museo sacro, zawiera w zamkniętych szafach kosztowniejsze pamiątki pierwotnego chrześciaństwa, znalezione w kaplicach i grobach katakumbowych. Wyliczę ci znaczniejsze a raczej ciekawsze przedmioty. Są tam kielichy i pateny (najdawniejsze ze szkła, późniejsze ze słoniowej kości i z metalu), wszystkie bez ozdób i najprostszej formy — żelazne krucyfiksy z zawieszonemi na łańcuszkach literami greckiemi alpha i omega, znaczącemi, że Bóg jest początkiem i końcem wszech rzeczy; okrągłe puszki nakształt zegarków, do tajemnego noszenia viatyku umierającym; owalne blachy z rączką, otoczone przyczepionemi mniejszemi blaszkami ruchomemi, które służyły za

*) Kaplice te dzielą się na dwie części, przegrodzone niskim murem: jedna była przeznaczona dla mężczyzn, druga dla kobiet.

dzwonki do mszy świętej; pierścienie a zarazem pieczęcie pierwszych Papieżów i Biskupów; pastorały ze słoniowej kości i z mosiądzu; szafki (tryptique) z obrazami Chrytusa, Marji lub Świętych, z epoki dzieciństwa sztuki malarskiej; małe flaszeczki szklanne z wyrżniętemi literami PR: CH: (pro Christum). Po takowych flaszeczkach zwykle napełnionych krwią, poznawano groby męczenników, którym bracia składali na piersiach to świadectwo, że umarli za Chrystusa!

Zbiór ten, jedyny w swoim rodzaju, żywo zajmuje uwagę każdego — czy to mu się przygląda z ciekawością zwyczajnego turysty, czy z badawczym wzrokiem archeologa, czyli też z pobożnem uczuciem chrześcianina. Muzeum święte tworzy z katakumbami jedną całość — i dopiero po obejrzeniu pierwszego i zwiedzeniu ostatnich, możesz powziąść uzupełnione wyobrażenie o cierpieniach, walkach i tryumfie tej wiary, która jak jądro żołędzi zagrzebała się w głębie ziemi, by stamtąd wyrość na olbrzymi dąb wybujały ku niebu — i o tej społeczności ubogiej, bezsilnej, ściganej potężnym mieczem Cezarów — której przeznaczeniem było odrodzić świat duchowo, zawładnąć nim i rozpocząć nową erę w dziejach człowieczeństwa!

LIST XV.

Karnawał rzymski. — Widok ulicy Corso. — Zacięta bitwa kwiatami i tynkiem. — Wyścigi konne. — Nowożytne tryumfatory Rzymu. — Mocoletti. — Religijność ludu. — Procesje. — Klasztor Sepolte vive. — Rzym na pokucie. — Odjazd cudzoziemców do Neapolu.

Rzym, 26 Lutego 1852 roku.

Znasz owe mechaniczne lalki norymbergskie, które nakręcone kluczem, biegają po podłodze, machają rękami, czasem nawet piszczą na uradowanie dzieci — ale skoro wewnętrzne ich kółka skończą swój obrót, kończy się też ich życie chwilowe i nagle stają nieporuszone?

Otóż przez ciąg ośmiu ostatnich dni karnawału, podobnie jak owa lalka, ludność rzymska zwyczajnie tak mało ruchawa, ocknęła się z letargu i za pozwoleniem zwierzchności hałaso-

wała i szalała — dopóki policja, widząc zbliżającą się onegdajszą północ (która stanowi legalną granicę między Zapustami a Postem) nie zatrzymała życiodawczej sprężyny. Wszystko razem ucichło i skamieniało — bo tutaj z dwunastem uderzeniem nocnego zegaru, musi się w powietrzu zatrzymać przygotowany skok, zamilknąć rozpoczęty akkord orkiestry i zagasnąć ostatnia lampa balowa. Od wczoraj, Rzym zapadł w spokój grobowy — napowrót chodzi swoim zwyczajnym żółwim krokiem, lub nieruchomy grzeje się na słońcu!

Teatrem zabaw karnawałowych jest Corso, ulica prosta i długa na ćwierć mili polskiej, gdzie codziennie od godziny drugiej z południa do szóstej wieczorem, całe miasto zbiega się na widowisko, jako niegdyś za czasów pogańskich biegło do Cyrku Wespazjana. Wszystkie dymniki, okna, balkony i sklepy, zamieniają się na loże ozdobione w draperje z karmazynu o frędzlach z jedwabiu i szychu — ale tam zasiądą tylko mieszkańcy tej uprzywilejowanej ulicy, lub ci, których kieszeń zdobyć się może na dosyć znaczny wydatek, by wynająć sobie miejsce dogodne*). Mniej fortunna publiczność tłoczyć się musi po wąskich chodnikach, albo przemykać między dwoma rzędami mijających się pojazdów. Bióra, sklepy, warsztaty o tej porze zamknięte; każdy śpieszy na nowożytne saturnalja, bo mu powiedział kalendarz i municypalne trąby ogłosiły, że to czas zabawy dla znudzonych.

Od dwóch lat wzbronionem zostało nosić maski na twarzy — a zatem Poliszynelle, Pierroty, Turki, Markizy, a nawet Druidessy, Westalki i wieśniaczki w malowniczym kostiumie z Albano, ukazywać się muszą z odkrytem obliczem. Ręczę, że to piękne Rzymianki, chełpliwe z klasycznego profilu ich twarzy, podszepnąć musiały policji ten środek zbytecznej ostrożności.

Wyższy świat rzymski i cudzoziemcy, nie przebierają się, ale jeżdżą w odkrytych ekwipażach śród pojazdów napełnionych maskami, a raczej ukostjumowanymi aktorami tego karnawałowego widowiska. Najuboższa klasa ludności w zwyczajnym ubiorze, lub w brudnym stroju teatralnym, biega pieszo, wrzeszcząc na całe gardło i śmiesząc się nawzajem brukowemi koncepty.

Z tego com ci dotąd powiedział, sądziłbyś, że zapusty tutejsze nie mają w sobie nic oryginalnego — w innych krajach także, maski jeżdżą i chodzą, tłoczą się, piszczą i hałasują — a ludzie spokojni patrzą się na nie z góry, jak fizjo-

*) Najęcie obszernego balkonu na 8 dni, kosztuje najmniej 200 franków — okno płaci się do 80 fr., a pojedyńcze miejsce do 25 fr.

logowie zwiedzający dom warjatów. Lecz nie na tem tu koniec. W Rzymie, każdy z obecnych na Corso, jest zarazem spektatorem i aktorem i musi chcąc nie chcąc brać czynny udział w zaciętej walce, która się toczy między publicznością jeżdżącą a siedzącą.

Zaczepną i odporną bronią tych dwóch obozów są bukieciki z kwiatów (fiori), niby race Kongrewa — i fałszywe cukierki (confetti) robione z gipsu, wielkości sarniego szrótu, niby kartacze bojowe. W pojazdach i na balkonach stoją przygotowane kosze i wory pełne amunicji — a szermierze, trzymają przed twarzą drucianną maskę dla uchronienia oczu od gwałtowności pocisków.

Żaden pojazd nie może dostać się na Corso, jak z dwóch jego kończyn, albo od Piazza del popolo albo od Piazza di Venezia — i skoro wjedziesz na pole bitwy i postępujesz w tłoku noga za nogą, sypią ci się na głowę, z balkanów i okien, gęste strzały bukietów i rzęsisty grad gipsowy. Jadący broni się jak może, odpowiada atakującym podobnemiż pociskami — czerpie naprzemian to w koszu, to w worku i wytęża ramię przeciw wrogom. Próżne usiłowania, bezowocny heroizm! koniec końców, staje się niewinną ofiarą, gdyż z dołu nie podobna mu dosięgnąć zaciętych katów, którzy z góry pastwią się nad nim; grom co tu bije, dla nich tylko błyska! Nim dojedziesz do końca ulicy już jesteś biały jak młynarz, lub jak szczupak przygotowany do patelni — twa głowa oplugawiona kurzem, oczy zapruszone tynkiem — bo na wielu balkonach, ludzie rafinujący uciechę, mają wory pełne mąki gipsowej, którą całemi talerzami sypią w pojazdy. Im więcej kto ubielony, tem bardziej wszyscy nań godzą — bo taka słabość a raczej złość ludzkiej natury, iż znajduje pewną roskosz w gnębieniu pognębionych!

Przez ciekawość, a raczej dla kompanji (dla której, jak mówi przysłowie, kiedyś w Polsce cygan dał się powiesić) jeździłem pojazdem i siedziałem na balkonie — byłem ofiarą i ofiarnikiem — przyznam ci się jednak, że mi ta zabawa niezbyt przypadła do smaku. Gdyby rzecz kończyła się na bukietach, nie grałbym roli starego zrzędy i cieszył się wraz z drugimi — ale kurzawy czarnej czy białej nie lubię!

Cudzoziemcy którzy zwykle, naśladując zwyczaje miejscowe, przesadzają we wszystkiem, najczynniejszymi byli aktorami w tej bójce, a między nimi odznaczały się angielskie i francuskie kobiety, jako najzaciętsze artylerzystki. Płeć słaba, dała dowody godnego wyższych przedsięwzięć wigoru.

O godzinie piątej wystrzały z moździerzy dają sygnał do drugiej części programatu. Pojazdy muszą ustępować z Corso

a rozstawione warty wojskowe, spędzają publiczność na chodniki, by zostawić środek ulicy wolny na konne wyścigi. Te wyścigi są takoż szczególnego rodzaju; konie ubrane we wstęgi i kity z piór i jedwabiu, lecą bez jeźdców śród opłótek z ciał ludzkich, podżegane do biegu przyczepionemi na grzbiecie wahadłami kolczastemi i krzykiem stutysięcznych widzów.

O ludu rzymski, potomku dawnych panów świata! wyrodziłeś się od praojców, zmiękłeś, zmalałeś i znikczemniałeś, ale niepowściągniona ich namiętność do widowisk, do circenses, pozostała w tobie całkowicie! O! ten krzyk konwulsyjny, dziki, bezlitośny, który w tych dniach wyrywał ci się z piersi na widok lecących w pełnym galopie koni, był odgłosem tegoż samego krzyku, który grzmiał przed wiekami po cyrkach, na zagłuszenie jęków konającego gladjatora, na stłumienie głośnej modlitwy chrześcian umierających pod szponami lwów i tygrysów! Ten wrzask nieopisanej siły i energji, przeniósł mnie myślą w pierwotne wieki Romulusowej osady, i zacząłem patrzeć z litością po balkonach, bo mi się zdało, że za chwilę rozpocznie się powtórzenie sceny porwania Sabinek!

Koń który pierwszy dobiegł do mety, wygrywa dla swego właściciela 20 skudów; wieńczą laurem czworonogiego zwycięscę i oprowadzają po mieście. Oto są tryumfatory nowożytnego Rzymu!....

Przez dni następne ten sam program i też same uciechy. Wieczne miasto i tak już brudne, pokrywa się nową warstwą kurzawy; wiele osób dostaje zapalenia w oczach, ale wszyscy zadowolnieni, szczególniej właściciele domów na Corso, bukietnicy i fabrykanci tynkowego szrutu, bo większa część cudzoziemców wydaje znaczne summy na amunicję!

W ostatni wtorek, po promenadzie i po wyścigach konnych, w chwili gdy nocny mrok rozpościera się po niebie, zaczyna się ostatnie widowisko uliczne pogrzebu karnawałowego.

Piesi, pojazdowi, stojący na balkonach i w oknach, zapalają małe stoczki (mocolletti), niby gromnice po nad łożem konających zapust. Wzdłuż ulicy prostej jak strzała, widzisz przed sobą i za sobą, od dachów aż do dołu, migotające światełka niepoliczonych świeczek woskowych. Jest to widok prawdziwie malowniczy, przewyższający czarodziejskim urokiem wszystkie illuminacje jakiem kiedykolwiek widział.

W innych krajach obraz ten wspaniały wystarczyłby do uciechy, ale rozruchani Rzymianie jako dzieci na rekreacji, puszczają się na figle i psoty i jedni drugim gaszą zapalone stoczki. Rozpoczyna się walka obskurantyzmu przeciw światłu. Chustką lub szmatą przyczepioną na długim pręcie.

mieszkańcy trzeciego piętra atakują siedzących w oknach na drugiem; drugie mści się na pierwszem, pierwsze piętro uderza na jadących w pojazdach, a pojazdowi ociemniają pieszych. Stoczki gasną i zapalają się na nowo, publiczność klaszcze, wrzeszczy, śmieje się Homerycznym śmiechem, i po godzinie ogniowych zapasów, Horacjusze i Kuracjusze, Gwelfy i Gibellini okurzemi tynkiem, okapani woskiem, okopceni dymem, wracają do domu uradowani że się tak przyjemnie ubawili!...

Kiedy Rzym tak szaleje na Corso — w innych, odleglejszych częściach miasta, pobożne bractwa odprawiają procesje pokutne, jak gdyby błagając Boga o przebaczenie za lekkomyślność współbliźnich. Jednego z dni karnawałowych wyszedłszy na przechadzkę, spotkałem takie świątobliwe grono złożone z księży, kobiet i ludzi, należących (sądząc z ubioru) do wyższego towarzystwa — obchodzące z nabożeństwem kapliczki stacji męki Chrystusowej, zbudowane w obrębie murów Kolizeum.

W Rzymie jest jeszcze dużo szczerej i przykładnej religijności. Kościoły zawsze pełne, konfesjonały ciągle zajęte — kobiety i mężczyzni modlą się, że tak powiem, namiętnie — bo w południowych krajach każde uczucie dochodzi do egzaltacji. Śród ogromnej liczby klasztorów, jest tu jeden zakon żeński tak surowy, że dotąd Stolica apostolska nie śmiała potwierdzić jego reguły i tylko toleruje to ciągłe katowanie ciała i torturę ducha, posunięte prawie do męczeństwa. Zakonnice te nazywają się: Sepolte vive, to jest pogrzebane żywcem.

Raz przestąpiwszy próg klasztorny, już nie wolno im oglądać innej twarzy ludzkiej jak oblicze współtowarzyszek, ani mieć najmniejszego stosunku ze światem. Codzień, na sygnał dzwonka idą słuchać mszy świętej, ale nie widzą księdza ani nawet kościoła, od którego je nie krata, lecz gruby mur przedziela. W tym murze zostawiono mały otwór okrągły otwierający się tylko dla ucha spowiednika i dla przeprowadzenia ręki kapłana, podającego komunikant niewidzialnym dla niego ustom. Biedne pokutnice śpią na gołych deskach, nigdy nie rozbierają się i nie wolno im mówić jak w czasie obiadu. Dodaj do tego nieustanne modlitwy, wieczny post, włosiennicę i biczowania, a nie będziesz miał jeszcze kompletnego spisu tych dobrowolnych tortur. Jedna tylko przeorysza może korespondować i utrzymywać pośrednie stosunki ze światem pozaklasztornym — i gdy jej doniosą zgon bliskiego krewnego, której z zakonnic, zwołuje ona wszystkie i mówi: «Podobało się Bogu powołać do siebie ojca (matkę lub siostrę) jednej z was — módlcie się siostry.» I oto kilkadziesiąt serc zarazem, przeszyte strzałą

tem boleśniejszą, iż niewiadomo, które z nich dosięgnięte jej ostrzem! Śmierć nawet nie uwalnia je od surowej klauzury — zwłoki zmarłej zakonnicy nie wychodzą za próg klasztoru — towarzyszki niosą je same do piwnicy i składają w dół napełniony wapnem, by jak najprędzej znikło to marne ciało i zostawiło wolne miejsce dla następnych.

Tylko w egzaltowanej wyobraźni południowców, mogło się wyrodzić przekonanie, iż podobnie rafinowane męczarnie, są przyjemnemi Bogu nieograniczonego miłosierdzia!

Z resztą, po uciechach karnawałowych — cały Rzym od wczoraj ciężko pokutuje. Popielcowy proch zachmurzył mu czoło i medytuje nad słowami: pulvis es in pulverem revertebis! Aż do Wielkiej-nocy wszystkie teatra zamknięte, instrumenta muzyczne zagwożdżone, a w środy, piątki i soboty, post taki ostry, że nie dostaniesz mięsa w traktjerni, ani śmietanki w kawiarniach. Cudzoziemcy pakują się i wynoszą do weselszych krajów, jak żurawie po pierwszym przymrozku. Ja także za dwa dni wyjeżdżam do Neapolu, tej czarownej siedziby, tej syreny miast, która wiecznie się uśmiecha i śpiewa między szafirem nieba, a błękitami golfu; Neapolu, o którym mówi włoskie przysłowie, że trzeba go widzieć a potem już można umierać bez żalu: Veder Napoli e poi morir!

LIST XVI.

Ogólny pogląd na Neapol i jego okolice. — Opis miasta i przyczyna braku w niem wielkich pomników architektonicznych. — Kościół katedralny Santa Restituta. — Kaplica i skarbiec S. Januarego. — Santa Chiara. — Mauzoleum Roberta Wielkiego. — Kościół Karmelitów. — Groby Konradyna i Mazaniella. — Kościół S. Franciszka di Paola. — Campo Santo.

Neapol, 9 Marca 1852 roku.

Jak w każdym utworze genialnego artysty — w budowli, w posągu, w obrazie, w symfonji, w poemacie — są zawsze pewne części dzieła daleko piękniejsze od innych, pojęte i wykonane zapewne w chwili wyższego natchnienia, gorętszego uczucia — tak samo i w naturze niedorównanem arcydziele rąk bożych, znajdują się miejscami, poetyczniejsze że tak

powiem ustępy — przestwory ziemi wyrobione w kształty więcej ponętne, ubrane w żywszy koloryt, ozłocone promienniejszem światłem. Jednym z takich wyjątkowych epizodów stworzenia, jest okolica, śród której leży Neapol — i dla tego to. Włosi nazwali ją: kawałkiem nieba spadłym na ziemię (un pezzo di cielo caduto in terra).

Wyobraź sobie ogromną półkolistą zatokę, której wybrzeża rozzielenione w rodzime laury, myrty, pomarańcze i w afrykańskie palmy, piętrzą się w malownicze i coraz wyższe wzgórza — a z dwóch stron spływając ku morzu, zaokrąglają się jakby w dwa miłosne ramiona — wyobraź sobie na spokojnych falach zatoki, rozrzucone w nierównych odstępach cztery prześliczne wyspy*), niby pływające kosze kwiatów. Na krańcach widnokręgu postaw w dali na prawo, piramidalny cypel przylądku Mizeny — a bliżej na lewo, stromy szczyt Wezuwjuszu i roskoszne, cieniste i wonne wybrzeża Castelamare i Sorrento. Rozwieś nad tym krajobrazem, szafiry włoskiego nieba — rozlej po nich takie potoki djamentowego światła, jakieś tylko w snach twoich mógł widzieć — popuść wodze wyobraźni bez obawy wpadnięcia w przesadę — a będziesz miał blady cień rzeczywistości, ciemny odbłysk tego szczęśliwego zakątku ziemi, w którym przed wiekami osadnicy greccy założyli Parthenopę, przezwaną później Neapolem. Bajeczna tradycja podaje, że przed przybyciem Hellenów, mieszkały na tych brzegach Syreny!

Neapol, miasto tak starożytne i tak ludne (blisko 600,000 mieszkańców), pełne wesołości, ruchu, życia i cywilizacji — o szerokich ulicach brukowanych płaskiemi płytami lawy, o kilkopiętrowych domach porządnych i kształtnych, roztoczonych jak biały wachlarz po nad zwierciadłem wód golfu — nie ma przecie w swych murach nic monumentalnego, nic oryginalnego. Najgłówniejszą jego ozdobą jest otaczająca go okolica — dobrze to malowany ale zwyczajny obraz, osadzony w ramach szczerozłotych, rzeźbionych przez Benvenuta Cellini!

Ten brak pomników architektonicznych wyższego rzędu, takich które ściągają ku sobie oczy świata i jakiemi Rzym przepełniony — przypisać tutaj należy okolicznościom politycznym. Jeden wiek zaledwie upłynął, jak Neapolitańczycy używają niezależności. Rzymianie, Goci, Normandowie, Prowansale, Niemcy, Hiszpanie, trzymali naprzemian tę uroczą i bogatą ziemię w swych rękach. Najdłużej tu gościli Hiszpanie. Wicekrólowie przysyłani z Madrytu do podbitego

*) Nisida, Capri, Procida i Ischia.

kraju, myśleli więcej o dochodach koronnych i o własnem bespieczeństwie, niż o ozdobie niechętnej im stolicy — to też jedynemi prawie monumentami pozostałemi z czasów ich panowania, są warowne zamki i cytadelle sterczące u stóp i na barkach miasta.

Nie sądź przecież z tego co powiedziałem, aby Neapol był zle zbudowany — owszem, powtarzam, że jest jednym z piękniejszych i porządniejszych grodów europejskich. Są tu obszerne pałace królewskie i inne wielkie gmachy rządowe — ale temu wszystkiemu brak właściwej fizjonomji, powagi i wdzięku sztuki. Znać, że nie żaden Bramante ani Michał Anioł Buonarotti, ale prości mularze je stawiali. Dla tego to, dworzec królewski podobny do koszar — koszary takież same jak muzeum — muzeum jest kopją szpitalu — a szpital tegoż samego kształtu co świeżo wzniesione ministerjum spraw wewnętrznych. Podobnej architektury skrojonej na jeden model jak mundury żołnierskie, napatrzyłem się już dosyć w Berlinie!

Choć większa część kościołów tutejszych datuje z XIII i XIV stólecia, ich budowa nie jest ni bizantyńską ni gotycką; tak często były odnawiane i przerabiane iż nie można się w nich dopatrzeć pierwotnego stylu. W żadnym z tych domów bożych nie spotkasz olbrzymich rozmiarów — a niektóre składają się z dwóch lub trzech odrębnych kaplic połączonych kurytarzami.

Santa Restituta, starożytna Bazylika, wzniesiona na ruinach świątyni Apollina, byłaby bardzo pospolitym kościołem, gdyby mieszkańcy Neapolu w czasie okropnej zarazy morowej w 1527 roku nie byli uczynili ślubu przybudowania do Bazyliki ogromnej kaplicy a raczej drugiego kościoła, poświęconego S. Januaremu patronowi miasta. Przybytek ten wspaniały, kosztował przeszło miljon dukatów neapolitańskich (do 8 miljonów złp.) — i dotychczas na jego utrzymanie, miasto płaci corocznie 4000 dukatów dobrowolnego datku.

Ściany, kolumny i ołtarze, z najkosztowniejszych marmurów — płaskorzeźby ze srebra — krzyż z lapis lazuli — drzwi, balustrady i posągi, z bronzu — obrazy i freski sufitowe, pędzla Domeniquina, Józefa Ribera (Spagnoletto) i Jana Lanfranco — zdobią to ex votum neapolitańskiej pobożności. W tej to kaplicy, po za wielkim ołtarzem, w szafie (do której jeden klucz jest w ręku Arcybiskupa, a drugi u Burmistrza) zachowują się dwie flaszeczki napełnione krwią męczeńską S. Januarego. Tylko trzy razy w rok, relikwie te wystawiane są na widok publiczny i wtenczas przed oczyma wiernych powtarza się znany cud: krew burzy się i porusza pod szkłem, jak gdyby była wystawioną na działanie silnego ognia.

Nigdzie nie widziałem nagromadzonych razem tyle bogactw w metalu i drogich kamieniach, ile w skarbcu tej świątyni (Tesoro di San Gennaro). Pokazywano mi czterdzieści pięć kolosalnych popiersi i trzy całkowite posągi świętych, ulane ze srebra. Popiersie S. Januarego nosi na sobie niepoliczone kosztowności w klejnotach, przy których owe summy neapolitańskie tak często wspominane w Polsce, byłyby jak kropla wody przy oceanie. W samej mitrze świętego, błyszczy blisko cztery tysiące djamentów, szmaragdów i rubinów — a na jego piersiach wiszą gwiazdy i krzyże z grubych brylantów, naszyjniki z pereł i z drogich kamieni zadziwiającej wielkości. Nie wspominam tu już szczegółowo o masywowych krucyfiksach, o kameryzowanych monstrancjach, kielichach i patenach z czystego złota. Ekonomiści i sceptycy, muszą poglądać z litością na ten olbrzymi kapitał znieruchomiony i martwy!

Największym i dla archeologa najciekawszym kościołem, jest Santa Chiara (Święta Klara), fundowana na początku czternastego wieku przez króla Roberta wielkiego, znanego protektora nauk, przyjaciela Petrarki. Mimo częstych przerabiań i odnawiań *), pierwotny styl gotycki pozostał we wnętrzu budowli, dosyć widoczny. Znalazłem tu wiele zajmujących rzeźb średniowiecznych, między któremi pierwsze trzymają miejsce mauzolea książąt z domu Andegaweńskiego. Kolosalny grób króla Roberta, skończony w 1350 roku przez sławnego snycerza neapolitańskiego Masuccio — ozdobny w posągi i płaskorzeźby, wsparty na wysmukłych kolumnach, najeżony w strzały i misterne wieżyczki — jest jednem ze znakomitych dzieł gotyckiej sztuki. Panująca dziś familja Burbonów ma także swoje groby u Świętej Klary.

W kościele Karmelitów (Carmine maggiore), spoczywają nie daleko od siebie, zwłoki dwóch ofiar wypadków politycznych, dwóch ludzi zupełnie różnych urodzeniem i zamiarami, ale których imiona zapisane na kartach historji, zabrzmiały śród dwóch krwawych dramatów — zwłoki pretendenta do korony neapolitańskiej Konradyna z domu Hohenstauffów — i trybuna ludu Mazaniella, rybaka z Amalfi. Na przyległym placu targowym (Largo del mercato), szesnastoletni Konradyn (wzięty w niewolę pod Tagliacozzo przez Karola I Andegaweńczyka) ścięty został ręką kata w 1268 roku **) — i na tymże samym placu, w roku 1647 lud za-

---

*) Za czasu rządów hiszpańskich, zabielono tu wapnem i zniszczono ciekawe freski Giotta z XIV wieku.

**) Kat który ściął głowę Konradynowi, upadł sam natychmiast, zabity sztyletem przez drugiego kata — a to dla tego (jak mówi współczesny kronikarz), aby nie pozostał przy życiu człowiek, który rozlał krew królewską.

mordował i rozszarpał w kawałki Mazaniella, którego wprzódy, przez dziewięć dni nosił na rękach nazywając bohatyrem i wybawcą. Monarcha i rybak leżą w tej samej świątyni. Rybakowi położono długi epitaf — na grobie króla wyryto tylko trzy litery R: C: C: które znaczą, że tu spoczywa króla Konradyna ciało (Regis Conradini Corpus).

Zbudowany na wielkim placu, na wprost królewskiego dworca, nowożytny kościoł Ś. Franciszka di Paola (skończony w 1831 roku), chociaż jest tylko naśladowaniem i kombinacją dwóch rzymskich gmachów (Panteonu i kolumnady Ś. Piotra), policzyć można do głównych ozdób miasta tak ubogiego w pomniki. Dziwnym mi się wydał pomysł postawienia dwóch posągów konnych z bronzu, Karola III i Ferdynanda I Burbonów, przed samym portykiem świątyni. Dotychczas stawiano w podobnem miejscu, jedynie posągi świętych!

Smętarz Neapolu (Campo Santo nuovo), położony na pochyłości góry, po za obrębami miasta — jest niezaprzeczenie najpiękniejszym smętarzem w świecie! Père Lachaise paryski, posiada wprawdzie okazalsze grobowce i równą massę zieloności i kwiatów — ale z tutejszego Campo Santo roztacza się czarowny widok na Neapol, na Wezuwjusz, na wyspy i błękity golfu, objęte sklepieniem południowego nieba! W obec podobnej panoramy, smutna myśl cię odlata — okropność rozstania się z żyjącemi, mniej przeraża — i śmierć nie zdaje się męką, tylko raczej snem nagłym, po którym się wkrótce rozbudzisz, by już żyć wiekuiście!

W takich myślach byłem pogrążony, gdy przewodnik mój, Włoch — rzucił mi oklepany frazes, który zapewne wszystkim podróżnym powtarza: «Nie prawda Panie, że tu miło być pogrzebanym śród tych róż i myrtów?» Odpowiedziałem mu potakującem skinieniem głowy — ale z głębi duszy wzniosłem gorącą modlitwę do Boga, by mi dozwolił donieść znużone ciało aż do ziemi ojczystej — gdzie milej mu będzie spocząć śród złotych łanów pszenicznych, w cieniu woniejących lip, cichego, wiejskiego smętarza!

LIST XVII.

Neapolitańczyzy — ich wesołość i gadatliwość. — Jak wstrzemięźliwie żyje lud tutejszy. — Loterja liczbowa. — Sympatja dla morderców. — Teatr San Carlino i Poliszynel. — Corricolo. — Wezuwjusz. — Lazzaroni. — Improwizatorowie neapolitańscy.

Neapol, 11 Marca 1852.

Dla większej części podróżnych, jeżdżących po Europie na to by się bawić i szukać za swe pieniądze przyjemności i wygód cywilizowanego życia — Neapol schludny, oświecony gazem, obfity w różnorodne i bogate sklepy, mający doskonałe teatra i prześliczny ogród do publicznej przechadzki (Villa reale), ciągnący się wzdłuż wybrzeża zatoki — Neapol ożywiony tłumami wijącej się ludności i mnóstwem pojazdów, które się najmują za bezcen *) — wydaje się rajem ziemskim po zaniedbanym i umarłym Rzymie. Jednakże Kwakrom i członkom towarzystwa Przyjaciół pokoju, Neapol musi być nie do smaku — jest to bowiem miasto całkiem wojenne: co krok w niem cytadella, arsenał, koszary lub odwach. Oddziały wojsk (ubrane na sposób francuski) ciągle snują się po ulicach — odgłos bębna lub trąbki rozlega się w około, a oko twe spotyka się co chwila z wyrychtowaną armatą. Nie dziw, że temi przyborami „Marsa spłoszone, piękne Syreny zamilkły i opuściły dawną swoją siedzibę wzdłuż przylądku Posolipo!

Mieszkańcy tutejsi są weseli, ruchawi i tak gadatliwi, że gdy wsiądziesz w dorożkę, woźnica zamiast pilnować koni, ciągle się odwraca ku tobie i choć go nie słuchasz, eksplikuje ci każdy budynek, wychwala miasto i jego okolice i ofiaruje się zawieść cię wszędzie, choćby nawet w głąb krateru Wezuwjusza. Jeden z nich chciał mnie przekonać, że jego jednokonnym pojazdem, stanę prędzej w Pompei, niż drogą żelazną!

Żebraków tu nie wiele, a lud bynajmniej nie chciwy. W Rzymie jeśli się o co nie ugodzisz z góry, i płacisz cztery razy więcej niż się należy, dorożkarz, przewodnik lub posłu-

---

*) W żadnem mieście europejskiem dorożki nie są tak tanie jak w Neapolu. Za najdłuższy kurs w mieście płaci się un carlino (20 groszy pols.). W Rzymie taki sam kurs kosztuje dwa karliny i pół i jeszcze musisz się wprzódy targować jakby szło o kupno wołu.

gacz zawsze ci powie, że to za mało: e poco Signore! W Neapolu przeciwnie — cokolwiek im dasz, zawsze kontenci — żegnają cię uśmiechem i niezbędnym tytułem ekscellencji.

Uboga ludność bardzo wstrzemięźliwa w jadle, żyje tylko makaronem i owocami. Pomarańcza z kawałkiem chleba, oto śniadanie — talerzyk makaronu popruszonego serem, oto obiad. W czasie upałów letnich, Neapolitańczyk (jeśli ma kieszeń nie próżną) pozwala sobie zjeść porcję lodów za grana (un grano 2 gr. pol.) *). Po takowej uczcie Lukulusowej, kładzie się na wschodach kościoła lub w przysionku jakiego pałacu i spi smaczno — marząc że mu Anioł stróż dyktuje numera do stawiania na loterję.

Loterja liczbowa, ta plaga klas biednych, jest tu (równie jak w całych Włoszech) namiętnością protegowaną i eksploatowaną przez skarb. Co dziesiąty dom widzisz otwarte bióra z napisem Reali Lotti, a po nad bióralistą (tą pijawką ssącą ostatni szeląg ubogiego) wisi obraz Madony między dwoma lampkami. Ohydne zdzierstwo legalne, kryje się pod płaszczyk religji!

Wszystkie książki do użytku podróżnych ostrzegają, aby w Neapolu pilnować uważnie swej kieski i chustki od nosa, przed zręcznością złodziejów. Jestem tu już od ośmiu dni i choć moje kieszenie tak samo zrobione jak u innych — wyznać muszę że dotąd nic mi nie skradziono. Zresztą z tego co wczoraj słyszałem, sądzę że lud tutejszy więcej ma sympatji dla morderców niż dla złodziei — i że w hierarchji zbrodni, la coltellata (pchnięcie nożem), stanowi niejako tytuł honorowej wyższości. Przejeżdżając obok więzienia kryminalnego (przed którem wystawione są w żelaznych klatkach czaszki straconych złoczyńców), ujrzałem nagle, wychylone przez kraty okien dolnych i pierwszego piętra, ręce spuszczające małe koszyki na sznurku — i doszły moich uszu krzykliwe prośby o jałmużnę. Jeden głos donośniejszy od innych wołał: «Ekscellencjo! wyświadcz mi dobrodziejstwo (fate mi bene), ja nie jestem żadnym rzezimieszkiem, ja tylko miałem nieszczęście zabić człowieka.» Dorożkarz odwrócił się da mnie i rzekł z pewnym rodzajem pogardy: «Ci na dole, to są złodzieje» — a potem wskazując palcem na okno pierwszego piętra skąd wychodził ów głos stentorski, dodał z westchnieniem i z tonem głębokiego

---

*) Nigdzie nie ma tańszych i lepszych lodów jak w Neapolu. Zamrażają je śniegiem zbieranym w czasie zimy na barkach Wezuwjuszu. Wyłączna sprzedaż śniegu należy do rządu, któremu ten monopol przynosi miljon franków rocznie.

politowania: «Ale tamtem, to biedaczyna (ma questo e un poverino) *).»

Arcyciekawem dla cudzoziemca widowiskiem jest teatrzyk San Carlino, gdzie dwa razy na dzień za niezmiernie małą opłatą, przedstawiają w djalekcie neapolitańskim, zabawne krotochwile, w których główną rolę gra Poliszynel. Ów Pulcinella jest to typ prawdziwie włoski człowieka z głupiafrant, co udaje nierozgarniętego a w końcu każdego oszuka, wydrwi, wybije — a sam wykręci się zawsze gładko od policji i sądu. Nie zrozumiałem większej części konceptów, bo djalekt ludowy znacznie różny od czysto-włoskiego języka — ale widok publiczności śmiejącej się do łez i wydającej oznaki zadowolnienia klaskaniem rąk, tupaniem nóg, konwulsyjnym giestem i wściekłym prawie krzykiem — ubawił mnie niepomału. Tak uradowanych spektatorów jeszcze nigdy nie widziałem. Zapewne ani Talma, ani Panna Rachel, ani Pasta, ani Malibran, tak energicznego entuzjazmu nie obudzili. Porównać go chyba można z przyjęciem Jenny Lind, w Stanach Zjednoczonych — prawda że Amerykanie naród młody, bliższy natury, musi mieć niejakieś powinowactwo z nawpół ucywilizowaną klassą wyrobników tutejszych!

Kreśląc szkice charakterystyki Neapolu, nie mogę pominąć opisu omnibusa zwanego Corricolo, który za drobną sztuczkę monety wozi ubogą ludność, z miasta do wiosek okolicznych. Jest to maleńkie pudło kabrjoletowe bez pokrycia, zawieszone na długich resorach między dwoma olbrzymiemi kołami. Jasnokościsty biegun strojny w czerwone kutasy wełniane i w pióra kogucie, ciągnie ten rydwan tryumfalny. Woźnica póty nie wyrusza dopóki nie zbierze dostatecznej ilości podróżnych. Komplet nie jest oznaczony — bierze ich tyle ile się zmieści, stosownie do wzrostu i tuszy. Dziś rano na wybrzeżu Santa Lucia, naliczyłem w corricolo czternaście osób. W głównem pudle (w którem tylko są dwa miejsca), siedziała kobieta z dzieckiem i Kapucyn — na poprzecznej desce z tyłu, stało czterech drabów w postawie lokai za karetą — na drugiej desce służącej za kozioł, trzech zasiadło obok furmana. Dwóch ludzi przyczepiło się i trzymało ze zręcznością skoczków na linie, po obu stronach podwójnego dyszla — jeden zaś wyrostek bujał się na pasie rzemiennym zawieszonym pod pudłem, między kołami. Całe owe towarzystwo, paradowało śmiejąc się hucznie i

---

*) Gdym tę scenę opowiadał jednemu Polakowi zamieszkałemu od dawna w Neapolu, upewnił mnie on iż zwykle w tym kraju, po dopełnionem morderstwie — lud prosty lituje się więcej nad zabójcą niż nad zabitym i tego pierwszego nazywa zawsze povero lub poverino.

krzycząc — jeden tylko biedny rumak nie musiał być zbyt wesoły!

Trzy jednak rzeczy, które znałem z opowiadań i z licznych opisów, zawiodły mnie w Neapolu.

1. Wezuwjusz rysowany i malowany jako buchający ogniem, lub przynajmniej strojny w ogromną kitę czarnego dymu rozświeconą iskrami. Od dnia mego przyjazdu przyglądam mu się z niecierpliwością i z zadziwieniem. Wulkan spoczywa — na jego szczycie nie ma i śladu ognia i iskier — a dymu zaledwie tyle, ile wychodzi z ust niemieckiego bursza palącego ambitions-pfeife natłoczoną kanastrem.

2. Lazzaroni o których naczytaliśmy się i nasłuchali że chodzą na pół nadzy i tłumnie koczują po ulicach. Długo szukałem ich po wszystkich placach, objechałem najuboższe części miasta — ani weź Lazzarona! Powiedziano mi, że król teraźniejszy kazał zabrać młodszych do domu zarobku, a starym posprawiał ubiory. Wczoraj nareszcie ujrzałem nad portem siedem-dziesięcioletniego starca, którego całe okrycie składało się z płóciennych spodni sięgających tylko od pasa do kolan i z podartej kamizelki bez rękawów. Nowy ten Dyogenes siedział, nie w beczce, lecz w płaskim koszu jak ostrzyga w skorupie — i obgryzał z filozoficzną rezygnacją, surową główkę sałaty. Miałem przed memi oczyma, ostatniego z Lazzaronów, którego może jutro ubiorą w bóty i w paletot i zamkną w domu przytułku. O cywilizacjo! szanowne plony przynosisz narodom, ale jesteś niszczycielką malowniczości!

3. Improwizatorowie. Właśnie zeszłej jesieni poznałem się nad brzegami Renu z jednym literatem Neapolitańskim, z którym rozmawiając o jego rodzinnem mieście, pytałem czy improvisatori posiadają istotnie twórczy talent i czy ich pieśni mają wartość poetyczną? Wytłumaczył mi najdokładniej, że tak zwani improwizatorowie recytują tylko przy dźwięku mandoliny, znane ustępy z Jerozolimy Tassa i z Orlanda Ariostowego. «Dla ludu naszego (mówił mi), który nie umie czytać, pieśni te są nowością — słucha ich namiętnie i z tak wytężoną uwagą iż zdaje się, że obok śpiewaka siedzą nieruchome posągi. Każdy epizod rycerski wywiera na żywej ich wyobraźni nieopisane wrażenie, które najlepiej panu wytłumaczy fakt następujący. Jednego razu, kazałem sobie robić pieczątkę przez młodego ale bardzo biegłego rytownika. Robota jak zwykle trwała długo, wreszcie po odkładanych terminach, przyrzekł mi najuroczyściej, że na przyszłą sobotę wszystko będzie skończonem. W naznaczony dzień wchodzę do jego pracowni i zastaję mego robotnika siedzącego z założonemi na piersiach rękami, ze zwieszoną głową i z rozpaczliwem obliczem. Pytam o pie-

czątkę, a on potrząsając głową odpowiada mi smutnym i grobowym głosem: «Jak Pan chcesz abym się wziął do pracy, kiedy Klorynda umarła!» Dwoma dniami wprzódy, słyszał nad portem, jedną z najpiękniejszych pieśni Jerozolimy Wyzwolonej.»

Ciekawość moja była zaostrzoną tem opowiadaniem. Przybywszy tu, chciałem widzieć tych ludowych śpiewaków — a jeszcze więcej, przyjrzeć się ich uważnym słuchaczom. Niestety! zawiedziony zostałem w oczekiwaniu. Doniesiono mi, że od trzech lat nie ma już improwizatorów w Neapolu. Rząd zakazał publicznych recytacji, lękając się zapewne, aby nowi Trubadurowie nie przymięszali do poematu Ariosta lub Tassa, jakich socjalnych ustępów z Prudhona!

LIST XVIII.

Pompeja. — Katastrofa 79 roku po Chrystusie. — Pierwsze odkrycie i dotychczasowe prace przy odgrzebywaniu umarłego miasta. — Wrażenie jakie sprawia ten widok. — Forum, świątynie i inne publiczne gmachy. — Opis starożytnego domu mieszkalnego. — Mozajki. — Freski. — Żywy Satyr.

Neapol, 15 Marca 1852 roku.

W tych dniach, oglądałem w okolicach Neapolu, rzecz jedną z najciekawszych dla badacza przeszłości — miasto rzymskie przez ośmnaście blisko wieków zagrzebane, które że tak powiem, powstało z martwych i wychodząc na powierzchnią ziemi, odkryło nam wiele tajników publicznego i domowego życia u starożytnych.

Pompeja, zasypana popiołem i żużlami w czasie strasznego wybuchu Wezuwjuszu w 79 roku naszej ery, była prowincjonalnem miasteczkiem — napróżno więc chciałbyś w niej szukać takich olbrzymich monumentów jakich szczątki mniej więcej uszkodzone pozostały w Romulusowym grodzie, metropoli pogańskiego świata. Ale za to masz tutaj przed oczyma wyraźny, dotykalny i całkowity obraz rzymskiego municipium z pierwszego wieku po Chrystusie. Wszystko pozostało na miejscu — i wszystko (prócz dachów), zachowało

się pod całunem z popiołów, lepiej niż mumja egipska w balsamicznym powijaku.

Patrzaj! oto stoją Świątynie, Łuki tryumfalne, Trybunały, Koszary, Cyrk i Teatra — oto ciągną się wzdłuż prostych ulic, domy zamożnych i liczniejsze domki ubogich — łazienki, fabryki, karczmy i sklepy! Oto place ozdobne w fontanny, mur obwodowy z basztami do obrony — a zaraz za północną bramą, dwa długie rzędy rzeźbionych grobowców; dawny smętarz miasta, które samo stało się smętarzem! Na bruku z płaskich kamieni widać jeszcze w kilku miejscach wyżłobiony ślad kół wozowych — po rogach ulic czytasz afisze przed dwudziestu wiekami czerwoną farbą kreślone i donoszące o mieszkaniach do najęcia, albo o widowisku teatralnem. Gdzie indziej cieśla lub oberżysta polecają się publiczności; tam znów ściana pokryta niezgrabnemi rysunkami swawolnych uliczników.

Pośród tych wszystkich pamiątek, brak tylko dawnej ludności. A jednak, choć w okół pusto i cicho, jesteś pod wpływem tak żywych wrażeń, iż zdaje ci się że na skręcie pierwszego zaułku, spotkasz ludzi ubranych w fałdowane togi, spieszących na Forum — lub że zajdzie ci drogę wysmukła postać Rzymianki, w towarzystwie niewolnic wracająca z Thermów!

W chwili katastrofy 79 roku, mieszkańcy Pompeji, z małemi wyjątkami, mieli czas unieść życie. Najwięcej szkieletów znaleziono w koszarach — karność wojskowa wstrzymała zapewne żołnierzy od ucieczki. Po niektórych domach prywatnych odkryte kościotrupy obładowane były precjozami i pieniędzmi. Widać że to były szczątki tych, którzy po pierwszej chwili przestrachu wróciwszy z drogi dla zabrania rzeczy najkosztowniejszych, padli ofiarą niewczesnej chciwości, a może i poświęcenia dla dobra rodziny, idącej w świat bez przytułku i chleba!

Dopiero w środku zeszłego stólecia, okoliczni wieśniacy kopiąc doły do sadzenia drzew nad rzeczką Sarno, natrafili przypadkiem na mury Pompeji tak już zapomnianej (mimo listu Plinjusza młodszego), że nawet nie wiedziano dokładnie o miejscu, na którem niegdyś stała. Rząd zakupił grunta i rozpoczął poszukiwania, które uwieńczone zostały najpomyślniejszym rezultatem — albowiem oprócz ciekawości archeologicznych i pięknych zabytków sztuki greckiej i rzymskiej w malowidłach, mozajkach i rzeźbie — wydobyto koleją z tego nietkniętego składu starożytności, mnóstwo skarbów w złocie, srebrze i bronzie. Robota trwa dotychczas — ale niestety! tak żółwim postępuje krokiem, że od stu lat,

zaledwie odkopano piątą część miasta *), składającą się z dwudziestu kilku ulic. Jeśli rząd neapolitański tym samym trybem ciągnąć będzie dalej poszukiwania, to chyba ósme pokolenie po nas żyjące, obaczy całą Pompeję. Kto działa powoli tego głowa nie zaboli (chi va piano va sano) mówi włoskie przysłowie — i służy za wymówkę lenistwu i opieszałości narodowej!

Po pierwszem wrażeniu jakie obudza w tobie ten nowy i niezwykły widok zmartwychwstałej przeszłości — najwięcej cię zadziwia wszędy, niezaprzeczony ślad dobrego bytu mieszkańców i powszechnego zamiłowania w sztukach pięknych, których dzieła liczą się u nas do rzędu rzeczy zbytkowych, a które u pogańskiej społeczności były (jak się tu przekonywamy) niezbędnym przedmiotem, i że tak powiem, chlebem powszednim. Było to wprawdzie handlowe (Pompejon po grecku znaczy skład towarów), ale małe miasteczko — a przecież w najmniejszym domku, podłogi są wykładane mozajką lub różnokolorowym marmurem; mury zewnętrzne malowane czerwoną lub żółtą farbą — a wszystkie ściany wewnątrz, pokryte w mniej więcej piękne obrazy al fresco, z których nawet pośledniejsze figurować by mogły w naszych salonach. Znalezione w Pompeji sprzęty domowe, nawet najpospolitsze jak np. narzędzia kuchenne, mają kształt gustowny, naznaczony piętnem sztuki. Widno, że u starożytnych ludów, nawet mosiężnicy i kowale byli artystami — bo na siekierach spotykasz wytworne płaskorzeźby — dziurki durszlaków tworzą prześliczne girlandy, a rączki u patelni, nożów i łyżek kończą się wyrzeźbioną głową ludzką, zwierzęcą lub ptasią. Cóż dopiero powiedzieć o wielkich urnach i dzbankach z bronzu, o trójnogach i kandelabrach odkrytych w domach bogatych — a które dziś są głównemi ozdobami muzeum Burbońskiego w Neapolu? Po tylu wiekach ciągłej pracy na drodze postępu, cywilizacja nasza nic wyższego pod względem formy i pomysłu nie wydała. Co dzień więcej przekonywam się, iż rzeźba już dwadzieścia wieków temu, wypowiedziała ostatnie swoje słowo!

U dawnych Rzymian, życie publiczne górowało nad życiem prywatnem. Civis romanus bawił pod rodzinnym dachem tylko nocą, lub w godzinach obiadowych — resztę czasu pędził na Forum, w świątyniach, w teatrach lub w łaźni. To też w Pompei domy mieszkalne są szczupłe, a budynki publiczne, za wielkiego zdaje się rozmiaru, na obszerność osady i ilość mieszkańców.

---

*) Mur obwodowy całkiem odkopano jeszcze w 1814 roku — można więc sądzić o kształcie i wielkości miasta.

W najwspanialszej części miasta stoi Forum. Jest to wielki podłużny czworobok otoczony podwójnemi rzędami kolumn, między któremi (jak wskazują piedestały) stały posągi i popiersia zasłużonych obywateli miejscowych. Ta kolumnada pokryta dachem tworzyła długi portyk do przechadzki. Tutaj radzono o sprawach publicznych, tu była Giełda — i znaczniejsze ulice wychodziły na plac ten. Słowem, był to główny punkt zbiegowiska, centrum, obok którego grupowały się wszystkie gmachy niezbędne do publicznego i religijnego życia.

W okół pompejańskiego Forum, wznoszą się świątynie: Jowisza, Merkurego, Wenery, Izydy, Fortuny i najokazalsza z nich, świątynia Augusta czyli Panteon — nieco dalej, Trybunał, Więzienie i Łaźnia publiczna.

Na kończynach przeciwnej części miasta (tej która jeszcze nie tknięta rydlem i nad którą ciągną się winne ogrody) odszukując wałowych murów, natrafiono i odkopano Cyrk do igrzysk (tej samej formy co Kolizeum rzymskie) dwa teatra i koszary — wszystko najdoskonalej zachowane.

Jak już mówiłem, domy prywatne Pompeji (na których progach widzisz wyryte gościnne napisy: salve i vale), są szczupłe i na jeden model stawiane. Każden składa się z dwóch części: od przodu, w okół kwadratowego podwórka (atrium) mieszkanie dla mężczyzn — od tyłu, wzdłuż czterech boków innego podwórza ozdobnego w kolumny (peristilium) schronienie kobiet *) — po za domem, ogród (viridarium), z fontanną i statuami. Pokoje sypialne (cubiculæ), salon (exedra), gabinet do pracy (tablinum), jadalnia (triclinium), a nawet kaplica gdzie stały posągi Bogów (sacrarium) są bardzo małe i rzadko opatrzone oknami — światło dzienne wchodziło do nich przez drzwi.

Znaczniejszym domom Pompei ponadawano nazwy od znalezionych tamże pamiątek. I tak, jeden zwie się domem Fauna, dla tego że w nim odkryto piękny bronzowy posąg tego opiekuna gajów. Od mozajki, która przedstawia aktorów w maskach i koturnach, zdających się robić próbę dramatu, przed poważnym starcem, nazwano cały budynek, domem Poety tragicznego. Dom chirurga od znalezionych tam lancetów i innych narzędzi — dom tancerek od ślicznych fresk przedstawiających wizerunki kobiet w najpowabniejszych pląsach — dom Labiryntu od mozajki, na której Te-

*) W domach prywatnych a nawet w wielu gmachach publicznych, kolumny są murowane z cegieł otynkowanych twardym cymentem (stuc). Kolumny marmurowe rzadkie w Pompeji — spotykasz je tylko w większych świątyniach jak np. w Panteonie.

zeusz zabija Minotaura — dom strzelca od malowanych na ścianach, scenach polowania etc.

Posągi, płaskorzeźby, znakomitsze mozajki i malowidła — ozdoby kobiece i inne przedmioty ze złota, srebra, bronzu i żelaza — amfory, lampy, garnki i tym podobne narzędzia gliniane — i ciekawości starożytne wszelkiego rodzaju, odkryte przy odgrzebywaniu — przewieziono stąd do Neapolu i umieszczono w Muzeum królewskiem. W Pompei pozostały tylko puste mury, pośledniejsze mozajki i ogromna ilość fresk po ścianach.

W małym domku, który zdaje się był szynkownią a może i czemś gorszem jeszcze — znalazłem w malowidle ciekawy obraz starożytnego życia. Obok okrągłych stołów siedzą żołnierze rzymscy w szyszakach, z krótkim mieczem u boku — a przy nich kobiety z kapturami na głowach. Żołnierze grają w kostki a ich towarzyszki piją z kieliszków długich i wąskich, całkiem podobnych do używanych dziś do szampana. Dwaj służący nadbiegają z pełnemi butelkami w ręku. Po dwudziestu wiekach, obyczaje nie bardzo się odmieniły. Zupełnie takąż samą scenę zdarzyło mi się widzieć parę razy w Paryżu, wychodząc nad ranem z balu maskowego w wielkiej operze — gdy w bulwarowych kawiarniach, Paryżanie jeszcze ubrani w kostiumy teatralne i Paryżanki w zakapturzonych dominach, pokrzepiają się musującym napojem po trudach ostatniej galopady zwanej galop infernal! W innym domu Pompeji zwróciły moją uwagę krajobrazy przedstawiające mieszkania wiejskie, kjoski, ogrody i płynące łodzie o czworokątnym żaglu — odkrycie to, sprostowało we mnie opinję, nabytą z książek traktujących o historji malarstwa, jakoby Flamandczycy byli pierwszym którzy zaczęli malowawać pejzaże.

W tem odkopanem mieście nie napotkasz jednej ściany gołej — wszystkie pokryte obraskami — tak że nawet kuchnie ozdobione są w stosowne freski: zające, kwiczoły i inną zwierzynę — tu, pieczone prosię na półmisku, tam znów ogromny węgórz na rożnie. W sypialniach, malowano zwykle obscena — dla tego też wydłubano z muru podobne malowidła i trzymane są pod kluczem w Neapolu, w sekretnem muzeum, dokąd zawsze trudny był przystęp, a dziś zupełnie zabroniony.

Lecz dosyć już na dzisiaj tej długiej i nudnej nomenklatury — na zakończenie tego listu wolę ci opowiedzieć dziwne, na wpół mitologiczne spotkanie, które miałem w Pompei.

Choć to dopiero miesiąc marzec, czas tu prześliczny — południowe słońce dopiekało nie żartem, a trudno było znaleźć przed niem uchronę śród niskich murów bez dachów

Dwóch nas Polaków z przewodnikiem (który chcąc jak najprędzej odbyć pańszczyznę i dostać sześć ugodzonych karlinów, leciał przed nami jak laufer) szliśmy żwawo po pustych ulicach. Odgłos kroków naszych tętniący po szerokich płytach lawy, był jedynym szelestem w tym smętarzu przeszłości. Wtem, na zakręcie uliczki, ukazała się, jakby nagle wychodząca z pod ziemi, jakaś postać fantastyczna — i zaczęła tańczyć w komicznych podrzutach, przygrywając sobie takt, na krótkim fleciku. Był to starzec przeszło ośmdziesięcioletni, siwowłosy, okryty resztkami łachmanów — który dla zarobienia kilku grani, takie szalone sarabandy przed nami wycinał. Wzdrygnąłem się, pojrzawszy na tę twarz pomarszczoną, zmuszającą się do uśmiechu i na te skoki młodości pod białym włosem — starość błaznująca, ma w sobie coś okropnego, świętokradzkiego! Rzuciliśmy po parę miedziaków obrzydłemu tancerzowi — a gdy się schylał do zbierania monety, spojrzałem ukosem na gołe jego nogi, myśląc że zamiast stóp, obaczę koźle racice. Nogi, kształtem były ludzkie, choć brudem zwierzęce — ale twarz grymaśliwa i rozpustne ruchy neapolitańskiego lazzarona, przypomniały mi, znane z tradycji i z posągów, postacie mitologicznych Satyrów!

LIST XIX.

Muzeum królewskie w Neapolu. — 1. Zbiór starożytności odkopanych w Pompei i w Herkulanum. — Przedmioty ze złota i srebra — z bronzu, z żelaza, ze szkła i z gliny. — Drobne sprzęty domowe. — Manuskrypta. — Wazy italo-greckie — freski, mozajki i posągi. — 2. Zbiór odziedziczony po Farnezach: Tazza Farnese. — Herkules i Byk Farnezyjski. — 3. Galerja obrazów. — Opłata przy drzwiach.

Neapol, 16 Marca 1852 roku.

Królewskie muzeum w Neapolu stanąć może bez zawstydzenia obok najpierwszych zbiorów europejskich, szczególniej pod względem rzeźby i bronzów — a oprócz tego, posiada ciekawości archeologiczne, jakich próżnobyś szukał gdzieindziej.

Składa się ono: 1. Ze starożytnych posągów, bronzów, mozaik, malowideł i sprzętów domowych wszelkiego rodzaju, odkopanych w Pompei, w Herkulanum *), w Stabji, w Kapui etc. 2. Z licznej i sławnej kolekcji zebranej i przechowywanej niegdyś w Rzymie w pałacu Farneze, która spadkiem familijnym dostała się w ręce królów neapolitańskich **). 3. Z galerji obrazów.

Wszystkie te skarby sztuk pięknych i rzadkie zabytki przeszłości, porozrzucane dawniej po pałacach królewskich w Caserta, Capodimonte i Portici — przenieść kazał Ferdynand I w roku 1816 do obszernego gmachu, położonego w górnej części miasta, na przedłużeniu wspaniałej ulicy Toledo. Gmach ten czworoboczny, w którym był kiedyś Uniwersytet a następnie koszary — nosi dziś nazwę Museo reale Borbonico — a jego przedsionek ozdobiony jest kolosalnym posągiem fundatora, wyobrażonego pod postacią Minerwy. Risum teneatis! Ferdynand I jako bogini mądrości? to tak samo, jak gdyby naszemu Stanisławowi Poniatowskiemu przyszła była myśl, kazać się wyciosać w marmurze pod postacią Marsa boga wojny! Biedny Kanowo! Dłuto twe odpokutowało za czarujące i ponętne kształty twojej Wenery-Pauliny ***), gdy królewska fantazja zmusiła cię wyrzeźbić pod hełmem Minerwy, tę ściągłą, starą i brzydką twarz z obwisłemi policzkami i tym nosem potężnym, który pozostał we wspomnieniach ludu neapolitańskiego! †).

Drukowany katalog przedmiotów znajdujących się w Muzeum, zajmuje 300 stronnic 8vo — zrozumiesz więc łatwo, iż niepodobieństwem jest zastanawiać się długo nad szczegółami — pragnę ci dać jedynie ogólne wyobrażenie o tym bogatym zbiorze i zwrócić twoją uwagę na rzeczy piękniejsze i ciekawsze, ktźrych widok wywarł na mnie głębsze wra-

---

*) Herkulanum, miasto daleko bogatsze od Pompei, uległo również zniszczeniu w 79 roku naszej ery — ale jako bliższe Wezuwjuszu, już nie od popiołów jak Pompeja, ale od gorejącej lawy zalanem zostało. W roku 1720 robotnicy kopiąc studnię natrafili na ślad miasta — następnie, odkryto wspaniały Teatr i kilka wielkich domów, skąd wydobyto kilkadziesiąt z marmuru i z bronzu i mnóstwo kosztowności. Musiano przecież zaprzestać dalszych poszukiwań z przyczyny trudności kruszenia lawy tak prawie twardej jak granit — a może jeszcze więcej dla tego, że na wierzchu dawnego Herkulanum stoi dzisiaj miasteczko Portici. Zwiedziłem przy pochodniach teatr herkulański — śród wykutych w lawie kurytarzy, nie ma nic do oglądania i nie radzę nikomu trudzić się tą podziemną wyprawą. Wszystkie ciekawości Herkulanum znajdują się w muzeum Neapolitańskiem...

**) Elżbieta ostatnia z wygasłej familji Farnezów, była matką Karola III Burbona, króla Neapolu (w pierwszej połowie XVIII wieku).

***) Patrz List XIII o villi Borghese.

†) Lud neapolitański przezwał Ferdynanda I, nosaczem (nasone), i ten przydomek pozostał mu na zawsze. Monarcha ten przez całe życie trudnił się jedynie łowieniem ryb na wędkę i mówił tylko djalektem neapolitańskim, bo nie umiał dobrze po włosku.

żenie i które w czasie dwukrotnych odwiedzin, zapisałem w moich notatkach. A i tak, lękam się aby list ten nie zamienił się na zbyt nudny inwentarz.

a) 2000 sztuk starożytnych kosztowności ze złota i srebra, jako to: naszyjniki, bransoletki, kolczyki, łańcuszki, szpilki, łyżki, talerze, szklanki, formy do robienia ciast etc., etc. Bransoletka wyobrażająca wijącego się węża z oczami z rubinów — kolczyki złote w kształcie ważek, z perłami na krążkach: pierścionek z krwawnikiem, na którym wyrzeźbiona głowa Aleksandra wielkiego — puhar ze srebra, misternej roboty z festonami winnych gron i liści powoju; zwierciadło srebrne, na którego ramach wizerunek Kleopatry zadającej sobie śmierć (wszystko to znaleziono w Pompeji) *). Urna srebrna z płaskorzeźbą wyobrażającą apoteozę Homera (H).

b) 14,000 naczyń, sprzętów i rozmaitych przedmiotów z bronzu, niezmiernie ciekawych dla antykwarjusza jako rzadkość, a dla artysty jako doskonałość i piękność form. Krzesła kurulne — wanienki i noże ofiarnicze kapłanów — triclinium to jest łoże, na którem leżano przy ucztach (P) — kałamarze — trójnogi — lichtarze — szklanka do picia (rhyton) w kształcie głowy jelenia z oczami ze srebra (H) — zbroje, puklerze, miecze i groty — kask z płaskorzeźbą wyrażającą z jednej strony śmierć Pryama i Kassandry a z drugiej ucieczkę Eneasza z palącej się Troi (P) — ogromne wagi urzędowe (bilances), znalezione przy bramie Pompei w domku celnika — naczynie do grzania wody (z uszami ozdobnemi w liście ze srebra) zupełnie podobne de ruskiego samowaru (P). Mnóstwo lamp prześlicznych kształtów jak np. Genjusz trzymający kwiat, z którego wychodził płomień — głowa Fauna z otwartemi ustami gdzie wkładano knot do zapalenia — ślimak, którego rogi na ten sam użytek służyły. Lampy te pochodzą z domów Pompei, równie jak dwa wielkie kandelabry, arcydzieła starożytnej rzeźby. Za podstawę pierwszemu służy posążek Aratusa siedzącego na pancerzu; drugi (który zawieszał się u sufitu jak nasze pająki) ma w środku nadobnego Amorka siedzącego na grzbiecie delfina. Pomiędzy naczyniami dziwnie pięknej formy, wymienię dzbanek bronzowy znaleziony w Herkulanum. Jego ucho stanowi łabędź wychodzący z kielicha kwiatu, nad którym zagina się z góry, orzeł z rozpostartemi skrzydłami trzymający w szponach nieżywego zająca. Jeden tylko Ben-

---

*) By uniknąć ciągłego powtarzania, będę odtąd zamiast słów: znalezione w Pompei, kładł najczęściej znak następny (P) — a zamiast Herkulanum (H).

venuto Cellini byłby zdolny wyrzeźbić coś zbliżającego się do wdzięku tej kompozyzji.

c) Liczny zbiór różnych przedmiotów z żelaza: rydle, siekiery, sierpy, noże, obcęgi, podkowy, wędzidła, patelnie, rożny, zawiasy, zamki, klucze (z których jeden nabijany ozdobami ze srebra (P).

d) 3000 sztuk wyrobów szklannych: butelki podłużne, okrągłe i czworograniaste — szklanki, kubki, solniczki, flakoniki — szyby od okien (grubsze lecz mniej przezroczyste od naszych). Amfora ze szkła błękitnego, okryta w arabeski i płaskorzeźb z białej emalji wyobrażający Amorków zajętych winobraniem (P). Amfora ta, jest najpiękniejszym zabytkiem starożytnego szklarstwa *).

e) W dziewięciu wielkich szafach ułożono lampy, amfory, garnki, słoje, talerze, wazy i kubki z gliny wypalonej (z polewą i bez). Naczynia te co do kształtu mało różne od naszych. Znaleziono także kilka dzbanuszków mających za jedyny otwór wąską szparę u wierzchu, przez którą wpuszczano sztuki monety **). Dawna to kassa oszczędności znana dotąd we Francji pod nazwą tirelire, którą w potrzebie tłucze się dla wydobycia pieniędzy. Niektóre wazy ozdobne są płaskorzeźbami — na jednym kubku wyczytałem napis: Bibe amice de meo.

f) Zbiór ciekawości starożytnych: igły, naparstki, wrzeciona, malowidła — kawałki płótna i sukna — resztki galonów złotych — korki — chleby — tafelki mydła — pigułki w słoiku — prowizje mąki, orzechów, suszonych wiszni etc., etc. Toaleta damy rzymskiej zrobiona z kości słoniowej, z żelaskami do włosów, z pędzelkami do malowania brwi i rzęsów — z puszką napoczętą ružu (P).

g) Kilka tysięcy zwitków nawpół spalonych manuskryptów (papyrus) (H). Ksiądz Antonio Piaggi wynalazł sposób rozwijania tych paczek (które stały się massą czarną jak węgiel), lepienia ich na cieniuchnym płutnie i czytania za pomocą powiększących szkieł. Manuskrypta te pisane są w języku greckim i łacińskim. Rząd ogłosił już drukiem kilkanaście tomów odszyfrowanych papyrusów. Są to dzieła po większej części, treści filozoficznej — jedno także, o muzyce, przez Philodema i poemat łaciński opisujący bitwę pod Actium i zawojowanie Egiptu.

h) Przeszło 3000 urn, wazonów, talerzy italo-greckich, znalezionych w starożytnych grobach osad greckich w Ruvo,

---

*) Najsławniejsze wyroby szklanne starożytnego świata, wychodziły z Egiptu.

**) W dwóch takowych dzbanuszkach są jeszcze pieniądze rzymskie.

Poestum, etc., pokrytych w najpiękniejsze malowidła w rodzaju waz Etruskich. Największa i najciekawsza pod względem sztuki waza, przedstawia bitwę Greków z Amazonkami, w obec Bogów Olympu.

i) Trzy sale zapełnione freskami wydłubanemi ze ścian Pompei i Herkulanum. Jak już mówiłem w poprzednim liście: rysunek poprawny, znajomość perspektywy i dziwna trwałość kolorytu. Achilles żegnający Brezejdę (P) — Tezeusz zwycięsca Minotaura (H) — Medea zabija swe dzieci (P) — młodość Achillesa (H). Kilkanaście tancerek, wizerunki ponętne i znane, bo rozpowszechnione przez liczne kopje pędzlem i rylcem sztycharza — Familja siedząca przy uczcie i inna grająca koncert (P) — Młoda dziewczyna przy toalecie (H) — Targ na Amorki (P) — Szkoła dzieci (professor bije rózgą jednego z uczni) (P) — Wózek do którego zaprzężona papuga, a zamiast woźnicy konik polny (H).

k) Mozajki odkryte w Pompei. Pies na łańcuchu, z napisem: cave canem — kot pożerający przepiórkę — dwa bijące się koguty — ryby i raki — owoce i kwiaty — Aratus na panterze — Tezeusz zabija Minotaura — Poeta otoczony trupą aktorów — A nakoniec: największego rozmiaru i najdoskonalsza ze wszystkich znanych dotąd mozajk starożytności, przedstawiająca Bitwę Aleksandra wielkiego z Darjuszem. Domyślają się, że to kopja kamienna podług obrazu Apellesa. W istocie, wzorowy to utwor pod względem kompozycji. Ani Salvator Rosa, ani Wuwermans, ani Lebrun, ani współczesny Horace Vernet, nie wyrazili nigdy lepiej zapału, ruchu i tumultu ścierających się wojsk. Malarze chrześciańscy wyższymi są bez zaprzeczenia od starożytnych, we wszelkich przedmiotach, w których góruje duchowe uczucie — w których trzeba w wyrazie twarzy, w spojrzeniu oka, zmaterjalizować że tak powiem, namiętność w głębi serca zawartą — ale w przedmiotach cielesnych jak tu np. w bitwie, kompozycja Apellesowa wytrzyma najostrzejszą krytykę nowożytnego znawcy!

l) Z bogatego zbioru rzeźbionych marmurów, wymienię trzy arcydzieła wydobyte z Herkulanum: — dwa posągi konne Balbusa ojca i syna (prokonsulów Herkulańskich, jak świadczą napisy), i posąg Arystyda. Kanowa powiedział że przyglądając się Arystydowi, zdaje się że statua rusza się i idzie ku patrzącemu.

m) W osobnej sali ustawiono 150 popiersi, posążków i posągów bronzowych. Posągi bronzowe, szczególniej kolosalne, lub nawet wielkości naturalnej, bardzo są dzisiaj rzadkimi, gdyż Hunnowie, Goci, Wandale, w swoich napadach na państwo rzymskie, zabierali je chciwie do przetopienia na monetę, zbroje, dzwony, kotły i inne naczynia i sprzęty,

użyteczniejsze dla nich niż arcydzieła sztuki, których ocenić nie byli w stanie. Popioły i lawa Wezuwjuszu zachowały nam w Pompei i w Herkulanum od zniszczenia hord barbarzyńskich, nieoszacowane skarby z najpiękniejszej epoki rzeźbiarstwa. Najznakomitszemi są: Merkury posłaniec Bogów (H), wracający widać z dalekiej wyprawy, bo siedzi schylony i odwiązuje z jednej nogi koturn skrzydlaty — kij podróżny leży obok niego. W całem ciele znać ogromne znużenie — pierś i boki zdają się poruszać od mocnego oddechu. Nie jest to może ideał piękności jak Apollo belwederski lub medycejska Wenus — ale dzieło to odznacza się porywającą prawdą życia, jakiej nigdy w żadnym posągu nie widziałem. Toż samo można wyrzec o pijanym Faunie (H), który tarza się po ziemi i klaszcze w palce na znak uciechy. Dwa te posągi wybornie zachowane, jak gdyby wczoraj dopiero wyszły z formy. Faun tańcujący (P) — Faun pogrążony we śnie (H) — statuetka Fortuny (P) ozdobna na ramieniu, bransoletką złotą z rubinem etc., etc., stoją dla nowożytnych rzeźbiarzy jako nieśmiertelne wzory, którym wyrównać, będzie dla nich szlachetną ale nadaremną pokusą — które chcieć prześcignąć, byłoby marnem szaleństwem!

Zbiór po Farnezach wcielony do muzeum neapolitańskiego, składa się z szacownej bibljoteki — z kolekcji rzadkich medali i monet — broni wszelkiego rodzaju — rzeźb średniowiecznych na kości słoniowej i srebrze — z ogromnej ilości kosztownych kamieni rzezanych (camées), śród których, jak słońce między planetami, błyszczy Tazza Farnese to jest, puhar z jednej sztuki wschodniego sardonyksu, na którym wyryto apoteozę Egiptu. Klejnot ten starożytny, nieocenionej wartości, miał być znalezionym w urnie grobowej mauzoleum cesarza Adrjana w Rzymie.

Nie mniejszym skarbem i równie zajmującym pod względem sztuki, jest szkatułeczka ze srebra pozłacanego, wyżłobiona w posążki i płaskorzeźby czarodziejską ręką Benvenuta Cellini.

Głównemi przecież ozdobami tego bogatego zbioru, są starożytne posągi a między nimi dwa arcydzieła znane światu *). Kolosalny Herkules zwany Farnezyjskim, dzieło sławnego Glykona, zadziwia harmonijną prostotą i majestatyczną powagą, jak wszystkie płody dawnej Szkoły greckiej. Znajomość anatomji ciała ludzkiego, posunięta do ostatetecznych krańców biegłości. Grupa nosząca nazwę Byka Farnezów, olbrzymiej wielkości, wykuta z jednego odłamu

*) Herkules farnezyjski i Byk Farnezów znalezionemi zostały w Rzymie, w ruinach Łazienek Karakalli.

marmurowego, przedstawia przywiązaną za włosy do rogów wściekłego byka, Dircę, którą uwalnia od śmierci Antiopa królowa Teb i dwaj jej synowie. Grupa ta, znacznie uszkodzona i dosztukowana licznemi naprawkami późniejszego dłuta — uwielbianą jest słusznie przez artystów i znawców.

Galerja obrazów w Museo Borbonico, choć nie mogąca stanąć na równi z Galerjami Florencji i Rzymu — posiada kilkanaście dzieł pierwszego rzędu. Przenajświętsza Rodzina, jeden z ostatnich utworów wielkiego Rafaela, w którym szczególniej ściąga uwagę twarz Świętej Anny jako ideał piękności w starej kobiecie. Trzy portrety przez tegoż. Święta Magdalena pokutnica i portrety: Filipa II króla hiszpańs. i Pawła III papieża z familji Farnese, przez Ticjana. Najświętsza Panna z dzieciątkiem Jezus i Ś. Katarzyna, przez Coreggio. Anioł Stróż, Domeniquina — Madonna, Leonarda da Vinci — Ś. Franciszek, Murilla — portret przez Velasqueza. Są także piękne dzieła malarzy szkoły neapolitańskiej: Ś. Hieronim przerażony widokiem anioła, który ogłasza Sąd ostateczny, przez Józefa Ribera — Jezus dysputujący w kościele Jerozolimskim z doktorami synagogi, przez Salvatora Rosa — Syn marnotrawny, przez Calabrese — Koło tańcujących aniołków, przez Cavaliere d'Arpino — Najświętsza Panna na tronie otoczona ŚŚ. Patronkami, przez Zingaro — Ś. Hieronim wyjmujący kolec cierniowy z łapy lwa, stary obraz ciekawy, z końca XIV wieku, przez Colantonio del Fiore — Portret Mazaniella w ubiorze Lazzarona z fajką w ustach, przez współczesnego mu malarza, Dominika Spadaro, etc., etc.

Oddycham nareszcie, ukończywszy zmudną podróż po tym labiryncie neapolitańskiego Muzeum, które przyjemniej i łatwiej jest oglądać, niż opisywać. Wolałem cię jednak wynudzić tą długą nomenklaturą niż zamilczyć o tylu skarbach godnych zainteresować każdego miłośnika sztuk pięknych.

Na zakończenie dodam — że przy każdej sali, stoi osobny custode (dozieracz), któremu, przy wyjściu, trzeba dać sztuczkę monety (un carlino). Tyle razy musiałem sięgać do kieszeni i tak się przyzwyczaiłem do tego podatku że wychodząc z galerji obrazów (którą odwiedziłem na samym końcu), ujrzawszy jakiegoś jegomości porządnie ubranego, siedzącego na ławce przy drzwiach, ofiarowałem mu srebrny haracz. Jegomość spojrzał na mnie z zadziwieniem, zdawał się wahać, aż wreszcie skłonił się i przyjął karlina. Po powrocie do hotelu dowiedziałem się, że Galerja obrazów jest uprzywilejowanem miejscem w którem się nic nie płaci. Oczewiście, popełniłem omyłkę, która w innym kraju, np. we Francji, mogła była ściągnąć na mnie nieprzyjemną

awanturę. Kto był ten obdarzony przezemnie człowiek? — nie wiem — ale sądząc z łatwości z jaką Włosi biorą pieniądze od cudzoziemców — wolno mi przypuścić, że to był sam Dyrektor Muzeum, a może nawet jeden z szambelanów jego królewskiej mości, monarchy obojga Sycylji!

LIST XX.

Jeszcze kilka słów o Rzymie i jego okolicach — Kampanja rzymska. — Tivoli. — Błogosławieństwo Urbi et Orbi i oświetlenie Bazyliki S. Piotra. — Miasto Sienna. — Piazza del Campo i katedra. — Powtórny przejazd przez Florencję i Genuę. — Turyn. — Mont-Cenis. — Genewa i brzegi Lemanu.

Genewa, 2 Czerwca 1852 roku.

Otóż i koniec mojej pielgrzymki po Włoszech — od kilku dnij estem w Szwajcarji, a wkrótce wyruszę do tego zielonego ogrodu Europy, który zowie się księstwem Badeńskiem. Wprzód jednak — dla uzupełnienia opisu mojej podróży — muszę ci zdać sprawę z ostatnich dwumiesięcznych wędrówek, podczas których nie pisałem do ciebie ni razu.

Po powrocie z Neapolu do Rzymu nie pozostawało mi nic ważniejszego do widzenia w wiecznem mieście — przebiegałem więc w różnych kierunkach kampanję rzymską, tę szeroką i smętną pustynię, którą wspomnienia wieków okryły melancholicznym urokiem. Jedynemi tu dzisiaj mieszkańcami są stada czarnych bawołów, strzeżone od nielicznych pasterzy wynędzniałych i pożółkłych od trawiącej ich febry — a przecież, wzdłuż widnych dotąd gościńców Appiusza i Aureljana, po śladach dróg: Latyńskiej, Tyburtyńskiej, Labikańskiej i Flamińskiej, zdaje ci się że słyszysz wołające głosy: «Po tych kamieniach toczył się niegdyś rydwan wra-«cających w tryumfie Konsulów i Cezarów! Po tych drogach, «prowadzono tysiące niewolników z po za Alp i Pireneów — «z nad brzegów Renu i Dunaju! Tym szlakiem, jakby rze-«kami płynącemi do morza, płynęły do stolicy starożytnego «świata, wydarte łupy, zabrane skarby z Azji i z Afryki.» Zaczynasz dumać o chwale, wielkości i potędze Rzymu —

a wtem wiatr unoszący prochy z bezimiennych ruin i jęczący pod samotnemi arkadami rozerwanych wodociągów, odpowiada szyderczo: «Tędy przeleciały jak chmury szarańczy, «objuczone łupami, dzikie hufce Alaryka! Tu, po mordach i «pożogach, koczował Genseryk barbarzyniec z hordami Wan«dalów! Aż tutaj dochodziły krzyki i płacze zniewieściałych «potomków Romulusa, przerażonych na sam odgłos zbliżania «się, przezwanego biczem bożym Atylli.»

Jednego dnia dotarłem aż do miasteczka Tivoli (dawny Tibur), dla obejrzenia sławnej świątyni Sybilli*). Pomnik ten, otoczony portykiem kolumn o kapitelach koryncklich, należy do rzędu najpiękniejszych zabytków starożytnej architektury — a u stóp jego roztacza się cudny krajobraz. Rzeka Teverone (dawne Anio), rozdzielona na kilka odnóg, nurtuje sobie drogi podziemne i szumi po malowiczych grotach — główne zaś jej koryto spada naprzeciw świątyni, ogromną kaskadą. Ta massa wód, która się roztrąca z piorunnym hukiem po nastrzępionej skałami otchłani — srebrzy się pianą i ulatnia w djamentowym deszczu nad szerokim parowem, przedstawia widok czarujący, który raczej pędzel niż pióro zdoła określić. Okolice Tiburu były ulubioną siedzibą dawnych Rzymian — tu cesarz Adrjan zbudował sobie okazały pałac, tu stała villa Meceny, a nieco dalej, na pochyłości gór, domy Katulla i Horacego.

Z początkiem kwietnia, zbiegły się napowrót do Rzymu tłumy cudzoziemców, dla przyjrzenia się wspaniałym obrzędom religijnym w czasie świąt Wielkonocnych. Nie mam dosyć miejsca do opowiedzenia ci wszystkich ceremonji — ograniczę się na jednej, która uderzyła mnie swoją majestatyczną powagą. W wielką niedzielę, około godziny jedynastej, po ukończeniu mszy świętej odprawionej przez Papieża, tłumy opuszczają kościoł i wychodzą na plac S. Piotra. Na tej obszernej przestrzeni zajętej przez kilkadziesiąt tysięcy wiernych, panuje cichość niepojęta, a wszystkich oczy zwrócone na szeroki balkon, otwarty po nad głównem wejściem do Bazyliki. Wkrótce ukazuje się tam w asystencji dwóch kardynałów, Ojciec święty cały w bieli — tłumy padają na kolana — a sługa sług**), wznosi oba ramiona ku niebu i odmawia formułę błogosławieństwa Urbi et Orbi, miastu i światu. Trudno opisać wzruszenia jakie czuje każdy w tej uroczystej chwili, gdy głos namiestnika Chrystusowego, odzywa się sam jeden po nad głowami klęczących i oniemiałych tysiąców.

---

*) W ogrodzie Puław znajduje się doskonała kopja tej świątyni.
**) Servus servorum, jeden z tytułów papieskich.

Wieczorem, Bazylika Ś. Piotra, od krzyża kopuły aż do ostatnich kolumn podwójnego portyku, rozgorzała się płomieniem sześciu tysięcy lamp kolorowych. Taki to kolosalny świecznik zapala stolica katolicyzmu na cześć Zmartwychwstania Pańskiego!

Na początku maja, po otrzymaniu audjencji i odebraniu błogosławieństwa Ojca świętego — puściłem się lądem przez Siennę do Florencji, pożegnawszy Rzym ze smutkiem, rozmyślając w czasie podróży, nad prawdziwością następnych słów francuskiego pisarza: «On s'ennuie quelquefois à Rome le second mois de séjour, mais jamais le sixième — et si l'on y reste un an, on est saisi de l'idée de s'y fixer *).»

Sienna, jedna z dawnych Republik włoskich, zachowała dotąd i w postaci murów i w obyczajach, swój średniowieczny charakter. Miasto dzieli się na cyrkuły (rioni), każdy cyrkuł ma swoje odrębne godło z marmuru lub bronzu stojące na kamiennej kolumnie (wilka, lisa, bociana, gęsi, etc.). Mieszkańcy oddzielnych rionów nienawidzą się wzajem i nie zapomnieli, zrodzonych siedem wieków temu, między ich przodkami zatargów. Zapewniano mnie, że nie raz jeszcze Gwelf w spencerku mści się pchnięciem noża nad Gibellinem w paletocie, za cięcie zadane rapirem w XII wieku. Cyrkuł pod znakiem gęsi (oca), jest postrachem całego miasta.

Piazza del Campo przedstawia ciekawą panoramę ciężkiej, wojennej architektury — prócz innych starych budynków, wznosi się na nim wspaniały ratusz podobny do florenckiego Palazzo vecchio, tylko że z wysmuklejszą wieżycą i z wystającą naprzód szeroką trybuną, skąd Podestowie przemawiali niegdyś do zgromadzonego na placu ludu.

Marmurowa katedra z XIII wieku, z fasadą gotycką, wyciosaną w naiwne płaskorzeźby Jakóba della Quercia, z piękną kazalnicą wyszłą z pod dłuta Mikołaja z Pizy, ozdobna w posągi Donatella i w mozajki Beccafumi — jest najwspanialszym gmachem Sienny. Jedna z kaplic katedry, zwana bibljoteką (libreria), dla tego że w niej złożono kilkadziesiąt olbrzymich tomów oprawnych w drewniane okładki **) — mieści w sobie dziesięć prześlicznych obrazów al fresco malowanych przez Pinturicchia, podług rysunków dostarczonych przez Rafaela, dwudziestoletniego wówczas młodzieńca. Freski te, przechowane na suchych murach tak świeżo, jak gdyby malarz przed chwilą dopiero dał ostatni pociąg pędzla —

---

*) Promenades dans Rome, par de Stendhal (pseudonim zmarłego przed kilką laty autora, Pana Bayle).

**) Zawierają one, spisane na pargaminie, dawne nuty do śpiewów kościelnych (antiphonaires). Każdy tom ozdobny w ciekawe miniatury i arabeski,

są nowym dowodem genjalności mistrza z Urbino *) — życie i wdzięk tych kompozycji, trudne do wypowiedzenia — a nadewszystko w obrazie przedstawiającym Piusa II papieża, który zachęca mieszkańców Mantui, do krucjaty przeciw Saracenom. W środku owej sali (która może z tej przyczyny, nie kaplicą lecz bibljoteką się zowie), postawiono na postumencie, starożytną gruppę odkopaną w Siennie i wyobrażającą trzy Gracje. Ten nieco uszkodzony marmur grecki, pomimo swej ustalonej reputacji, nie wydał mi się arcydziełem.

Florencja w miesiącu maju żywszą i milszą ma postać niż w listopadzie, gdym ci ją po raz pierwszy opisywał. Przez kilkanaście dni używałem roskosznych przechadzek po ogrodach Boboli i Torrigiani i po tej czarownej promenadzie wzdłuż brzegów Arno, wiodącej do zielonego parku, zwanego Cascine. Zwiedziłem także leżący na wysokiej górze, starożytny gród Fiesole o cyklopejskich murach, skąd przepyszny widok na Florencję — na klasztor, w którym żył i pracował ów malarz mnich Fra Angelico, średniowieczny Rafael — na villę Palmieri gdzie Boccacio zgromadził wesołe i dowcipne grono powieściarzy i słuchaczek Dekameronu — i na mirjady pałacyków wiejskich, bielejących się śród zieleni drzew i purpury kwiatów. — Nie zaniedbałem również odobaczyć na nowo muzea, witając każdy marmur i każden obraz, jak ulubionych przyjaciół po kilkomiesięcznem rozstaniu. Wszystko znalazłem na miejscu, ale jeszcze piękniejsze przy promieniach wiosennego słońca. Jedno tylko malowidło Rafaelowe: Widzenie Ezechiela znikło z galerji Pitti — odpowiedziano mi na moje tęskliwe pytania, że Wielki Książe kazał przenieść to arcydzieło do swych prywatnych apartamentów — co mi daje dowód że Wielki Książe jest znawcą!

Doprawdy, przylgnąłem do Florencji całem sercem — i gdybym miał się sadowić we Włoszech na długie mieszkanie, to nie gdzieindziej bym osiadł.

W dalszym ciągu podróży wstąpiłem po raz drugi do Genui. Czas mi przebiegł na zwiedzaniu malowniczych okolic i wspaniałych pałaców, którem pierwszą razą ominął. Palazzo Doria z ogrodem pomarańczowych drzew, okolonym balustradą i odkrytemi portykami z białego marmuru, o których stopy pluskają z cichym szumem, szafirowe fale golfu — stał się najulubieńszym celem moich przechadzek.

Widziany w przelocie Turyn, nie ma w sobie nic oryginalnego — ale taki regularny, czysty i elegancki, iż zdaje

---

*) Wiadomo że Rafael Sanzio jest rodem z miasta Urbino, które niegdyś było udzielnem księstwem, a dziś należy do państwa Papieskiego. Rafael urodził się w 1483, a umarł w Rzymie 1520 roku.

się, że parę lat temu zbudowano go jak gdyby na model nowożytnego miasta i posłano na wystawę do kryształowego pałacu w Londynie — skąd, otrzymawszy duży medal złoty, wrócił napowrót do Piemontu.

Już nie przez Ś. Gotarda ale przez Mont-Cenis przeprawiłem się bez trudu — i przebywszy Sabaudję, oazę zieloności śród nagich granitów zniżających się Alp — stanąłem w Genewie.

Stolica kalwinizmu smutna i ponura — życie mieszkańców metodyczne i uregulowane, jak fabrykujące się tutaj sławne zegarki — każdy zajęty sklepem, kontoarem i księgą en partie double — istne mrowisko ciche a pracowite, które niekiedy robi rewolucje, ale tylko 24 godzin trwające — bo czas tu drogi a pieniądz niepogardzany.

Okazała katedra gotycka wydarta kotolicyzmowi, ogołocona z zewnętrznych ozdób, oszpecona przyczepionym peristylem greckim, stała się prawdziwie reformowanym kościołem. Ubogie muzeum miasta składa się po większej części z obrazów malarzy tutejszej szkoły. Jakże mi się pięknym wydał Tryumf Dawida, przez Domeniquina, zabłąkany tu między mierne utwory genewskie, Hornunga, Liotarda, Lugardona, etc.! Genewa jednak, słusznie poszczycić się może swojemi dwoma pejzażystami: Panem Diday i uczniem jego Panem Calame — ich dzieła są wiernym obrazem szczytnej natury alpejskiej.

Poświęciłem dwa dni na opłynięcie jeziora Leman, po którego brzegach osiadły cudnej piękności miasteczka i wioski — Coppet uświęcone wspomieniami Pani de Staël, autorki Korynny — Nyon z malowniczym zamkiem gotyckim — Lozanna, nastrzępiona w średniowieczne wieżyczki — Clarens gdzie J. J. Rousseau umieścił scenę swego romansu La Nouvelle Heloise — zamek Chillonu opiewany przez Byrona — i najczarowniejsze z tych wszystkich miejsc, Vevey, otoczone krajobrazem, który ujrzany raz, nie zaciera się już nigdy w pamięci i trwa wiecznie — jak wspomnienie jednego z tych snów promiennych, roztaczających niekiedy przed wzrokiem śmiertelnika, tajemnice i cuda biblijnego Raju!

KONIEC.

PAN
DEZYDERY BOCZKO
I SŁUGA JEGO
PAFNUCY
OBRAZEK Z PIERWSZYCH LAT EMIGRACYJNEGO ŻYCIA

...ridentum dicere verum
Quid vetat?
(Horatius, Satira I.)

I.

Na początku 1832 roku przybywszy do Paryża, nająłem mieszkanie w jednym z mniejszych hotelów w bliskości Palais-Royal. Polacy wówczas byli w modzie — wszyscy Francuzi uśmiechali się do nich mile, nawet portjery czyli stróże domowi, u których zwykle dobry humor nie pojawia się, aż na kilka dni przed nowym rokiem, gdy każdy lokator musi im płacić podatek zwany étrennes.

Mój portjer, dawny żołnierz z czasów Cesarstwa, dowiedziawszy się żem Polak i że umiem po francusku, nie posiadał się z radości i oznajmił mi, że w tym samym hotelu mieszka inny Polak od dwóch dni z Niemiec przybyły — a choć niesposób z nim się rozmówić, jednak widać że pan całą gębą, bo ma srebrną miednicę, wielki dywan w kwiaty, poduszkę safianową, szlafrok z futerkiem i służącego.

Portjer w te słowa przemawiał do mnie — a na jego głupowatej twarzy widać było wielkie uwielbienie dla bogatego Polaka i nie małą przychylność dla mnie, chociaż w mojej małej stancyjce nie było ani sreber, ani futer, ani makatów.

W parę godzin później, nowy mój przyjaciel francuski, nie mogąc się zrozumieć z dawniejszym swoim lokatorem polskim, przybiegł do mnie błagając abym mu służył za tłumacza, bo Pan ów gniewał się, a on nie wiedział o co.

Już to dla uskarbienia sobie łaski odźwiernego, już to może i ciekawością wiedziony, zszedłem o dwa piętra niżej objąć urzędowanie drogmana.

Polak ów, mogący mieć lat czterdzieści kilka, chudy i mały ale czupurnej miny, przechadzał się posuwistym krokiem po salonie, w szlafroku podbitym barankami krymskiemi, z fajką o długim cybuchu z wielkim bursztynem. — Wypuszczał on z ust jak z wulkanu, kłęby białego dymu,

a za dymem szła lawa słów szybkich, silnym wyrzucona głosem.

— Te kanalje Francuzy nic nie rozumieją! Niemcy domyślniejsi daleko — w Elblągu, mospanie, mówią po żmudzku — w Dreznie, szyldy na sklepach pisane po polsku — a w Erfurcie oberżysta, który chciał mnie oszukać, zrozumiał gdym go nazwał szelmą! —

Tych słów właśnie dokończał, gdym ja poprzedzony przez odźwiernego, wszedł do jego apartamentu.

W kilka minut, po zwyczajnych komplementach przy pierwszem spotkaniu, zrobiliśmy znajomość, a gdym go zapytał: z kimże mam honor? — dowiedziałem się iż zwał się Dezydery Boczko, że był sędzią powiatowym z zabranych prowincji — iż zostawił w kraju żonę i parę intratnych wiosek i był jednym z naczelników powstania.

Pan Boczko gniewał się o to, że gdy rozkazał portjerowi, aby mu sprowadził golarza i pomagając polskim słowom wskazywał giestami na szyję i brodę — ten źle pojąwszy owe znaki, przysłał mu kupczyka z kołnierzykami i chustkami.

Przybycie moje położyło kres tej komicznej wojnie domowej; ale pan Dezydery nie łatwo się uspokoił i nie zaprzestał się dąsać i rzucać aż w chwili, gdy brzytwa golarza dotykając się jego szczęki, nakazała mu przezorną nieruchomość.

Postrzegłem, bez zadziwienia, iż scena ta cała bawiła niezmiernie stojącego przy drzwiach w wytartym surducie szaraczkowym, dwudziestoletniego wyrostka, chłopaka z dowcipną twarzą i przebiegłem wejrzeniem. — Był to Pafnucy, służący pana naczelnika, który z Prus do Strasburga służył mu za stangreta (gdyż pan Boczko przyjechał do Francji własną kałamaszką, z tłomokiem i pościelą) a w Paryżu postąpił na lokaja i bicz zamienił na miotełkę.

II.

Pan naczelnik, znalazłszy pod ręką tłumacza, uczepił się do mnie obiema rękoma i musiałem rad nie rad chodzić z nim po mieście i eksplikować mu wszystko. Było to nieco mordującem, zwłaszcza w teatrach, gdzie mój towarzysz pytał mnie co chwila: A co on mówi? a z czego się to śmieją?

Drugą z nim rzeczą niezbyt wygodną było, iż musiałem ciągle mitygować jego burzliwy charakter, bo gniew siedział

mu wiecznie za kołnierzem — i za najmniejszą okazją brał się do kija na przechodzących i kupców.

Paryż dosyć mu się podobał. — Po długich dysputach przyznał, że to miasto daleko większe od Wilna, a nawet od Warszawy — sarkał tylko czasami że po garkuchniach nie było ani kołdunów, ani kwaszonych buraków, ani wędzonego półgęska — i że sklepy winiarskie takie brudne, iż ani sposób zajść na lampkę węgrzyna.

Pan Boczko zajmował się mocno polityką i lubił rozprawiać w tej materji — ale zbawienie Polski widział tylko w zebraniu się sejmu w Paryżu. — Miał on wielkie poszanowanie dla owej władzy dla tego, iż w 1832 roku o włos co nie został deputatem.

— Gdybym, mospanie (mawiał mi nieraz) był dniem wprzódy stanął w Warszawie, zasiadałbym na sejmowej ławie — bo w wigilję mego przybycia, sąsiad mój, który ani urzędu nie miał w powiecie, ani taki familjant i personat jak ja, okrzyknięty zastał posłem, gdyż nie wiedziano że miałem przyjechać. —

W owym czasie emigranci mieszkający w Paryżu, zbierali się licznie w wielkiej sali przy ulicy Taranne n° 12, gdzie była kontynuacja warszawskich honoratkowych klubów, i gdzie codziennie dowodzono z hałasem kto zdradził — a kto nie zdradził. — Głównie zaś rzecz szła o to: kto będzie rządził Emigracją. — A było dużo kandydatów!

Pan naczelnik poszedł parę razy na te ogólne zebrania i z początku podobało mu się niezmiernie towarzystwo za to, iż się wszyscy obywatelami zwali, i że podobnie jak na wyborowych sejmikach w kraju, każdy miał prawo popisywać się z własnem krasomówstwem i przerywać mowę innym. Ale gdy obywatel Krępowiecki zaczął deklamować cieniutkim głosem w imieniu uciemiężonych dwudziestu miljonów kmiotków — a eks-hrabia jednooki Gurowski, przed swoim odjazdem do Petersburga, wystąpił z argumentem, że póty u nas rewolucja się nie uda, dopóki ulice Warszawy nie będą wybrukowane czaszkami szlachty polskiej — pan Boczko się przestraszył i wspomniawszy na swój klejnot rodowy i na zakopcone portrety wąsatych przodków, które w dworku swoim zostawił — już więcej nogą na ulicy Taranne nie postał.

Najwięcej przesiadywał w domu i paląc fajkę uczył się wokabuł francuskich. — A gdy się zawiązało Towarzystwo Litewskie i Ziem Ruskich, wpisał się na członka i najregularniej chodził na sessje, z głębokiem przekonaniem że tym sposobem zbawia Ojczyznę!

III.

Jednego ranka, jeszcze w łóżku leżałem, gdy wpadł do mnie pan Boczko. — Z zapyrzonej jego twarzy i iskrzących się oczu, zrozumiałem iż zaszło coś nadzwyczajnego.

— Wstawaj pan! na miłość Boga żywego! musim iść do Trybunału Mospanie!

— A cóż się to dzieje panie naczelniku? — rzekłem, zrywając się na obie nogi.

— Oj dzieje się, dzieje infamja, Mospanie! Ten urwis Pafnucy głupstw mi nagadał i porzucił mnie.

— A to pan przyjmiesz innego służącego, albo co wypadnie jeszcze taniej, odźwierny usługiwać mu będzie.

— Nie oto tutaj idzie Mospanie! ja muszę reklamować u Trybunału, boć to przecie mój poddańczuk! —

Nie łatwo było wytłumaczyć panu Dezyderemu że we Francji poddaństwa nie ma i że murzyni nawet, których kupiono za gotowe pieniądze na targu, stanąwszy na ziemi francuskiej, odzyskują wolność. — Po długiem opieraniu się i sierdzeniu, zrezygnował się przecie na takowe argumenta i opowiedział mi wszystkie szczegóły sceny zaszłej między nim a służącym.

O godzinie siódmej rano, gdy pan Boczko leżąc w łożku, kazał sobie podać fajkę, Pafnucy uskutecznił zlecenie, ale poskrobawszy się w głowę powiedział śmiało:

— Ja przyszedłem panu podziękować za służbę!

— A to co się znaczy — krzyknął pan Sędzia — czyś ty zwarjował Pafnucy?

— Nie zwarjował, panie, ale nabrał rozumu. — Byłem ja na ulicy Taranne i słyszałem jak tam panowie sami uradzili, że my teraz wszyscy równi i że Pafnucy, taki dobry jak pan naczelnik. My teraz jesteśmy jeden w drugiego obywatele, a obywatel obywatelowi służyć nie może bez poniżenia, więc i ja panu dziękuję za służbę. Ważniejsze mamy obowiąski wszyscy — i ja muszę radzić o zbawieniu Ojczyzny, a nie pańskie buty chędożyć.

— W pasją mnie wprowadził Mospanie, ten kanalja; zrywałem się już i chciałem dać paniczowi suchą łaźnię i wysmagać porządnie cybuchem, ale uciekł nic dobrego. I jakoś to może lepiej się stało, bo bijąc, możebym był stłukł mój piękny bursztyn, który kupiłem w Rydze za dziesięć rubli, a tego hultaja cała skóra na grzbiecie tyle nie warta. —

Tu pan Boczko zatrzymał się, otarł pot z czoła i dodał z westchnieniem:

— Otóż to wdzięczność Mospanie! ja tego chama z chałupy bosego wziąłem do dworu; pielęgnowałem jak własne dziecko, w Krożach przez dwa lata uczyć kazałem, bo to chłopak był sprytny; tu w Paryżu odziewałem, poiłem i codzień franka na strawne dawałem. — A teraz oto zepsuli go intryganci, przerobili na hajdamakę! — Oj źle się dzieje! sądny dzień Mospanie! i jeżeli sejm się nie zbierze i czegoś nie uradzi, to nas nasze fagasy i oficjaliści na latarniach paryskich wywieszają co do nogi; bo nic już u nich świętego nie ma, kiedy nie umieją szanować ludzi co przęcież piastowali urzęda w powiecie i nie wyszli sroce z pod ogona! —

Długo jeszcze narzekał Pan naczelnik, rozwodząc się szeroko przeciw wszelkim winowacjom i towarzystwom co rozdwajały emigrację, aż w końcu, gdym mu dał się do woli wygadać i wysapać, uspokoił się nieco i poszedł do siebie ubierać się — gdyż za godzinę, miała być ważna sessja Towarzystwa Litewskiego i Ziem Ruskich.

IV.

Nazajutrz około południa, zastałem go w wyśmienitym humorze; właśnie tylko co wyszedł od niego malarz, który rysował jego portret do dzieła wydawanego wówczas przez Straszewicza, a w którem i pan Dazydery Boczko miał figurować między sławnymi ludźmi Polski, jako jeden z naczelników powstania.

Przy wizerunkach miały być i biografje, a że świetne czyny, większej części tych unieśmiertelnionych, nie doszły do wiadomości historyków, więc niejeden musiał sam pisać swój życiorys.

Pan Boczko zabazgrał dwie libry papieru i uraczył mnie swoją prozą, która niezbyt była zabawną — nie mogłem się jednak wykręcić i musiałem słuchać do końca. — Największa część biografji poświęcona była wyłożeniu czytelnikom, przez jaki zbieg nadzwyczajnych okoliczności, nasz bohater przybył dniem zapóźno do Warszawy i przez to nie był obrany deputatem. A nie odżałowana to była szkoda, bo jego energja i głęboka znajomość ludzi, byłaby niezawodnie zbawiła Polskę, przeszkodziła wypadkom nocy 15 sierpnia, skonfundowała Krukowieckiego podstępy i ślamazarność Ramo-

ryny; i sejm nie w Zakroczymskiej karczmie, ale śród broniącej się Warszawy byłby zachęcał naród do wytrwania i wojny, i wotował dekorację z napisem: usque ad finem.

Jednem słowem, pan Boczko oddawał sobie nie szczupłe pochwały i żałuję mocno, że nigdy mi nie wpadło w ręce dzieło Straszewicza, bo ciekawy jestem dotąd, na wiele linji zredukowała się owa dwulibrowa biografja.

Pan naczelnik był w złotym humorze; rozciągał się na kanapie, pokręcał wąsa i wypuszczał kłęby dymu z długiego cybucha, a za niemi jeszcze dłuższe cycerońskie perjody.

— Tak, tak Mospanie! człowiek był przecie czemsiś. — Nie siedziało się za piecem z babami; robiło się swoją powinność Mospanie! to też zostawi się po sobie jaki taki ślad w kronikach krajowych — i kiedyś opowiadając dzieje naszej walki, będzie można wyrzec jak ów starożytny Eneasz: quorum magna fars fui *). Widzisz Mospanie, że nie zapomniałem łaciny; prawdać że do niej naganiano bizunem w Krożach, alec dobrze robiono, bo przecież jakiś król nasz, podobno Stefan Wiśniowiecki (pan Boczko nie był tęgi w historji) powiedział: Disce puer faciam te Mościpanie! Otóż puer się uczył i doszedł do Mościpaństwa!

V.

Kiedy niekiedy, wieczorami, pan naczelnik spraszał do siebie rodaków na pohulankę, na gadankę i na karteczki. Pan Dezydery był nieco kutwa, ale że miał krew polską i szlachecką w żyłach, lubił przyjmować u siębie. — Zresztą nie rujnowało go to bynajmniej, bo miał dostatkiem grosiwa i chodziły wieści, że nosił na gołem ciele kaftanik jedwabny watowany obrączkowemi dukatami, który mu przezorna żona, w chwili powstania, własną ręką uszyła, aby służył za pancerz przeciw kulom i biedzie.

Na owych wieczorach była zawsze herbatka z rumem, ciasteczka, prawdziwy wagsztaf ruski i ów niezbędny w owych czasach faraonik, jak gdyby przypomnienie dalekiej ojczyzny.

---

*) Słowa te, w ten sposób przekręcone, słyszałem cytowane na serjo.

Zgrywali się bracia szlachta, ale się pocieszali myśląc, że pieniądze przynajmniej nie przechodziły do cudzociemców, lecz między swojemi peregrynowały. — A że ojcowie nasi zwykli byli mawiać: hodie mihi cras tibi, więc była nadzieja odegranej.

Jak który wypróżnił kieszenie, to się zbyt nie martwił; zaciągnął się tylko wagsztafem, dolał do herbaty rumu kieliszek i gadał o zrewolucjonowaniu Europy.

Pan Boczko grał ostrożnie, sislewy nigdy nie robił, na martyngały się nie usadzał, a gdy mu posłużyła fortuna, to porzucał stolik zielony, siadał na kanapie i o sejmie gadał, lub rozpowiadał dziwne dykteryjki i niestworzone baje.

— Jednego razu, Mospanie! nieboszczyk cesarz Aleksander jadąc do Berlina, przejeżdżał przez nasze powiatowe miasto. Celniejsza szlachta z okolicy, a szczególniej personaci i urzędnicy, zebraliśmy się przed domem pocztowym i pan Marszałek, w czasie przeprzęgu koni, przedstawiał nas monarsze. — Gdy na mnie przyszła kolej: pan sędzia Dezydery Boczko, zawołał Marszałek.

Cesarz spojrzał na mnie, przyłożył palec do czoła i namyśliwszy się chwilę rzekł: pan Boczko z Dzienduliszek, nieprawdaż?

— Tak jest najjaśniejszy panie — odrzekłem kłaniając się nisko. —

— Słyszałem o wasędzi, słyszałem — rzekł uśmiechając się cesarz i odjechał.

Bardzo mi było dziwno skąd on mógł o mnie słyszeć, i nieraz łamałem sobie nad tem głowę.

— A jużcić (rzekł ktoś z obecnych) zapewne nie wróble na dachu, ani myszy za obiciem gadały cesarzowi o panu, ale ktoś z przyjaciół pańskich.

— Tak i ja myślę Mospanie! a mam porozumienie na sąsiada mego Trzepałkowskiego z Błagowa, który był brat za brat z nieboszczykiem Aleksandrem, tak że nieraz, po całych nocach, ciągnąc czaj i kurząc lulki, w marjasza z sobą grywali; a grywali nie w sine papiery bumażne, ale złotem Mospanie! Pożyczałem ja jemu pieniędzy na podróże do Petersburga i mam jeszcze ostatni jego oblig w pugilaresie. — On to zapewne przez wdzięczność, zrobił mi u cesarza renomę! —

Podobnego rodzaju historjek nasłuchałem się nieraz i trzeba było udawać, że się wierzy, bo pan naczelnik zaklinał się na mękę pańską, że to wszystko prawda.

Radziwił panie kochanku umarł oddawna, ale zostawił godnych siebie zastępców, i gdy między Polakami natrafisz na łgarza, to już nie partacz, ale majster wyśmienity; Gaskon ani się umywał do niego. Na dowód tego, przytoczę tu ba-

jeczkę wierutną, opowiadaną na serjo przez jednego z gości na wieczorze u pana naczelnika.

— Kilka miesięcy temu (mówił nam) zdaje się że w septembrze, pojechałem na wieś do jenerała Lafajeta, bo to mój dawny i dobry znajomy. Przyjął mię bez ceremonji serdecznie; kazał wziąść konie do stajni, zasypać im obroku — a że to była godzina obiadowa, więc napiwszy się wódeczki, siedliśmy bez ceremonji do stołu.

Ledwo żeśmy zupę kończyli, aż tu turkot na dziedzińcu, trzask, prask z bicza. — Patrzem, zajeżdża ogromna kareta sześciokonna. — Wybiegamy przed ganek, żeby obaczyć kto to: — Filip z córkami! Lafayette ucałował się z królem, mnie przedstawił grzecznie, a potem bez ceremonji zaprosił go na obiadek. Filip zrazu się wzbraniał, ale córki mrugnęły na niego, więc przystał. — Zjedliśmy bez ceremonji doskonałą, przerastałą sztukamięs z ogórkiem, pekeflejszu półmisek, ogromny tygiel zrazów z kaszką Radomską, pieczeń huzarską z sałatą, a potem cukrów, wetów i specjałów bez liku. Król je doskonale, a Filipówny, dziewy dorodne jak łanie, raczyły się bez ceremonji, szczególniej ciastem, pierniczkami i innemi delikatesami.

Gdy po obiedzie przyniesiono kawę i podano fajki, rozwiązał się Filipowi język i zaczął gadać bez ceremonji o polityce i o przywróceniu Polski. Oj główka to nie makówka! sprytny człowiek — i gdyby mnie był nie prosił o sekret, tobym wam powiedział jakie jego w tem wyborne plany, ale obaczycie to później sami. Podobałem mu się niezmiernie i odjeżdżając prosił mnie żebym bez ceremonji bywał u niego. — Odtąd chodziłem często do Tuilerów ale incognito, tyłami, bo król się bał aby Mikołaj się o tem nie dowiedział. — Gdy przyjdę bywało, to mnie fetują jakby jakiego książęcia w koronie, a szczególniej Filipówny mi rade i tak żartują ze mną starym, że aż matka, trochę dewotka, ale kobieta bardzo przyzwoita, musiała nieraz je łająć bez ceremonji.

Ale patrzajcie no jakiego figla mi wypłatał pan Filip, niespodziewałem się tego po jego przyjaźni. — Niedawno temu, jednego wieczora graliśmy w pikietę i zostałem mu dłużny 20 franków, które pod słowem honoru obiecałem mu bez ceremonji odnieść za pierwszą okazją. — Jakoś nieszczęściem, tak wypadło że przez tydzień cały nie miałem ani chwili wolnego czasu, a właśnie nadszedł pierwszy dzień miesiąca. — Idę po odebranie żołdu, aż tu kasjer zamiast 80 daje mi tylko 60 fr.: — Z początku nie wiedziałem co to znaczy, aż nareszcie przypomniałem sobie ów dłużek karciany; król kazał mi bez ceremonji potrącić swoje 20 franków.

Przyznam się wam że mnie to mocno ubodło, iż Filip

tak mi uchybił, nie dowierzając oficerskiemu słowu. — Od tego czasu, poprzysiągłem sobie że już więcej do Tuilerów nie pójdę — i nie poszedłem choć król pisał do mnie bez ceremonji, listy bardzo grzeczne! —

Opowiadanie to jest autentyczne, znane prawie wszystkim Polakom mieszkającym w Paryżu — i przyznacie mi szanowni czytelnicy, iż obok niego łgarstwa Radziwiłłowskie są niczem i w kąt idą jak nie pyszne.

Na takich to dyskusjach, wieczorynkach, fraszkach i baraszkach, zeszły dwa pierwsze lata emigranckiego życia.

VI.

Tymczasem Pafnucy wybieżały: na wolność nie zasypiał sprawy. — Obywatele koledzy wyrobili mu pensją jako cywilnemu Polakowi u komitetu francuskiego, zajmującego się wspieraniem emigracji. — Pafnucy przezwał się panem Pafnuckim, zrzucił szaraczkowy surdut a przywdział frak czarny, kosztem komitetu sprawiony i nie opuszczał ani jednego posiedzenia przy ulicy Taranne, wotując gorliwie odezwy do Węgrów, Żydów, Włochów, Moskali i t. d.: z głębokiem przekonaniem że tym sposobem zbawia Ojczyznę!

Umiejąc czytać i pisać i mając sprytu niemało, w krótkim czasie nauczył się po francusku, lecz gdy komitet wypróżnił swoje fundusze i nie miał już czem płacić, Pafnucki jak inni, osiadł na koszu i przygniotła go bieda, a w Paryżu bieda straszniejsza jak gdzie indziej. — W pierwszych chwilach, żałował on pewnie dawnego miejsca u pana naczelnika, gdzie było mieszkanie i odzież i strawne, ale miłość własna, nie pozwalała mu zrazu wziąść się do pracy; wolał więc żyć kasztanami pieczonemi i suchym chlebem, a czasem i o głodzie dzień cały przebyć, niż się wziąść do jakiego bądź zatrudnienia.

Jednakże bieda przemogła dumę w obywatelu; nie wiedząc czego się chwycić, wszedł zrazu do fabryki zapałek chemicznych, skąd po kilku miesiącach przykrej i niezyskownej pracy, dostał się wreszcie do bióra notarjusza, na roznosiciela aktów i listów, urząd który Francuzi nazywają malowniczo saute-ruisseau. — Tutaj zarabiając 40 fr. miesięcznie i mając kiedy niekiedy małe obrywki od klientów, po-

rósł w pierze i przekonał się że już nie zginie na bruku paryskim.

Cały tydzień biegał po mieście z komisami, a w niedzielę i święta, w szpiczastym kaszkieciku czerwonym, w kamizelce à la Robespierre, w dawnym fraku komitetowym, z cygarem w ustach — przechadzał się dumnie po bulwarach ze znajomymi Fracuzami, i o bliskiej republice rozprawiał.

Straciłem go zupełnie z oczu, dopiero gdy się ukazał ów sławny manifest przeciw księciu Czartoryskiemu, nie pamiętam już, w którym to roku, bo owego manifestu nie podpisywałem — przeglądając listę niesłychanie liczną oponentów znalazłem na niej i imię pana Pafnuckiego.

Mówiono mi później, że ów cywilny Polak, po różnych kolejach losu został agentem handlowym (commis voyageur) czyli jak to w emigracji nazywano: komikiem.

Objeżdżał departamenta dla umieszczania wina i araku i sprzedawał dzieło La Pologne pittoresque. A że był wymowny i niezrażający się niczem, więc raz przestąpiwszy próg prywatnego domu, póty z niego nie wyszedł, póki znudzony właściciel nie zamówił u niego beczki wina, lub przynajmniej nie kupił książki. — Doskonale mu szły interesa i przy oszczędnem życiu, uzbierał sobie znaczny kapitalik. —

Zręczność jego tak była znaną powszechnie, że Francuzi kamraci tegoż samego rzemiosła, przybywszy do jakiego miasta, gdy się dowiedzieli że Pafnucki przed kilkoma dniami stamtąd odjechał — nie rozpakowaszy kufra wsiadali na dyliżans spiesząc gdzieindziej, przeświadczeni że po odwiedzinach takiego mistrza, nie było już w tem mieście nic do roboty. — Potworzyły się nawet liczne o nim legendy; najciekawszą z nich, przytaczam. —

Pewnego ranku wchodzi p. Pafnucki do komptoaru jednego z pierwszych domów hadlowych w Bordeaux i skłoniwszy się nisko, pyta: «Czy pan nie potrzebujesz commis-wojażera? — Kupiec odpowiada że w tej chwili wszystkie miejsca u niego zajęte. —

Nazajutrz i przez dwa dni następne, o tejże samej godzinie, Pafnucki niezrażony odmową, chodzi do Francuza ofiarując wciąż swoje usługi — i codzień z coraz kwaśniejszym humorem i mniej grzecznemi słowy odprawiają go z kwitkiem. —

Piątego dnia, nieulękły Polak znów się pojawia. — Kupiec zniecierpliwiony do ostatka, wręcz mu oświadcza że jeśli jeszcze raz przyjdzie go nudzić, to każe go wyrzucić za drzwi. — Pafnucki kłania się nisko i znika, ale nazajutrz powraca — i jak gdyby to była pierwsza wizyta, zapytuje nieśmiało: «Czy pan nie potrzebujesz commis-wojażera?»

Francuz osłupiał z zadziwienia — lecz nagle gniew jego

się uhamował — uśmiech mu wystąpił na usta i podając rękę Pafnuckiemu, rzekł: «Zaprawdę! mam już dziesięciu ajentów», ale takiego natrętnego i nieustraszonego człowieka jak waćpan, przyjmuję chętnie — bo mam nadzieję że sam jeden więcej mi umieścisz towaru, niż tamci.»

VII.

Pan Boczko miał kilka chwil uradowania, gdy się posłowie polscy zaczęli zbierać w Paryżu — ale kiedy po długich staraniach i odezwach, niepodobna było dobrać się kompletu i zwołanie sejmu nie doszło do skutku — Pan naczelnik zgryziony i zagniewany, brzydkie słowa powiedział na oponentów i opóźnionych — raptem przestał chodzić na sessje Towarzystwa Litewskiego i ziem Ruskich — i z rozpaczy, wpisał się do nowo zawiązanej Konfederacji, bo ta nazwa musiała mile brzmieć dla herbowego szlachcica, przypominając złote czasy wolności i swawoli, kiedy kwitły owe zgubne prerogatywy: Leberum veto, i neminem captivabimus nisi jure victum. —

Konfederacja krótkie miała istnienie. — Jedynym faktem jej dziejów było to: że ambasada rossyjska patrząc na nią zapewne przez powiększający teleskop, uznała owe towarzystwo za grożące spokojowi Europy — i zażądała od francuskiego ministerjum, by konfederatów wydalono z Paryża. —

Pan Boczko, jak inni, odebrał rozkaz z prefektury policji, opuszczenia bezwłocznie stolicy. — A że Francja nieposiada Syberji, więc wygnanie ograniczyło się na wydaniu paszportu do małego miasta w jednym z południowych departamentów. —

Bohatyr nasz skwaszony niepowodzeniami politycznemi i tą przymuszoną podróżą, zesmutniał, stetryczał i takim stał się odludkiem, że w nowej rezydencji zastawszy kilkunastu rodaków, nie chciał się z nimi znajomić. — Najął sobie mieszkanie na przedmieściu w odosobnionym dworku i żył tylko z rodziną swego gospodarza, dyskutując o hodowaniu krów, karmieniu wieprzów i uprawie roli. — Do miasta chodził tylko w niedzielę na mszę — a całe dnie przepędzał w polu lub w ogrodzie. — Nowy Cyncynatus zstępując z tryumfalnego

wozu, powrócił do siania grochu i sadzenia kapusty — i postrzegł z uradowaniem, że droga niezbyt daleka z Kapitolu do Dzienduliszek. —

Polacy osiedleni w miasteczku zawiązani byli w towarzystwo pod nazwą Gminy. — Na tygodniowych posiedzeniach prezydowanych przez każdego z kolei, sekretarz spisywał protokół — a mówcy nie zawsze zgodnie ale za to krzykliwie radząc o losach świata, sarkali nie pomału że nowo przybyły ziomek nie tylko nie uczęszczał na sessje, ale nawet nie chciał składać braterskiego podatku na opłacenie kosztów bióra i korespondencji. —

Gmina przez długi czas czekała cierpliwie na poprawę grzesznika — lecz gdy ani ustne ani piśmienne napomnienia nie skutkowały — zwołano nadzwyczajne posiedzienie dla wymiaru sprawiedliwości. —

Najznakomitszy mówca, podniósł głos oskarżenia na wyrodnego syna ojczyzny, który z naganną obojętnością odsuwał się od ogólnej sprawy. —

Huczne oklaski potwierdziły zdanie oratora — jeden tylko z obecnych, stary wiarus z czasów księstwa Warszawskiego zrobił uwagę że nie przystoi obrońcom wolności używać despotycznych środków i tyranizować cudze sumienie. — Lecz słowa te zagłuszono krzykiem i śmiechem — i przyjęto zredagowany przez Prezesa wyrok, ktory brzmiał: że obywatel Dezydery Boczko ma być wymazan z listy emigrantów i uznan za niegodnego noszenia nazwy Polaka. *) —

Trybunał, nie posiadając na swe rozkazy władzy wykonawczej, musiał poprzestać na piśmiennem przesłaniu delikwentowi, wydanej na niego sentencji. —

Szczęściem że Pan Dezydery (w mniemaniu że to jest nowe wezwanie przystąpienia do Gminy) nie odpieczętowawszy listu podarł go na drobne kawałki i wrzucił w komin. — Tym sposobem, nic nie wiedząc o wyrządzonej sobie zniewadze, uniknął wielu zmartwień i kłopotów — gdyż w przeciwnym razie, byłoby przyszło bez wątpienia do pojedynków i gorszych może awantur. —

---

*) Podobny dekret, opatrzony podpisami członków rady gminnej, na własne oczy czytałem wydrukowany w małym dzienniku polskim, wydawanym w Paryżu.

VIII.

Już ośm miesięcy trwało to jego wygnanie. — Obora, kurnik i ogród zaczynały go nudzić — natarczywość braci Polaków drażniła mu nerwy — wzdychał więc za Paryżem i pisał list po liście do zamieszkałych tam przyjaciół zaklinając ich, aby mu wyrobili pozwolenie do powrotu. —

Przy staraniach i protekcjach, minister dał się przebłagać. — Pan Boczko, właśnie niedługo po owym doraźnym sądzie, otrzymał pożądany paszport i wsiadłszy tryumfalnie w dyliżans, ruszył w drogę do kochanego Paryża. —

Pan Dezydery był w złotym humorze — wszystko mu się uśmiechało w tej podróży. — Czas ciepły — niebo słoneczne — a w środku pojazdu tylko dwóch towarzyszów i obaj fajczarze — mógł więc bez przeszkody palić ulubioną lulkę i roztasował się wygodnie ze swemi manatkami, w jednym z kącików. —

W czasie przeprzęgu koni w Lyonie czwarty wojażer, przystojny młodzieniec mogący mieć lat trzydzieści, wsiadł do dyliżansu i zająwszy próżne miejsce, zaczął w milczeniu przyglądać się sąsiadom. —

Mała a czupurna figura naszego bohatyra, wąs zawiesisty i fajka z pięknym bursztynem, zwróciły szczególniej uwagę przybysza — a skoro dostrzegł na wiszącym u guzika kapcjuchu wyhaftowanego Orła z pogonią, domysły jego zamieniły się w pewność — i przemówił da Pana Boczka po polsku. —

Znajomość między rodakami skojarzyła się szybko. Podróżny był emigrantem, zwał się Fafałkowski i mieszkał w Paryżu, dokąd powracał odbywszy dla własnej przyjemności (jak powiadał) małą przejażdżkę po Francji.

Wszystko to było prawdą, wyjąwszy celu podróży — bo w istocie pan Fafałkowski był ajentem politycznej partji i objechał, kosztem braterskiego podatku, powierzone sobie zakłady polskie, dla rekrutowania adherentów do świeżo zawiązanego w emigracji towarzystwa zwanego Zjednoczeniem.

Z początku, rozmowa toczyła się o rzeczach obojętnych, o zabawach paryskich i o klimacie południowej Francji. Pan Fafałkowski, jako biegły strategik, obchodził powoli fortecę dla dojrzenia słabej strony, a pragnąc ułowić rybę, wyszukiwał, jaki przysmaczek założyć na haczyk wędki.

Po krótkim czasie, odkrył bez trudu, że sąsiad dyliżansowy jest człowiekiem pełnym próżności, więc postanowił wkraść się do jego serca, ścieżką podchlebstwa. A że Pan Boczko kilka razy wspomniał o sejmie, rzekł do niego:

— Pan dobrodziej zapewne był posłem?

— Nie! Mospanie, nie byłem! (Tu nastąpiła długa relacja już nam znana).

— Co za nieodżałowana szkoda! (zawołał z westchnieniem Fafałkowski). Jakaś fatalność wiecznie ciąży na naszym narodzie! Bo przecież obywatel z takim wysokim rozumem i tak przekonywającą wymową jak Pan dobrodziej, byłby wśród sejmu nie małą oddał przysługę ojczyznie i nie dopuścił wiele głupstw i błędów, które nas zgubiły! —

Ten gęsty obłok kadzidłowego dymu nie zakrztusił bynajmniej chybionego posła. Z nieutajonem zadowolnieniem przyjął komplement za dobrą monetę — ścisnął po przyjacielsku rękę człowieka, który go tak umiał ocenić i zaczęła się poufniejsza między nimi rozmowa.

Droga z Lyonu do Paryża trwała przeszło dwie doby — a Pan Boczko wygłodzony brakiem politycznych konwersacji w samotnym dworku ogrodnika, puścił wodze językowi. Fafałkowski przez cały dzień potakiwał mu we wszystkiem, nie szczędząc admiracyjnych wykrzykników — i dopiero nazajutrz, gdy wymiarkował, że zawojowany Pan Dezydery oddał mu się z duszą i ciałem, zaczął jakby z niechcenia wygłaszać własne pryncypja. —

Dowodził przeto, że wszystkie dawne opinje zużyły się i przepadły — że teraz zasady demokratyczne owładnęły Francją, a więc i my Polacy w nich tylko znajdziem zbawienie. Że wsród partji emigracyjnych, jedni demokraci umieją działać skutecznie i wywierają silny wpływ na kraj. — Że nowo zawiązane towarzystwo pod nazwą Zjednoczenia, odgadnąwszy ducha czasu i trzymając się drogi postępu, postawi Polskę na nogach — i że prawi synowie ojczyzny, jakiekolwiek dawniej były ich opinje, powinni jednoczyć się pod tę chorągiew. A w końcu dotał: «Ludzie z tak znakomitemi zdolnościami, jak Pan dobrodziej, przeznaczeni są na zasiadanie w głównej Radzie Zjednoczenia, by stamtąd rządzić emigracją i rozkazywać krajowi...» — —

Ten ostatni argument, który Pan Fafałkowski chował na dobitkę, jako ową ogólną szarżę kawalerji co zwykle decyduje wygraną bitwy, rozbroił do reszty wahającego się Boczka. — Eks-członek Towarzystwa Litewskiego i Ziem ruskich, i Eks-Konfederat, wpisał się do Zjednoczenia, z głębokiem przekonaniem, że tym sposobem zbawi ojczyznę. —

IX.

Ludzie słabego charakteru, muszą mieć zawsze przed sobą jakiś przedmiot do uwielbiania. — Grecki posąg wyciosany w marmurze dłutem Praksytela, czy też potworny wizerunek indyjskiego bożyszcza — wszystko im jedno; byle tylko było przed czem klęknąć. — Pan Boczko straciwszy wiarę w Sejm, zwrócił swoje nabożeństwo do Demokracji. —

Zacięty arystokrata w duszy, pełen uprzedzeń i skryty nieprzyjaciel wszelkiego postępu, czyli jak to dawniej nazywał, zgubnych innowacji — Pan Naczelnik dla zyskania sobie popularności, małpując nowych swoich przyjaciół, zaczął się sierdzić i nazywać arystokratami tych wszystkich, którzy nie potakiwali jego słowom. — Wyuczył się od Fafałkowskiego zużytych formułek i oklepanych frazesów — i paplał trzy po trzy od rana do wieczora: że szlachta zgubiła Polskę — że szlachta zepsuta i nic już z niej nie będzie — że teraz lud jest wszystkiem — i że każdego prawego Polaka powinno być dewizą (już wtenczas jako tako umiał po francusku): tout pour le peuple et par le peuple. —

Każdemu wolno wybrać sobie opinję polityczną, którą osądzi za najlepszą — ale wybrawszy ją, powinien przyjąć wszystkie jej następstwa i starać się, aby jego czyny nie kłamały słowom. — Nieszczęściem, Pan Boczko, w tym samym czasie, gdy tak piorunował na szlachtę, kazał sobie odbić u sztycharza, na porcelanowym papierze, bilety wizytowe z ogromnym herbem i z partykułą de. —

Jako sumienny historyk, dodać jednak muszę, że Pan naczelnik nosił w kieszeni podwójne bilety — dla Polaków, Boczko bez herbu — dla Francuzów, de Boczko z herbem. — Ale wydała się komedja i ubawiła nas nie mało! —

Bohatyr nasz, wpisawszy się do Zjednoczenia, choć nie wiedział dokładnie o co rzecz idzie, uczęszczał gorliwie na posiedzenia, wotując wraz z innymi przez cały rok na utworzenie komitetu, który nigdy się nie mógł utworzyć — bo na dwanaście miejsc, przedstawiano zawsze blisko stu kandydatów, żaden więc nie posiadał wymagalnej większości. — Pan Boczko także otrzymał kilkadziesiąt głosów, których liczba, przy ponawianych wyborach, to zmniejszała się, to powiększała — lecz wiecznie bez rezultatu. —

Schlebiało to jednak jego miłości własnej — i nabrał jeszcze większej wiary w gwiazdę swego przeznaczenia, gdy ksiądz Praniewicz w swojej Bakowskiej epopei napisał i o

nim cztery wiersze, porównywając go z Aleksandrem Wielkim, czyli też z Władysławem Laskonogim — nie pomnę! —

Była to najświetniejsza epoka emigranckiego życia dostojnego naczelnika. — Jedna tylko chmurka zaciemniła mu horyzont tak, iż przez chwilę zwątpił o swych politycznych zdolnościach. — Oto, redaktor Nowej Polski, który nieubłaganym biczem chłostał ciągle winnych i niewinnych, pochwalił go w jednym z numerów swego dziennika. —

Mówią, że Pan Boczko rozchorował się ze zmartwienia i dnia tego opuścił ważną sessję zjednoczonych, gdzie po raz dziewięćdziesiąty dziewiąty, miano ostatecznie wotować na wybór członków komitetu.

Zresztą, owe bezustanne a bezskuteczne kreskowania, poczęły się wydawać zbyt monotonną rozrywką dla niecierpliwego humoru Pana naczelnika. — Obiecane przez Fafałkowskiego dostojeństwa opóźniały się — nudził się, mruczał i gdyrał — i zwracał niekiedy tęskne wejrzenia ku innym partjom emigracyjnym. —

Gdy Towarzystwo Trzeciego Maja zaimprowizowało narodową dynastję i króla de facto — Pan Boczko choć to niby demokrata, miał chętkę przystąpić do elekcyjnej szopy i głosować afirmative jako elektor de jure — lecz Fafałkowski czuwał nad swoim uczniem a raczej jeńcem i nie dopuścił podobnego przeniewierstwa. —

Towiańszczyzna nęciła go z początku: Prorok bowiem przyjechał do Francji nie na ognistym wozie Eljasza, lecz po prostu tak, jak on sam niegdyś, parokonną kałamaszką litewską — a między apostołami nowej wiary było kilku jego sąsiadów i przyjaciół. — Jeden z nich, zawiódł go na konferencją do Nanterre i Towiański oświadczył, że Pan Boczko ma wielkiego ducha szarego w małem swojem ciele. — Słysząc tak podchlebne o sobie zdanie, byłby się może dał ułowić, gdyby nie ceremonjał przyjęcia, który mu się nie podobał — gdyż mu kazano, jemu naczelnikowi i sędziemu, padać do nóg i całować buty eks-rejenta! — Nabrał także nie małej odrazy do owej sekty, kiedy przy powrocie do Paryża, towarzysz podróży zaczął mu wykładać doktrynę metampsychozy i ręczył na serjo, iż sobie przypomina dokładnie, że w jednym z poprzednich żywotów, on i Pan Boczko byli obaj razem, żubrami w Białowieskiej puszczy. — Chociaż żubr należy do arystokracji zwierzęcego plemienia — harda dusza Pana Naczelnika oburzyła się słusznie na przypuszczenie, iż mogła kiedyś zamieszkać w czworonożnem ciele! —

Partja wojskowa chciała go zagarnąć do siebie, zapewne jako znakomitego strategika (czego dawał dowody przy faraonie i innych grach hazardowych) ale bohater nasz, do-

wiedziawszy się, że całe towarzystwo składało się tylko z dwunastu osób, i że on miał być trzynastym — przeląkł się tej cyfry złowrogiej, jak djabeł kropidła. —

Powrócił więc do Zjednoczenia i znów przez rok wotował bezowocnie na komitet, z głębokiem jednak przekonaniem, że tym sposobem zbawia ojczyznę! —

X.

Parę lat temu, jadąc do wód w Pireneje, zatrzymałem się dla widzenia jednego z moich znajomych Francuzów, w małem miasteczku Gaskonji.

W kilka godzin po moim przyjeździe przyjaciel mój zapoznał mnie z młodzieżą tameczną, doborem lwów prowincjonalnych, którzy dowiedziawszy się żem Polak, donieśli że jest w mieście od tygodnia, jeden z moich ziomków, zasłużony oficer z znakomitej familji, któremu car skonfiskował miljonowe dobra i który teraz dla zarobku, zmuszony jest robić portrety Daguerrotypem. Polak ten, mówili, nazywa się Pan de Pafnucki.

Ledwiem nie parsknął od śmiechu usłyszawszy to imię, jednak zaciąłem zęby, bo na cóż było przed cudzoziemcami brudy nasze odkrywać.

Odpowiedziałem tylko, że słyszałem o owym Pafnuckim, ale że on jest z innej jak ja prowincji, więc ani jego familji, ani dóbr jego nie znam. To jednak ręczyć mogę z pewnością i słowem honoru stwierdzić, że on nigdy w wojsku nie służył, chyba jak to u nas żartem w Polsce mówią, w marynarce konnej.

Spojrzeli po sobie Francuzi z utajonym uśmiechem — i pewny jestem że niektórzy z nich, htórych wygadany Pafnucki swemi miljonami odurzył, wzięli mnie za wierutnego łgarza. — Mój jednak przyjaciel, który mnie znał dobrze i który nie był w ciemię bity, zrozumiał, że w tem jest jakiś nieczysty interes, i że Pan de Pafnucki jest to podejrzana figura.

Nie długo potem, spotkałem się w kawiarni z eks-lokajem Pana Naczelnika. Ledwie żem go poznał, wyrósł i ułożył się. — Szkiełko w oku, zegarek ze złotym łańcuchem, szpinka do chustki z turkusem, pierścienie na wszystkich palcach,

wymowny. pochlebiający wszystkim, kłaniający się nisko, z wiecznym uśmiechem na ustach — słowem istny szarlatan.

Udał że mnie nie zna, ja też rad z tego, nie chciałem mu przypominać dawnej znajomości paryskiej, gdy w przedpokoju Pana Boczko czyścił cybuchy. — A choć mi nadskakiwał natrętnie, tak go zimno przyjąłem iż prawie oniemiał i nie śmiał gadać przy mnie Francuzom, ani o swoich szlifach, ani o antenatach i skonfiskowanych wioskach.

Gdym wrócił do Paryża i opowiadał tę scenę znajomym, ktoś z obecnych doniósł nam, że ów dawny Pafnucy, zebrał do dwudziestu tysięcy franków na różnych spekulacjach handlowych i ze zmianą fortuny, zmienił i dawne polityczne ideje. — Kamizelki à la Robespierre już nie nosił, przeciw arystokratom nie deklamował, a z dawnemi znajonemi buzingotami nie witał się, abu mu nie zbrudzili białych jego rękawiczek i nie skompromitowali w oczach prefekta, który dał mu się odurzyć i na bale go do siebie zapraszał.

Dla tego też bez zadziwienia wyczytałem później w jednym z numerów Trzeciego Maja, oświadczenie Pana Pafnuckiego nadesłane z Departamentu ***, w którem donosił światu i emigracji, wszem w obec i każdemu z osobna komu o tem wiedzieć należy, iż żałuje mocno tego, iż kiedyś podpisywał manifest przeciw księciu Czartoryskiemu: że wówczas był oszukany i wciągnięty podstępem; a teraz gdy mu się otworzyły oczy, poddaje się bezwarunkowo pod władzę dostojnego księcia i przysięga mu wierność i posłuszeństwo!

XI.

Dziwna to kolej rzeczy ludzkich na tym świecie! Istna komedja pełna kontrastów i niespodzianek, w której aktorzy nie zawsze dogrywają do końca, powierzone sobie role — w której nieraz Frontin tak raptownie przerzuca się w Markiza, a Geront lub Alcest w Arlekina — że spektator często śmiać się musi wśród sceny poważnej, a czasami czuje łzy w oczach patrząc na buffonadę!

I nasi bohaterowie, wyszli z dwóch przeciwnych zupełnie punktów, tak się zabłąkali po drodze, że jeden zajął stanowisko drugiego — i każden z nich przywdziawszy nowy

strój teatralny, odgrywa teraz nie swoją rolę w tej maskaradzie.

Pafnucy chudy pachołek, własnym przemysłem doszedł do tysiąców, posiada akcje na drogach żelaznych i może nie długo wyjdzie na bogacza, bo ludzie tego rodzaju szybko pną się do fortuny. — Niegdyś zapalczywy demagog, dolał teraz (jak mówią Francuzi) wody do wina — nabrał arystokratycznych pretensji i oto przychodzi z gotowem ramieniem podpierać chwiejące się stropy idealnego tronu.

A Pan jego dawny, Dezydery Boczko, sędzia powiatowy, naczelnik powstania, szlachcic z pradziadów, personat i familjant, jak sam zwykł był mawiać — człowiek co kiedyś chciał cybuchem okładać i przed trybunałem reklamować poddańczuka — rzucając się bez namysłu w różne strony, wpadł z Konfederacji do Zjednoczenia, a stamtąd zabłąkał się aż do Centralizacji!

Dzisiaj Pan Boczko, choć jeszcze nosi na palcu sygnet z krwawnikiem, na którym wyrzezany jest półkozic, pieni się z wściekłości na samo wspomnienie szlachcica — uczy się na pamięć Pradw Żywotnych i Katechizmu Demokratycznego — rozprawia o równości i wszechwładztwie ludu — a o gilotynie gada, jako niegdyś o Sejmie, to jest jak o jedynym środku zbawienia ojczyzny!

XII.

(POST-SCRIPTUM).

Emigracja nasza dziwny przedstawia dzisiaj widok. — Rozstrzeliliśmy się na drobne kupki i każda kupka buduje sobie z pośpiechem nową wieżę Babelu, z własnych materjałów, podług własnej idei.

Ale po piętnastu latach zabiegów, pracy, krzyków i kłótni, cóż zbudowała która partja?

Zaprawdę powiadam wam: zużyliście wiele sił na próżno, straciliście marnie wiele czasu i obłąkaliście nie jedną słabą głowę. — Za to też pomięszały się wam języki, nie wiecie sami co począć dalej i chyba kiedyś, głos powstającej ojczyzny obudzi was z tego szału i do jednego szeregu zbierze!

Najwięcej zaś żal mi tych z moich rodaków, co czasem z najlepszej chęci, rzadko z interesu, a najczęściej ślepym trafem pędzeni, rzucali się bez namysłu z jednej partji w drugą, obiegli wszystkie i znaleźli się w końcu śród elementów całkiem przeciwnych swojej naturze, jak po nagle opadniętej powodzi, rak na wierzchołku suchej wierzby. — Pan Boczko jest wizerunkiem tych ludzi.

W pisemku mojem nie ma żadnych osobistości, i bardzobym się smucił, gdyby ktoś chciał wyszukiwać podobieństwa z tą lub ową osobą. Dezydery nie jest portretem, ale typem zbiorowym wszystkich śmieszności emigracyjnych. Podobny jemu zupełnie człowiek nie znajduje się między nami; ale każdy z nas obrachowawszy sumienie przyzna, że były w nim dawniej, a może i są jeszcze niektóre wady i dziwactwa Pana naczelnika. — Spodziewam się przeto, że czytelnicy różnych partji z pobłażaniem a bez gniewu odczytają te kartki, bo to wszystko jest krytyką tylko a nie wyrokiem potępienia. Szczere opinje szanuję — ale śmieję się z ludzi którzy nie mają żadnych i którym się tylko zdaje iż mają tę lub ową opinję, dla tego też tak często je zmieniają, biegając od Sasa do lasa, od Anasza do Kaifasza.

Emigracja dzisiaj przykładnie pracuje na kęs chleba, poczciwie się prowadzi i chwała Bogu! coraz mniej śród nas takich indywiduów jak Pafnucy, który także nie jest żadnym portretem, ale typem zbiorowym owych spekulantów i awanturników, co wyszedłszy hołyszami z kraju, grali przed Francuzami rolę wielkich panów zrujnowanych konfiskatą — i na lep polskiego imienia łowili pieniądz u cudzoziemców.

Jako przed wiekami w Sparcie upajano Ilotów i wystawiano na pośmiewisko dzieci, aby te od młodości w obrzydzenie wzięły opilstwo; tak i ja oto dzisiaj — nie dla dzieci ale dla nas starych i niepoprawnych grzeszników — ustroiłem dwie komiczne postacie Dezyderego i Pafnucego i postawiłem jako przestrogę nauczającą przed oczy towarzyszów tułactwa!

Czy się poprawią? Nie wiem, ale radbym z całej duszy!

Cierpim wszyscy — za Polskę. — Myślem wszyscy wiecznie — o Polsce! — Gotowi jesteśmy wszyscy poświęcić się — za Polskę! — A więc mamy wspólny sztandar, około którego z braterską miłością kupić się należy, a nie radzić pokątnie i zawistnie patrzeć jedni na drugich.

Dynastyk czy Demokrata, zjednoczony czy scentralizowany, katolik, Towiańczyk, wojskowy, cywilny, Litwin czy Mazur, czyż nie mamy jednej wspólnej i szczytnej myśli, która nas łączy — widzieć Polskę naszą wolną i szczęśliwą?

Sztandar ten święty, stoi wywieszony po nad głowami

naszemi, ale niestety! zamiast okolić go wspólnem ramieniem, każda partja ciągnie go ku sobie i woła: «Chodźcie «do mnie, mam sztandar i będę was prowadzić; bom ja tylko «rozumna, i moje tylko zasady zbawią.»

Przysądzacie sobie skórę na niedźwiedziu, a niedźwiedź jeszcze w lesie! Oto wiecie co — porzućmy kłótnie, pójdźmy razem na wielkie polowanie, a jak zwierza ułowim, to będzie czas targować się o skórę!

Pisano w styczniu 1846.

KONIEC.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.